

ADRIENNE BASSO

Novel History

ADRIENNE
BASSO

L'Alcald
o milosć

ISBN 978-83-7502-000-0

Romans historyczny

ADRIENNE
BASSO

Zakład o miłość


AMBER

Najnowsza
powieść

BASSO

ADRIENNE

Romans historyczny

LADRIENNE

ASSO

Zakład o miłość

Przekład

Anna Palmowska

&

AMBER

Pamięci Kyle Moten Disch,

córki, siostry, żony, matki, przyjaciółki.

Zabrany zbyt młodo, jej mężny duch żyje w nas, którzy mieliśmy szczęście ją poznać i pokochać.

Droga przyjaciółko, płaczę po Tobie i tęsknię.

Anglia, Londyn

Początek lata 1802

W ytworni goście mogli bez trudu usłyszeć własne szepty, przechadzając się po ogrodzie podczas popołudniowego przyjęcia u księżnej Suttington.

- Podobno jest warta prawie pięć tysięcy rocznie, ale hrabia Porters-ville powiedział, że nie wzięłby jej, nawet gdyby była księżniczką i miała dziesięć tysięcy. Jak na przyzwoitą młodą damę jest zbyt żywiołowa i dosadna w słowach - oznajmiła zapalczywie tęga matrona.

Jej towarzyszka przytaknęła z przejęciem.

- Słyszałam, że miała czelność pouczać księcia Hastingsa, gdy w zeszłym tygodniu pokazywał jej ostatni nabytek w swojej kolekcji sztuki.

Stwierdziła, że to najprawdopodobniej falsyfikat i że dał się oszukać. To wprost oburzające!

Przedmiotem krytycznej konwersacji była osiemnastoletnia lady Meredith Barrington. Siedziała zaledwie kilka kroków dalej. Z udaną obojętnością odrzuciła jasne loki przez lewe ramię. Postanowiła, że nie sprawi przyjemności starym plotkarkom i nie okaże, jak bardzo dotknęła ją krytyka.

Rozmowa toczyła się dalej. Meredith zmusiła się, by traktować złośliwe obgadywanie jedynie jako drażniące dźwięki. Czowała nadchodzący ból

głowy. Zapragnęła znaleźć się w pałacu, z dala od gości, a jednak pozostała na miejscu, spokojna, choć drżąca.

- A czegoż innego można się spodziewać po córce hrabiego Staffbr-da? Jak na mój gust, zawsze był przemądrzały i bezceremonialny. Tego rodzaju zachowanie można jeszcze wybaczyć mężczyźnie, ale z pewno

ścią nie młodej kobiecie.

Meredith usłyszała dokładnie ostatnie zdanie i na chwilę straciła opanowanie. W pierwszym odruchu chciała się odwrócić i odciąć tym złośliwym matronom, ale takie skandaliczne zachowanie tylko by przydało wiarygodności ich kłamstwom.

Dobry Boże, czy nigdy nie zostawiaj w spokoju? Czy nie wystarczy im, że jest uważana za nieznośną sawantkę tylko dlatego, że ma odwagę wygłaszać inteligentne opinie, które często różnią się od zdania mężczyzn?

Czy musi być oczerniana także przez przedstawicielki własnej płci?

W głębi serca Meredith aż wrzała z poczucia niesprawiedliwości. To, co mówił jej ojciec, było uważane za ekscentryczne, jej opinie uznano za niedopuszczalne. Tak, w istocie powiedziała księciu Hastingsowi, że wenecki puchar najprawdopodobniej nie należał do papieża Piusa II, ponieważ ten święty człowiek żył i umarł prawie sto lat przed tym, jak weneccy rzemieślnicy zaczęli wyrabiać szkło w tym szczególnym odcieniu zieleni.

Meredith ujawniła ten fakt nie po to, żeby się popisać wiedzą albo wprowadzić księcia w zakłopotanie. Chciała tylko odwrócić jego uwagę.

W chwili gdy wykrztusiła swoje rewelacje, ten pan sprytnie zaaranżował spotkanie sam na sam i czynił wysoce nieprzyzwoite awanse.

Miała do wyboru albo go uderzyć, albo zadać cios jego dumie, Meredith zacisnęła zęby, żałując, że zdecydowała się na to drugie. Szybkie kopnięcie we wstydlive miejsce na pewno nie byłoby tak swobodnie omawiane przez księcia z jego przyjaciółmi. Ta historia pewnie nigdy nie wydostałaby się na światło dzienne.

Ale niepożądane awanse księcia zostały celowo pominięte w opowie

ści obu matron, a to potwierdzało teorię, że nie miały pojęcia, co się naprawdę stało.

Właściwie Meredith była prawie rozczarowana. Gdyby prawda o zachowaniu księcia wyszła na jaw, wybuchnąłby tak wielki skandal, że reputacja Meredith zostałaby ostatecznie zrujnowana i jej nieszczęsny debiut w towarzystwie wreszcie by się skończył.

Szczerze mówiąc, Meredith nigdy nie czuła się bardziej nieszczęśliwa.

Zaczynała swój pierwszy sezon pełna nadziei. Jako piękna córka bogatej **8**

i szanowanej rodziny szybko została przyjęta do towarzyskiego grona.

Wkrótce jednak przychylność przerodziła się w dezaprobatę.

Nie był to jednostronny zawód. Meredith nie lubiła wyższych sfer za sztywne zasady, które wykluczały wszystko i wszystkich, którzy mieli choć trochę inne spojrzenie na świat. Ku swemu rozczarowaniu, szybko nauczyła się, że jeśli nie naśladuje się towarzystwa w najdrobniejszym szczególe, trzeba się liczyć z odrzuceniem.

- Ach, więc tutaj się podziewasz! - zawołał melodyjny kobiecy głos. -

Lady Meredith, wszędzie cię szukam.

Meredith uniosła głowę i uśmiechnęła się. Lavinia Morely, młoda markiza Dardington, podeszła z gracją, wyciągając ręce na powitanie.

- Jak miło cię widzieć - powiedziała serdecznie Meredith, obejmując przyjaciółkę. - Nie byłam

pewna, czy będziesz dzisiaj.

- Nie mogliśmy nie przyjść. - Lavinia odwzajemniła uścisk. - Księżna Suttington jest matką chrzestną mojego najdroższego Trevora. Byłaby niepokieszona, gdybyśmy się nie zjawili na jej popołudniowym przyjęciu. Jak tylko przybyliśmy, zabrała Trevora ze sobą, by omówić sprawy, jak powiedziała, najwyższej wagi. Mam przecucie, że dotyczą one koni, które ostatnio nabyła u Tattersalla. Księżna ma prawdziwego bzika na punkcie koni, jednak nie dość zdrowego rozsądku, by zaufać własnej opinii. Biedny Trevor. Obiecałam, że przyjdę mu z pomocą, jeśli nie wróci w ciągu godziny.

- Lavinio, jesteś taką oddaną żoną. - Meredith cmoknęła z udawaną dezaprobatą. - Tak często przebywasz w towarzystwie męża. To aż niemodne.

Lavinia westchnęła przesadnie.

- Niezła z nas para, prawda?

- Rzeczywiście. - Meredith pochyliła się i zaszeptała do ucha przyjaciółki. - Każda obecna tu kobieta zazdrości ci takiego wspaniałego, przystojnego męża, który świata poza tobą nie widzi i wcale się z tym nie kryje.

Lavinia uśmiechnęła się czarująco.

- Nie każda. Śmiem twierdzić, że twoja matka cieszy się nie mniejszym uwielbieniem ze strony twojego ojca. A są małżeństwem od prawie dwudziestu lat.

Meredith pochyliła głowę.

- Tak, są niezwykli pod każdym względem, także jeśli chodzi o wzajemną miłość. To jest coś, czego towarzystwo chyba w ogóle nie pojmuje.

-- Długo że lojalność, oddanie i prawdziwa miłość większości / nuli jest zupełnie obca. Lavinia przychyliła głowę i spojrzała na przyjaciół

kę z pytaniem w ciemnych brązowych oczach. - Martwią mnie twoje zmarszczone śliczne brwi. Podejrzewam, że nie ma to związku z twoimi rodzicami. Nie mów, że ksiązę Hastings miał chęć znów cię napastować.

Meredith szybko odwróciła głowę.

- On tutaj jest?

- A kogo tu nie ma?

Meredith parsknęła śmiechem.

- Nie mam pojęcia. Jestem tu już od prawie dwóch godzin, a rozmawiała ze mną zaledwie garstka osób. Jednak bez trudu zauważyłam, że między sobą dużo mówią o mnie.

- Jadowite żmije - wymamrotała Lavinia i wzięła Meredith pod rękę. -

Jak szybko osądzają innych i bez wahania przypisują komuś winę. A równocześnie nieustannie szukają materiału na soczyste plotki. Okropnie irytujące.

W tym momencie dwie plotkujące damy, które z lubością obmawiały Meredith, przywitały markizę i zaprosiły gestem, by Lavinia przyłączyła się do nich. Zaproszenie wyraźnie nie dotyczyło Meredith.

Oczy młodej markizy zwęziły się na widok matron. Odpowiedziała ledwie widocznym skinieniem głowy. Meredith, widząc, jak tęgiej damie mina nieco zrzędła, poczuła przypływ wdzięczności.

Lavinia mocniej ścisnęła ramię Meredith.

- Chodźmy, Merry. Pora, byśmy się trochę pokazały w towarzystwie.

Meredith uśmiechnęła się. Mocny uścisk i szczerą przyjaźń dodały jej otuchy. Po raz kolejny zmówiła krótką, cichą modlitwę w podziękę Bogu, który sprawił, że spotkała Lavinie. Świeżo zawiązana przyjaźń z Lavinia była dla Meredith jedynym jasnym punktem jej przykrego debiutu w towarzystwie.

Cieszyła się, że poznała tak otwartą i bezpretensjonalną młodą kobietę, która ofiarowała jej serdeczną, bezinteresowną przyjaźń.

Przechadzały się we dwie wśród gości, rozmawiając o pogodzie, wspaniałym przyjęciu i ostatniej modzie. W towarzystwie Lavinii Meredith przynajmniej została zauważona, choć nie spotkała się ze specjalnie ciepłym powitaniem. Nic jej to zresztą nie obchodziło.

Już po kilku minutach była na śmierć znudzona czczymi rozmowami.

Z dużym wysiłkiem utrzymywała przyjemny wyraz twarzy, Podejrzewa

ła, że Lavinia jest równie znużona, jednak młodej markizie jakimś cudem **10**

udawało się okazywać zainteresowanie, a pr/.y tym nie zachowywać się protekcyjnie.

Meredith podziwiała wdzięk i towarzyskie talenty przyjaciółki. Czasami trudno było uwierzyć, że Lavinia jest od niej starsza tylko o kilka lat.

Może to kochający mąż, który na każdym kroku podkreślał wyjątkowość żony, dodawał Lavinii nadzwyczajnej pewności siebie.

- I co pani na to powie, lady Meredith?

Meredith spojrzała z ukosa na niską, przysadzistą kobietę, która zwróciła się do niej z pytaniem. Bała się udzielić jakiegokolwiek konkretnej odpowiedzi. Większość rozmów puszczała mimo uszu i nie miała najmniejszego pojęcia, o co zapytała hrabina Ridgefield.

Próbując bezpiecznie wybrnąć z sytuacji, wymamrotała jakąś twierdzącą, życzliwą uwagę.

Lady Olivia Dermott podniosła do oczu oprawne w złoto lorgnon i spojrzała pogardliwie na Meredith.

- Tylko tyle ma pani do powiedzenia w tej sprawie? Dostyc zaskakująca reakcja ze strony dobrze ułożonej młodej damy.

- Nonsens - przerwała lodowato Lavinia. - To naturalna, szczerza reakcja. Zechcą nam panie wybaczyć.

Meredith szybko oprzytomniała. Instynktownie wyczuła, że trzeba zareagować odważnie. Idąc za przykładem Lavinii, obróciła się na pięcie i odeszła. Niemal czuła rozdrażnienie ogarniające przyjaciółkę z każdym kolejnym krokiem.

- Mściwa wiedźma - wymamrotała półgłosem Lavinia, gdy odeszły na sporą odległość. - Jest zazdrosna, bo usłyszała, że Julian Wingate ci się oświadczył. Przez cały sezon próbowała go złowić dla tej swojej my-szowatej córki. Bez skutku.

- Więc to o tym rozmawiały? O Julianie Wingacie? - Meredith była nawet zadowolona, że nie zwracała uwagi na konwersację. - Niech go sobie lady Olivia weźmie. Mimo najszczerzych chęci, nie mogę pojąć, dlaczego jest tak lubiany. Mnie się wydaje gburowaty i zarozumiały.

Wszystko ocenia negatywnie. Oczywiście z wyjątkiem siebie. Musiałam się powstrzymać ze wszystkich sił, żeby nie uciekać z krzykiem za każdym razem, gdy przychodził z wizytą.

- Dla większości kobiet jego urok musi być nieodparty. - Lavinia zamysliła się, potem uśmiechnęła

szeroko. - Zdziwiające, że chociaż nie uznano cię za ozdobę towarzystwa, to jednak trzech mężczyzn złożyło ci propozycję małżeństwa.

- Czterech, jeśli wliczysz Wingate'a. Nie jestem jednak tak głupia, by myśleć, że zainteresowało ich coś więcej niż moja okazała fortuna. -

Meredith uśmiechnęła się, mimo posępnego tonu. - Zostało jeszcze kilka tygodni, dopóki wszyscy nie wyjadą na wieś albo nie podążą za regentem do Brighton. Obawiam się, że zanim będę mogła wyjechać, jeszcze nieraz usłyszę oświadczenia.

- Powinnyśmy potraktować to jako grę i zobaczyć, ile propozycji małżeństwa uda ci się nazbierać - powiedziała gładko Lavinia.

Meredith zeszywniała. Zdziwiona odwróciła się do przyjaciółki, jednak widząc figlarny błysk w oczach Lavinii, zrozumiała, że ona tylko żartuje.

- Przypuszczam, że jeśli udałoby mi się dojść do pół tuzina, nieźle utarłabym nosa lady Olivii.

- Zapewne, moja droga.

Wymieniły porozumiewawcze spojrzenia i wybuchnęły śmiechem.

- Musimy ci znaleźć kogoś takiego jak mój Trevor - powiedziała Lavinia, gdy śmiech ucichł. - Kłopot w tym, że w całej Anglii nie ma drugiego równie wspaniałego mężczyzny.

Markiz Dardington pojawił się im przed oczami, jakby wyczuł, że jest tematem rozmowy. Meredith zobaczyła go pierwsza, wiedziała jednak, że za chwilę Lavinia też zauważy męża.

Markiz rozmawiał z kilkoma dżentelmenami w różnym wieku. Nie był

najwyższy w grupie, ale to właśnie on przykuł wzrok Meredith. Złotowłosey, z ładnym, wyraźnie zarysowanym profilem, szerokimi ramionami i nieuchwytną charyzmą przyciągał wszystkich wokół siebie.

Ubrany był skromniej niż towarzysze, w skórzane bryczesy, wzorzystą kamizelkę i granatowy surdut z najprzedniejszego sukna. Jednak to nie urzekająca uroda markiza tak bardzo zwróciła uwagę Meredith. Zawsze najbardziej intrygowała ją wewnętrzna siła Trevora Morely'ego.

Gesty, postawa i słowa świadczyły, że był mężczyzną, na którym można polegać w czasie próby. Meredith dorastała pod okiem ojca, który ją uwielbiał, ale raczej nie słynął z poczucia odpowiedzialności, więc właśnie ta cecha wydała się młodej panie najbardziej godna podziwu.

To oraz jego widoczna miłość i oddanie żonie sprawiało, że był jednym z nielicznych mężczyzn w towarzystwie, z którymi Meredith naprawdę chętnie by się zaprzyjaźniła.

- Trevor.

To był ledwie szept, jednak uczucie w tym jednym słowie jasno uświadomiło Meredith, że Lavinia zobaczyła swojego męża. Meredith wiedziała, **12**

że to niemożliwe, a jednak markiz chyba usłyszał albo wyczuł głos żony, bo odwrócił głowę w stronę Lavinii.

Chociaż stał o kilka metrów dalej, całkowicie skupił uwagę na swojej pięknej żonie. Meredith zafascynowana patrzyła, jak spojrzenia tej pary spotkały się i zatrzymały na sobie. Tajemnicze i pełne żaru iskry pojawiły się na chwilę we wzroku markiza.

Lavinia zarumieniła się i opuściła głowę.

Meredith szybko odwróciła oczy. Zaskoczyło ją uczucie i pragnienie na twarzy markiza. Miała dziwne wrażenie, jakby przeszkodziła w bardzo osobistej, intymnej chwili. Co było śmieszne, wzięwszy pod uwagę, że dookoła było tylu ludzi.

Meredith nie pierwszy raz obserwowwała taką scenę. I po raz kolejny uderzyła ją bliskość tej pary, mimo że fizycznie byli od siebie oddaleni.

Uśmiechnęła się lekko. Pewnie nie do końca rozumiała istotę ich związku, jednak poczuła się szczęśliwa, widząc radość ogarniającą Lavinie na widok męża.

- Ojej, zadrzałaś. - Meredith schwyciła przyjaciółkę za rękę. - Zimno ci, Lavinio?

- Ani trochę. - Przez chwilę jej twarz wyrażała różnorakie uczucia. -

Mój mąż jednym spojrzeniem może wzbudzić we mnie dreszcze. Czy to nie cudowne?

Prawdę powiedziawszy, Meredith pomyślała, że to śmieszne, ale nie chciała ranić uczuć drogiej przyjaciółki.

- Właściwie brzmi to dosyć nieprzyjemnie. Proszę, weź mój szal. Popołudnie jest ciepłe, ale zaczyna wiać wiatr. Malutkie rękawki twojej lawendowej sukni są naprawdę śliczne, ale nie osłonią cię przed chłodem.

- Naprawdę nie jest mi zimno - zaprotestowała Lavinia, oddając okrycie.

Meredith westchnęła, ale nie nalegała. Usłyszała, jak Lavinia głośno wzdycha przy kolejnym dreszczu. Meredith odwróciła głowę i przyglądała się spacerującym gościom. Woląta to, niż patrzeć, jak jej towarzyszka staje się drżącym kłębkim pożądania.

Jednak przy trzecim kolejnym dreszczu, Meredith nie mogła dłużej ignorować sytuacji.

- Lavinio!

- No dobrze, wezmę ten szal.

- Obie wiemy, że chłód nie jest przyczyną twojego drżenia - odparła Meredith, mrużąc oczy.

Lavinia spojrzała na nią niewinnie.

13

- Mimo to, nie zaszkodzi, jeśli szczególnie zadbam o siebie. Trevor bardzo się teraz troszczy o moje zdrowie.

- Jesteś chora?

- Ależ skąd! - Lavinia machnięciem ręki zbyła wyraźną troskę Meredith i udrapowała na ramionach wzorzysty szal z jedwabiu. - Nigdy nie czułam się lepiej. I jestem taka szczęśliwa. - Uśmiechnęła się tajemniczo. - Wszystko wskazuje na to, że jestem w odmiennym stanie.

Meredith zmarszczyła brwi.

- Odmiennym?

- Zupełnie odmiennym.

Meredith nachmurzyła się jeszcze bardziej. Lavinia patrzyła na nią wyczekująco. Młoda panna wiedziała, że przyjaciółka próbuje jej coś powiedzieć. I to coś niezwykle istotnego. Jednak Meredith zupełnie nie rozumiała, o co chodzi.

Po chwili milczenia Lavinia podniosła oczy do góry i roześmiała się.

- Jak na inteligentną, bystrą młodą kobietę, potrafisz czasem być niezwykle niedomyślna. - Markiza lekko przycisnęła dłoń do brzucha. -

W takim odmiennym stanie.

Meredith otworzyła usta.

- Dobry Boże!

Przez śliczną twarz Lavinii przemknęło rozmarzenie.

- Czy to nie cudowne? Dziecko. Oboje z Trevorem od tygodnia gratulujemy sobie, że jesteśmy taką zdolną parą. - Westchnęła głęboko. - Nikomu jeszcze nie powiedzieliśmy. To jest nasz cudowny sekret. Ale dziś wieczorem jemy kolację z ojcem Trevora i już nie możemy się doczekać, by mu oznajmić radosną nowinę.

Meredith coś ścisnęło za gardło.

- Czuję się zaszczycona, że chciałaś się ze mną podzielić tą wiadomo

ścią.

Lavinia zdziwiona przekrzywiła głowę.

- Jesteś moją najdroższą przyjaciółką. - Markiza ujęła Meredith pod rękę i obie ruszyły w kierunku grupy gości. - Wiem, że mogę liczyć na twoją dyskrecję. Jestem podekscytowana swoim stanem, ale wolę niczego nie oznajmiać światu. Zasady, które ograniczają towarzysko matki spodziewające się potomstwa, są równie głupie, jak pozostałe. Doktor powiedział, że mój stan będzie widoczny dopiero za kilka miesięcy. Jeśli dopisze mi dobre samopoczucie, mogę się bawić do końca sezonu.

Meredith zarumieniła się. Miała poczucie ulgi, ale i winy. Ucieszyła się, że Lavinia nie zamierza w najbliższej przyszłości zrezygnować z by-

wania w towarzystwie. Jeśli nie mogłaby widywać przyjaciółki przynajmniej raz na jakiś czas, dotrwanie do końca sezonu wydawało się niemożliwe.

- Tak się cieszę, Lavinio. Będiesz wspaniałą matką.

- Dziękuję. - Markiza uniosła brwi. - Ojej, lady Tolliver nas zauwa

żyła i macha ręką, żebyśmy podeszły. Wiem, jak bardzo cię ona denerwuje, nie będę więc nalegać, byś mi towarzyszyła, gdy pójdę się przywitać.

- Jesteś prawdziwą przyjaciółką,

Markiza rozejrzała się z obawą wśród gości.

- Dasz sobie radę sama?

- Nie martw się o mnie - powiedziała Meredith, chociaż żołądek się jej ścisnął na myśl, że zostanie bez wsparcia.

- Spotkajmy się przy greckiej świątyni po drugiej stronie jeziora- zaproponowała Lavinia. - Za godzinę?

- Świetnie.

- Nie zapomnij swojego szala. - Lavinia zaczęła zsuwać z ramion śliczne okrycie, ale Meredith powstrzymała ją ruchem ręki.

- Nie, zatrzymaj go. Nad wodą na pewno będzie bardziej wiało. - Mrugnęła do przyjaciółki. - Musimy przecież bardzo dbać o twoje zdrowie.

Markiza odeszła, zostawiając za sobą echo perlistego śmiechu. Meredith westchnęła cicho i odwróciła się. Podniosła parasolkę i oparła ją sobie na ramieniu tak, by osłaniała jej twarz. Nie

chodziło o to, aby chronić cerę przed promieniami słońca, ale raczej o zasłonięcie się przed wścibskimi spojrzzeniami.

Powtarzając sobie, że nie ma powodu, by serce waliło w piersi, a ciało dygotało ze zdenerwowania, Meredith zaczęła spacerować po żwirowych ścieżkach i trawnikach w gronie innych dam i dżentelmenów. Na chłodne pozdrowienia odpowiadała z wyniosłą grzecznością, z każdym krokiem coraz mocniej zaciskając rękę na parasolce.

- Lady Meredith. Co za wspaniała niespodzianka!

Lord Jonathan Travers stanął jej na drodze. Po obu stronach miała duże drzewa, więc nie mogła go wyminąć. Po krótkim wahaniu odpowiedziała na powitanie młodzieńca.

W trakcie sezonu liczba jej adoratorów się zmniejszyła, jednak ciągle jeszcze byli tacy, dla których stanowiła wyzwanie. Albo ciekawostkę.

Nie wiedziała jeszcze, co kierowało lordem Traversem. Był dosyć poważnym młodym człowiekiem, który stanowczo zbyt wiele wagi przywiązywał do opinii innych i na którego zawsze można było liczyć, jeśli chodzi o najnudniejszą pod słońcem rozmowę.

15

Mimo to perspektywa spędzenia z nim kilku chwil nie wydała się Meredith taka zła. Postanowiła być miła i pocieszyła się myślą, że za godzinę będzie mogła uciec, by spotkać się nad jeziorem z Lavinia. Z obojętnym spojrzeniem i sztuczną miną skupiła uwagę na lordzie Traversie.

- Dobrze się pan bawi dzisiejszego popołudnia, lordzie Traversie?

- Teraz, kiedy panią spotkałem, wprost wspaniale, lady Meredith.

Meredith uśmiechnęła się obojętnie, aby nie zachęcać młodzieńca do głębszych wyznań. Nie miała ochoty na kolejne oświadczenia, mimo że wcześniej obie z Lavinia żartowały na ten temat.

Zdecydowana, by odwracać uwagę od siebie, Meredith bez trudu skłoniła towarzysza, by mówił i wygłaszał opinie na inne tematy. Sama rozważnie powstrzymała się od wypowiedzi, bo jej zdanie byłoby zapewne różne od jego.

Trzymając się lekko pod rękę, oboje spokojnie spacerowali w słońcu.

Nagle gładką konwersację przerwał wysoki, kobiecy krzyk, pełen przerażenia.

- Mój Boże - wyszeptała Meredith. Odwróciła się w stronę, z której rozległ się dźwięk, potem z powrotem do swego towarzysza. - Co to było?

Lord Travers pobladł pod opalenizną.

- To brzmiało jak skowyt zwierzęcia schwytanego w pułapkę.

- Niemożliwe.

Meredith bezwiednie ruszyła do przodu, w ślad za tłumem spieszącym przez trawnik i dalej przez kępę drzew. Mężczyźni krzyczeli i biegali we wszystkie strony, rzucając w podnieceniu pytania i wskazówki.

Większość kobiet trzymała się z boku, chociaż kilka z nich było na tyle śmiałych lub ciekawych, że ruszyły za gęstniejącym tłumem. Gdy dotarli do małej polany i skręcili w lewo, Meredith uświadomiła sobie, dokąd zmierzają. Nad jezioro.

Przyspieszyła kroku. Serce zaczęło jej walić ze strachu. Za niecałe piętnaście minut miała się tam spotkać z Lavinia. W myślach pojawiał się jej straszny obraz. Nieruchome ciało, leżące na brzegu twarzą w dół.

Meredith westchnęła. Serce tłukło się jej jak oszalałe. Upuściła parasolkę i uniósłszy suknię nad kostki, przyspieszyła kroku. Mijając wolniej idących, przeciskając się przez tłum, szła coraz szybciej. Zanim dotarła do błotnistej brzozy jeziora, pokryła się potem, a urywany oddech rozdzierał płuca.

- Co się stało? - spytała zdyszczym szeptem.

Nieznany dandys w barwnym ubraniu próbował jej zasłonić widok.

- Zdaje się, że zdarzył się wypadek.

- Kto to?! -zawołał jakiś mężczyzna. -Czy wiadomo, kto jest ranny?

- Markiza Dardington -odpowiedział ktoś trzeci. -Mąż jest przy niej.

- Nie!

Meredith z przerażenia zaczęła drżeć na całym ciele. Przez chwilę nie mogła się ruszać ani myśleć, ani czuć. Potem z siłą zrodzoną z okropnego lęku, przepchnęła się przez mężczyzn stojących na obrzeżach tłumu.

Ktoś próbował ją powstrzymać, ale zdecydowanie wyrwała się i stanę

ła o kilka kroków od koszarnej sceny.

Jęk wyrwał się jej z ust. Na brzegu trawnika, przy greckiej świątyni leżało ciało. Nieruchome ciało kobiety w lawendowej sukni.

Meredith zdławiła krzyk i z trudem opanowała oddech. Potykając się, podeszła bliżej do bezwładnej postaci, przy której stało trzech mężczyzn.

Milczeli, nieruchomi, jak kształt leżący u ich stóp.

Meredith usiłowała pohamować emocje. Ze względu na Lavinie powinna zachować spokój. Rozhisteryzowana kobieta będzie tylko przeszkadzać. Opanowana dama może wiele pomóc. Śmiało zrobiła krok do przodu. Trzej mężczyźni rozstąpili się bez słowa.

Trevor Morely klęczał u boku żony. Głowę miał pochyloną, jednak Meredith niemal czuła, że cały drży od dławionej rozpacz.

Zaciskając usta, uklękła z drugiej strony Lavinii, twarzą do markiza.

Starła się spojrzeć na ciało, ale nie mogła. Zauważyła, że markiz delikatnie trzyma żonę za rękę.

Zdawało się, że trwali tak przez całą wieczność. W końcu mężczyzna podniósł głowę, nie puszcżając ręki żony.

Meredith patrzyła na markiza w milczeniu. Mięśnie na jego szczęce zaciskały się i rozluźniały. Nie powiedział ani słowa, podczas gdy wokół

nich wzmagął się gwar pełen domysłów.

- Cóż to za tragiczny wypadek! Skręciła kark, Musiała się potknąć i fatalnie uderzyć przy upadku.

- Może coś ją przestraszyło - wymamrotał męski głos. - Może dlatego krzyknęła?

- Pewnie porządnie się przestraszyła i z tego powodu krzyknęła i upad

ła - wtrącił kolejny mężczyzna. - Może to było jakieś zwierzę? Tylko jakie?

- W parku księżnej nie ma żadnych dzikich zwierząt. Nie pozwolono by na to.

Spekulacje i szepty trwały dalej, ale Meredith przestała zwracać na nie uwagę.

2 - Zakład o miłość

17



Spojrzała znów na markiza. Ogarnął ją żal tak wielki, że prawie ją dławił. W twarzy Trevora Morely'ego zobaczyła odbicie własnego bólu i szoku, a w oczach ślad łez.

Dygocząc, wyciągnęła rękę w geście pocieszenia, ale zaraz opuściła dłoń. Sięgnęła po brzeg ozdobionego frędzlami szala, który przykrywał

martwe ciało Lavinii.

Jak zahipnotyzowana powoli głaskała delikatny jedwab i przypomnia

ła sobie, jak przyjaciółka nie chciała wziąć okrycia.

Dziecko! Znieruchomiła na wspomnienie śmiechu i żartów Lavinii na temat szczególnego dbania o własne zdrowie. Miłosierny Boże, to nowe życie również zgasło.

Zapłakana uniosła twarz. Markiz nie wpatrywał się już w swoją żonę, tylko patrzył prosto na Meredith. Nie mogła uciec przed jego pytającym, pustym, martwym wzrokiem.

Opanowanie Meredith pękło. Uniosła brzeg szala i wcisnęła go sobie w usta, próbując uciszyć wstrząsające ją łkanie.

Ukryty wśród drzew mężczyzna przyglądał się temu wszystkiemu w milczeniu. Oddychał szybko i nierówno. Serce waliło mu w przypiływie dziwnego uniesienia. Zaciśnął spocone dłonie i z zadowoleniem patrzył na rozgrywającą się przed nim scenę.

Był na tyle blisko, że słyszał rozmowy wypełnione domysłami. Dobrze mu poszło. Byli przekonani, że to wypadek, okrutne zrządzenie losu. Z trudem powstrzymał się od brutalności, dokonując dzieła. Młoda kobieta prawie nie zdążyła się przestraszyć, gdy zaciśnął ręce na jej szyi.

Szerzej otworzyła łagodne oczy. Najpierw ze zdziwienia, potem w panice i wreszcie z bólu. Wkrótce straciła przytomność i wystarczył szybki ruch, by skrócić jej kark.

Zabijanie było mu niezbędne do życia. Tak jak innym jedzenie, picie i powietrze. Już dawno przestał próbować to zrozumieć, gdyż zawsze było jego częścią, głęboko ukrytą przed światem.

Ta kobieta nie przypominała jego dotychczasowych ofiar. Była z innej sfery. Na ogół wybierał młode ekspedientki ze sklepów na Bond Street albo hoże służące z tawern, dziewczyny, które próbując uciec przed swoim przeznaczeniem, walczyły ze strachem i determinacją.

18

Jednak ta kobieta została wybrana z pewnego szczególnego powodu.

Bardzo osobistego.

W miarę, jak przyływ podniecenia i radości zaczynał słabnąć, stopniowo odzyskiwał zmysły. Zerknął przez liście, by po raz ostatni nacieszyć się sceną śmierci, i ujrzał kobietę, która klęczała przy ciele. Uniosła głowę. Westchnął głęboko ze zdziwienia.

To niemożliwe! Przecież właśnie ją zabił! Zamrugał gwałtownie, potem nieostrożnie odsunął gałąź, by lepiej widzieć.

Nie mylił się. Kobieta tak żałośnie łkająca przy zwłokach była lady Meredith Barrington. Siarczyście przeklinając, uświadomił sobie, że nie przyjrzał się dobrze twarzy swojej ofiary. Widział tylko charakterystyczny szal i cierpliwie śledził upatrzoną zdobycz. W chwili gdy została sama, zaatakował od tyłu. Odwrócił twarz młodej damy do siebie dopiero na samym końcu, by rozkoszować się ostatnimi chwilami jej życia, któremu właśnie kładł kres.

Lady Meredith pochyliła głowę. Objęła się ramionami i przycisnęła ręce do brzucha, jakby w wielkim bólu.

Złość zaczęła mu mijać. Ona cierpiała. Okropnie cierpiała. Może tak było nawet lepiej. Śmierć wydawała się zbyt łagodną karą za jej grzechy.

Odejdzie kogoś, kogo najwyraźniej kochała, przyniesie wiele lat bólu i udręki.

Wziął głęboki oddech. Poczul na skórze dreszcz zadowolenia, gdy rozkoszował się nieoczekiwanym darem losu.

Może nie wszystko potoczyło się zgodnie z pierwotnym planem, ale mimo to był zadowolony z ostatecznego rezultatu.

Na razie.

Anglia, Londyn

Osiem lat później

Myślałam, że już wreszcie do was dotarło, że jest szczytem głupoty zakładać się, gdy nie macie środków na spłacenie przegranej. Ani też żadnego dozwolonego prawem sposobu na ich zdobycie - upomniała ostro lady Meredith Barrington.

Miała nadzieję, że mina, jaką zrobiła, była wystarczająco poważna i pełna dezaprobaty. Spiorunowała wzrokiem dwóch dżentelmenów w jej salonie, rozpartych na sofie obitej wzorzystym brokatem. Obaj mieli złociste włosy i wyraziste, piękne, prawie identyczne rysy. Spojrzeli na nią podobnymi zielonymi oczami z lekkim znudzeniem, które było nie na miejscu wobec powagi sprawy.

Chciała, żeby jej uwagi wywołały żal, wyrzuty sumienia, a nawet skruchę. Jednak było to mało prawdopodobne.

Meredith westchnęła ze smutkiem i pomyślała, że jej młodsi bracia już nie są parą wyrosniętych młokosów, którzy cichli i nieruchomieli, ilekroć podniosła głos. Ich chude, chłopięce ręce stały się muskularnymi ramionami, okrytymi najlepszymi ubiorami od Westona. Była pewna, że gdy nie musieli wysłuchiwać kazań starszej siostry, ich piękne zielone oczy płonęły młodzieńczym entuzjazmem i żądzą życia.

Oczywisty wydawał się też fakt, że młodsi bracia bliźniacy, Jason i Jasper, byli najbardziej swawolnymi, czarującymi i irytującymi mężczyznami w całej Anglii. Meredith nie miała żadnych wątpliwości, że to oni przysporzyli jej siwych włosów, które znalazła na szczotce tego właśnie ranka.

- Nie rozumiem, dlaczego tak się przejmujesz tą sprawą - wymamrotał Jasper. Oparł się wygodnie i niedbale założył nogę na nogę. - To nie jest zbyt poważny zakład.

- I wcale go nie przegraliśmy - wtrącił chytrze Jason.

- Jeszcze nie - zaznaczyła Meredith możliwie najsurowszym tonem.

Westchnęła dramatycznie, skrzyżowała ręce na piersi i wykorzystała swój pokaźny wzrost, by spojrzeć na nich z góry. Niestety żaden z młodzieńców akurat na nią nie patrzył, więc piorunujące spojrzenie poszło na marne. - Powiedziałam wyraźnie dwa tygodnie temu, że nie będę się wstawiać za wami u zarządcy majątku ojca, byście wcześniej dostali kwartalną pensję, i nie pożyczę wam pieniędzy z własnych skromnych funduszy.

- Skromnych! - huknął Jasper. Szybko zmienił pozycję i postawił obie stopy na dywanie. - Święci Pańscy! Meredith, masz więcej pieniędzy niż ktokolwiek mi znany. Założę się, że gdyby zaszła potrzeba, mogłabyś pożyczać Narodowemu Bankowi Anglii.

- Bankowi Anglii? - Jason w zamyśleniu pogładził brodę. - To solidna, godna zaufania instytucja z uczciwymi gwarancjami i nieposzlakowaną reputacją. Wiem, że Merry ma odłożony niezły kapitał, ale to chyba niemożliwe, by posiadała więcej niż bank. A może? Ciekawa sugestia.

Chyba się z tobą o to założę, bracie.

- Och, na litość boską, przestańcie!

Meredithomal nie tupnęła z irytacji. To było idiotyczne. Czy oni nigdy nie przestaną, nigdy się nie nauczą? Kochała braci do szaleństwa, ale nie była ślepa na ich wady, z których główną stanowiła skłonność do hazardu.

W wieku dwudziestu dwóch lat bliźniacy byli parą rozpuszczonych, lekkomyślnych, folgujących sobie, egoistycznych, uprzywilejowanych młodzieńców. Rodzice Meredith niewiele uwagi poświęcali wychowaniu synów. Hrabia z żoną często przebywali za granicą, w pogoni za znaleziskami archeologicznymi albo zabytkami, którymi zainteresował się hrabia. Na co dzień oboje żyli w błogiej nieświadomości ogromu szaleństw synów.

Jednak nawet jeśli akurat byli w kraju, niewiele robili, by okiełznać dzikie wybryki bliźniaków. Hrabia uważał, że jego synowie końcu sami z tego wyrosną. W rezultacie pozwalał im żyć tak, jak chcieli. Bez względu na skandaliczne okoliczności, nigdy ich nie dyscyplinował.

Z początku Meredith próbowała naśladować ojca, jednak szybko zorientowała się, że jeśli bliźniaków pozostawi się samych sobie, wkrótce zupełnie zdziczeją. Starła się ich powściągać, ale wymagało to coraz bardziej stanowczych działań. Już nie postępowali zgodnie z jej wskazówkami ani nie słuchali z bojaźliwym szacunkiem rad czy opinii.

W miarę jak zaczęli dorastać, im bardziej próbowała ich kontrolować, tym większy stawiali opór. Za każdym razem Meredith zarzekała się, że przy następnym kryzysie nie będzie interweniować. Jednak sama nie potrafiła trzymać się własnych zasad.

Częściowo czuła się winna obecnej sytuacji. Przez lata tyle razy ratowała braci z opresji, że w końcu przestali się poważnie zastanawiać nad konsekwencjami swoich czynów.

Wiedzieli, że jeśli sprawy przybiorą zły obrót, mogą na siostrę liczyć, ponieważ bardzo poważnie traktowała opiekę nad nimi. Nie uśmiechała się jej rola patronki. Często musiała wyglądać jak anioł zemsty, ale nie mogła pozwolić, by jej niesfornemu rodzeństwu stała się krzywda, zwłaszcza gdy miała dość sił i środków, by zapobiec nieszczęściu.

Mimo wszystko bardzo kochała swoich braci i wiedziała, że oni darzą ją równie głębokim uczuciem. Czasami jednak, zwłaszcza w chwilach takich jak ta, trudno jej było o tym pamiętać.

- Ciągle nie mogę wyjść ze zdziwienia, że mimo ogromnej ilości czasu, którą straciliście na gry hazardowe i zakłady, ciągle tak kiepsko wam idzie - powiedziała cierpko Meredith. - Myślałam, że z czasem nabierzecie wprawę.

- To tylko zła passa - odparł spokojnie Jasper.

Był o kilka minut starszy od brata i do niego należał tytuł ojcowskiego dziedzica. To dawało mu znaczną przewagę nad bratem, gdyż jako przyszły hrabia cieszył się wieloma względami i

przywilejami, z których najważniejszy był większy kredyt u kupców, bankierów i partnerujących mu graczy.

- Nie dalej jak w zeszłym tygodniu przyszła mi karta i wygrałem od lorda Darby'ego niesamowicie piękną parę koni - ciągnął Jasper. - Przez kilka dni w klubie mówiono tylko o tym.

- A trzy dni później ja wygrałem te wierzchowce od Jaspера - oznajmił radośnie Jason.

- Oszukiwałeś. - Jasper strzepnął pyłek z bryczesów i spiorunował

brata spojrzeniem. - Nie mogę tego udowodnić, ale jestem przekonany, że karty były znaczone.

- Nie umiesz przegrywać. - Jason uśmiechnął się z wyższością. - Nie chcesz przyznać, że w pikietę gram lepiej od ciebie.

- Nic podobnego - stanowczo zaprzeczył Jasper. - Oszustwo to jedyny sposób, dzięki któremu mogłeś wygrać.

Jason wzruszył ramionami. Zupełny brak oburzenia na sugerowane mu oszustwo przekonał Meredith, że w tym zarzucie musiało być trochę prawdy. Miała nadzieję, że popełniał takie głupstwo jedynie wobec brata, a nie w towarzystwie innych graczy. Nieuczciwych karciarzy często spotykała ostra i dotkliwa kara.

Bracia wyglądali prawie identycznie, jednak wyraźnie różnili się charakterami. Jason był bardziej sympatyczny, skory do uśmiechu i zawsze ciekawy nowych wrażeń i doświadczeń. Ostatnio jednak Meredith zauważyła w nim lekkomyślność, która bardzo ją martwiła.

- Jeśli te konie są tak wspaniałe, jak mówicie, powinniście je sprzedać, żeby spłacić dotychczasowe długi i zachować dość pieniędzy na pokrycie ewentualnej przegranej w ostatnim zakładzie - powiedziała Meredith, z powrotem sprowadzając rozmowę na temat bieżących kłopotów. -

Oczywiście, jeśli przegracie.

- Obawiam się, że sprzedaż wierzchowców jest niemożliwa. - Tym razem Jasper uśmiechnął się z wyższością. - Jason przegrał te konie wczorajszej nocy. I to w pikietę.

- Dobry Boże. - Meredith opadła na wyściełane krzesło. - Biedne zwierzęta jeżdżą pewnie z miejsca na miejsce po całym Londynie tylko dlatego, że połowa młodzieńców w mieście na przemian wygrywa i przegrywa je w karty. Nie obchodzi was ich los?

Bracia spojrzeli na nią z jednakowo zdziwionymi minami,

- Jedzą najlepszy obrok, stoją w najczystszych stajniach i są trenowane na dobrych torach - oznajmił Jasper. - Śmiem twierdzić, że na East Endzie znalazłoby się sporo nieszczęśników, którzy pozazdrościliby losu tym koniom.

- To niezwykle żałosny komentarz odnośnie stanu naszego społeczeństwa - powiedziała oschle Meredith.

Obojętny wyraz twarzy braci uświadomił jej, że dalsza rozmowa na ten temat nie ma sensu. To nie była pora, by zaczynać wykład o odpowiedzialności i obowiązkach uprzywilejowanych członków społeczeństwa wobec tych, dla których los okazał się mniej łaskawy.

- Merry, porozmawiamy o twoich poglądach na reformy polityczne i socjalne później - wtrącił gładko Jasper. - Najpierw chcielibyśmy pomówić o pilniejszej sprawie osobistej.

Meredith uniosła brwi. Być może nie doceniała bystrości braci. Nawet jeśli nie podzielali jej opinii, przynajmniej byli ich świadomi.

- Powiedziałam już, że nie pożyczę wam pieniędzy i nie zmienię zdania, bez względu na to, jak kwiecieście będziecie argumentować swoje racje. Nie mamy więc o czym rozmawiać.

Meredith wstała i niespokojnie przeszła na drugi koniec salonu, celowo odwracając się do bliźniaków plecami. Gdy kierowali na nią błagalne, szczere spojrzenia, trudno jej było trwać w swoich postanowieniach, a Meredith zdecydowała, że w tej sprawie nie ustąpi.

- Nie prosimy cię o pieniądze - powiedział Jasper urażonym tonem. -

Najwyraźniej źle rozumiałaś całą sytuację.

- Chcieliśmy cię prosić o pomoc w wygraniu zakładu, byśmy mogli odzyskać te piękne konie - dodał niewinnie Jason. - Może przynajmniej będziesz taka miła i posłuchasz, jaki mamy plan, zanim go odrzucisz?

Meredith westchnęła i opuściła ręce z rezygnacją.

- Najpierw Jasper wygrał konie od lorda Darby'ego, *potem* Jason wygrał je od Jaspera, a ostatniej nocy Jason w kolejnej grze w karty znowu je przegrał. - Pomasaowała skronie, bezskutecznie próbując złagodzić nieznośny ból głowy. - Nie wiem, jak mogłabym wam pomóc. Przecież nawet nie umiem grać w pikietę.

- Nie bądź śmieszna, Merry.

- Próbowałam być ironiczna.

- Aha,

Zapadło milczenie. Meredith podniosła oczy na pozłacany porcelanowy zegar, który stał na kominku, i powoli policzyła do dziesięciu.

- Wysłuchaj nas spokojnie, Dobrze? - odezwał się jeden z braci.

Wbrew własnemu rozsądkowi, Meredith powoli się odwróciła. Obaj młodzieńcy natychmiast uśmiechnęli się do niej zwycięsko. Zaciśnęła zęby i nie dała się oczarować.

Jason zachęcająco poklepał siedzenie obok siebie. Merry lekko zadrżały usta, ale utrzymała ostrą minę, gdy siadała na miejscu troskliwie zaoferowanym przez brata.

- No dobrze, mówcie, o co chodzi. Wiem, że nie dacie mi chwili spokoju, zanim nie opowiecie swojego najnowszego planu. - Meredith splotła dłonie i oparła je na kolanach. - Słucham.

Jason z zapalem pochylił się do przodu.

- Wymyśliliśmy sprytny sposób, by zapewnić sobie wygraną. Potrzebujemy tylko twojej pomocy, i to w bardzo niewielkim zakresie.

- Choć raz mój brat nie przesadza - przyznał szczerze Jasper. - Zwycięstwo przyjdzie nam dosyć łatwo. A najlepsze jest to, że nie tylko odzyskamy parę koni, ale także przypadnie nam niezła sumka.

- Więcej niż nam potrzeba, żeby przeżyć do wypłaty kwartalnych, pensji - sprecyzował Jason.

- A z kimże to poszłicie o taki łatwy do wygrania zakład?

- Z markizem Dardingtonem - odpowiedzieli jednocześnie.

~ Rumieniec wystąpił Meredith na policzki. Zabrakło jej tchu. Markiz Dardington! Ostami raz widziała Trevora Morely'ego osiem lat temu, na pogrzebie Lavinii. Stał sztywno przy okrytej czarnym jedwabiem trumnie.

Na posągowym obliczu markiza nie pojawił się najmniejszy ślad uczuć, gdy ciało jego młodej żony zostało złożone w rodzinnym grobowcu.

Tamtego dnia Meredith z żalu prawie pękło serce. Musiała zasłonić twarz gęstym ciemnym welonem, by ukryć strugi łez, których nie mogła powstrzymać. Smutek sięgnął aż do głębi jej duszy i nie ustępował.

Z czasem ból zelżał. Meredith jednak w głębi serca wiedziała, że zawsze będzie opłakiwać przyjaciółkę, którą straciła tak nagle.

Tamtego fatalnego roku, gdy Meredith zadebiutowała w towarzystwie, Jason i Jasper byli w szkole i nigdy nie dowiedzieli się o przyjaźni siostry z Lavinia. Słyszeli o tragicznej śmierci młodej i pięknej markizy, ponieważ ta straszna historia dotarła nawet do Eton. Nie mieli jednak pojęcia, jak bardzo dotknęła Meredith.

Natychmiast po pogrzebie markiz wycofał się z życia towarzyskiego.

Mnożyły się plotki o jego dalszych losach. Jedni mówili, że wstąpił do wojska, inni, że zamknął się w najbardziej odległym majątku swojego

> 2 4

ojca i prawie oszalał ze smutku. Pojawiały się nawet spekulacje, że w napadzie szaleństwa odebrał sobie życie.

Wszystko okazało się nieprawdą. Dwa lata po śmierci Lavinii Trevor z powrotem pojawił się na salonach i stał się główną postacią wśród hulaków i rozpustników, którzy byli ledwie tolerowani w towarzystwie.

Meredith często się zastanawiała, co by czuła, jak by zareagowała, gdyby znów spotkała markiza. Ich ścieżki jednak nigdy się nie skrzyżowały.

Z każdym rokiem uczestniczyła w coraz mniejszej liczbie spotkań, a markiz najwyraźniej wolał towarzystwo mężczyzn, skłonnych do szaleństw i kobiet słynących z urody, choć raczej nie z moralności. Meredith zdziwiła się i zmartwiła, że Trevor jest znany bliźniakom. Zastanawiała się, co taki światowy mężczyzna widzi interesującego czy nawet zabawnego w jej braciach.

Meredith z trudem opanowała emocje, a gdy się odezwała, jej głos był bliski szeptu.

- Wiem, że markiz ma reputację lekkomyślnego hazardzisty, ale nie jest głupcem. Dlaczego miałby przyjąć zakład, który tak łatwo przegrać?

- On sobie nie zdaje sprawy, jacy jesteśmy przebiegli. - Jason radośnie klepnął się w udo. - Na tym polega urok naszego planu. Gdy Dardington się zorientuje, że go przechrztyliśmy, będzie już za późno. Przegra, a my zdążymy odebrać wygraną.

Meredith szczerze wątpiła, że będzie to tak łatwe, jak się jej braciom wydawało, ale chciała poznać więcej szczegółów genialnego planu, więc zachowała tę opinię dla siebie,

- O co chodzi w tym zakładzie? - spytała. - Czy to wyścig koni, czy powozów?

- Nie. Nie jesteśmy tacy głupi - stwierdził stanowczo Jason. - Nie słyszałem, by Dardington kiedykolwiek przegrał w wyścigu, czy to wierzchem, czy wyścigowym powozikiem. Ma stalowe nerwy i nawet gdy grozi mu katastrofa, nie zwolni ani się nie zatrzyma.

- Widziałem raz, jak jego powóz stanął na dwóch lewych kołach na wąskim zakręcie. Markizowi udało się nie wywrócić i wyprzedził rywala. Byli tak blisko, że omal nie splątali się batami, ale markiz nie wahał

się ani przez chwilę. Wygrał dzięki silnej ręce i bezgranicznej odwadze.

Brat opowiadał tę historię z nieukrywaniem podziwem, co poważnie zmartwiło Meredith. Markiz raczej nie był mężczyzną, którego bliźniacy powinni naśladować. I tak mieli do pokonania już dość złych nawyków.

- Jeśli zakład nie dotyczy wyścigów, to w takim razie czego? - spyta

ła znów Meredith.

25

- Kobiet - odparł Jason z szelmowskim uśmiechem.

- Kobiet! - Meredith poczuła rumieniec na policzkach. - Jeśli chodzi o doświadczenia z kobietami, jestem pewna, że markiz wie na ten temat dużo więcej niż każdy z was.

I wy obaj razem wzięci też, dodała w duchu Meredith.

- O nie. W tym wypadku markizowi tylko się wydaje, że wie więcej -

stwierdził Jason. Zawahał się na chwilę, ostrożnie dobierając słowa. -

Gdy wczoraj późną nocą poruszyliśmy ten temat, wywiązała się dosyć gorąca dyskusja.

- Dyskusja o kobietach? - pisnęła Meredith. Obawiała się, że ich rozmowa zaczyna zmierzać w bardzo niestosownym kierunku. Nie uważała siebie za osobę pruderyjną, ale wolała nie rozmawiać ze swoimi młodszymi braćmi na pewne tematy.

- Mówiliśmy o niezamężnych damach, a szczególnie tych, które już dawno straciły nadzieję na zamążpójście - wyjaśnił Jasper. - Dardington twierdził, że w starych pannach nie drzemie już namiętność. Ja się z tym nie zgodziłem.

- I ja też nie - dodał Jason. - Padło kilka innych opinii i w końcu Dardington zaproponował zakład. Powiedział, że to niemożliwe, by zdeklarowana stara panna namiętnie pocałowała mężczyznę o reputacji rozpustnika. Ale jeśli w ciągu tygodnia uda nam się dowieść, że nie ma racji, każdemu z nas zapłaci po pięćset gwinei.

- A jeśli panna będzie w miarę ładna, dorzuci jeszcze konie - zakończył Jasper z ochoczym uśmiechem.

Meredith omal głośno nie westchnęła z ulgi. Najwyraźniej markiz stroił

sobie żarty z młodzieńców.

- Namówienie rozpustnika, mężczyzny o słabych zasadach moralnych, żeby pocałował kobietę, nawet starą pannę, nie wymaga wiele wysiłku.

Wydaje mi się, że prawdziwy łajdak pocałowałby bez namysłu nawet swojego konia, gdyby tylko

zwierzę było płci żeńskiej.

Jasper i Jason wyszczerzyli się w uśmiechu.

- Nie zauważasz niuansów, Merry -powiedział Jasper, ciągle z uśmiechem na twarzy. - Wszyscy wiedzą, że rozpustnik jest amatorem kobiet i jeśli nadarzy się okazja, pogoni za każdąistotą w spódnicy, nawet za starą panną.

- Ale, żebyśmy mogli wygrać zakład, to kobieta powinna pogonić za dżentelmenem i złożyć pocałunek. Na tym polega wyzwanie.

Jason bardziej pochylił się do siostry.

- To musi być prawdziwy pocałunek, w którym usta w pełni złączą się ze sobą. I mocny, namiętny uścisk, bez oporów.

- Wygląda na to, że wszystko porządnie przemyśleliście - stwierdziła sucho Meredith. - To zatrwajające, że bogaci, utytułowani mężczyźni o wysokiej pozycji spędzają noc na wymyślaniu tak oburzających zakładów. Jestem pewna, że nikogo poza wami nie obchodzą stare panny całujące się z lajdakami. Wszystko jedno, czy namiętnie, czynie.

- Znaleźli się tacy, którzy uważali, że potrzebny byłby bliższy kontakt cielesny między parą, żeby udowodnić naszą rację. Ale...

Ostre spojrzenie brata skutecznie zakończyło wywody Jasona.

Meredith zacisnęła zęby, wyobrażając sobie, czego jej brat omal nie ujawnił.

- I pewnie uważacie, że powinnam was pochwalić za umiar i ograniczenie tego zakładu do jednego pocałunku? - Meredith uniosła brwi.

- To tylko niewinna zabawa. Nikomu nie stanie się krzywda - zapewni! pospiesznie Jasper, piorunując bliźniaka wzrokiem ponad jej głowę.

- Nie jestem pewna, czy wasza biedna, niczego niepodejrzewająca stara panna będzie tego samego zdania - odparła ostro Meredith.

Od dawna słyszała, że księga z zakładami w klubie White'a pełna była absurdalnych, idiotycznych zakładów o wszystko - o kolor marynarki trzeciego z kolei dżentelmena wchodzącego do pokoju, o dokładną godzinę opadów deszczu albo o liczbę much na ścianie. Niedorzeczny zakład, który przyjęli bracia, świetnie ilustrował bzdurność tego typu poczynań.

- Nikomu nic się nie stanie - powtórzył gładko Jasper. - Zwłaszcza jeśli zgodzisz się nam pomóc.

Meredith, oburzona, na chwilę zaniemówiła. Potem zaczerwieniła się ze złości.

- Spodziewacie się, że znajdę i przekonam jakąś Bogu ducha winną kobietę, żeby pomóc wam wygrać ten głupi zakład? Na litość boską, czy straciliście wszelkie poczucie przyzwoitości?

- Zupełnie opacznie nas zrozumiałaś. - Jasper zerwał się z sofy. - Nigdy byśmy nie pomyśleli ani tym bardziej poprosili cię o taką przysługę.

To byłoby niesmaczne.

- Nigdy - potwierdził z naciskiem Jason, stając obok brata.

Meredith przez dłuższą chwilę uważnie im się przyglądała. Gdy uzna

ła, że wyraz zdziwienia, wstrząsu i oburzenia na twarzach braci był szczery, jej złość powoli opadła.

- Więc o co chcecie mnie prosić? - spytała.

Jasper nagle spuścił wzrok. Meredith zerknęła na drugiego brata. Zobaczyła, jak Jason uporczywie usiłuje rozluźnić krawat. W głowie zaświtało jej natarczywe podejrzenie.

- Chodzi wam o mnie - powiedziała z lekkim niedowierzaniem. - Ja mam być tą starą panną.
- Nie przejmuj się tak bardzo - mruknął Jasper. - To świetnie przemyślany plan. Dardington wcale nie będzie cię podejrzewał.
- Wcale - powtórzył z entuzjazmem Jason. - Właściwie on chyba nawet nie wie, że jesteś naszą siostrą. - Jason z radości zatarł ręce. - A najlepsze, że wszyscy w towarzystwie uważają cię za piękną kobietę, więc Dardington nie będzie miał wyjścia. Zapłaci drugą część stawki i odda nam konie.
- Czy tym dla was j estem? Piękną starą panną? - Słowa uwięzły Meredith w gardle. Urwała, niezdolna dalej mówić.
- Na litość boską, Merry, nigdy byśmy cię tak nie nazwali - zapewnił

Jasper z podejrzaną niewinną miną. Czubkiem buta wierceł dziurę w dywanie. - Jednak nie jesteś już w wieku, w którym kobiety zwykle wychodzą za mąż. Nie wygląda też na to, abyś w najbliższym czasie miała wstąpić w związek małżeński.

Dreszcz przeszedł jej po plecach. To prawda, skończyła dwadzieścia sześć lat, była niezamężna, bez żadnych realnych perspektyw na zmianę tego stanu. Ale to był jej wybór.

Z upływem lat przestała już liczyć mężczyzn, których propozycje mał

żeństwa odrzuciła. Ot, choćby w zeszłym roku poprosił ją o rękę hrabia Monford - dobrze sytuowany szlachcic około pięćdziesięciu lat, ze znaczącym tytułem i odpowiednim dochodem.

Gdy odrzucała jego oświadczenia, była bardzo uprzejma i miła. Nie wspomniała o głównych powodach odmowy - braku higieny osobistej i skłonności do konwersacji tak nudnej, że aż ogłupiającej.

Meredith zawsze wiedziała, że jest inna niż kobiety z jej sfery. Z początku ta różnica wprawiała ją w zakłopotanie, jednak z upływem lat nauczyła się akceptować własną niezależność, a nawet być z niej dumna.

Często to powtarzała i święcie wierzyła w swoją rację. Opinia innych nie miała dla niej znaczenia.

Więc dlaczego poczuła się dotknięta, że bracia uważają ją za kobietę bez szans na małżeństwo? Za starą pannę?!

- Pomyśleliśmy, że ten zakład cię rozbawi - powiedział Jason i spojrzał niepewnie na brata.

W oczach Jaspera przemknęła troska.

- Twój udział w wygraniu zakładu to miał być dowcip. Kawał.

Meredith powstrzymała cisnącą się na usta kąśliwą uwagę i spróbowała dostrzec komizm sytuacji. Bezskutecznie. Czuła się jeszcze zbyt urażona.

28

- Skoro już zdecydowaliście, że będę idealną starą panną, przypuszczam, że wybraliście też dla mnie łajdaka, którego miałabym pocałować?

- Nie pozwolilibyśmy naszej siostrze pocałować kogoś, kogo nie akceptujemy. - Jasper okazał wielkie oburzenie.

- Jakże pocieszająca jest świadomość, że mogę liczyć na przykładną czujność braci, gdy chodzi o moją reputację- powiedziała Meredith. -

Ciepłej mi się robi na sercu, gdy wiem, jak wielkim szacunkiem mnie darzycie. Więc kto to ma być?

Z lodowatą miną spoglądała to na jednego, to na drugiego młodzieńca, siedzących po bokach. Patrzyli na nią z głupim wyrazem twarzy,

- Dardington wyznaczył warunki zakładu - wyjaśnił w końcu Jasper. -

Pomyśleliśmy więc, że najlepiej będzie, jeśli to właśnie on zostanie pocałowany,

- Bardzo sprytne - parsknęła nieelegancko Meredith, bynajmniej nie zdziwiona odpowiedzią. - Gratuluję pomysłowości. Jeśli to Dardington zostanie obdarzony pocałunkiem, nie będzie sprzeczki o spełnienie warunków zakładu. Zastanawiałam się, jak zamierzacie udowodnić, że cel został osiągnięty, ale szczerze mówiąc, obawiałam się zapytać. - Z trudem nabrała tchu. - Jednakże zmuszona jestem wskazać pewne słabe punkty waszego wspaniałego planu. Na przykład, co zrobicie, jeśli nie zechcę pocałować Dardingtona?

Nachmurzone miny Jasona i Jaspiera napęliły Meredith przewrotną satysfakcją. Najwyraźniej tej ewentualności nie brali pod uwagę.

- To bardzo przystojny dżentelmen - prychnął Jason i spojrzał zakłopotany na brata.

- Jestem pewien, że ci się spodoba - dodał Jasper.

Meredith przechyliła głowę, jakby głęboko rozważała tę kwestię.

- A jeśli nie?

- Przypuszczam, że mogłabyś wybrać innego mężczyznę - powiedział

powoli Jason. - Ale musi być łajdakiem. Znasz jakiegoś?

- Na Boga, a gdzież taka podstarzała panna bez widoków na zamąż-

pójście jak ja mogłaby poznać dżentelmena o zszarganej reputacji?

Na twarzach Jaspera i Jasona pojawiło się wyraźne zażenowanie, co jednak nie osłodziło Meredith goryczy, którą czuła.

- Nie musisz już nic tłumaczyć, Meny - oświadczył spokojnie Jason. -

Przepraszamy.

- Przynajmniej tyle mi się od was należy - zjeżyła się Meredith, układając fałdy sukni. Próbowała dalej się złościć, ale ich poczucie winy i skrucha wywołały w niej wyrzuty sumienia.

29

To prawda, plan był skandaliczny, ale przez lata, by ratować skórę braci, robiła rzeczy dużo gorsze niż całowanie dżentelmena o wątpliwej reputacji.

- Zamiast wdawać się w tę głupią aferę, może odkupię konie od markiza? Jestem pewna, że sprzeda je za uczciwą cenę - zasugerowała Meredith. - Biedne stworzenia pozostaną moją własnością, tak więc nigdy nie będą już zabezpieczeniem spłaty długów hazardowych. Ale zatrzymam je w Londynie i zostawię do pełnej dyspozycji każdego z was.

Bliźniacy wydawali się zszokowani.

- Te konie są stawką w zakładzie. Nie możesz ich tak po prostu kupić.

- Dlaczego?

- Tego się po prostu nie robi - upierał się Jason.

Meredith ze zdziwienia pokręciła głową i wstała. Jeśli o nią chodziło, dyskusja była skończona. W chwili słabości zaoferowała, że kupi konie, ale bracia odrzucili propozycję w imię przestarzałego kodeksu honorowego hazardzistów, którego nawet nie próbowała zrozumieć.

Podeszła do drzwi i zatrzymała się, by spojrzeć na bliźniaków.

- Życzliwie wam radzę, byście wszystkie wysiłki skierowali teraz ku legalnemu zdobyciu pieniędzy potrzebnych na spłatę długu z tego zakładu. Ponieważ wydaje mi się raczej pewne, że pomimo genialnego planu, który miał wam zapewnić zwycięstwo, jednak przegracie.

Co robisz? - spytała ponętna rudowłosa kobieta, leniwie odwracając głowę na poduszce.

Trevor Morely, markiz Dardington, na dźwięk jej głosu nieco zeszywniał. Jednak bez wahania podciągnął czarne wieczorowe spodnie i spokojnie zaczął je zapinać. Miał cichą nadzieję, że jeśli zignoruje kobietę, ona więcej się nie odezwie.

- Kochanie, wracaj do łóżka - nalegała. - Świtać zacznie dopiero za kilka godzin, a mój okropny mąż nigdy nie wraca przed wschodem słońca.

Trevor podniósł głowę i obrzucił spojrzeniem znawcy wyciągniętą na pościeli nagą kobietę. Lady Melody Ramsey ze zburzonymi rudymi włosami, zarumienioną twarzą i mlecznobiałą skórą prezentowała sobą widok godny podziwu. W towarzystwie krążyła plotka, że zrobi wszystko, **30**

co tylko mężczyzna zechce, czy nawet sobie wyobrazi. Po dzisiejszej nocy Trevor mógł zaświadczyć, że opinia nie była przesadzona.

Mistrzostwo lady Ramsey w łóżku nie ograniczało się tylko do techniki. Była pomysłowa, agresywna i niewiarygodnie rozkoszna. Więc dlaczego wkładał spodnie, zamiast je zdejmować?

- Już późno, Melody - powiedział spokojnie, licząc, że uniknie sceny. - Jestem zmęczony.

Trevor rozejrzał się niespokojnie dookoła w poszukiwaniu reszty ubrania w pokoju oświetlonym tylko poświatą księżyca. Na oparciu krzesła znalazł zawieszoną wzorzystą srebrną kamizelkę i lnianą koszulę, nigdzie jednak nie widział pończoch ani butów.

- Jeśli wyjdiesz tak wcześnie, zranisz moje uczucia - nadąsała się Melody. Jej głos był figlarny, ale też pełen oczekiwania. Jednym zgrabnym ruchem wyskoczyła z łóżka i podeszła do markiza, kołysząc bujnymi piersiami.

Mimo rozdrażnienia Trevor uśmiechnął się szeroko. W łóżku była bardzo wyczerpującą partnerką, między innymi z powodu swojej sprawnego

ści fizycznej, a także niezaspokojonego apetytu seksualnego.

Dla mężczyzny, który przez ostatnie osiem lat próbował zapomnieć o przeszłości i żyć bieżącą chwilą, wydawała się idealną towarzyszką.

Jak większość jego kobiet nie wymagała zbytniego zaangażowania. Żadnych słodkich słówek albo nieśmiałyh zalotów. Nie trzeba było dłuższego uwodzenia czy mocnych uścisków, żeby znalazła się w łóżku.

A jednak po dwóch spędzonych z nią nocach Trevor czuł zniecierpliwienie, prawie znudzenie, co dziwne, wzięwszy pod uwagę pomysłowość Melody.

Musiała wyczuć jego wahanie. Podeszła, przybrała prowokującą pozę i cicho, miękko jęknęła. Trevor zebrał się w sobie.

Melody z wdziękiem wyciągnęła ręce, a jej oczy zabłyśły uwodzicielsko. Czubkami palców dotknęła jego nagiego torsu i powoli przesunęła nimi w dół, aż do paska spodni.

Trevor gwałtownie wciągnął powietrze, gdy zręczne palce pogłaskały go przez materiał. Melody z wprawą odpięła najpierw jeden guzik, potem drugi i trzeci. Trevor skrzywił się, zastanawiając, jak wybrnąć z sytuacji, aby śmiertelnie nie obrazić kochanki.

Piękny markiz wahał się jednak zbyt długo. Bez ubrania był łatwym celem, co Melody skwapliwie wykorzystała. Obiema rękami zachłannie sięgnęła do rozpiętych spodni. Powoli głaskała Trevora, z nieomylną dokładnością odnajdując jego najwrażliwsze miejsca.

- Wygląda na to, że nie jesteś tak bardzo zmęczony - oznajmiła zachwycona Melody. Objęła dłońmi jego jądra, lekko ściskając, Trevor zamknął oczy. Przez chwilę rozważał myśl, by odsunąć się od tej nienasyconej kobiety. Ona jednak opadła przed nim na kolana.

Wystarczyło jedno pociągnięcie jej ust, by porzucił wszelkie myśli o odejściu. Gorącym oddechem owiała jego penis. Markiz aż jęknął

z wrażenia. Objął mocno głowę kochanki i przytrzymał ją we właściwym miejscu.

Z wysiłkiem wziął głęboki oddech. Poddał się namiętności. Myślał, że jeśli doprowadzi Melody do jęków rozkoszy, będzie z nią spółkować długo i bez wytchnienia, ona wreszcie głęboko zaśnie. Wtedy on odejdzie bez przeszkód.

- Spóźniłeś się.

Trevor odpowiedział spokojnie, zmuszając się do uprzejmego tonu, choć wcale nie miał na to ochoty:

- Rzeczywiście, spóźniłem się. Chcesz, żebym sobie poszedł?

Stanął niedbale i czekał. Książę Warwick, ojciec Trevora, obrzucił syna chłodnym spojrzeniem.

- Usiądź - rozkazał po krótkim wahaniu. - Upłynęły trzy dni, zanim odpowiedziałeś na moje wezwanie. Jeśli teraz wyjdiesz, Bóg wie, kiedy uznasz za stosowne wrócić.

Trevor zdecydował, że najlepiej nie prowokować dalej księcia. Posłuchał polecenia. Zdziwiło go jednak, że odpowiedź ojca była dosyć łagodna. W przeszłości próba sił między księciem i jego dziedzicem nie rozstrzygnęłaby się tak łatwo.

Trevor spoczął na pozłacanym, wyściełanym krześle przy płonącym ogniu, ale zachował czujność. Rzadko widywał ojca. Z każdym kolejnym razem książę wydawał się coraz bardziej zirytowany i rozdrażniony.

- Mamy wyjątkowo piękną pogodę dzisiejszego popołudnia - odezwał

się Trevor swobodnym tonem. - Gdy jechałem przez Hyde Park, zauwa

żyłem wiele zielonych pączków na drzewach. Może w tym roku wiosna przyjdzie wcześniej.

- Nie zaprosiłem cię, by rozmawiać o przeklętej pogodzie!

Książę rzucił synowi piorunujące spojrzenie, które zmroziłoby każdego innego mężczyznę, Trevor jednak odwzajemnił się tym samym.

- Próbowałem tylko nawiązać uprzejmą rozmową - powiedział spokojnie Trevor. - Rzadko ze sobą dyskutujemy. Pomyślałem, jak ciekawie byłoby dla odmiany zacząć od kulturalnej wymiany zdań.

Książę odchrząknął.

- I ty masz czelność mówić o grzeczności i uprzejmej konwersacji.

Banda wyrzutków i nieponiów, z którymi spędzasz czas na hulankach, nie wiedziałyby, co to kulturalna rozmowa, nawet gdyby do nich podeszła i ich ugryzła w tyłek.

- I właśnie w tym tkwi urok moich kompanów - odparł Trevor.

Oparł się wygodnie na krzesło i skrzyżował stopy. Postanowił, że nie da się dzisiaj wyprowadzić z równowagi, niezależnie od tego kalibru prowokacji.

- Jadłeś już?

Zaskoczony nieoczekiwanym pytaniem Trevor aż zamrugał. Zanim zdążył się odezwać, burczenie w jego brzuchu dało odpowiedź. Książę pokiwał głową ze zrozumieniem.

Zamiast zadzwonić na służbę, podszedł i otworzył drzwi. Stojący za nimi lokaj wyprostował się.

- Przekaż kucharzowi, że markiz jest głodny. W ciągu godziny przynieś tutaj posiłek. Wystarczy zestaw zimnych i gorących dań. Proszę jednak dopilnować, by na deser podano ciasto cytrynowe. Jego lordowska mość je uwielbia. - Książę zerknął na Trevora. - I powiedz Harperowi, by dostarczył drugą butelkę wina.

Służący uklonił się nisko i pospieszył wykonać polecenie.

- Dziękuję, sir - powiedział ostrożnie Trevor. Przypuszczał, że ojciec ma jakieś ukryte powody, by okazywać taką łaskawość i zatroskanie, ale to podejrzenie niespodziewanie wzbudziło w nim poczucie winy. - No właśnie, jestem bardzo głodny.

- Wątpię, czy pamiętasz, kiedy ostatni raz jadłeś przyzwoity posi

łek - wymamrotał książę, przeszedł przez pokój i stanął przy krześle syna. - Nie rozumiem, dlaczego się upierasz, by mieszkać w obskurnych pokojach przy ulicy Saint James, skoro masz tutaj porządny, wygodny dom.

- Moja kwatery bynajmniej nie jest obskurna - odparł Trevor. - Zwłaszcza jeśli się weźmie pod uwagę wysokość płaconego czynszu. A co najważniejsze, wielkość i położenie lokum doskonale odpowiada moim potrzebom. Niczego mi nie brakuje.

- Nadal uważam, że to dziwne, by wybrać tamto mieszkanie zamiast salonów - oświadczył książę,

ogarniając pokój gestem ręki. - Gdybyś 3 • Zakład o mitość

mieszkał w przyzwoitym domu, mógłbyś lepiej zadbać o siebie. Jesteś stanowczo zbyt chudy.

Trevora zirytował fakt, że ojciec ma rację. Ostatniej zimy porządnie stracił na wadze z powodu ciężkiego przeziębienia i dotąd jeszcze nie doszedł do siebie. Postanowił jednak obrócić to w żart.

- Mężczyzna hołdujący modzie nie powinien mieć wystającego brzucha. Kamizelki będą się fatalnie układać na figurze - powiedział beztrąsko.

- Brzuch regenta wystaje dosyć wyraźnie, co nie przeszkadza księciu uważać się za prawdziwą wyrocznieść w dziedzinie mody - odparował książę.

Trevor dyskretnie się uśmiechnął.

- To prawda. Chociaż wydaje mi się, że kamizelki regenta dopinają się tylko wtedy, gdy ma na sobie gorset.

- Pozostaje głupcem, niezależnie od tego, w co się ubiera - wymamrotał książę.

Usiadł na krześle naprzeciw syna i spojrzał groźnie. Trevor nie był pewien, czy rozdrażnienie ojca wynikało z braku sympatii do regenta czy dezaprobaty wobec syna, ale z filozoficznym spokojem uświadomił sobie, że najprawdopodobniej z obu tych przyczyn.

W pokoju zapadło milczenie. Trevor cierpliwie patrzył na ojca. Wiedział, że książę wyjawii prawdziwy powód zawezwania do siebie syna dopiero w odpowiednim momencie.

Mimo swego wieku, książę nadal prezentował się imponująco i dostojnie. Górował nad innymi wzrostem, a ostrym, rozkazującym tonem niejednego członka służby doprowadził do drżenia i łez.

Trevor bał się ojca, gdy był chłopcem. Jako nastolatek odnosił się do niego z lękiem, a gdy wszedł w dorosłość, zaczął go szanować i ogromnie podziwiać. Niestety to, jak i wszystko inne w jego życiu dramatycznie zmieniło się wraz ze śmiercią Lavinii.

- Nie zadam sobie trudu, by zapytać, co cię tak długo powstrzymywa

ło przed odwiedzeniem mnie - zaczął książę. - Jestem w pełni świadomy, że trwonisz czas i pieniądze na wszelkiego rodzaju wyuzdane rozrywki. Wzdragam się nawet pomyśleć, jak daleko sięga twoja rozwiązłość.

Pijaństwo, hazard, kobiety. - Książę potrząsnął głową. - Przy tylu przywilejach, które dał ci los, pozycji i bogactwie, ty wybrałeś niemoralne życie nicponia, bez celu i zahamowań. Wychowałem cię na szlachcica i dżentelmena, członka Izby Lordów i oto, jak mi się odpłacasz.

Spojrzał przebiegle na syna. Trevor wytrzymał ostry jak brzytwa wzrok i przezornie utrzymał język za zębami.

- Po swoim jedynym dziecku więcej się spodziewałem. A mój syn ucieka przed światem - zakończył księżę. - I przede mną.

Trevor zacisnął pięści, ale zmusił się, by zachować spokój. Podobna dyskusja toczyła się między nimi już wielokrotnie i rezultat zawsze był ten sam.

Trevor nadal żył tak, jak chciał, a jego ojciec zdecydowanie to potępiał.

- Oskarżasz mnie o rozwiązłość, a przecież z pewnością nie mógłbym się nurzać w rozpuście, gdybym uciekał przed światem. - Trevor powoli rozluźnił pięści. - Niech się pan zdecyduje, sir.

Odpowiedź markiza była bardzo trafna, jednak ojciec nie zdążył okazać gniewu, który w nim wyraźnie wezbrał, gdyż rozległo się pukanie do drzwi.

- Wejść! - zawołał księżę.

Pojawił się główny lokaj na czele procesji ze srebrnymi tacami. Starannie uklonił się swemu chlebodawcy, potem uprzejmie skinął głową Trevorowi na powitanie.

- Wasza Wysokość życzy sobie jeść przy kominku, czy też woli południowe okno z widokiem na ogród?

- Przy kominku.

Pierwszy lokaj odstawił ciężką srebrną tacę i podszedł bliżej. Pod czujnym okiem przełożonego sprawnie przesunął bliżej kominka okrągły drewniany stolik i ustawił go między Trevorem i księciem.

Potem wystąpił kolejny służący, uginając się pod ciężarem tacy pełnej porcelanowych talerzy, lnianych serwetek, srebrnych sztućców i kryszta

łowych kieliszków.

Stół został szybko nakryty do obiadu z pięciu dań. Znalazł się na nim nawet mały kryształowy wazonik ze świeżymi kwiatami jako dekoracja.

Trevor patrzył z lekkim zdziwieniem na służących zręcznie uwijających się dookoła. Wiedział, że służba ojca jest świetnie wyszkolona, a Harper, główny lokaj, jest wymagającym, choć sprawiedliwym przełożonym.

Jednak prezentowana sprawność nie wynikała tylko z odpowiedniego treningu, ale także z doświadczenia. Najwidoczniej służba działała według znanego schematu.

Dlaczego jednak przywykli podawać posiłki w salonie, skoro w domu była reprezentacyjna jadalnia,

dwa mniejsze pokoje obiadowe i pokój śniadaniowy? Czy ojciec tak często jadał sam, że zaczął unikać wielkiej, zimnej i oficjalnej jadalni? Czy i te mniejsze salony obiadowe były na tyle niegościnne, że zniechęcały do samotnych posiłków?

Czy to możliwe, że czuł się samotny? Ta myśl wzbudziła w sumieniu Trevora pewien niepokój.

35

Aby uwolnić się od nieprzyjemnych rozważań, markiz skierował uwagę na służących, którzy wnosili rozmaite potrawy.

Zupa ze świeżych warzyw, kurczę z tymiankiem duszone w winie, grube plastry wędzonej szynki, gotowana sola, puree ziemniaczane, groszek, babeczki z marcepanem, truskawki i zaordynowane ciasto cytrynowe, wszystko po kolei zostało zaserwowane z odpowiednim ceremoniałem.

Trevor rzucił się na jedzenie. Posiłek był gorący, doskonale przyprawiony i pyszny. Markiz nigdy by się ojcu do tego nie przyznał, ale uświadomił sobie, że od dawna nie miał w ustach tak dobregojadła. Rozkoszował się każdym kęsem.

Zwykle gdy spotykał się z kompanami na kolacji, wszyscy bardziej się interesowali ilością brandy, wina i możliwością igraszek po posiłku z usługującymi dziewczkami niż jakością i obfitością jedzenia.

Gdy markiz poczuł, że nie jest już w stanie przełknąć ani kęsa więcej, odłożył widelec na talerz, oparł się na krześle i westchnął z zadowoleniem. Księżę najwyraźniej już skończył. Jego nakrycie zostało dawno uprzątnięte. Przed nim stał tylko na wpół opróżniony kieliszek wina.

Służący zebrali talerze Trevora i na polecenie księcia postawili na stole drugą butelkę wina i kieliszki. Trevor popatrzył w twarz ojca. Jego obawy, takjak i głód, zmały. Niewątpliwie w jakiejś mierze dzięki butelce doskonałego wina, którą razem wypili.

- Chcę, żebyś jutro wieczorem przyszedł na bal lady Dermond -

oświadczył nagle księżę. - Pragnę, żebyś kogoś poznał.

Trevor zamrugał. Bezwiednie przechylił trzymany w ręce kieliszek.

Zorientował się jednak w porę, zanim czerwony płyn splamił lniany obrus.

- Mam inne plany na jutrzejszy wieczór.

- To je zmien.

- Nie mogę tego zrobić tak w ostatniej chwili.

- Gdybyś od razu odpowiedział na moje wezwanie, jak prosiłem, miałbyś dość czasu, by znaleźć wytłumaczenie - nachmurzył się księżę. - Już kilkorgu ludzi, włącznie z gospodynią i damą, którą masz poznać, obiecałem, że będziesz obecny. Chcę, żebyś był na tym balu,

- Swaty, sir? - Trevor kpiąco uniósł brew. - Myślałem, że tylko zdesperowane niezamężne ciotki i matki snujące intrygi trudnią się tak niesmacznym zajęciem.

- Przestań kręcić nosem, chłopcze - parsknął ksiązę z oburzenia. - Inna była twoja śpiewka, gdy skojarzyłem cię z pierwszą żoną.



Pierwsza żona! Markiz nie spodziewał się, że krótka wzmianka o Lavinii na nowo obudzi w jego sercu rozdzierający ból, który tak rozpaczliwie próbował opanować.

Ogarnęły go dręczące wspomnienia. Jej słodki uśmiech, radosny śmiech, czuły uścisk, blade, zimne, sztywne, martwe ciało. Niekończące się pytania i wyrzuty, które prześladowały go latami, znów stały się dotkliwe i żywe.

Odetchnął głęboko. Przez lata Trevor skrzętnie ukrywał przed swoim stoickim ojcem cierpienie, smutek i dręczące poczucie winy, które czuł.

każdego dnia.

- Nie interesuje mnie ożenek- oświadczył stanowczo. - Poza tym, znasz moje zdanie o niezamężnych młodych kobietach. Nie mam zamiaru tracić wieczoru na zawieranie znajomości z tegorocznym stadem złośnic, idiotek i nudnych pannaic.

- Wybrałem dla ciebie starszą, bardziej dojrzałą kobietę - odparł ksią
żę. - Ona nie jest głupia.

- Aaa, to znaczy, że pewnie sztywna i chłodna. - Trevor wzdrygnął
się. - Powtarzam, to mnie zupełnie nie interesuje.

Wstał, ignorując niezadowoloną minę ojca.

- Dziękuję za gościnę dzisiejszego popołudnia. Teraz musi mi pan jednak wybaczyć, sir. Już jestem spóźniony na następne spotkanie. Proszę przekazać wyrazy uznania kucharzowi. Obiad smakował wyśmienicie.

Markiz uklonił się sztywno i obrócił na pięcie. Wychodząc z salonu, wmawiał sobie, że wyraz bólu i rozczarowania na twarzy ojca był tylko próbą manipulacji, która się nie uda.

Idąc wzdłuż długiej galerii obrazów, Trevor powtarzał w duchu te słowa, a liczni przodkowie z dezaprobatą patrzyli na niego ze złoconych ram.

Coraz szybciej schodził po schodach. Dochodząc do ogromnego holu wejściowego, markiz jeszcze raz powiedział sobie, że zmartwienie ojca było udawane. To tylko sztuczka, która miała zagrać na synowskim poczuciu winy.

Dopiero gdy wypadł na ulicę w gasnące światło dnia i wciągnął w płuca chłodne, rześkie powietrze, zaakceptował prawdę.

Mimo niezgody, napięć i licznych niedoskonałości, stosunki z ojcem były dla niego ogromnie ważne. Z niechęcią przyznawał, że liczy się ze zdaniem ojca. To dziwne, ale bardzo się liczył.

Lady Meredith Barrington siedziała sama w gotowalni i z powątpiewaniem patrzyła na swoje odbicie w lustrze. Poprawiła brylantowe kolczyki i uniosła głowę, by podziwiać naszyjnik. Klejnoty, które pożyczyła na dzisiejszy szalony wieczór, należały do jej matki. Meredith miała nadzieję, że dodadzą jej strojowi elegancji. Poniewczasie zrozumiała, że będzie potrzebowała sporej dawki odwagi.

Nowa, ciemnoniebieska suknia miała dekolot dużo śmielszy niż inne noszone przez nią do tej pory. Była zebrana w fałdy poniżej stanika i spływała z wdzięczną prostotą, podkreślając figurę. Mimo zmieniającej się mody, Meredith uparła się, by pozostawić spódnicę bez ozdób.

Zawsze jej się podobały proste suknie, pozbawione przybrania z koronki, kokard, haftów i koralików. Potrzebowała jednak wielu lat, by przekonać modystki, że nie rezygnuje z ozdóbek z oszczędności.

A jednak tego wieczoru Meredith prawie żałowała, że rzędy koronki albo liczne kokardy nie przyciągają uwagi do jej spódnicy, ponieważ prosty krój sukni sprawiał, że wydawała się wyższa, a jej kobiece kształty bardziej zaokrąglone. Z westchnieniem wstała i obróciła się w różne strony. Krytycznie obserwowała, jak przy każdym ruchu układa się tkanina sukni.

Materiał był dosyć przejrzysty. A jeśli się patrzyło w świetle świec pod odpowiednim kątem, dał się zauważyć wyraźny zarys ciała. Merry za

śmiała się nerwowo. To stanowczo nie był strój noszony przez stare panny. Wiedząc, że zwlekała już wystarczająco długo, Meredith przygotowa

ła się do wyjścia. Zaczęła właśnie wciągać długie rękawiczki, gdy drzwi gotowalni nagle się otworzyły. Odwróciła się zaskoczona, że ktoś wszedł.

- Och, przepraszam. Czy przestraszyłyśmy panią, lady Meredith?

- Wcale nie - odparła zdyszana Merry.

Uprzejmie skinęła głową pani Fritzwater i jej córce. Alice? Allyson?

Meredith spotkała młodą damę tylko raz i nie mogła sobie przypomnieć jej imienia.

- Mojej Alice przy wysiadaniu z powozu zdarzył się drobny wypadek. - Pani Fritzwater pokazała długą koronkę z kilkoma kokardami. -

Miałam nadzieję, że jest tu któraś z pokojówek lady Dermond i pomoże to naprawić.

Meredith spojrzała na spódnicę Alice. Rąbek sukni ozdabiała kilka rzędów koronki z kokardami i rozetkami. Meredith przyglądała się uważnie, ale nie potrafiła powiedzieć, skąd pochodził oderwany fragment.

- Nawet nie widać, że czegoś brakuje.

38

- Naprawdę? - Pani Fritzwater pochyliła się, by obejrzeć spódnice. -

Ma pani rację. Wygląda na to, że materiał nie został rozerwany. Jednak czułabym się o wiele lepiej, gdyby należycie naprawiono suknię.

Pani Fritzwater pochyliła się do Meredith i wyszeptała:

- Nie chcę, żeby coś popsuło dzisiejszy wieczór. To pierwszy bal Alice.

Meredith spojrzała współczująco na Alice. Dziewczyna miała szeroko otwarte, okrągłe oczy i bardzo bladą cerę. Najwyraźniej nerwowe zaaferowanie matki nie pomogło jej w pokonaniu własnych lęków.

- Zaraz przyślę pokojówkę, żeby paniom pomogła - powiedziała Meredith.

- Jakie to miłe z pani strony - odparła pani Fritzwater z wyraźną ulgą.

- Alice, jestem przekonana, że będziesz się dobrze bawić na swoim pierwszym balu- powiedziała Meredith, otwierając drzwi. - Ślicznie wyglądasz.

Alice zarumieniła się i skromnie spuściła wzrok. Meredith, wychodząc, dostrzegła jeszcze, jak pani Fritzwater odgarnia luźny kosmyk z policzka córki i po chwili namysłu podciąga wyżej wycięty stanik jej sukni.

Przez chwilę Meredith czuła dotkliwą tęsknotę za matką. Chociaż niezbyt dobrze się rozumiały, hrabina Stafford zawsze wspierała córkę i lojalnie jej broniła.

Meredith nie była pewna, co rodzice pomyśleliby o jej obecnym zachowaniu. Po cichu wątpiła, czy pozwoliliby jej zrobić to, co zamierzała.

Ale wiedziała też, że o ich dezaprobachie nigdy nie usłyszałby ktoś spoza najbliższej rodziny.

Meredith dość szybko udało się znaleźć lokaja, któremu opowiedziała o kłopotcie Alice. Ukłonił się i zapewnił, że natychmiast wyśle do gotowalni służącą z przyborami do szycia.

Załatwiwszy tę sprawę, Meredith skupiła uwagę na gościach w wielkiej sali balowej na drugim piętrze. Dobiegały stamtąd głośnie dźwięki skrzypiec, odgłosy przyciszonych rozmów i perlisty śmiech. Nie wybiła jeszcze dziesiąta, a już było dosyć tłoczno, co nie zdarzało się często, gdyż zwykle bale zaczynały się o późniejszej godzinie.

U stóp schodów Meredith zawahała się. W głębi serca czuła, że nie powinno jej tu być. Ale przecież obiecała braciom, że rzetelnie się postara pomóc im wygrać idiotyczny zakład.

Zgodziła się pod wpływem nagłego impulsu, ale skoro raz dała słowo, musiała go dotrzymać. Teraz największą przeszkodą do pokonania był jej własny zdrowy rozsądek. Obawiała się, że zrezygnuje, jeszcze zanim dotrze 39

do wejścia. Zaczęła wspinać się po długich schodach, zupełnie ignorując wewnętrzny głos, który nalegał, by odwróciła się na pięcie i uciekła.

Ciche prośby, smutne spojrzenia, głośnie, pełne rozczarowania westchnienia Jaspera i Jasona po czterech dniach doprowadziły ją do szaleństwa. A mówi się, że to kobiety mają skłonność do dramatyzowania!

Długo i mężnie się opierała, powtarzając sobie raz po raz, że nawet nie będzie rozważać tak niedorzecznego pomysłu. Poza tym, jak codziennie tłumaczyła swoim braciom przy popołudniowej herbacie i wieczorem przy kolacji, nie może pocałować markiza, skoro nie ma okazji się z nim spotkać.

Najwyraźniej nie uczestniczył w zbyt wielu imprezach towarzyskich.

Regularnie widywano go jedynie w Hyde Parku. Jednakże przypadkowe spotkanie w miejscu, gdzie wyższe sfery spędzały czas na przejażdżkach konno i w odkrytych powozach raczej nie stwarzało okazji do namiętnego pocałunku z markizem.

Przez dwa dni bliźniacy intrygowali i głowili się, jak usunąć tę przeszkodę. Czas określony w zakładzie uciekał, Meredith już zaczynała sobie gratulować, że tak sprytnie odwróciła uwagę braci. Niestety jej zadowolenie okazało się przedwczesne.

Poprzedniego dnia późnym wieczorem obudzili ją z głębokiego snu, by z radością zakomunikować, że markiz na pewno będzie obecny na najbliższym balu. Nadarzy się więc doskonała okazja, by wygrała dla nich zakład.

I tak oto znalazła się tutaj, gotowa wkroczyć do sali balowej lady Dermond, odszukać markiza Dardingtona, wywabić go w odosobnione miejsce i tam bardzo namiętnie pocałować. To było szaleństwo, czyste szaleństwo!

- Dobry wieczór, lady Meredith.

Ten piskliwy, kobiecy głos mógł należeć tylko do jednej osoby. Meredith z chłodnym uśmiechem odwróciła się do księżnej Lancaster, jednej z najbardziej irytujących, głupich i małostkowych kobiet w całym eleganckim towarzystwie.

- Księżno. Lordzie Byrd. - Meredith ukloniła się lekko księżnej i jej towarzyszowi. - Jak miło widzieć państwa oboje.

- Co za niespodzianka. - Księżna zrobiła wyniosłą minę. - Nie wiedziałam, że postanowiła pani spędzić sezon w mieście.

- Przyjechałam niedawno - skłamała gładko Meredith.

Poczuła kłujące, taksujące spojrzenie księżnej. Błysk zazdrości w jej oczach był krótki, ale wyraźny.

Meredith omal nie westchnęła. Miała nadzieję, że z czasem księżna zapomni, że Meredith kiedyś odrzuciła propozycję małżeństwa ze strony księcia, a także lorda Hawke'a, dawnego kochanka księżnej. Najwyraźniej tak się nie stało.

- Wygląda na to, że dzisiejszego wieczoru jest pani sama - zauważyła z przekąsem księżna. - Czyżby przybyła pani jako przyzwoitka jednej z dziewcząt? A może spełnia rolę damy do towarzystwa jakiejś podstarzałej wdowy?

- Jaka pani dowcipna, księżno. - Meredith uśmiechnęła się kącikiem ust. - Nie jestem przyzwoitka ani damą do towarzystwa. Przybyłam z dwoma mężczyznami, którzy właśnie czekają na mnie w sali balowej.

- Doprawdy?

- Tak.

- Więc może panią do nich odprowadzimy - zaproponowała księżna.

- Nazbyt pani uprzejma - powiedziała Meredith. Zwróciła się do lorda Byrda z wystudiowanym uśmiechem. - Przedtem muszę jednak dopilnować pewnej drobnej sprawy. To nie powinno zabrać więcej niż dziesięć minut. Poczekają tu państwo na mnie?

- Oczywiście - odpowiedział lord Byrd. Ukłonił się nisko, żeby lepiej zajrzeć w dekolt młodej damy i mrugnął szelmowsko.

Meredith jakoś udało się utrzymać półuśmiech na ustach. Jej zdaniem lord Byrd był najgorszym typem mężczyzny. Ożenił się z dziedziczką, by zdobyć jej fortunę, a teraz ukrywał swoją potulną, słabowitą żonę w majątku na prowincji.

Mówiono, że odwiedzał ją tylko po to, by spłodzić kolejne dziecko, aby biedaczka była zmuszona pozostać na wsi. Resztę czasu lord Byrd spędzał w Londynie, zaspokajając wszystkie swoje egoistyczne zachcianki.

- Powiedziała pani dziesięć minut, lady Meredith? - spytała księżna, szybko uderzając wachlarzem o rękę,

- Przynajmniej - odparła Meredith.

- To może jednak będzie lepiej, jeśli pójdziemy bez pani - zdecydowała księżna.

Meredith z gracją przytaknęła. Z zadowoleniem obserwowała nachmurzoną minę księżnej.

Para ukłoniła się i odeszła. Meredith wiedziała jednak, że jej los został

przyściętowany. Teraz już musiała wejść do sali balowej, bo inaczej księżna byłaby przekonana, że zdołała ją w jakiś sposób odstraszyć.

41

Meredith zdecydowała pojawić się wśród gości możliwie najdyskretniej. Odczekała całe piętnaście minut, zanim szybko wspięła się po schodach na drugie piętro.

Udało się jej zgrabnie wyminąć pretensjonalnie ubranego majordomu-sa, który głośno ogłaszał przybycie każdego gościa. Potem wśliznęła się w tłum, niezauważona prawie przez nikogo.

Bracia towarzyszyli jej w drodze na przyjęcie, ale wiedziała, że nie zastanie ich na zabawianiu pań w sali balowej. Zapewne ukryli się w pokoju do gry w karty. Meredith postanowiła, że przy pierwszej okazji odnajdzie ich i zażąda, by zatańczyli z Alice Fritzwater. Przynajmniej tyle powinni zrobić.

Ten jeden raz Meredith nie miała nic przeciwko skłonności braci do hazardu. I tak tego wieczoru była wystarczająco zdenerwowana. Gdyby jeszcze bliźniacy śledzili każdy jej ruch, mogłaby się czuć jeszcze bardziej niepewnie.

Zaczęła wolno krążyć po sali tak, by jak najlepiej widzieć większość gości. Gdy zauważyła markiza po przeciwnej stronie, po plecach przebiegł jej dziwny dreszcz.

Trevor zawsze nosił się z sobą tylko właściwym stylem. Choć ubrany był, podobnie jak pozostali dżentelmeni, w czarny wieczorowy surdut, haftowaną jedwabną kamizelkę i czarne spodnie do kolan, przyćmiewał

innych niedbałą elegancją.

Rozmawiał z lady Ann Towers, długonogą brunetką, która podobno w zeszłym roku była jego kochanką. A może rok wcześniej? Meredith nie mogła sobie przypomnieć. Nazwisko Dardingtona łączono z tyloma kobietami, że wszystkie zaczynały jej się mieszać.

Zdawało się, że prawie każdą zameżną lub owdowiałą damę z towarzystwa poniżej czterdziestki prędzej czy później uznawano za jego kochankę.

Meredith skrzywiła się sceptycznie. Jeśli chociaż połowa tych plotek nie mijiała się z prawdą, markiz niewątpliwie był najbardziej wyczerpanym mężczyzną w całej Anglii.

A nie wydawał się zmęczony. Był w pełni sił, starannie ubrany. Wyglądał na starszego niż ostatnim razem, gdy go widziała, ale należało się tego spodziewać.

Obserwowała go z oddalenia. Zauważyła, że markiz niecierpliwie rozgląda się po sali. Biedna lady Ann. Mimo ślicznej twarzy i zgrabnej figury, widocznie nie starczało jej inteligencji, by zabawić Trevora przez dłuższy czas.

Trzeba przyznać, że lady Ann dość szybko doszła do tego samego wniosku. Zadzierając arystokratyczny podbródek, odwróciła się na pięcie i odeszła z godnością. Prawie tego nie zauważył.

Z chwilą gdy został sam, Meredith ruszyła do przodu.

Trevor celowo ustawił się z lewej strony sali balowej, aby dobrze widzieć schody. Starał się, by nie było to zbyt widoczne, że ilekroć zapowiadano kolejnego gościa, jego wzrok nieodmiennie zwracał się w stronę wyjścia.

Markiz przybył wyjątkowo wcześnie. Miał nadzieję, że ojciec uczyni tak samo. Tego ranka wysłał do niego wiadomość, że jednak przyjdzie na bal lady Dermond. Nie otrzymał odpowiedzi, ale też żadnej się nie spodziewał.

Nadal nie potrafił powiedzieć, czy przywiódł go tu nagły impuls, czy poczucie winy. Chociaż nie umiał wyjaśnić przyczyn swojego postępowania, zdecydował, że zostanie na cały wieczór.

- ...i wtedy powiedziałem temu jegomościowi, że jest cały mokry -

zakomunikował głośno hrabia Kendale.

Rozległy się chichoty dam i wybuchy śmiechu dżentelmenów, stojących w kręgu słuchaczy. Trevor odwrócił głowę od par wirujących w tańcu. Starał się udawać zainteresowanie dyskusją.

Gdy wszedł do sali, dostrzegł wiele zdziwionych spojrzeń rzuconych w jego kierunku. Zignorował je i celowo dołączył do małej grupy mężczyzn i kobiet, których łączyło tylko jedno - skłonność do plotkowania.

Trevor domyślał się, że jego nieoczekiwane przybycie natychmiast stanie się tematem szeptów i spekulacji. Nie pomylił się. Jednak dołączając do kręgu ludzi, którzy karmili się plotką, zdołał odwrócić od siebie część uwagi.

Wszyscy w tym gronie byli prostacy, nieciekawi i mieli wygórowane poczucie własnej wartości, ale nikt z nich nie miał odwagi powtórzyć żadnych niesmacznych domysłów na jego temat, dopóki stał pośród nich.

- Hrabia jest czasami okropnie nudny - zauważyła kobieta stojąca u boku TrevoTa, pochylając się do niego. - Ale zdarza mu się opowiedzieć niezwykle zabawne historie.

Wyszczebiotała to kokieteryjnym szeptem, który dziwnie zirytował

Trevora. Był przyzwyczajony, że kobiety zabiegały o jego względy, jednak ta młoda dama zaskoczyła go zuchwalstwem. Jej mąż stał przecież naprzeciwko nich.

Przez krótką chwilę zastanawiał się, czy nie odejść, ale uświadomił

sobie, że zaraz będzie musiał się przyłączyć do innej, równie denerwującej grupy osób.

Westchnął i pożałował, że nie ma w ręce dużej szklanki whisky. Świadomość tego, jak bardzo potrzebuje się napić, była upokarzająca i nieprzyjemna. Przy obiedzie ograniczył się do pół butelki wina, a od przybycia tutaj wychylił zaledwie jedną szklankę whisky. Najwyraźniej ta ilość alkoholu była niewystarczająca, by przetrzymał cały wieczór.

Z tłumu wyłoniła się starsza para i podeszła do markiza,

- Dardington? To pan?! - zawołał ze zdziwieniem mężczyzna.

Trevor uśmiechnął się lekko na powitanie. Poznawał ich twarze, ale za nic nie mógł sobie przypomnieć, jak się nazywali. Jednak ich obecność świetnie mu się przysłużyła. Flirtująca męzatka u jego boku zakłęła pod nosem i szybko odeszła.

- Dobry wieczór - powiedział serdecznie, kłaniając się uprzejmie swoim wybawcom.

Gawędzili przez chwilę, po czym starsi państwo poszli się przywitać z kolejnymi przyjaciółmi. Gdy odchodzili, Trevor zarumienił się lekko z zażenowania, ponieważ nadal nie mógł przypomnieć sobie, z kim wła

ściwie miał przyjemność rozmawiać.

Był zadowolony, że wreszcie został sam. Zniecierpliwiony obserwował krygujące się młode damy, zawadiackich mężczyzn i kręcące się w tłumie matki snujące intrygi. Po raz kolejny doszedł do wniosku, że potrzebuje dużej szklanki mocnego alkoholu, który przytępi mu zmysły.

Niestety musiał z tym poczekać do końca balu. Postanowił, że dzisiejszego wieczoru zachowa się bez zarzutu. Zignoruje uśmiezek zadowolenia, który na pewno pojawi się na twarzy ojca. Będzie czarująco uprzejmy wobec damy, wybranej dla niego przez księcia. Poprosi ją raz i tylko raz do tańca, a gdy dopełni już wszystkich wyczerpujących obowiązków, natychmiast sobie pójdzie.

W ten sposób spełni synowską powinność i może uniknie krytyki ojca na kilka tygodni. A może nawet miesięcy.

Tylko gdzie, do diabła, był jego ojciec? Trevor nie mógł odegrać roli posłusznego syna, jeśli ojciec się nie zjawiał w towarzystwie kobiety, z którą zamierzał go ożenić.

Zniechęcony znów spojrział w kierunku schodów. Zauważył wysoką kobietę o pięknej figurze, ubraną w niebieską suknię. Młoda dama zwinnie przemknęła za majordomusem, unikając głośnego anonsu. Zaintrygował go powód, dla którego szukała anonimowości, a jej zapierająca dech uroda sprawiła, że wodził za nią oczami, gdy próbowała wtopić się w tłum.

Jasna, świetlista cera dziewczyny lśniła w blasku świec. Prosta, niczym nieozdobiona suknia podkreślała pełne piersi i piękną szyję. Dama była wyższa niż większość kobiet i wielu mężczyzn obecnych na balu, więc bez trudu mógł ją odszukać w tłumie, mimo że trzymała się na obrzeżach sali.

Wydawała mu się dziwnie znajoma, ale z dość znacznej odległości nie był pewien, czy ją zna. Wyglądała jak wcielenie wszystkich jego młodzieńczych marzeń, zwiewna piękność, uosobienie wdzięku, elegancji i czystej zmysłowości.

- Słyszałam plotki, że przyszedłeś, ale żeby w to uwierzyć, musiałam się przekonać na własne oczy.

Trevor odwrócił się do stojącej przy nim lady Ann Towers, swojej dawnej kochanki, Ciemnowłosa i ciemnooka Ann była ładną i inteligentną wdową, cieszącą się swoją niezależnością. Ich romans był krótki i burzliwy. Należała do niewielu kobiet, które Trevor wspominał z sentymentem.

Jednak nie w tej chwili. Oczy i myśli pochłaniała mu jasnowłosa piękność. Na szczęście bystra lady Ann szybko się zorientowała, że Trevor jest zajęty inną, bardziej absorbującą sprawą. Wymieniwszy uprzejmo

ści, nie próbowała już więcej zaprzętać jego uwagi. Odchodząc, tylko lekko się uśmiechnęła na zdawkowe słowa, którymi pożegnał ją markiz.

Trevor niespokojnie szukał w tłumie pięknej blondynki. Nie mógł jej znaleźć. Wydawało się, że zniknęła. Ku swemu zdumieniu poczuł żal.

Odwrócił się, żeby wziąć kieliszek szampana z tacy przechodzącego obok służącego i wtedy cudownie, niespodziewanie zjawiała się przed nim.

Zabrakło mu tchu. Dziwne, bo ostatnio był obojętny na wdzięki tylu dam, a widok tej jednej kobiety tak bardzo na niego podziałał.

Dumnie skinęła głową w jego kierunku i z wdziękiem nisko się ukloni

ła. Wyprostowała się i błysnęła niebieskimi oczami. Nagle ją rozpoznał

i wstrząśnięty cały aż zesztyniał. Z bolesną jasnością dokładnie przypomniał sobie, kim była i jak się poznali.

Stanowczo, po stokroć potrzebował szklanki whisky.

Z uporem ignorując nerwowe skurcze żołądka, Meredith podeszła do markiza. Mało kto zwrócił uwagę na jej przejście przez salę, choć kilku mężczyzn obejrzało się za piękną młodą damą, gdy ich z gracją mijała.

Kiedy zbliżyła się do markiza, nie patrzył w jej kierunku. Przez chwilę nie wiedziała, jak zwrócić na siebie uwagę. Już miała głośno odchrząknąć, gdy uświadomiła sobie, że trzęsą się jej kolana.

Dobry Boże, nawet gdy była przedstawiana na dworze królewskim, nie czułaby takiego zdenerwowania.

Próbowała opanować drżenie nóg. Markiz wziął kieliszek szampana z tacy służącego i odwrócił się do Meredith. W jego spojrzeniu, z początku pełnym ciekawości i zachwytu, pojawiło się zakłopotanie, potem zaskoczenie.

- Meredith-wyszeptał.

- Dobry wieczór, m... milordzie.

Meredith żałowała, że nie starczyło jej odwagi, by odezwać się do niego po imieniu.

Zmienił się przez lata, ale wciąż wyglądał urzekająco. Przystojny to za mało, by opisać jego urodę. Zdawało się, że jest złocistym bóstwem, utkanym z promieni słońca, wyczarowanym potężnym zaklęciem. Jednak z ca

łej urodziwej twarzy i pięknej sylwetki, to jego oczy najbardziej do niej przemówiły. Wbrew młodemu wiekowi, wydawały się stare. I gdzieś w głębi zmęczone.

- Szampana? - Wziął drugi kieliszek od służącego.

Meredith zaschło w ustach, jednak nie przyjęła oferowanego napoju.

Markiz wzruszył szerokimi ramionami i zamiast odstawić nietknięte wino, opróżnił kieliszek jednym długim łykiem. To samo zrobił z trunkiem trzymany w drugiej ręce.

Meredith spojrzała na srebrną tacę. Pośród pustych kieliszków stały trzy pełne po brzegi. Markiz odstawił swoje na tacę. Nieznacznie przysunął rękę do jednego z pełnych pucharków i zawahał się.

Wyczuwając uważne spojrzenie Meredith, obrócił twarz w jej kierunku.

Spojrzeli sobie w oczy. Lekko uniosła brew, niemal prowokując go do wzięcia kolejnego kieliszka. Cień uśmiechu pojawił się w kąciu jego ust.

- Ani słowa dezaprobaty? - spytał wyzywająco.

- Nie mam do tego prawa - odparła skromnie.

- To rzadko powstrzymuj e kobietę przed komentowaniem, cmokaniem i marszczeniem brwi.

Meredith uśmiechnęła się.

- Nie jestem taka jak inne kobiety.

- Pamiętam.

Zamrugła w nagłej niepewności. Przez krótką chwilę zobaczyła go takim, jakiego znała niegdyś. Beztroskiego, radosnego, figlarnego mężczyznę, bardzo kochanego przez Lavinie.

Zabolało ją to wspomnienie. Spodziewała się, że dziwnie będzie go znów zobaczyć, ale nie przypuszczała, że okaże się to takie trudne.

- Upłynęło dużo czasu - powiedział, rezygnując z trzeciego kieliszka szampana.

- Osiem lat - szepnęła Meredith i spojrzała na niego.

Twarz miał pozbawioną wyrazu, jednak odniosła wrażenie, że chce ją skarcić. Wzdrygnęła się. Przecież musiał czuć taką samą stratę, ból i żal, jak ona. Zdawało się, że to spotkanie przywołało z pamięci ogromny ciężar

żar wspólnych tragicznych wspomnień o Lavinii.

Jak przez mgłę Meredith usłyszała dźwięki orkiestry. Muzycy zaczęli przygrywkę do kolejnego tańca. Przypuszczała, że markiz niecierpliwie czeka na moment, gdy się wreszcie rozstaną. Zrozumiała, że jej niespodziewana obecność może być niemile widziana.

Prawie pozwoliła, by odszedł. Jednak zanim gardło do końca ścisnęło się jej ze wzruszenia, wypaliła:

- Zatańczy pan ze mną, milordzie?

Markiz nie odezwał się. Przechylił głowę i ze zdziwienia zmarszczył złociste brwi.

- Przyznaję, wypilem sporo wina do obiadu, szklanek whisky na po-

czątku balu i dwa kieliszki szampana, jednak nie jestem na tyle pijany, by nie pamiętać reguł, które obowiązują w wytwornym towarzystwie. Damy nie proszą do tańca dżentelmenów. - Nachmurzył się jeszcze bardziej. -

A może wydarzyła się jakaś katastrofa, która zburzyła wszystko, co do tej pory było uważane za właściwe i dopuszczalne. Jeśli tak, to cholernie żałuję, że mnie ominęła.

- Ani pan, ani ja nigdy zbyt nie hołowaliśmy zasadom wytwornego towarzystwa. Poza tym, właśnie użył pan w mojej obecności niedopuszczalnego słowa, co potwierdza, że nie uważa mnie pan

za damę. A skoro nie jestem damą, to nie krępują mnie sztywne reguły konwenansu. -

Powoli odetchnęła i z ukosa rzuciła mu kpiące spojrzenie. - A zatem, milordzie, zatańczy pan ze mną? Zdaje się, że to będzie walc.

- Lady Meredith, zawsze miała pani reputację osoby niekonwencjonalnej, ale nie skandalistki. Czy mam sądzić po obecnym zachowaniu, że zamierza pani to zmienić?

- Jeśli zatańczy pan ze mną, być może pozna pan odpowiedź, sir.

Żaden mężczyzna nie oparłby się takiemu zaproszeniu. Wyciągnął dłoń w rękawiczce. Lekko oparła na niej palce i pozwoliła poprowadzić się na parkiet. Markiz wybrał miejsce na samym końcu sali. Celowo? Żeby nie byli tak bardzo na widoku?

Tak czy inaczej, Meredith czuła wdzięczność. Długi spacer przez parkiet pozwolił się jej uspokoić.

Zgodnie z konwenansem ukłonili się sobie akurat, gdy zabrzmiała muzyka. Markiz ciasno objął Meredith. Ledwo odzyskane opanowanie znów zaczęło ją opuszczać. Delikatnie oparła rękę na szerokim ramieniu i posłusznie splótła palce z dłonią markiza.

Czuła przez rękawiczki ciepło tego kontaktu. Przez chwilę obawiała się, że Trevor wychwycił napięcie, które ją ogarnęło z chwilą, gdy się dotknęli. Nie miała jednak czasu roztrząsać dziwnych wrażeń. Zaczęli tańczyć.

Gdy sunęli i wirowali po parkiecie, zabrakło jej tchu. Wzrok miała utkwiony ponad ramieniem markiza i mocno zaciskała usta. Partner trzymał ją w przyzwoitej odległości od siebie, więc dlaczego wrażenie było takie intymne?

Przez pierwszą część tańca zachowywali milczenie. Meredith czuła jego żarliwe spojrzenie. Żołądek ścisnął się jej ze zdenerwowania. Zbeształa się za taką niemądrą reakcję.

Nie była przecież młodą debiutantką na pierwszym balu, z oczami szeroko otwartymi z zachwytu. Tańczyła już z niezliczoną rzeszą dżentelmenów. Mężczyzn, którzy bezwstydnie się do niej zalecali, przysięgali wieczną miłość i oddanie. Deklarowali, że zrobią sobie krzywdę, jeśli nie spojrzy na nich łaskawym okiem.

Jednak żaden z tych młodzianów nie był tak zniewalający, jak markiz Dardington. Ta świadomość wprawiała ją w ogromne zakłopotanie,

- Czuję się rozczarowany, lady Meredith. Wywabia mnie pani na parkiet subtelną sugestią skandalicznego zachowania, a potem wycofuje się za zasłonę dyskretnego milczenia. To bardzo nie w porządku.

Uśmiechnęła się do niego nieśmiało.

- Proszę wybaczyć moje grzeczne, rozważne postępowanie. Postaram się ze wszystkich sił powiedzieć coś niesamowicie nieprzyzwoitego, jak tylko odzyskam oddech.

- Doskonale.

- O, teraz mam szczególną chęć, by błysnąć czarem'i dowcipem. -

nie zaczęło słabnąć. Obróciła się z "gracją i uśmiechnęła szeroko. - Proszę mi dać chwilkę na odzyskanie opanowania, bo inaczej podepczę pańskie lśniące buty. Już tak dawno nie tańczyłam walca.

- Nie wierzę.

- To prawda. - Zamilkła na chwilę, dając się ponieść czarownej muzyce i wdzięcznemu rytmowi tańca. Miała wrażenie, jakby unosiła się w powietrzu, a chłodny wiatr owiewał jej policzki. - Większość wieczorów spędzam w domu. Nie bardzo jest z kim tańczyć walca, choć przypuszczam, że w akcie desperacji mogłabym poprosić kogoś z lokajów.

Jednak nie jestem pewna, czy znają kroki.

- Czyżby stroniła pani od towarzystwa tak samo, jak ja?

- Chyba tak. Z każdym rokiem coraz rzadziej uczestniczę w imprezach towarzyskich -przyznała Meredith. -'Nie cieszą mnie rozrywki sezonu ani towarzystwo wielu szanowanych członków socjety.

- Dlaczego?

Meredith wzruszyła ramionami.

- Obawiam się, że nigdy nie potrafiłam przekonująco rozmawiać o damskich sprawach, a przez moje wypowiedzi już dawno zyskałam miano sawantki.

- I cóż ocaliło panią przed kompletną ruiną?

- Skandaliczne poczucie przyzwoitości.

- Raczej duże poczucie humoru.

Trochę mocniej objął ją w talii i przyciągnął bliżej. Meredith uśmiechnęła się.

- Niestety, moje zamiłowanie do absurdalnego dowcipu uraziło już niejednego egocentrycznego, nadętego arystokratę.

- To mogłoby dotyczyć połowy osób obecnych tu na sali.

- Myślę, że dwóch trzecich. Wielu nie podobają się moje opinie na temat konwenansów.

Markiz pokręcił głową.

- A jednak nie ma pani do nikogo pretensji?

Meredith uniosła podbródek.

- Reaguję na przytyki bez złośliwości, bo to wprawia plotkarzy w większe zakłopotanie. Tej sztuki nauczyła mnie Lavinia, choć wiem, że nigdy nie uda mi się tego robić z takim wdziękiem, słodyczą i swadą jak ona.

Była moją najdroższą przyjaciółką i jedną z najwspanialszych kobiet, jakie znałam.

- Miała wrodzony talent do konwersacji i żartów - dodał markiz. -

A także swobodę przebywania w towarzystwie.

4 - Zakład o miłość

- To prawda. Przymioty jej charakteru sprawiały, że była bardzo szanowana i uważana za ozdobę każdego wydarzenia towarzyskiego. - Meredith na chwilę ścisnęło się serce na wspomnienie przyjaciółki. - Ja natomiast muszę ciężko pracować, by zabawić i rozbawić towarzystwo.

- Chyba nie tak bardzo ciężko.

- To miłe z pana strony, milordzie.

Markiz spojrział jej prosto w twarz, oczy mu pociemniały z emocji.

- Mówię szczerze.

Niespodziewany komplement zaskoczył Meredith. Omal nie pomyliła kroku. Gdy się zachwiała, markiz przytrzymał ją mocniej. Poczła ciepło jego ciała, siłę muskularnych ramion.

Usiłowała odzyskać panowanie nad sobą, ponieważ nagle ogarnęło ją pragnienie, by przytulić się do markiza całym ciałem. Na samą myśl o tym serce w niej zadrżało.

Meredith poczuła ciepło na policzkach. Wiedziała, że partner nie potrafi odczytać jej myśli, jednak obawiała się, czy nie wyczuł jej pragnienia, bo patrzył badawczo i stanowczo zbyt przenikliwie.

Skończyli tańczyć tak, jak zaczęli, w milczeniu. Orkiestra zagrała głośny finał. Markiz odwrócił głowę i z ogromnym zainteresowaniem rozejrzał się po sali. Meredith oblała się rumieńcem. Trevor nie zachował

się otwarcie niegrzecznie, jednak było oczywiste, że przestała go już interesować.

Utrzymała uśmiech na ustach, próbując zignorować niemiłe ukłucie rozczarowania. To zwykle ona uciekała przed zainteresowaniem mężczyzny, nie odwrotnie. Czyżby rzeczywiście stawiała się nieciekawą starą panną, za jaką uważali ją bracia?

Wiedziała, że już za chwilę markiz sztywno się ukloni i sprowadzi ją z parkietu. Było mało prawdopodobne, że będzie jeszcze chciał się z nią spotkać, a Meredith nie miała pewności, czy starczy jej odwagi, by podejść do niego drugi raz.

Jeśli nadal chciała wygrać ten idiotyczny zakład i udowodnić sobie, że stanowczo nie jest starą panną, musiała działać teraz albo nigdy.

- Gorąco tutaj, milordzie - powiedziała pospiesznie. - Może pospacerujemy w ogrodzie, żeby odetchnąć świeżym powietrzem?

Uniósł pytająco brew. Meredith po raz kolejny się zdumiała. Było w nim coś uderzającego. Nawet najmniejszy jego gest lub mina wydawały się interesujące,

- Nie jest pani zajęta na następny taniec, lady Meredith?

- Dzisiaj tańczyłam tylko z panem - powiedziała bardzo cicho.

50

Markiz zeszywniał, najwyraźniej wzmógł czujność. Mogła prawie wyczuć rosnącą w nim ostrożność. Milczał tak długo, że była pewna, iż odmówi przechadzki. A potem bez słowa podał jej ramię. Przyjęła je ochoczo. Przeszli przez całą salę, na oczach wszystkich zainteresowanych.

A było ich sporo. Czują badawcze spojrzenia rzucone w ich kierunku, ale biorąc przykład z markiza, zupełnie je zignorowała.

Noc była bezksiężycowa. Tylko kilka par spacerowało po dużym trawniku. Służba zapaliła pochodnie na balustradzie kamiennego tarasu. W ich świetle dało się zauważyć zarys dobrze utrzymanych krzewów i kwitnące rabaty.

W powietrzu czuło się wilgoć, jednak nie było mgły. Liczne cienie rozciągały się nad ogrodem, kładły się na żwirowych ścieżkach i rysowa

ły przedziwne kształty w najdalszych zakątkach.

Powiał lekki wiatr, rozwiewając pasemka włosów, które wymknęły się Meredith z ciasnego wężła. Oparła się pokusie, by doprowadzić fryzurę do porządku. Obawiała się, że zbyt zwróciłaby na siebie uwagę.

- Czy już dosyć nawdychała się pani świeżego powietrza, lady Meredith?

Markiz wydawał się znudzony. Wyprostowała się i uniosła głowę, upominając siebie, że zawarty zakład wiele mówił o nastawieniu markiza do kobiet i opinii o nich. Gdyby mogła nieco zmienić tę arogancką postawę, napełniłoby ją ogromnym zadowoleniem.

Odchrząknęła głośno i lekko machnęła ręką w kierunku drzwi do sali balowej.

- Proszę się nie czuć zobowiązany, do dotrzymania mi tutaj towarzystwa, milordzie. Doskonale zrozumieć, jeśli zechce pan wrócić na przyjęcie.

Podjeżdżała, że on wcale tego nie chce, jednak był na tyle nieprzewidywalny, że mógł posłuchać sugestii i odkryć jej blef.

Gdy nie odpowiedział, Meredith postanowiła kolejny raz skusić los.

Powoli poszła dalej, przez ramię wołając do markiza:

- Ogród tak rozkosznie pachnie, milordzie. Wręcz nie mogę mu się oprzeć.

Spokojnie zeszła po kamiennych schodkach, uważnie nasłuchując za sobą odgłosu kroków. Cisza była

coraz dłuższa, więc Meredith zwolniła, jednak opanowała chęć spojrzenia za siebie.

Może i była uparta, a czasami nawet samowolna, ale miała swoją dumę.

Jeśli markiz podąży za nią w zaciemnione zacisze ogrodu, ze wszystkich sił postara się pocałować go do utraty zmysłów i wygrać dziwaczny 51

zakład. A jeśli nie, no cóż, może przegrana uświadomi braciom zmienność fortuny w hazardzie.

Akurat, prędzej świnię zaczną latać!

Meredith wyczuła niespokojny ruch za sobą. Odetchnęła z ulgą, gdy usłyszała wyczekiwany chrzęst kroków na żwirze. Szedł za nią!

Podążała ścieżką, uważnie się rozglądając. Markiz w milczeniu postępował jej śladem. Nie rozmawiali. I dobrze, bo zabrakło jej tematu do konwersacji.

Szukała odosobnienia, bo gdyby została przyłapana w trakcie całowania markiza, konsekwencje byłyby katastrofalne dla nich obojga. Jak przez mgłę pamiętała, że w najdalszym zakątku trawnika stała ładna altana i właśnie jej poszukiwała wśród cieni.

Gdy ją wreszcie odnalazła,omal nie krzyknęła z radości. Uniosła suknię i weszła po drewnianych schodkach, schylając głowę, by nie zaplątać się w pnącza. Usiadła w środku na wiklinowej ławeczce i czekała.

Nie wszedł za nią, pozostał na zewnątrz. W ciszy bezwietrznej nocy Meredith wyraźnie słyszała rytm własnego oddechu.

- Jest pani zmęczona, lady Meredith?

- Troszkę.

Usłyszała w jego głosie nutkę sarkazmu. Nawet się nie dziwiła. Patrząc na sytuację ze strony markiza, Meredith musiała przyznać, że jej zachowanie przez cały wieczór było dosyć irytujące. Tajemnicza i flirtująca, prowokowała go, nękała i drażniła niczym śpiącego tygrysa.

Z każdą prośbą, spontaniczną sugestią pobudzała jego ciekawość, a potem popadała w milczenie. Było tylko kwestią czasu, kiedy obudzi się drzemiąca w nim bestia. Meredith wiedziała, że musi być wówczas gotowa do ucieczki, albo zostanie pożarta.

Markiz w końcu wspiął się po schodach altany i wszedł do środka.

Skrzyżował ręce na piersi i spiorunował dziewczynę wzrokiem. Nawet w półmroku widziała jego poruszenie.

Odwróciła głowę i spojrzała w ciemność. Mocno ścisnęła razem dłonie, rozluźniła palce i ponownie je splotła.

- Po co tu przyszliśmy, lady Meredith?

- By rozkoszować się nocnym powietrzem, milordzie.

- Nie wydaje mi się.

Markiz z rezygnacją pochylił głowę i podszedł bliżej. Usiadł na wiklinowej ławeczce. Meredith przesunęła się, żeby zrobić mu miejsce. W powietrzu czuć było napięcie. Meredith upomniwała siebie, by zachować rozsądek i spokój. Chociaż to, co zamierzała zrobić, wykluczało i jedno, i drugie.

Ostatni raz całowała się ponad rok temu. Z wysiłkiem przypomniawszy sobie subtelne awanse mężczyzn, którzy zabiegali o jej względy, próbowali ją uwieść i spotkali się z chłodną odprawą mimo wielu starań.

Piękne, kwieciste zdania i wymuszone uściski z jej dotychczasowych do

świadczeń w tym przypadku wydawały się bezużyteczne. Musiała działać otwarcie i bezpośrednio, jednak na samą myśl o tym dostawała dreszczy.

Zaryzykowała spojrzenie w jego kierunku. Markiz chyba tego nie zauważył, bo westchnął cicho i wyciągnął przed siebie długie nogi. Rozluźniła się na chwilę.

Wystarczy, że poczekam, pomyślała. Wkrótce on pochyli się do mnie, chwyci w ramiona i pocałuje.

Ta myśl była podniecająca, a jednocześnie podnosząca na duchu. Ale potem Meredith wyraźnie przypomniawszy sobie drobne szczegóły zakładu.

To stara panna musiała pocałować hulakę. Jeśli pod tym względem nie dotrzyma warunków, przegra.

Spojrzała na Trevora wyczekująco i serce w niej zadrżało. Gdy go tu zwabiła, myślała tylko o tym, by wygrać idiotyczny zakład i udowodnić sobie, że nie jest sztywną starą panną. Chciała jedynie skraść mu szczerego, namiętnego całusa, potem uciec w ciemność, zanim on oprzytomnieje.

Jednak gdy wpatrywała się w półmroku w jego cudowny profil, zaczę

ła się zastanawiać, jak by to było, gdyby pocałowała go naprawdę - mocno, powoli, z czułością. Gdyby przed niczym się nie powstrzymywała, całkowicie uległa mrocznej namiętności drzemiącej w jej duszy. Wiedząc, że musi działać szybko, zanim opuści ją odwaga, Meredith przysunęła się bliżej markiza. Wpatrywała się w jego usta.

- Czy mogłaby pani... - zaczął.

Meredith rzuciła się do przodu i pocałunkiem przerwała mu w pół zdania. Poczowała, jak na moment zeszytniał. Miała żarliwą nadzieję, że z zaskoczenia, nie z obrzydzenia.

Starła się, by pocałunek był lekki i delikatny, ale szybko uległa męskiemu czarowi, przytuliła się do Trevora, poddała emocjom i podnieceniu.

Markiz przechylił głowę, żeby ich usta przywarły do siebie mocniej.

Rękąjął Meredith z tyłu za szyję i przyciągnął do siebie. Lekko rozchylił wargi, żeby mogła pogłębić pocałunek.

Podniecona tą zachętą Meredith wsunęła mu język do ust, smakując ciepło ich wnętrza. Usłyszała

cichy jęk. Jego? Własny?

Próbowała zignorować swój przyspieszony oddech i przepływający przez nią gwałtownie strumień pożądania. Piersi jej nabrzmiały, między nogami poczuła drżące, wilgotne pulsowanie.

W głębi serca wiedziała, że powinna przerwać pocałunek. Zakład bez wątpienia został wygrany. Nie było już potrzeby przedłużać zbliżenia.

Jednak całe zdarzenie zaczęło żyć własnym życiem, już bez żadnego związku z zakładem. Meredith mocno przycisnęła wargi do jego ust.

Opuszkami palców przesunęła wzdłuż linii starannie ogolonej brody, rozkoszując się gładkością skóry.

Westchnął na ten czuły, intymny dotyk. Gwałtownie zaczął szarpać stanik sukni. Rozpiął kilka guziczków i góra zwiewnej tkaniny rozsunęła się na boki. Meredith krzyknęła głośno, gdy pochylił głowę i zaczął smakować, lizać i ssać jej sutek. Płynny żar ogarnął ciało młodej damy, gdy ustami i językiem delectował się jej odsłoniętą piersią.

Odgłos śmiechu i przytłumionej rozmowy rozległ się w ciszy nocy i dotarł do uszu Meredith.

Na litość boską, co ja robię?

- Ależ milordzie!

Rozpaczliwie walczyła, by zachować resztki rozsądku, choć odrobinę dumy i godności. Markiz przytulił twarz do wrażliwego wgłębienia na jej szyi. Przesunął wargi wyżej, jeszcze raz odnajdując usta dziewczyny w długim, powolnym, głębokim pocałunku. W Meredith narastało gorąco, rzeczywistość jakby odpływała. Gdy się odsunął, Meredith prawie zapomnia

ła, dlaczego chciała przerwać to niewiarygodne doświadczenie.

- Milordzie... milordzie... proszę, och, proszę... Trevorze... przestań, musimy przestać, bo zostaniemy odkryci.

Przerwał na chwilę. Oddychał płytko i niemiarkowo. Ze strachem zauważyła, że dłoń, którą uniósł, by pogłaskać ją po policzku, lekko drży.

- Jest pani cudowną niespodzianką, lady Meredith - wyszeptał tonem pełnym zachwytu. - Czuję pani skórę pod palcami, jest delikatna, gładka i doskonała jak jedwab. Jesteś tak niesamowicie pociągająca, moja miła, pełna namiętności i wrażliwości, zmysłowa i oddana. To zbyt rozkoszna pokusa, bym mógł się jej oprzeć, Jesteś pewna, że musimy przestać?

Z nieukrywaniem pragnieniem omiół wzrokiem odsłonięte piersi. Meredith poczuła, jak gorąco zalewa jej policzki. Ależ była głupia, naiwna i zarozumiała! Myślała, że potrafi zapanować nad mężczyzną o takim seksualnym apetycie i doświadczeniu. Czowała się jak skończona idiotka. Pozwoliła, by fala czystego pożądania doszczętnie zagłuszyła rozsądek.

- Możemy zostać odkryci - wyszeptała.

Przez chwilę myślała, że będzie oponował, ale w końcu przytaknął.

- Sprowadzę mój powóz i odwiozę panią do domu.

- Nie - zaprotestowała Meredith.

Podróż tylko we dwoje, w ciemnym, zacisznym powozie była nie do pomyślenia. Równie dobrze mogłaby już tu wyciągnąć się na ławeczce i pozwolić, by namiętność rodząca się między nimi rozpalila się ogniem pożądania. Markiz stanowił zbyt wielką pokusę. A Meredith była zbyt poruszona całym zajściem, by ryzykować przebywanie tylko z nim w intymnych okolicznościach.

- Nie może pani wrócić do sali balowej. - Wyciągnął rękę.

- Proszę przestać. - Cofnęła się.

Wyprostował się i odsunął. Meredith miała absurdalne wrażenie, że go znieważyla.

- Moja droga, próbuję tylko pomóc.

Patrzył na nią tak wymownie, że spojrzała po sobie. Stanik sukni rozchyłał się na boki. Piersi były nagie. Z nerwów i zakłopotania niezdarnie szarpała się z zapięciem. W końcu okazało się, że łatwiej będzie skorzystać z pomocy.

W milczeniu zawiązał tasiemki koszuli i zapiał guziczki stanika. To dziwne, ale wydawało się to prawie tak intymne, jak wtedy, gdy rozpinał

suknię.

- Dziękuję - powiedziała i stanęła na chwiejnych nogach.

To było tchórzliwe i grubiańskie uciec tak nagle. Ale właśnie to zrobi

ła. Mimo protestów markiza, popędziła przez ogród krętą ścieżką, aż minęła wysoki żywopłot. Tętno jej szalało. Czowała zawroty głowy.

Weszła do domu bocznymi drzwiami. Ścisk był tak wielki, że łatwo ukryła się w tłumie. Zamierzała odszukać braci i zażądać, by natychmiast ją stąd zabrali.

Gdy przechodziła obok jednego z wielu luster w połączonych ramach, które zdobiły ściany sali balowej, wyłowiła swoje odbicie.

Zarumieniła się ognście. Wargi miała czerwone, pełne i nabrzmięte, oczy błyszczące i rozgorączkowane. Wokół twarzy zwisały potargane kosmyki włosów z wcześniej ciasno upiętego koka. Ale co najgorsze, jej odsłonięty dekolt tuż nad biustem był zaczerwieniony i nosił ślady pieszczot markiza.

Meredith spojrzała sobie w lustrze w oczy i skrzywiła się. Powinna go posłuchać i ominąć salę balową. Zerknęła z desperacją na drzwi balkonowe na drugim końcu sali. To była najlepsza droga ucieczki, jednak wydawała się zbyt odległa.

Wiedząc, że nie ma innego wyjścia, jak tylko beczelnie udawać, że nic się nie stało, Meredith ruszyła do przodu. Szybkim krokiem, ze spuszczoną głową przemykała się między parami tancerzy najprostszą drogą 55

do wyjścia. Gdy już prawie osiągnęła cel, odważyła się lekko odetchnąć i pomyśleć, że się udało. Przysięgła sobie, że nigdy więcej nie zrobi czegoś równie głupiego.

Sięgnęła do mosiężnej klamki i w tej chwili usłyszała piskliwy kobiecy głos. Na drodze stanęła jej księżna Lancaster. Meredith omal nie krzyknęła na niesprawiedliwość losu.

- Znów się spotykamy, księżno - powiedziała spokojnie Meredith.

Opuściła rękę i wyprostowała się. - Dobrze się pani bawi?

- Najwyraźniej nie tak dobrze, jak pani, lady Meredith. - Księżna zmarszczyła nos i nachmurzyła się.
- Nietrudno się domyśleć, co pani wyprawiała dzisiaj wieczoru. Jednakże z wielką przyjemnością dowiedziałabym się, z kim pani spędzała czas i kogo to obdarzyła swoimi wdziękami.

Trevor rozparł się na szerokim siedzeniu, zachwycony aksamitnym obiciem i miękką tapicerką. Rzadko używał eleganckiego powozu, był zbyt duży i okazały dla jednej osoby. Poza tym nosił jego herb, więc uniemożliwiał dyskrecję.

Ale nie żałował, że zdecydował się wybrać na bal tą okropną landarą, bo zapewniła odpowiedni środek transportu w najbardziej stosownym momencie.

- Odezwie się pani do mnie, czy będzie milczeć i patrzeć groźnie przez całą drogę do domu? - spytał Trevor kobietę, siedzącą naprzeciw niego z mocno zaciśniętymi ustami.

- Myślałam, że woli pan groźne spojrzenia w milczeniu niż płomienny wykład - odparła sztywno Meredith. - Jeśli jednak rzeczywiście chce pan usłyszeć, co myślę o tej sprawie, służę z przyjemnością.

Trevor odkaslnął lekko i podniósł rękę do ust, by ukryć uśmiech. Na sali balowej młoda dama wydała mu się piękna, w wieczornym mroku ogrodu rozkoszna, ale teraz była wspaniała. Siedziała spowita w oburzenie niczym w królewski płaszcz. Mimo ciemności niemal widział gorący gniew dziewczyny. Krew zaczęła mu szybciej krążyć w żyłach.

- Chyba pani przesadza, lady Meredith. To był tylko skradziony pocałunek.

56

- Skradziony pocałunek! - Meredith zacisnęła usta. - Denerwuję się nie z powodu samego zajścia, ale raczej z jego ujawnienia. Księżna Lancaster jest złośliwą plotkarką, która rozkoszuje się nieszczęściami innych.

Ona mną gardzi, więc z radością będzie opowiadać na prawo i lewo tę okropną historię. - Meredith urwała i nabrała tchu. - Wybuchnie wielki skandal, milordzie.

- Przesadza pani. - Trevor skrzywił się z powątpiewaniem. - Gdyby jednak pani posłusznie wyszła ze mną wprost z ogrodu, zamiast wracać do sali balowej, łatwo dałoby się uniknąć wścibskich spojrzeń.

- Jakie to rycerskie z pana strony przypominać mi o tym, gdy jest już za późno, sir - parsknęła Meredith. Uniosła podbródek. - Gdybym posłuchała głosu własnego rozsądku, ten nieszczęsny incydent nigdy by się nie wydarzył. Ale cóż, co się stało, to się nie odstanie.

- Pani mnie obraża, lady Meredith.

- Doprawdy?

- Nazwanie moich pocałunków i pieszczot nieszczęsnym incydem to poważny cios. Czy przypadkiem nie prowokuje mnie pani, bym teraz sprawił się lepiej niż w altanie?

- Pan raczy żartować.

Tym razem głośno się roześmiał. Była naprawdę wspaniała. Siedziała w rozpiętym płaszczu i ciągle jeszcze pałała żarem namiętnego uścisku.

Widok rozwichrzonych włosów i stroju w lekkim nieładzie od pierwszej chwili, gdy wsiedli do powozu, wywołał u niego pulsującą erekcję.

Kosmyki jasnych włosów opadały jej wokół twarzy, stanik połyskliwej niebieskiej sukni niezbyt dokładnie skrywał piersi. Trevor przeklinał

w duchu sprawność swojego woźnicy. Gdyby natrafili na porządne wyboje, przy wstrząsie może udałoby się cudownościom wydobyć z krępującego odzienia.

Na samą myśl o tym Trevorowi aż pot wystąpił na czoło.

- Jestem pewien, że jutro już nikt nie będzie o tym pamiętał - powiedział spokojnie. - Istotą każdej plotki jest jej nowość. Ten smakowity kąsek zostanie porzucony, gdy tylko plotkarskie sępy zobaczą coś bardziej godnego uwagi.

- To nie jest zwykły kąsek, to dla nich uczta - warknęła Meredith i skrzywiła usta. - Wszelkie możliwości szybkiego wyciszenia sprawy znikły w chwili, gdy stanął pan w mojej obronie. Dopóki pan się nie pojawił, księżna mogła tylko snuć podejrzenia.

- Niecałe trzy kwadranse przed pani powrotem do sali balowej widziano nas tańczących razem - odparł Trevor, zastanawiając się, dlaczego 57

czuje potrzebę usprawiedliwienia swojego zachowania. - Księżna jest umiarkowanie inteligentna, ale nawet półgłówek by się zorientował, że to ja doprowadziłem panią do tak rozkosznie czarującego stanu.

Meredith pochyliła głowę. Przez chwilę Trevor myślał, że się zarumieniła, ale kiedy uniosła brodę, jej oczy błyszczały z emocji.

- Podejrzenie to jedno, a dowód to coś zupełnie innego - stwierdziła z uporem.

' - Dowód? Jaki dowód? - spytał Trevor. - Przecież nie zostaliśmy złapani na gorącym uczynku.

- No właśnie. Gdyby nie stanął pan w mojej obronie, mogłabym beczelnie udawać, że nic się nie stało. Księżna miałaby podejrzenia, ale nic więcej. - Meredith odwróciła głowę i jęknęła. - Pańska interwencja wszystko zrujnowała.

- Nie pojmuję, co mnie napadło. - Spojrzał na Meredith z udawanym zdziwieniem. - Księżna ze wszystkich sił starała się panią upokorzyć, a ja bezmyślnie się wtrąciłem, żeby temu zapobiec.

Patrząc z perspektywy, to dla mnie nietypowe. Nieustannie mi powtarzają, że rzadko kiedy w moim zachowaniu jest choćby odrobina honoru. Bardzo panią przepraszam.

- Czy byłby pan tak uprzejmy i poczekał, aż wysiadę, zanim zacznie się pan popisywać swoim niestosownym poczuciem humoru? W przeciwieństwie do pana, ja nie widzę w tej sytuacji nic zabawnego.

Oparła czoło o chłodną szybę powozu i westchnęła.

Taka reprimenda zwykle sprowokowałaby go do odpowiedzi podobnej w tonie. Jednak Meredith wyglądała na naprawdę zgnębną. Trevora ukłuło sumienie.

- Czy jest aż tak źle?

- Pod wieloma względami jestem silną i niezależną osobą, ale mam jeden słaby punkt, okropnie boję się skandali. - Zamknęła oczy i znów westchnęła. - Skandal tej miary może mieć daleko idące konsekwencje, milordzie. Może nam zaszkodzić w sposób, którego nawet nie jesteśmy w stanie sobie wyobrazić. To, jak zostanie odebrana dzisiejsza niedyskrecja, zaszkodzi nam, ale chyba jeszcze bardziej naszym rodzinom.

Skrzywił się.

- Przypuszczam, że ma pani na myśli swojego męża?

- Mojego kogo? - Wyprostowała się gwałtownie, omal nie nabijając sobie przy tym guza o zatrask okna.

- Pani męża, lady Meredith. Gdy ten skandal dotrze do jego uszu, czy będzie na panią bardzo zły?

Spojrzała na markiza dziwnie, potem otworzyła usta, by odpowiedzieć.

Zamknęła je nagle, nie wydając żadnego dźwięku, otworzyła ponownie i znów zamknęła. Tym razem mocno zagryzała wargi.

- Kto panu powiedział, że jestem mężatką? - spytała w końcu.

- Nikt. Tak mi się po prostu wydawało.

W głowie zadźwięczał mu ostrzegawczy dzwonek, ale upomniał siebie, żeby nie przesadzać. Ani jej zachowanie, ani pocałunki nie wskazywały, że jest niewinną panienką. Tego Trevor był pewien.

- Lady Meredith, jest pani bardzo piękną kobietą. Dobrze pamiętam pani towarzyski debiut. Mimo niekonwencjonalnego zachowania była pani oblegana zarówno przez młodych dandysów, jak i starszych mężczyzn.

Wiem, że tamtego roku odrzuciła pani wiele propozycji małżeństwa, ale przyjąłem, że później jednak wyszła pani za mąż. Minęło wiele czasu.

- Nie jestem aż taka stara! - zawołała urażona.

- Stara? - Trevor uśmiechnął się lekko. - Daleko pani do staruszki, ale nawet pani przyzna, że nie jest już pierwszej młodości.

- Mam dwadzieścia sześć lat - parsknęła Meredith. - Jestem o cztery lata młodsza od pana, milordzie.

- I raczej minął już czas na zamążpójście. - Spojrzał jej w oczy. - To zupełnie naturalne, że tak pomyślałem.

- Pana założenie mi ubliża. - Rzuciła mu zdegustowane spojrzenie. -

I świadczy o pana pogardliwym nastawieniu do kobiet. Zapewniam, że gdybym była poślubiona przed Bogiem innemu mężczyźnie, nie całowa

łabym się z panem w ogrodzie. Nie łamałabym przysięgi, zwłaszcza w kwestii wierności.

Trevor podejrzliwie zmrużył oczy.

Dlaczego go pocałowała? Niezamężne damy skrzętnie strzegły swego ciała i reputacji. Chyba że chciały złowić męża.

- Lady Meredith, chyba jest mi pani winna wyjaśnienie.

Jej oczy rzucały błyskawice. Jednak zamiast zjadliwej odpowiedzi, uśmiechnęła się ironicznie.

- Nasz pocałunek był skutkiem zakładu. I pan przegrał.

Markiz zeszywniał na ton jej głosu, a pewność siebie młodej damy lekko go zdenerwowała.

- Lady Meredith, codziennie robię niezliczone zakłady. Musi mi pani podać więcej szczegółów, bym sobie przypomniał właściwy.

Miała ochotę na niego wrzasnąć, jednak zdołała się opanować.

- W zeszłym tygodniu, podczas obiadu w towarzystwie moich braci, z wielką stanowczością oświadczył pan, że stara panna nie może być 59



namiętna. Moi bracia się z tym nie zgodzili, sugerując, że jest wręcz odwrotnie. Stanął zakład, że znajdą starą pannę, która z własnej woli, namiętnie i z zapałem pocałuje rozpustnika.

- I pani jest tą starą panną? - spytał z niedowierzaniem.

- Tak. A pan rozpustnikiem. - Błysk satysfakcji w jej oczach był widoczny nawet w słabym świetle. - Zatem warunki zostały spełnione. Przegrał pan zakład, sir.

Powinien się rozzłościć albo zaprotestować, że gra nie była uczciwa, bo czuł, że wystrychnięto go na dudka. Mimo wieku, Meredith nie była typem kobiety, który miał na myśli, mówiąc o starych pannach.

Nawet biorąc pod uwagę jego lekki stosunek do zasad, zachowanie Meredith uważał za wysoce nieprzyzwoite i nadzwyczaj śmiałe. Jednak rozsądnie przełknął tę uwagę i powiedział:

- Muszę panią wyprowadzić z błędu, lady Meredith. Zapewne straci

łem trochę pieniędzy i, o ile dobrze pamiętam, parę doskonałych koni.

Jednak po naszym pocałunku śmiem twierdzić, że to ja jestem prawdziwym zwycięzcą.

Na drugim końcu miasta bezksiężycowa noc okryła płaszczem anonimowości mężczyznę, czekającego w pobliżu tawerny. Szansa, że zostanie rozpoznany przez kogoś na ulicy, była niewielka. Rzadko bowiem przebywał w tej podejrzanej, zapuszczonej części Londynu. Jednak ostrożność nie zaszkodzi.

Dwa wieczory wcześniej wszedł do tawerny w poszukiwaniu ładnej barmanki. Znalazł dziewczynę dokładnie taką, jakiej szukał - hożą, rumianą i na tyle młodą, że nie znać jeszcze na niej było zmęczenia i przygnębienia, tak typowego dla innych dziewcząt, wykonujących podobną pracę.

Uśmiechnął się do niej po przyjacielsko i dał porządny napiwek, wiedząc, że go zapamięta. Miał nadzieję zobaczyć się z nią później tego samego wieczoru, ale właściciel tawerny, zwalisty, cyniczny

typ z wielkimi rękami, zdołał go zauważyć. Mężczyzna wiedział, że nie należy kusić losu, więc odszedł zawiedziony i zły.

Długie dwa dni myślał tylko o tej kobiecie i dzisiejszej nocy coś go przygnało z powrotem, by dokończyć dzieła.

W oddali rozległo się bicie zegara. Dwa uderzenia. Świetnie. Tawerna wkrótce zostanie zamknięta. Minęło jeszcze dziesięć minut i światła w bu-60

dynku zaczęły stopniowo gasnąć, Kilka chwil później drzwi frontowe otworzyły się i wyszła kobieta. Jego kobieta.

Odetchnął. Szczęście mu dopisało. Młoda barmanka była sama. Przeskoczyła wielką kałużę i ze spuszczoną głową pospieszyła ulicą.

Mężczyzna wyszedł z cienia i zastąpił jej drogę. Dziewczyna pisnęła ze strachu i w obronie podniosła rękę. Potem strach na jej twarzy powoli ustąpił miejsca uldze,

- Och, to pan, sir. Okropnie się przestraszyłam.

- Proszę o wybaczenie.

Uklonił się z gracją i dziewczyna zachichotała z zachwytem. Kobiety z niższych sfer, jak się zorientował, można było łatwo przywieść do zguby, okazując dobre maniery i świadcząc drobne uprzejmości.

- Czy mogę panią odprowadzić do domu?

Lekko zmrużyła oczy.

- Mieszkam z mamą, siostrami i braćmi - odparła. - Na pewno przynajmniej jeden z nich czeka, aż wrócę do domu.

- Chcę tylko panią odprowadzić - powiedział łagodnie. - Jeśli wolno.

Wyraźnie widział niezdecydowanie na jej twarzy, więc się uśmiechnął.

Poskutkowało. Odpowiedziała uśmiechem i przytaknęła.

- Dziękuję, sir, za uprzejmą propozycję. Do domu mam ze dwadzie

ścia kwartałów. Miło mi będzie w pana towarzystwie.

Przeszli kilka przecznic w milczeniu. Nie podał jej ramienia. Bał się, by nie dotknąć dziewczyny za wcześnie. To było właściwe posunięcie.

Ona sama szła w przyzwoitej odległości od niego. Wiedział, że jest onie-

• śmielona, bo na jego liczne pytania odpowiadała krótko i sama nie próbowała nawiązać rozmowy.

Jej powściągliwość wydała mu się czarująca, a nieśmiałość wzruszająca. Bezcelne, agresywne kobiety zawsze wywoływały w nim gniew.

Szli dalej. Mężczyzna zaczął sobie mgliście uświadamiać upływ czasu. Wkrótce. To musi stać się wkrótce. Skwapliwie rozglądał się w poszukiwaniu idealnego miejsca i najlepszej chwili. Gdy nadarzyła się okazja, był gotów.

Potknął się na wystającym bruku. Udał, że stracił równowagę. Dziewczyna natychmiast się zatrzymała i wyciągnęła rękę, by mu pomóc.

Uśmiechając się nikiemnie, chwycił ją za ramię, wyprostował się i szarpnięciem pociągnął ją w małą uliczkę między dwoma wysokimi budynkami.

- Nie, proszę! - krzyknęła, gdy całym ciałem przygwoździł ją do muru.

Odpychała się rękami od jego piersi, usiłując się uwolnić. Ale był zbyt silny.

61

Chwycił jej rozszalałe dłonie i szybko związał w nadgarstkach jedwabnym sznurem. Zaszlochała krótko, gdy do jej ust wpechnął jedwabny szalik.

Powoli, prawie z nabożeństwem położył ręce na gładkiej szyi. Opadł

na dziewczynę całym ciężarem. Czekał, aż w jej oczach pojawi się lęk, a wkrótce strach i przerażenie. Nie zawiodła go.

Natychmiast zaczęła się szarpać, wyginać plecy, odpychać go piersią, prężyć się i obracać ciałem w próżnym wysiłku, by się uwolnić. Już po kilku minutach wyczuł, że ofiara słabnie, ale walczyła dalej, wbijając mu w bok ostry łokieć.

Napawał się jej strachem. Ciało mu się napięło, lędźwie nabrzmiały z pożądania, gdy poprzez knebel usłyszał zdławiony jęk. Pozwolił dziewczynie walczyć jeszcze przez kilka chwil, smakując każde ostre szarpnięcie jędrnego ciała. Potem zwiększył uścisk wokół szyi, aż oczy ofiary wyszły na wierzch, a twarz zrobiła się purpurowa. W końcu straciła przytomność, a oczy zamknęły się z trzepotem powiek.

Gdy znieruchomiała, agresja w nim opadła. Ścisnął smukłą szyję jeszcze tylko chwilę, aż panna przestała oddychać. Potem powoli opuścił jej nieruchome ciało na ziemię.

Przez moment radował się przyływem emocji i rozpierającym go poczuciem spełnienia. Ogarnął go głęboki, pierwotny instynkt. Miał ochotę zadrzeć głowę i zawyc, ale opanował ten impuls, obawiając się zdemaskowania.

Ciężko dysząc, zaciągnął ciało w najdalszy zaułek. Zdjął sznur z nadgarstków, wydobył knebel z ust i

ukrył trupa pod stosem śmieci. Jak dobrze pójdzie, znajdą ją dopiero po wielu dniach, gdy ciało zacznie już gnić.

Poczuł, że z kącików ust zaczyna mu spływać ślina. Skrzywił się, wyciągnął z kieszeni spodni wyprasowaną lnianą chusteczkę i starannie wytarł twarz.

Jak zwykle pedantyczny, zaczął doprowadzać się do porządku. Rozprostował pelerynę i poprawił przekrzywiony krawat. Schylił się i odnalazł kapelusz, który spadł mu w trakcie szarpaniny. Drżącymi palcami przyglądał włosy i włożył kapelusz na głowę.

Podszedł do wylotu uliczki. Rozejrzał się na prawo i lewo. Upewniwszy się, że nikogo nie ma, wynurzył się z mroku i pospieszył ulicą. Gdy uznał, że wystarczająco oddalił się od miejsca zbrodni, zatrzymał dorożkę.

Siedząc bezpiecznie w ciemnym powozie, przeżywał każdy cudowny moment zabójstwa. Smakował szczegóły z makabryczną radością. Dorożka gwałtownie zatrzymała się. Był już na miejscu, na Grosvenor Square.

62



Zapłacił woźnicy i wszedł do cichego, ciemnego domu rzadko używanym wejściem dla służby. Dzięki szczególnej ostrożności i późnej porze, nie napotkał nikogo.

Czuł się zmęczony i wyczerpany, ale drobiazgowo dopełnił codziennych obowiązków, zanim spoczął. Z chwilą, gdy przyłożył głowę do poduszki, zapadł w sen. Głęboki, spokojny, bez marzeń.

Zło w najczystszej postaci wróciło do Londynu.

Huczało mu w głowie i w tym samym rytmie ktoś uporczywie pukał do drzwi sypialni. Trevor przewrócił się na bok, skrzywił i warknął:

- Precz.

Hałas nie ucichł, a nawet stał się głośniejszy. Markiz stęknął i schował

głowę pod poduszkę. Pukanie zostało stłumione, ale nadal je słyszał.

Otworzył przekrwione oko i znów stęknął, gdy uświadomił sobie, że prześladowca nie da za wygraną. Ponowne wydanie z siebie głosu wymagało zbyt wiele wysiłku, więc Trevor usiadł i czekał. Bezskutecznie próbował powstrzymać bolącą głowę przed rozpadnięciem się na kawałki. Do zaciemnionego pokoju wszedł lokaj Everett.

- Najmocniej przepraszam, że pana obudziłem, milordzie. - Służący podszedł do masywnego łóżka. -

Nie mogłem inaczej. Książę tu jest.

- Książę? Jaki książę? - Trevor spróbował podnieść głowę. Łomot w skroniach nasilił się.

- Książę Warwick - wysyczał lokaj i gwoli wyjaśnienia dodał: - Pański ojciec.

Wzmianka o ojcowskim tytule przywołała mgliste wspomnienie balu, nocnego pocałunku, skandalicznej sceny i fascynującej przejażdżki powozem, czyli wszystkiego, co złożyło się na doskonały pretekst, aby upić się do nieprzytomności natychmiast po odwiezieniu lady Meredith do domu. Idiotyczny, ale w tamtych okolicznościach zupełnie zrozumiały sposób zakończenia wieczoru.

Kłujący ból za oczami zwiększył się dziesięciokrotnie, gdy energiczny służący zaczął się krzątać po sypialni, zbierając części ubrania niedbale rozrzucone na dywanie. Markiz usłyszał wyraźne cmoknięcie dezaprobaty.

Lokaj odsunął ciężkie haftowane zasłony, by wpuścić do pokoju światło.

Trevor opadł na łóżko, jedną ręką zasłaniając oczy przed powodzią promieni słonecznych.

- Za bardzo huczy mi w głowie, żeby rozbawił mnie twój dowcip, Everett. Książę Warwick prędzej zjadłby gwoździe, niż przekroczył moje skromne progi. A teraz zaciągnij z powrotem zasłony i przynieś mi kawy.

Wielki dzbanek, jeśli łaska.

- Milordzie, nigdy bym nie żartował w tak poważnej sprawie - zapewnił Everett ze zwykłą u niego wyniosłą godnością. Nalał gorącej wody do miski i zaczął metodycznie ostrzyć brzytwę markiza. -
Poinformowa

łem księcia, że powita go pan, jak tylko skończy się ubierać.

Trevor omal nie warknął ze złością na służącego, który stanął wyczekująco przy łóżku, gotów do pomocy w toalecie.

- Mój ojciec naprawdę tu jest?

- Tak, milordzie.

- Dzisiejszego ranka nie przyjmuję gości- oświadczył Trevor. - Przekaż księciu, żeby przyszedł kiedy indziej. Najlepiej w przyszłym tygodniu.

Trevor leniwie przewrócił się na bok i wcisnął obolałą głowę w poduszkę. Prawie słyszał, jak lokaj nadyma się z oburzenia. W przestarza

łym, ciasnym pojęciu Everetta wyproszenie księcia z domu było niemożliwością.

- Nie mogę powiedzieć księciu, że pan nie chce się z nim zobaczyć -

parsknął zdziwiony lokaj. - To niegrzeczne. I niewłaściwe.

- To bardzo niewłaściwe przychodzić z wizytą bez uprzedzenia, o takiej skandalicznie wczesnej godzinie -jęknął Trevor.

- Milordzie, jest trzecia po południu.

- O - mruknął pod nosem Trevor i ostrożnie usiadł. Przytrzymał głowę obiema rękami z nadzieją, że gdy się wyprostuje, pulsowanie w skroniach nieco zelżeje. - Pora dnia nie ma znaczenia. Nigdy nie przyjmowa

łem nieproszonych popołudniowych gości.

- Przypuszczam, że mógłby pan zrobić wyjątek dla członka rodziny -

uprzejmie odparł lokaj.

Zwłaszcza tak znamienitego. Lokaj nie powiedział tych słów głośno, ale Trevor był przekonany, że służący tak właśnie pomyślał.

To była trudna decyzja, jeśli wziąć pod uwagę opłakany stan całego organizmu. Trevor pomyślał jednak, że i tak w końcu będzie musiał stawić ojcu czoło. Może lepiej od razu mieć to z głowy.

- Daj mi kilka minut, żebym mógł sobie ulżyć. - Markiz machnął w kierunku nocnika. - Potem przyprowadź księcia tutaj.

- Tutaj?

- Tak.

Lokaj otworzył usta ze zdziwienia.

- W pańskiej sypialni nie ma porządnego miejsca do siedzenia. Co jego wysokość zrobi? Usiądzie na krześle przy łóżku, jakby był pan ob

łożnie chory?

- Dlaczego nie?

- To bardzo uchybiałoby jego godności.

Trevor chciał ryknąć, ale samolubnie zauważył, że od tego jeszcze bardziej rozboli go głowa. Spiorunował lokaja wzrokiem, Everett odwzajemnił się tym samym. Znaleźli się w kropce.

Trevor z niechęcią odrzucił kołdrę. Wstając z łóżka, potknął się i omal nie usiadł lokajowi na kolanach. Ostatecznie doszedł do wniosku, że le

żąc w łóżku z monstualnym kacem, rzeczywiście nie powinien przyjmować ojca. To byłoby nierozważne.

Już nie protestował, gdy lokaj zajął się doprowadzaniem go do porządku. Trzydzieści minut później wszedł do niewielkiego, ale wykwintnie umeblowanego przedpokoju, który służył mu za salon.

Księżę stał przy oknie i obserwował ruch na ulicy.

- Nareszcie - powiedział, nie odwracając głowy. - Wiedziałem, że je

śli poczekam wystarczająco długo, w końcu zrozumiesz, że wszelkie próby unikania mnie spełzną na niczym.

Trevor omal nie zawrócił do sypialni. Mąciło mu się w głowie z niewyspania i nadmiaru whisky.

- Trudno mieć do mnie pretensje o unikanie pana, skoro dopiero co dowiedziałem się, że mam gościa. - Mimo narastającego gniewu, Trevor spokojnie usiadł.

- Co się, do diabła, stało wczorajszego wieczoru? Obiecałeś, że będziesz na balu lady Dermond, a jednak cię tam nie widziałem.

Gdy ojciec w końcu odwrócił się od okna, Trevor uśmiechnął się kwa

śno.

- Przyszedłem wcześniej, sir. Miałem nadzieję wypełnić swoje obowiązki w odpowiednim czasie. Niestety, impreza okazała się tak niemożliwie nudna, że po prawie trzech godzinach czekania na

twoje przyjście zrezygnowałem i poszedłem sobie.

Księżę chytrze uniósł brew.

- Czy właśnie to było przyczyną tej całej awantury z dziełką Barringtonów? Znudzenie?

Trevor szyderczo skrzywił usta. Wyglądało na to, że plotkarskie języki nie próżnowały.

- Czy przypadkiem nie chodzi o lady Meredith Barrington?

5 Zakład o miłość

65

- Nie próbuj ze mną tego niewinnego tonu. Nie jestem jednym z twoich kompanów półgłówków, których możesz łatwo zbyć udawanym oburzeniem. - Księżę z niesmakiem potrząsnął głową. - Słyszałem rozmaite skandaliczne opowieści o wydarzeniach ostatniego wieczoru. Dlatego przyszedłem tutaj, żeby dowiedzieć się prawdy.

- Prosto od krowy, że się tak wyrażę - powiedział spokojnie Trevor.

- Krowy? Jeśli choć część z tego, co mówią, jest prawdą, można by cię raczej przyrównać do osła. - Księżę skrzywił się sarkastycznie. - To córka hrabiego Stafforda, prawda?

- Zdaje się, że tak.

- I zgwałciłeś ją w ogrodzie?

- Co?! - Łomotanie w głowie wróciło z ogromną siłą. - Ja ją tylko pocałowałem. Prawdę powiedziawszy, to ona zaczęła.

Księżę uśmiechnął się niewesoło.

- Nic więcej? Tylko pocałunek? To stanowczo do ciebie niepodobne.

Gdy Trevor usłyszał w głosie ojca szyderstwo, napięcie, które czuł, częściowo opadło.

- Może wydaje się to panu niemożliwe, sir, ale czasami, gdy zajdzie potrzeba, potrafię zapanować nad swoją grzeszną, zdeprawowaną naturą.

- Co za ulga - odparł księżę. - Skoro to był tylko jeden całus, nie ma potrzeby zadośćuczynienia. Stafford jest wprawdzie hrabią, ale nigdy go nie lubiłem. Zbyt postępowy, jak na mój gust. Tak pozwalać córce szaleć... Chociaż jego żona to bardzo piękna kobieta. W młodości dorównywała urodą córce.

Trevor zacisnął usta.

- Sam nigdy bym nie pomyślał o zadośćuczynieniu lady Meredith... -

zaczął w końcu.

- Świetnie. Zapomnij, że w ogóle o tym mówiłem. - Księżę ruszył do drzwi. - W piątek wieczór spodziewam się ciebie na kolacji. Będzie niewielkie grono gości. To już za trzy dni. Jestem pewien, że do tego czasu nadzwyczajnym wysiłkiem woli zdołasz utrzymać się z dala od kłopotów.

- Niczego nie obiecuję - odparł posepnie markiz.

Księżę zatrzymał się i odwrócił do syna.

- Nie zamartwiaj się zbytnio - powiedział z wyjątkowym jak na niego współczuciem. - Różne twoje wybryki są przez towarzystwo często ignorowane. Jestem pewien, że również i ten zostanie w końcu zapomniany.

Trevor spojrział na ojca z udawanym niedowierzaniem.

- Nie obchodzi mnie opinia towarzystwa.

- A powinna - warknął książkę i zmarszczył brwi. - Twoje zdanie na ten temat jest dla mnie jasne od kilku lat i wiem, że nie jestem w stanie go zmienić. Skoro jednak nie dbasz o własną reputację, to może choć trochę zatroszczysz się o moją? Ten skandal zostanie zapomniany, jeśli przez kilka następnych dni będziesz się należycie zachowywać. Z końcem tygodnia uwaga wszystkich odwróci się od ciebie i skupi na dziewczynie Barringtonów.

Komentarz ojca poruszył sumienie Trevora. To prawda, że on sam lekceważył opinie innych i był już uodporniony na krytykę towarzystwa.

Jednak dla kobiety mogło to wyglądać inaczej.

Lady Meredith nigdy nie została do końca zaakceptowana przez wykwiłtne towarzystwo, nigdy jednak nie skalała się żadnym skandalem.

Aż do teraz.

Z niechęcią postanowił, że zrobi wszystko, co tylko możliwe, oczywiście w granicach rozsądku, by pomóc jej uporać się z tym problemem.

Był na tyle uczciwy wobec siebie, by przyznać, że boi się nawet pomyśleć o konsekwencjach takiej decyzji.

eredit

Mh nie mogła zasnąć tej nocy. Jej myśli krążyły wokół wypadków wieczoru i wszystkiego, co mogło się tym wiązać. Słuchając, jak zegar wybija kolejne godziny, przekonywała samą siebie, że będzie dobrze. Jednak gdy do sypialni zajrzało światło poranka, pewność stopniała jak lód.

Jej spokój burzyła nie tylko myśl o pocałunku z markizem, ale także o ewentualnych konsekwencjach, którym będzie musiała stawić czoło zupełnie sama.

Meredith napawała dumą, że jest praktyczną, niezależną kobietą. Musiała jednak szczerze przyznać, że często odczuwała samotność i brakowało jej wsparcia, siły i towarzystwa mężczyzny, powiernika i obrońcy.

I chociaż rozsądek mówił Meredith, że nie istnieje dżentelmen, który zaakceptowałby jej ekstrawagancje, sercem nie przestawała pragnąć, by się pojawił.

Jednak tego ranka Meredith nie zamierzała poddawać się przygnębieniu. Z właściwą sobie determinacją postanowiła odegnąć melancholijny nastrój.

67

Przedpołudnie spędziła tak jak co dzień, celowo trzymając się ustalonego rytuału: najpierw samotne śniadanie w ciszy przytulnej jadalni, krótka konsultacja z kucharzem dotycząca menu dnia i spotkanie z lokajem w sprawie uporczywego problemu z jednym ze służących.

Potem przeniosła się do gabinetu ojca, aby zapoznać się z miesięcznymi raportami finansowymi przysłanymi przez prawnika. Przeczytała też dosyć długi list do Faith Linden, przyjaciółki z dzieciństwa, obecnie wi-cehrabiny Dewhurst. Po skończeniu dziennej porcji korespondencji Meredith postanowiła oddać się swojej ulubionej pasji - czytaniu.

W końcu udało się jej uspokoić. Była tak pochłonięta tomikiem poezji, że z początku nie usłyszała lokaja, który wszedł do biblioteki.

- Pani wybaczy, lady Meredith - powiedział przepaszająco. - Przyniesiono dla pani kwiaty. Wnieść tutaj, czy odesłać je do kuchni, żeby pani Hopkins ułożyła w wazonach?

- Wazonach? - Meredith pytająco uniosła brew. - To jakiś szczególnie duży bukiet?

- Kilka z nich jest całkiem sporych. Reszta trochę skromniejsza - odparł sucho lokaj.

- Ile bukietów przysłano?

- Dziesięć.

- Co?!

Meredith tak szybko zerwała się na nogi, że książka spadła na dywan.

Nie zwróciła na nią uwagi. Wzięła stosik wizytówek, które w milczeniu podał lokaj.

Z bijącym sercem szybko przeczuciła kartoniki. Hrabia Botsworth, lord Chillingham, pan Julian Wingate. Mężczyźni, których nie widziała od lat! Nawet nie wiedziała, że wszyscy zjechali do miasta.

Uważnie przejrzała karty po raz drugi. Kilka było od podstarzałych kawalerów, parę od żonatych dżentelmenów i dawnych adoratorów. Nachmurzyła się nieco na myśl, że od swojego debiutu w towarzystwie nie cieszyła się takim powodzeniem u mężczyzn.

Jednego nazwiska, markiza Dardingtona, jednak brakowało. Meredith sama się zdziwiła, że w ogóle *to zauważyła..*

- Co z kwiatami, lady Meredith?

Przez kilka sekund patrzyła na lokaja pustym wzrokiem. W końcu dotarło do niej pytanie.

- Proszę przekazać pani Hopkins, by je ułożyła w wazonach - odparła spokojnie. - A potem rozstawiła w całym domu, w każdym pokoju z wy*

jątkiem mojej sypialni.

- Tak jest, milady, - Lokaj uklonił się uprzejmie, ale pozostał w miejscu.

•- Coś jeszcze?

- Jeśli zostaną przysłane następne kwiaty...

- Niech się nimi zajmie pani Hopkins! - przerwała mu ostro Meredith. Wzięła głęboki oddech i powiedziała już łagodniej: - Proszę się tylko upewnić, że otrzymam wizytówkę dołączoną do każdego bukietu.

Służący już się nie wahał. Wyszedł z pokoju natychmiast, jak tylko skończyła mówić. Meredith westchnęła. Perkins był doświadczonym lokajem. Służył w rodzinie od prawie dwudziestu lat. Meredith zdecydowanie nie chciała mu zrobić przykrości.

Zastanawiała się, jak mogłaby przyglądać jego nastroszone piórka.

Chociaż uczucia służącego nie były zbyt poważną sprawą, na serio zajęła się rozważaniem możliwych rozwiązań. Dzięki temu skupiła myśli na innych, mniej osobistych problemach.

Nie miała jednak zbyt wiele czasu na zastanawianie. Przez cały rano przeszkadzali jej lokaje, informując o dostarczeniu bukietów. Do obiadu nabierał się ich już tuzin, każdy z dołączoną kartą. Wczesnym popołudniem ich liczba doszła do piętnastu. Za każdym razem, gdy służący wchodził do bawialni, Meredith uśmiechała się dzielnie, zdecydowana nie wyładowywać podenerwowania na posłańcu.

- Ma pani gościa - oznajmił Perkins sztywnym tonem, dając do zrozumienia, że jeszcze nie wybaczył porannej bury.

Meredith znieruchomiała i niezadowolona spojrzała na lokaja. Ostrożnie wzięła ze srebrnej tacy wizytówkę ze złotym nadrukiem. Odchyliła zagięty brzeg karty, sygnalizujący, że gość przyszedł osobiście, zamiast wysłać z wiadomością służącego.

Lady Olivia Dermott. Meredith omal się nie udławiła, gdy przeczytała nazwisko.

- Długo czeka?

- Dopiero przyszła.

- Przekaż, że przyjmę ją za chwilę- poinstruowała Meredith. - Odczekaj równo dziesięć minut i dopiero wtedy wprowadź lady Olivie, Meredith podniosła z podłogi tomik poezji. Spróbowała znaleźć ukojenie wśród słów. Bezskutecznie.

- Jak miło panią widzieć- oświadczyła lady Olivia, podchodząc do Meredith z wyraźnie fałszywym, słodkim uśmiechem przyklejonym do twarzy. - Wiem, że jeszcze za wcześnie na składanie

popołudniowych wizyt, ale przyznam, że miałam nadzieję zastać panią samą. Teraz mamy szansę na małe sekretne tete-a-tete. Tyle jest do omówienia!

Meredith omal się nie roześmiała. Niedowierzała własnym uszom. Lady Dermott zawsze była jednym z jej najbardziej zagorzałych krytyków. Jako matka trzech córek na wydaniu zawsze uważała Meredith za groźną rywalkę. Zresztą dwóch z trzech mężczyzn, którzy w końcu ożenili się z pannami Dermott, najpierw oświadczyło się Meredith.

A jeśli Meredith pamięć nie myliła, trzeci z zięciów lady Olivii należał do liczego grona dżentelmenów, ofiarodawców porannych bukietów.

Zaiste, lady Olivia była ostatnią osobą, którą Meredith chciałaby obdarzyć zaufaniem lub wyjawić jej swoje tajemnice,

- Muszę to uznać za komplement, że wzbudziłam pani zainteresowanie. Przecież są ważniejsze i ciekawsze sprawy, godne pani uwagi. -

Meredith mówiła wyraźnie szyderczym tonem, jednak lady Olivia nie grzeszyła bystrością i rozsądkiem, więc drwina chybiła celu.

- Zwróciła pani nie tylko moją uwagę. - Lady Olivia rozejrzała się chytrze dookoła. - Z licznych bukietów w holu i w bawialni wnoszę, że zyskała pani rzeszę adoratorów. A może kwiaty pochodzą od jednego szczególnego dżentelmena?

- Od jednego wielbiciela? Musiałby być bardzo bogaty albo też niezmiernie natarczywy. - Meredith westchnęła.

Lady Olivia zachichotała.

- Mówią, że jeśli trzeba, markiz Dardington potrafi być wyjątkowo...

nieustępliwy.

Meredith zalała falą gniewu i rozgoryczenia. Spodziewała się, że wie

ści rozejdą się szybko, ale wierzyła, że pojawi się jakiś inny soczysty skandal, który odwróci od niej choć część uwagi. Wyglądało jednak na to, że oczy wszystkich skupią się wyłącznie na niej.

Meredith zdawała sobie sprawę, że urok może być potężną bronią.

Wielokrotnie widziała inne kobiety, szczególnie Lavinie, jak oczarowują ludzi, by uzyskać to, o co im chodziło. Wiedziała dobrze, że nie ma ani odwagi, ani hartu ducha, by próbować tej metody wobec lady Olivii.

- Nijak nie mogę pojąć, dlaczego to panią interesuje, ale jeśli naprawdę pragnie pani wiedzieć, markiz nie przysłał dzisiaj żadnych kwiatów.

Wczoraj zresztą też nie - dodała szybko Meredith, zanim padło pytanie.

Lady Olivia zaniemówiła. Uniosła wysoko brwi i spojrzała na ogromny bukiet świeżo rozkwitłych róż.

- Te wszystkie kwiaty zostały przysłane przez innych mężczyzn?

- Tak.

- Zdawałoby się, że osoba z pani pozycją będzie zwracać większą uwagę na grożące jej ryzyko.

- Ryzyko? - Meredith spojrzała posepnie na rozmówczynię. - Co też pani insynuuje?

Na twarz lady Olivii wypląnął fałszywy uśmiezek.

- Nawet kobieta tak mocno posunięta w latach, jak pani, musi dbać o reputację. Źle się stało, że wczoraj wieczorem zaaranżowała pani schadzkę z markizem Dardingtonem w ogrodzie lady Dermond. W pani najlepiej pojętym interesie powinno teraz leżeć, aby nie przyjmować awansów tak wielu mężczyzn. To może stać się źródłem nieprzyjemnych spekulacji.

- Spekulacji?

- Co do pani charakteru - odparła szybko lady Olivia. - I moralności.

Meredith zapiekły uszy od pełnej potępienia krytyki. Jeszcze bardziej irytująca była świadomość, że nie może przedstawić żadnego przekonującego usprawiedliwienia swojego zachowania. Wczorajszego wieczoru rzeczywiście wywabiła markiza do ogrodu. Fakt, że lady Olivia najwyraźniej nie знаła przyczyny, dla której Meredith chciała się z nim spotkać, był tylko niewielką pociechą.

Meredith przełknęła z wysiłkiem. Dłonie zaczęły się jej pocić. Uspokój się! Teraz nie pora, by wpadać w panikę, napominała się w duchu.

Musiała stawić czoło sytuacji i wyjść zwycięsko albo jej hańba na zawsze splami rodowe nazwisko. Meredith nie przejmowała się własną osobą, jednak nie chciała, aby z powodu jej lekkomyślności cierpieli rodzice lub młodsi bracia.

Potrzebowała kilku chwil samotności, żeby wszystko dobrze rozwa-

żyć. Nie wątpiła jednak, że tylko pożar mógłby wygonić lady Olivie z salonu. Wymusiła więc na sobie swobodny uśmiech i od niechcienia, jakby niczym się nie przejmowała, odwróciła stronę w czytany tomiku poezji.

Policzyła w duchu do dwudziestu, podniosła wzrok i przyszpiliła natrętą plotkarkę przenikliwym spojrzeniem.

Wiedziała, że lady Olivia uważnie ją obserwuje, aby poznać prawdziwe emocje. Czy Meredith żałuje swej niedyskrecji? Co czuje? Zażenowanie? Radość? Z rezygnacją poddała się tym oględzinom, ale jednocześnie-

nie była zdeterminowana, by nie dać niczego po sobie poznać.

- Dawno temu pogodziłam się, że muszę znosić skierowane przeciwko mnie krzywdzące ataki zazdrości. Przez wiele lat nie padł na mnie nawet cień skandalu, choć wielu starało się przypisać mi winę. Małostkowość i brak urody to najbardziej zabójcza mieszanka, prawda lady Olivio?



Fałszywy uśmiech na twarzy przybyłej damy nagle znikł. Zawahała się, najwyraźniej próbując ocenić, czy została otwarcie obrażona. Meredith pomyślała, że nie powinna dawać swojej przeciwniczce zbyt wiele czasu do namysłu i pospieszyła do drzwi.

- Ogromnie jestem wdzięczna za dzisiejszą wizytę, lady Olivio. Nie ma pani pojęcia, jak wiele nasza rozmowa mi wyjaśniła.

Lady Olivia lekko zeszywniała, ale mocno popchnięta w plecy postąpiła do przodu.

- Do widzenia, lady Meredith.

- Żegnam.

Dopiero, gdy drzwi się zamknęły, Meredith straciła panowanie nad sobą.

Ale tylko na chwilę.

Ostatniego wieczoru, gdy całowała markiza, wiedziała, że jej życie już nigdy nie będzie takie samo. Co wcale nie oznaczało, że musi się poddać temu, co ją nieuchronnie czeka. Przeżyła krytykę ze strony towarzystwa podczas swojego pierwszego sezonu. Od tamtej pory nieustannie musiała znosić cichą dezaprobatę.

- Moi bracia jeszcze leżą w łóżkach? - spytała Perkinsa, gdy zjawił

się w odpowiedzi na wezwanie.

- Tak. Zdaje się, że lord Fairhurst i pan Barrington jeszcze nie opuścili swoich sypialni. - Lokaj zawahał się i dodał: - Biorąc pod uwagę późną porę ich powrotu do domu wczorajszej nocy, raczej trudno się temu dziwić.

- Proszę uprzejmie przekazać lordowi Fairhurstowi, że za godzinę będę go potrzebować. Chciałabym pojechać na przejażdżkę do parku w towarzystwie jego lordowskiej mości.

Służący odwrócił się, by odejść, więc Meredith pospiesznie dodała ostatnie polecenie:

- Aha, Perkins, przez resztę dnia dla nikogo, bez wyjątku, nie ma mnie w domu.

- Rozumiem, proszę pani.

Tym razem, gdy drzwi się zamknęły, Meredith była mniej roztrzęsiona, bardziej opanowana. Znajdzie sposób, by się uratować z katastrofy, Osiągnie to dzięki sile, odwadze i determinacji.

Poranny deszcz oczyścił ulice Londynu z codziennego kurzu. Rześkie powietrze pięknie pachniało, jezdnie dopiero zaczynały na nowo tętnić życiem. Jadąc w odkrytym faetonie, Meredith żałowała, że nie może się rozkoszować świeżością poranka, jednak zbyt była pochłonięta czekającym ją zadaniem, by rozpraszać uwagę na wrażenia z otoczenia.

- Jedź ostrożnie - powiedziała spokojnie do Jaspera, nonszalancko trzymającego lejce zaprzęgu. - W kałużach mogą się kryć przykre niespodzianki: głębokie koleiny, wyrwany bruk. Pęknięte koło u wozu sprawi

łoby nam kłopot i zwróciło na nas niepożądaną uwagę.

Jasper zjechał na bok, zgrabnie wymijając złowrogo wyglądającą kałużę.

- Wiem, co robię. - Zmarszczył z niechęcią nos na siostrzane upomnienie. - Jeżdżę powozem po Londynie już wiele lat.

- O ile sobie przypominam, miałeś też niejedną wypadek - dodała znacząco Meredith.

- Nigdy na trzeźwo nie wywróciłem powozu - odparł Jasper.

Meredith mocno przygryzła wargę i poczekała, aż pokonają następny zakręt. To nie była pora na wykład o stosownym zachowaniu, zwłaszcza że akurat przez nią musieli pokazać się dziś w parku.

Skupiła więc uwagę na zgrabnie kłusujących koniach. Zdawało się jej, że są nowym nabytkiem.

- Nie przypominam sobie, bym widziała tę parę w stajni. To gniadosze, które wygraliście w zakładzie z markizem?

- Właśnie - odparł radośnie Jasper. - Dardington przysłał je z samego ranka. Czyż nie są piękne?

- Prześliczne - odparła sucho Meredith. - Chyba mam wasze słowo honoru, że nigdy już nie założycie się o te nieszczęsne zwierzęta?

Jasper rzucił siostrze z ukosa znudzone spojrzenie.

- Nie ma potrzeby dalej dyskutować o sprawie, Merry. Uzgodniliśmy z Jasonem, że konie będą naszą wspólną własnością. Żaden z nas ich nie sprzeda ani nie zbędzie w jakikolwiek inny sposób.

Meredith odwróciła się do brata z chłodnym uśmiechem.

- Uzgodnienia między tobą i Jasonem są jak wiatr. Zmienne z niezmienną regularnością.

Jasper wzruszył ramionami.

- Cóż mogę poradzić, jeśli mój drogi brat wykazuje czasem zupełny brak rozsądku. Jestem starszy i mam obowiązek wyprowadzać go z błędu.

Meredith nie mogła się powstrzymać od szerokiego uśmiechu.

- To niezwykle celna, ale wielce zatrważająca uwaga.

Potrząsnęła głową. Jeśli Jasper, który często mylił się w ocenach i okazywał niedojrzałość przy podejmowaniu decyzji, rzeczywiście był bardziej odpowiedzialnym z braci, to zapewne Jasona nie powinno się wypuszczać z domu bez opiekuna.

- Zauważyłem, że salon od frontu i hol wejściowy, nie wspominając o jadalni i mniejszym saloniku, przypominają kwiaciarnię - powiedział

Jasper. - Czy żaden z twoich porannych gości nie mógł cię zabrać na przejażdżkę do parku? Przepuszczam, że otrzymałaś kilka propozycji.

Meredith odwróciła się, by ostrym tonem przypomnieć bratu, że wczorajszego wieczoru pomogła mu wygrać idiotyczny zakład, co stało się przyczyną wszystkich jej obecnych kłopotów. Zauważyła jednak, że Jasper tęsknie przygląda się kawalkadzie jeźdźców zmierzających do parku, więc szybko przełknęła swoje uwagi.

- Rozumiem, że towarzyszenie w parku siostrze - starej pannie - raczej nie pasuje do twojej sławy czarującego nicponia, ale muszę się dzisiaj pokazać i zyskać uznanie. A skoro z was dwóch ty jesteś bardziej odpowiedzialny i szanowany, jak sam to zresztą przed chwilą powiedział

łeś, uznałam, że tobie powinien przypaść ten zaszczyt.

- Po raz ostatni powtarzam, że ani dla mnie, ani dla Jasona nie jesteś starą panną - nalegał Jasper.

- Jak szybko zmieniasz śpiewkę, drogi bracie. Za ledwie wczorajszego wieczoru byłam uważana za odpowiednią kobietę, by wygrać wasz niedorzeczny zakład.

- Ach, więc o to ci chodzi. Postanowiłaś porzucić wszelkie pozory staropanieństwa i w to mokre popołudnie rzucić się w wir życia towarzyskiego. Taki jest prawdziwy powód wyciągnięcia mnie dzisiaj do parku.

Meredith poczuła niespodziewane zakłopotanie. W ocenie brata stała się osobą frywolną.

- Jesteśmy tu, bo nagle zaczęłam wzbudzać powszechne zainteresowanie, które w ogromnej mierze jest nieżyczliwe. Wydarzenia ostatniego wieczoru, szczególnie mój pocałunek z markizem, dostarczają towarzystwu tematu do niekończących się konwersacji i spekulacji. Liczne bukiety kwiatów, które zauważyłeś, są tylko wstępem do propozycji, które z pewnością nadejdą, teraz gdy jestem uważana za łatwy łup dla każdego mężczyzny pozbawionego skrupułów. To wrażenie należy jak najszybciej zatrzeć.

- Co?! - Jasper zareagował tak gwałtownie, że omal nie stracił panowania nad zaprzęgiem. - Jeśli którykolwiek z odwiedzających cię dzeń-74

telmenow nie okazał ci należytego szacunku, powinnaś natychmiast mnie wezwać.

- Żaden mężczyzna nie przyszedł z wizytą- stwierdziła obojętnie Meredith. - Po bardzo nieprzyjemnej, aie oświecającej gościnie lady Olivii Dermott zrozumiałam, że stałam się podmiotem najświeższej sensacji.

Odmówiłam spotkania z kimkolwiek. Lepiej nie dawać nikomu szansy zasugerowania mi, że już nie jestem szanowana, a incydent z markizem w jakiejś mierze splamił mój honor. Pomyślałam, że roztropniej będzie samej ruszyć do ataku, niż czekać, aż spadnie na mnie jeszcze większe odium.

Oburzenie na twarzy Jaspera przerodziło się w podziw.

- Trzeba przyznać, Merry, że wiesz, jak wybrnąć z sytuacji.

Uznanie Jaspera dodało jej pewności siebie. Meredith wiedziała jednak, że po drodze do celu może na nią czyhać jeszcze wiele pułapek.

- Plan jest dobry, ale nie doskonały. Tylko odpowiednie jego wykonanie zapewni nam sukces. Inaczej skończy się porażką.

- Więc musimy zrobić wszystko, żeby się powiódł.

Jason uniósł kapelusz na widok dwóch dam jadących w przeciwnym kierunku. Obie uśmiechnęły się do niego serdecznie.

- Podjedź powozem do drugiej bramy - poleciła Meredith, gdy zbli

żyli się do parku. - Chcę się najpierw przywitać z księżną Barlow i jej przyjaciółmi. Jeśli ona mi się odkłoni, inni szybko pójda w jej ślady.

Meredith dyskretnie wskazała trzy damy spacerujące zwirową ścieżką.

Widziała ich pochylone do siebie pod parasolkami głowy i szybko poruszające się usta.

Z chwilą gdy powóz wjechał do parku, zdawało się, że wszystkie oczy zwróciły się na nowo przybyłych. Z dużym wysiłkiem Meredith udało się powstrzymać, żeby nie wiercić się na siedzeniu. Zerknęła na brata, ale Jasper wydawał się zupełnie nieświadomy krytycznych spojrzeń ze wszystkich stron.

- Szanowne panie, witam w to piękne popołudnie! - zawołał. Zgrabnie podjechał powozem do trzech starszych dam. - Mam nadzieję, że cieszą się panie słońcem.

- Lordzie Fairhurst, przez cały dzień nie pojawił się nawet jeden promyk - odparła surowo księżna. - Gęste chmury skutecznie uniemożliwiają słońcu ukazanie się choć na chwilę.

- Doprawdy? - Jasper podniósł twarz ku niebu. - Nie zauważyłem chmur. Najpewniej dlatego, że pani, księżno, zabiera ze sobą słońce wszędzie, gdzie się udaje.

Księżna zmrużyła oczy. Towarzyszki przysunęły się do niej bliżej, jakby chciały się bronić.

75

- Pochlebstwo, młody człowieku? Wobec kobiety w podeszłym wieku?

- Szczera prawda, wasza wysokość.

Księżna uniosła brew.

- Ma pan wdzięk swojej matki. - W kąciku ust starszej damy pojawił

się niechętny uśmiech. - I urodą po ojcu.

- Księżno, proszę, bo zacznę się rumienić.

Księżna wybuchnęła śmiechem. Po chwili wahania jej towarzyszki również się roześmiały.

- Lordzie Fairhurst, jest pan niegrzecznym chłopcem- oświadczyła księżna z błyskiem w oku. Zalotnie przechyliła głowę, ale gdy spojrzała na Meredith, wyraźnie spoważniała. - Skłonność do figli u młodych, przystojnych lordów jest rzeczą naturalną- ciągnęła mentorskim tonem. -

Natomiast u niezamężnej damy jest niewłaściwa i nie będzie tolerowana.

Czyż nie mam racji?

Obie wiekowe kompanki księżnej gorliwie przytaknęły i spojrzały znacząco na Meredith. Prawie słyszała, jak cmokają z dezaprobatą. Dostrzegła potępienie w ich ostrych spojrzeniach.

- Tak, to smutna, lecz niestety prawdziwa opinia na temat naszego społeczeństwa - powiedziała Meredith. - Kobietom odmawia się prawa do takiej wolności, jaką cieszą się mężczyźni, nawet gdy są starsze i mądrzejsze.

- Hm, - Na twarzy księżnej pojawił się protest, ale ku uldze Meredith starsza pani nie odeszła. ~ Masz przynajmniej tyle rozsądku, by przyjechać do parku z bratem, To dla ciebie stanowczo lepszy towarzysz niż ten, z którym cię ostatnio widziano.

- W pełni się z panią zgadzam, wasza wysokość - odparła Meredith.

- Dobrze wiedzieć, że choć trochę odzyskałaś rozum - prychnęła księżna.

- Co też ci przyszło do głowy, drogie dziecko, by zachować się z taką szaloną niedyskrecją? - spytała dama, stojąca obok księżnej. -Jako tym usłyszałam, dostałam palpacji.

- Zapewniam, że cokolwiek pani słyszała, jest ogromnie przesadzone w stosunku do prawdy. - Meredith spuściła głowę i zamruczała pod nosem, mając nadzieję, że wygląda na odpowiednio skruszoną.

Księżna westchnęła ciężko,

- Spodziewam się, że ta ostatnia sensacja, którą wywołałaś, szybko ucichnie i zastąpi ją nowa. Ot, choćby dziś rano słyszałam, że córka lorda Robertsona zakochała się w swoim nauczycielu tańca. Nie dość, że młodzieniec jest dla niej zupełnie nieodpowiedni, to na dodatek jeszcze pochodzi z Francji!

Meredith powoli zaczęła wypuszczać powietrze, które dotąd wstrzymywała. Wszystko będzie dobrze. Przetrzyma strofowanie księżnej i jej świty ze skruszoną miną i pozostawi kobiety z wrażeniem, że żałuje swojego postępowania. Jednocześnie zasugeruje, że nie była tak do końca winna.

Zadowolona z rezultatu, Meredith z niepokojem czekała na odpowiedni moment, by się oddalić. Wiedziała, że ta chwila będzie miała kluczowe znaczenie. Jeden fałszywy ruch mógł zniszczyć podjęte dotąd kroki.

Jej skupienie zostało gwałtownie przerwane zgrzytem nagle hamującego powozu. Wszystkie oczy odwróciły się. Zdziwiona Meredith ujrza

ła na środku drogi otwarty powozik, zaprzężony w parę wspaniałych bia

łych koni, które niecierpliwie uderzały kopytami w ziemię, parszcząc z niezadowolenia, że są wstrzymywane.

Powoli, ostrożnie powóz podjechał i zatrzymał się obok nich, skutecznie blokując cały ruch w alejce. Woźnica okiełznał pełne animuszu zwierzęta i odwrócił się do Meredith.

Markiz Dardington z rozbawieniem wpatrywał się w Meredith niesamowicie niebieskimi oczami.

- Dzień dobry. Szybko umknęła mi pani do parku. Nie miałem przyjemności towarzyszyć pani w drodze tutaj, mam jednak nadzieję, że pozwoli się pani odwieźć do domu.

Zaciekawione spojrzenia nasiliły się dziesięciokrotnie. Zastępy zaintrygowanych widzów przybliżały się, aby wyłowić każde jej słowo i prze

śledzić najdrobniejszą zmianę wyrazu twarzy.

Nie spojrzała markizowi w oczy. Próbowała znaleźć właściwą odpowiedź. Jeśli go ostro odprawi, może to wywołać jeszcze większe spekulacje na temat łączących ich stosunków. Ale przecież nie wypadało powitać markiza jak przyjaciela czy nawet bliskiego znajomego.

- Moja siostra woli towarzystwo własnej rodziny - powiedział Jasper. -

To bardziej odpowiednie i stosowne dla damy z jej pozycją.

Meredith spojrzała spod rzęs, próbując ocenić reakcję markiza na uwagę brata. Wyglądał, jakby się powstrzymywał od śmiechu. Nachmurzyła się nieco, mając nadzieję, że Trevor nie podejmie tematu.

- Zachowanie lady Meredith jest zawsze bez zarzutu- odparł markiz. -Pańska siostra ma jednak odwagę, inteligencję i rozsądek, by ignorować sztywne wymogi nudnego, dwulicowego towarzystwa.

Siła charakteru to jej największa zaleta.

Meredith zaniemówiła. Była zszokowana. Cała jej ciężka praca została zrujnowana w jednej chwili. W innych okolicznościach taki komplement 77

sprawiłby jej przyjemność, ponieważ został wypowiedziany szczerze. Ale nie w tym przypadku, gdy była już tak blisko przekonania księżnej o swoim żalu za grzech poprzedniej nocy.

Meredith usiłowała zbagatelizować swoje związki z markizem, a on kilkoma zdaniem wszystko zniweczył.

I wyglądało na to, że tego mu jeszcze było mało. Podjechał powozem bliżej i zanim zdołała coś odpowiedzieć, sięgnął po jej dłoń. Pochylił

głowę. Meredith patrzyła z drżącym oczekiwaniem, jak markiz muska, ustami jej rękawiczkę.

Intymny, czuły gest wywołał westchnienie zdziwienia u księżnej i jej towarzyszek. Odzyskując zimną krew, Meredith śmiało uniosła głowę i spojrzała Dardingtonowi prosto w oczy.

- Nie sądzę, by mężczyzna z pana reputacją mógł dobrze ocenić charakter innych ludzi. - Splotła ręce na kolanach, wciąż jednak czuła palący dotyk jego ust. - Musi nam pan wybaczyć, milordzie. Chyba zmęczy

łam się świeżym powietrzem. Do widzenia, księżno. Do zobaczenia, drogie panie.

Ich niechętne odpowiedzi utonęły w skrzypieniu kół powozu, gdy ruszyli.

Trevor patrzył za nią z podziwem, aż powóz skręcił i zniknął z pola widzenia. Stopniowo dotarł do niego szum konwersacji tych, którzy przysłuchiwali się rozmowie, a teraz wymieniali wrażenia.

- Jest piękna. Założyłbym się o złotego suwerena, że włosy sięgają jej poniżej talii. To musi być wspaniały widok, gdy je rozplata i rozpuszcza aż do pośladków.

Trevor odwrócił głowę i spojrzał na mężczyznę z irytacją.

- Tylko raz przypomnę, że mówi pan o damie. Kobiecie, która stoi o wiele wyżej od takich, jak pan, Mallory.

- Nie chciałem jej obrazić. Nigdy nawet bym nie pomyślał, żeby kłusować na twoim terenie.

Lord Mallory wyciągnął z kieszeni surduta chusteczkę i otarł brew. Był

otyłym jegomościem, ze skłonnością do alkoholu i sporadycznych złośliwych uwag. Brakowało mu jednak odwagi do walki.

- Wszyscy wiemy, Dardington, że w końcu się nią znudzisz. Zawsze tak jest. A wtedy zostawisz wolne pole nam, byśmy mogli się starać o względy tej damy.

Trevor nigdy nie uważał się za porywczego mężczyznę. Jednak pragnienie, by uderzyć Mallory'ego pięścią w nos i zobaczyć, jak krew plami białą chusteczkę, było przemożne.

78

Ostatecznie nie dał się ponieść emocjom. Trzymał je mocno na wodzy-Był jednak tak blisko Mallory'ego, że tamten poczuł gniew promieniujący od markiza.

- Lady Meredith jest córką hrabiego - powiedział Trevor. - To delikatna i piękna istota, o nieskazitelnym charakterze i wytwornych manierach. Pan nie jest godzien czyścić jej butów.

Ostatnia uwaga była właściwie niepotrzebna. Wyraz twarzy Dardingtona dobitnie mówił, co myśli. Mallory mocno poczerwieniał, zaczął się jąkać jak półgłówek i uciekł w popłochu przy pierwszej nadarzającej się okazji.

Z rewor odczekał dwa dni, zanim złożył jej wizytę. Celowo przyjechał

wczesnym popołudniem, by uniknąć ewentualnego spotkania z kimś innym. Plotki na temat ich związku nie słabły. Nowe szczegóły oburzających spekulacji dotarły nawet do uszu Trevora. Otrzymał też liścik od ojca z nakazem, by trzymał się od dziewczyny z daleka, dopóki szum nie ucichnie.

To oczywiście uświadomiło Trevorowi, że odwiedzenie lady Meredith jest konieczne. Drzwi jej rodzinnego domu na Grosvenor Square otworzył starannie ubrany lokaj z niezwykle srogą miną.

- Lady Meredith nie ma w domu, milordzie - oświadczył służący, jak tylko markiz stanął na progu.

Trevor spodziewał się takiego powitania. Uśmiechnął się czarująco.

- Może lady Meredith zmieni zdanie, gdy zobaczy moją wizytówkę-

Z kartą wcisnął do ręki niechętnemu lokajowi złoty suwerek. Służący nieznacznie uniósł brew, przyglądając się nazwisku wspartemu złotem.

Wkrótce moneta zniknęła z widoku.

- Zobaczę, co będę mógł zrobić, milordzie,

Markiz czekał nie dłużej niż minutę. Z nadzieją podniósł oczy, lecz osłupiał, gdy zobaczył dżentelmena schodzącego z piętra.

- Ach, więc tak stoją sprawy - powiedział młody mężczyzna. Niedbale wygładził na wypięlegnowanych dłoniach koronkę mankietów i uśmiechnął się szeroko. - Oczywiście słyszałem rozmaite pogłoski, jednak lady Meredith nie wspomniała, że znajduje się pan w gronie adoratorów, których 79

wizyty przyjmuje w domu. I choć to przykre, że ją stracę, nie poczytuję sobie za wielką porażkę przegrać akurat z panem, Trevor patrzył ostro na Juliana Wingate'a, na wąską twarz, którą wiele kobiet uważało za ładną, choć zdaniem Trevora wyniosła mina nie dodawała jej uroku. Wingate służył w wojsku, w sztabie samego Wellingtona, na co wcale nie wskazywał obecny strój - cywilne spodnie, półbuty i modnie skrojony surdut.

- Nie wiedziałem, że wróciłeś do miasta - zauważył Trevor.

- Przyjechałem dwa tygodnie temu - odparł radośnie Wingate. - W zeszłym miesiącu sprzedałem mój patent oficerski. Dobrze być znów w domu.

Dalszą rozmowę przerwało pojawienie się lokaja.

- Proszę za mną, milordzie.

- Życzę szczęścia, Dardington. Obawiam się, że będzie go pan potrzebował, jeśli humor tej damy nie uległ znaczącej poprawie, Markiz patrzył, jak mężczyzna swobodnie przemierza hol i powoli wychodzi frontowymi drzwiami. Trevor nie był teraz pewien, czego ma się spodziewać. Odczuł wielką ulgę, gdy w bawialni zastał tylko jedną osobę, lady Meredith. Gdy wszedł, była do niego odwrócona plecami, jednak na odgłos otwieranych drzwi obróciła się szybko.

- Dzień dobry, lady Meredith.

Przez chwilę patrzyła na niego bez wyrazu. Potem uniosła rękę i mocno potarła skroń, mamrocząc coś pod nosem.

- Najwyraźniej lokaj ma kłopoty ze zrozumieniem prostych poleceń.

Ile pana kosztowało uzyskanie wstępu? - spytała.

- Słucham?

- Perkins, mój lokaj, jest wciąż poirytowany pewnym incydentem sprzed paru dni. Pana wizyta, podobnie jak wcześniej Juliana Wingate'a i lorda Fairchilda, wskazuje, że Perkins jeszcze mi nie wybaczył. - Skrzy

zowała ręce na piersi i spojrzała na markiza z zaciśniętymi ustami. - Praca Perkinsa jest dobrze opłacana, ale nie sądzę, że mógłby się oprzeć okazji do zarobienia dodatkowych pieniędzy. Ile?

Markiz uśmiechnął się. Jak zawsze wyglądała oszałamiająco. Prosta suknia w różowe paski z wysokim stanem podkreślała blask alabastrowej cery i zgrabnie uwydatniała piękną, szczupłą sylwetkę.

- Złotego suwerena-przyznał niechętnie.

- Ach, więc albo jest pan bardziej hojny, albo bardziej zdesperowany niż moi pozostali goście. Oni dali tylko pół gwinei.

- Nie żałuję ani grosza - powiedział szczerze Trevor.

Choć widział Meredith zaledwie kilka dni temu, poczuł nagłe pragnienie, by znaleźć się blisko niej. Już miał postąpić do przodu, gdy uświadomił sobie własny zamiar. Zwalczył odruch, wyprostował się i cofnął.

- Może powinna pani zwrócić Perkinsowi uwagę - zasugerował. - Jestem pewien, że jeśli pomówi pani z nim dostatecznie surowo, nie ośmieli się więcej sprzeciwiać pani woli.

- Miałabym go pozbawiać takiej gratki? - Meredith roześmiała się lekko. - To byłoby okrutne. Przypuszczam, że przed upływem roku mógłby przejść na emeryturę i wyprowadzić się na wieś.

- Ja nigdy nie zniósłbym podobnej zuchwałości ze strony służącego -

oświadczył stanowczo Trevor, choć wiedział, że czasami jest tyranizowany przez własnego lokaja. - Powinna pani rozważyć, czy nie należy go zwolnić. A przynajmniej zdegradować.

Uśmiechnęła się powoli.

- Perkins został zatrudniony przez mojego ojca i odpowiada tylko przed nim. Nie mam władzy ani chęci, żeby podziękować mu za pracę. Poza tym oddał nam wielką przysługę, przenosząc się do miasta. Zwykle nadzoruje służbę w naszym majątku rodzowym w Yorkshire, co jest, jak sam nieraz mówił, o wiele bardziej zaszczytnym zajęciem. Przybył do Londynu dopiero niedawno, gdy nasz poprzedni lokaj poważnie się rozchorował.

Na markizie nie zrobiło to wrażenia.

- Ja byłbym zaniepokojony takim nielojalnym zachowaniem służby.

- Powinien się pan cieszyć z nieposłuszeństwa okazanego przez Perkinsa. Gdyby okazał się bardziej sumiennym służącym, nigdy nie uzyskałby pan wstępu do mojego salonu.

Trevor poczuł ciepło na policzkach. Do licha, czyżby naprawdę zaczynał się rumienić?

- To chyba rzeczywiście niehonorowe wydawać własnego współlnika. - Trevor miał nadzieję, że mina, jaką przybrał, wyrażała jednocześnie urazę i skruchę.

Meredith spojrzała na niego przenikliwie. Opanował odruch, by rozluźnić krawat, który nagle zrobił się zbyt ciasny.

- Proszę mi powiedzieć, milordzie, jaka to ważna sprawa wymagała tak dużego przekupstwa?

- Służę wyjaśnieniami. - Markiz wskazał na sofę. - Można?

- Skoro pan musi - wycedziła przez zaciśnięte zęby Meredith. Przesunęła się na bok, by gość mógł przejść na środek pokoju. - Miałam nadzieję, że nie zostanie pan na tyle długo, by korzystać ze

spoczynku.

6 Zakład o miłość

Zatrzymał się, podniósł głowę i uśmiechnął kpiąco. Łydkami prawie dotykał brzegu siedzenia, jednak celowo nie siadał.

- Och, na litość boską! - parsknęła zniecierpliwiona Meredith i opadła na krzesło.

Zachwycił się, że wdzięk i uroda młodej damy nie gasły nawet, gdy próbowała być niemiła.

- W jakim celu przyszedł tu Julian Wingate?

- To nie powinno pana obchodzić.

Głos był pewny i stanowczy, ale w jej oczach Dardington zauważył

błysk niepokoju i uświadomił sobie, że dziewczyna śmiałością próbuje pokryć zdenerwowanie.

- Zdawało mi się, że Wingate jest zaręczony - powiedział.

- Owszem, i to z kobietą, którą znam. Jest szwagierką mojej bliskiej przyjaciółki, co czyni sytuację jeszcze bardziej niezręczną.

- Niby dlaczego?

Meredith wzruszyła ramionami.

- Choć może pan uznać tę opinię za staroświecką, wydaje mi się, że jego intencje wobec mnie raczej nie przystoją mężczyźnie, który ma się wkrótce ożenić.

- Porzuci swoją narzeczoną, jeśli tylko spojrzy pani na niego przychylnym okiem? - Trevor skrzywił się, gdy przysłała mu do głowy jeszcze bardziej nieprzyjemna myśl. - Zamierza go pani przyjąć?

Meredith przewróciła oczami.

- Pan Wingate nie zaproponował mi małżeństwa.

Trevora ogarnął nagły gniew.

- Odpowie mi za taką zniewagę.

- Och, milordzie. - Skrzyżowała ręce na piersiach. - A czego się pan spodziewał? Po pańskim uroczym popisie w parku dwa dni temu otrzymałam kilka nieprzyzwoitych propozycji. Wczoraj w teatrze żadna szanująca się kobieta nie odezwała się do mnie ani słowem, jakbym była niewidzialna.

- A pani reputacja?

- Obawiam się, że jest w strzępach. Chociaż może zdołam ją czasem odzyskać. W takich sprawach

nigdy nic nie wiadomo. - W zamyśleniu przesunęła językiem po górnej wardze. -Aż tak bardzo się tym nie przejmuję. Naprawdę. Nigdy w towarzystwie nie czułam się zbyt dobrze, choć nie ukrywam, że bardziej odpowiada mi sytuacja, gdy to ja odrzucam towarzystwo niż odwrotnie. Przyznam jednak, że bardzo się martwię, iż ten skandal dotknie moich braci. Już znalazło się kilku ojców, którzy **82**

grzmia, że nie pozwolą, by ich niewinne córki utrzymywały kontakty z Jasonem i Jasperem .

- Pani bracia są zbyt młodzi, by myśleć o małżeństwie - parsknął Trevor.

- Możliwe. Jednak lata obserwacji nauczyły mnie, że drzwi raz zamknięte, rzadko otwierają się ponownie. Nie chciałabym, by taki los spotkał moich braci.

Spuściła wzrok. Zauważył, że dziewczyna uporczywie szarpie fałdę sukni. Choć dzielnie próbowała bagatelizować sytuację, było jasne, że jest rozgoryczona i nieszczęśliwa.

- Wiesz, czego ci trzeba? - spytał zuchwale, patrząc jej prosto w oczy. -

Krótkiego przypomnienia tego, co nas zawiodło do gniazda os.

Wsunęła jej za ucho luźny kosmyk włosów. Podniosła wzrok, najwyraźniej zaskoczona. Czułość i pożądanie przepłynęły przez niego falą. Łagodnie ujął w dłonie jej piękną twarz, przytrzymał głowę i przycisnął usta do kształtnych warg.

Nie był pewien, czy Meredith zgodzi się na pocałunek. Poczuł, jak zeszywniała, zawahała się, ale potem, ku jego wielkiej radości i uldze, rozchyliła usta.

Jej słodki smak oszołomił Trevora. Obudził w nim czystą rozkosz, którą poczuł każdym nerwem. Objął Meredith ramieniem, przyciągnął bliżej i powoli, intymnie całował jej usta, aż usłyszał, jak wzdycha z podniecenia.

Była taką namiętą istotą. Pragnął jej z mocą, której sam nie rozumiał.

Lekko i ostrożnie muskał jej usta wargami. Poglaskał palcami delikatne, wrażliwe miejsce, gdzie szyja łączyła się z ramieniem, potem to samo zrobił czubkiem języka. Jęknęła głośnie i przywarła mocniej do muskularnego, rozpalonego ciała.

Trevor wciągnął w nozdrza ciepły, kobiecy zapach. Rosnące w nim podniecenie osiągnęło szczyt rozkosznej desperacji. Czuł, jakby stał na szczycie klifu, a ziemia powoli usuwała mu się spod nóg.

Nagle oderwał od niej usta. Drżała w jego objęciach. Wiedział jednak, że jeśli posunie się choć odrobinę dalej, w końcu uwiedzie Meredith na kanapce w saloniku.

Spotkali się wzrokiem i z bliska patrzyli sobie w oczy. W tej chwili była tak bezbronna i piękna, że serce omal nie stanęło mu w piersi. Odchrząknął.

- W całym tym nieszczęściu zapomniałaś o najprostszym i najbardziej oczywistym wyjściu, które zakończy skandal.

- Tak? - wyszeptała.

83

- Tak. - Nie mogąc się oprzeć, popieścił ustami jej szyję. - Moglibyśmy się pobrać,

W odpowiedzi szarpnęła się i spojrzała na markiza z niedowierzaniem.

- Chyba żartujesz.

- Jestem zatrwajająco poważny.

Nie były to pierwsze oświadczenia, które usłyszała. Podczas swojego pierwszego sezonu towarzyskiego otrzymała równe pół tuzina propozycji małżeństwa. Zakochani młodzieńcy na kolanach, dojrzały wdowcy, obiecujący przyjaźń i bezpieczeństwo, doświadczeni uwodziciele, którzy gładko przyrzekali, że porzucą swoje rozpustne nawyki i staną się wzorami wszelkich cnót - wszyscy oni przewinęli się przez ten salonik.

Słyszała niekończące się peany na cześć swojej urody, mocnego charakteru i kobiecego uroku. Każda z propozycji była inna i wyjątkowa, tak jak mężczyźni, którzy je składali, ale jedno miały wspólne. Wywoływały w niej lekkie mdłości, a poza tym pozostawiały ją zupełnie obojętną.

Jednak na rzuconą prawie mimochodem uwagę markiza zareagowała inaczej niż zwykle. Jego słowa obudziły w duszy Meredith niezliczone fantazje. Jakby cudownie poruszyły strunę ukrytą w jej głębi.

Odważyła się spojrzeć mu w oczy i na chwilę w nich utonęła. Nie powinna tego robić! To się skończy katastrofą dla nich obojga. Lekko potrząsnęła głową i postanowiła zapomnieć, że jest nim zauroczona.

- Pańska sugestia zupełnie nie ma sensu, milordzie.

Pochylił się i pocałował wierzch jej dłoni.

- Meredith, czy jesteś o tym absolutnie przekonana? Zapewniam cię, że małżeństwo ze mną nie będzie wcale przykre. Jestem ostatnim mężczyzną, który wymagałby od ciebie posłuszeństwa i podporządkowania.

- I w tym tkwi problem, milordzie, bo ja żądałabym tego od pana.

- Posłuszeństwa? Czy podporządkowania?

Uśmiechnął się ciepło, jak rzadko kiedy. Może i lepiej. Porażający urok leniwego uśmiechu burzył spokój jej ducha.

Zanim się zorientowała w jego zamiarach, znów ją pocałował. Głęboko, namiętnie i z tak subtelnym

erotyzmem, że poczuła mrowienie warg.

Pocałował ją w skroń, policzek i kącik ust. Oparła rękę na jego mocno umięśnionej piersi. Chciała go odepchnąć, jednak rosnące nieznośne napięcie prawie odebrało jej siły.

Ciało zdradziło Meredith, tuląc się do niego i domagając intymnej rozkoszy, którą ofiarowywał. Trevor przesunął palcami po smukłej szyi i w dół, do krągłości piersi. Niemal z czcią objął je rękami. Zamknęła oczy i westchnęła, gdy głaskał i pieścił sutki, póki nie stwardniały aż do bólu.

Szepnął coś cicho, choć gorączkowo, i posadził sobie Meredith na kolanach. Wiedziała, że powinna zaprotestować, powiedzieć, żeby natychmiast przestał, ale nie mogła wydobyć głosu. Przytuliła policzek do jego ramienia i zdyszany oddechem owiewała rozpalone ciało. Przesunął nogi tak, by twarda nabrzmiałość w jego spodniach znalazła się tuż przy jej kobiecości.

Dziewczynę ogarnął oszalamiający, rozkoszny ból, gdy Trevor zaczął

rytmicznie poruszać biodrami. Ciało Meredith jakby nagle ożyło. To było szaleństwo!

Łomoczący jej w uszach rytm serca zaczynał tłumić wszelkie poczucie rzeczywistości. Nagle oderwała się od niego. Wstała przerażona i zmieszana. Odeszła, potykając się, bo kolana drżały niemiłosiernie.

Wibrujące westchnienie wyrwało się jej z ust. Starła się opanować przyspieszony oddech. W takim stanie fizycznego i emocjonalnego podniecenia z trudem mogła myśleć, jednak dzielnie próbowała się do tego przymusić.

Małżeństwo z markizem Dardingtonem było nie do pomyślenia. Zaczęła wyliczać wszystkie argumenty przeciw temu związkowi, lecz zorientowała się, że nie jest w stanie sformułować nawet jednej sensownej myśli.

Zmusiła się, by zignorować potężny żar, który promieniował od niego mimo dzielącej ich odległości. Czowała, że płonie na całym ciele, jednak stłumiła napastliwe wrażenia. Właśnie teraz, bardziej niż kiedykolwiek w życiu musiała zachować rozwagę i przytomność umysłu.

Nie powinni zostać małżeństwem. Gdy opadnie ogarniająca ją namiętność, znajdzie się w pułapce, związana z mężczyzną, którego zupełnie nie interesowała i który nie darzył jej szacunkiem. Meredith nie wyobra

żała sobie bardziej żalosnej egzystencji.

Wiedziała, że Trevor potrafi kochać prawdziwie i w pełni, bo sama była świadkiem nadzwyczajnego małżeńskiego szczęścia z Lavinia. Meredith nie miała złudzeń, że mogłaby w Trevorze wzbudzić do siebie podobną miłość i oddanie.

Przez lata, które upłynęły od śmierci Lavinii, bardzo się zmienił. I to zdecydowanie na gorsze. Mężczyzna, jakim był dzisiaj Trevor, zdawał

się bardzo nieodpowiednim mężem.

A ona? Cóż, obawiała się, że byłaby równie nieodpowiednią żoną.

- Doceniam zaproponowane przez pana honorowe rozwiązanie moich obecnych kłopotów, jednak nie ma potrzeby poświęcać nas obojga, by hołdować zasadom, których żadne z nas nie szanuje -



wzrok tuż nad jego lewym uchem. - To niedorzeczne pozwolić, by ten skandal unieszczęśliwił nas na całe życie.

- Całe życie, droga Meredith? - Usta mu drgnęły. - To brzmi nazbyt dramatycznie. W odpowiedzi na moją propozycją wystarczyłoby zwykle

„nie”.

Rozsądek podpowiadał jej, że postąpiła słusznie. Dała mu jedyną możliwą sensowną odpowiedź. Więc dlaczego czuła się jak tchórz? Na ustach miał na wpół kpiący uśmiech, ale przez chwilę dostrzegła w jego oczach błysk bólu, a może rozczarowania.

Mocno przygryzła język i stała sztywno, gdy markiz podniósł się z miejsca. Patrzył jej prosto w oczy. Powoli poprawiał ubranie, które mu rozpięła, gdy się całowali. Ku swemu przerażeniu, musiała kilkakrotnie zamrunąć, bo łzy nagle napłynęły jej do oczu z emocji.

- Dziękuję panu za dzisiejszą wizytę, milordzie. - Pochyliła się w niskim, wdzięcznym ukłonie.

Spojrzał na nią badawczo. Gdy nie odezwała się słowem, krótko skinął

głową, obrócił się na pięcie i wyszedł z pokoju. Nie obejrzał się za siebie.

Meredith uważnie słuchała odgłosu jego kroków, dopóki nie ucichły w holu. Potem drzwi frontowe otworzyły się i zamknęły za markizem.

Zastanawiała się, kiedy i czy w ogóle jeszcze go zobaczy. Uświadomi

ła sobie, że do następnego razu może upłynąć dużo czasu. A jeśli nawet się przypadkiem spotkają, na pewno będzie to w miejscu pełnym ludzi.

Najprawdopodobniej już nigdy nie znajdzie się sam na sam z przystojnym i pełnym fantazji markizem.

Dziwne - na tę myśl poczuła pustkę, smutek i żal.

Po kolacji Meredith wzięła długą, gorącą kąpiel. Miała nadzieję, że to pomoże jej uspokoić nerwy. Wyciągnęła się leniwie w parującej wodzie z głową opartą o brzeg porcelanowej wanny. Czekwała, aż ciepło przeniknie jąna wskroś i choć trochę zmniejszy napięcie. Woda wpłynęła kojąco na jej ciało. Nie mogła jednak uciszyć burzy szalejącej w umyśle.

Wkrótce po kąpeli Meredith położyła się do łóżka i przez całą noc niespokojnie drzemała. Obudziły ją odgłosy dobiegające z korytarza.

Cichy szmer przerodził się w uporczywe brzęczenie. Meredith przekręciła się na bok i próbowała ignorować dźwięki, te jednak nie ustawa

ły. Usłyszała rozmowę, prowadzoną szeptem. Stłumione głosy odbijały **86**

się echem w wysokim korytarzu i docierały do sypialni. Zaintrygowana spojrzała na drzwi. Znów usłyszała szepty.

To były przynajmniej dwa, może trzy różne głosy. Wydawało się, że jeden z nich należał do Rose, jej pokojówki, ale nie miała pewności.

Zmęczona i zirytowana z braku snu, Meredith odrzuciła kołdrę, wstała i podeszła bosą do drzwi, by sprawdzić, co się dzieje.

Otworzyła je szeroko, gotowa ukarać osobę stojącą w korytarzu o tak niewymownie wczesnej godzinie poranka, ale nikogo nie dostrzegła.

Marszcząc brwi, wystawiła głowę za drzwi i rozejrzała się w obie strony.

Pusto. Niedowierzając własnym oczom i uszom, Meredith patrzyła uważnie w nieoświetlony korytarz.

- Kto tam?! - zawołała i omal nie podskoczyła, gdy głośny dźwięk jej własnego głosu przerywał ciszę.

Niczyjej odpowiedzi. Meredith zamrugnęła, potem zobaczyła cień przesuwający się w końcu korytarza. Po plecach przeszedł jej zimny dreszcz strachu.

- Wyjdź natychmiast! - rozkazała i głęboko ukryła roztrzęsione ręce w kieszeniach koszuli.

- Proszę o wybaczenie, milady - rozległ się drżący kobiecy głos. - To tylko ja, Rose.

- Kto tam jest oprócz ciebie, Rose? Czy nie zamierza się ujawnić?

Pokojówka odwróciła głowę i poszeptała ze swoim towarzyszem.

- To ja, lady Meredith - odezwał się znajomy męski głos.

- Perkins?

Meredith cofnęła się w mrok pokoju, by lokaj nie zobaczył jej w samej nocnej koszuli.

- Przepraszam, jeśli panią obudziliśmy - powiedział Perkins.

Meredith zwilżyła językiem wysuszone wargi. W głosie i zachowaniu lokaja, było coś, "co ją zaniepokoiło.

- Co się stało?

- Och, milady. - Rose podbiegła z twarzą wykrzywioną strachem. -

Chodzi o lorda Fairhursta i pana Jasona.

Meredith zrobiła krok do przodu.

- Co się stało? - powtórzyła.

- Nic, -Perkins podszedł bliżej. -Drobny incydent w skrzydle dla służby wzbudził zbyt wiele uwagi i dał powód do dramatycznych spekulacji.

Perkins spojrzał zjadliwie na Rose. Meredith zobaczyła w jej oczach błysk strachu.

- Proszę wyjaśnić-zaządała.

87

Perkins westchnął.

- Jeden ze służących zauważył, jak pani bracia opuszczają dom pół

godziny temu, i zaniepokoił się. W następstwie zamieszania obudziła się część służby i wezwano mnie, bym wszystkich uspokoił. Zapewniam, że sprawa jest pod kontrolą.

- Opuścili dom? Z pewnością zaszła pomyłka. O tej porze moi bracia na ogół wracają do domu.

Lokaj wykrzywił się w dziwnym uśmiechu i wzruszył ramionami.

Meredith szybko spojrzała na pokojówkę. Rose palcami nerwowo mięła spódnice.

- Co przede mną ukrywacie?

- Będzie pojedynek! -wyrzuciłaz siebie Rose przerażonym szeptem. -

Lord Fairhurst i pan Jason zamierzają zmazać plamę na pani honorze.

Jeden z pani braci będzie się strzelał z markizem Dardingtonem, a drugi odgrywał rolę sekundanta.

- Rose! - Perkins spojrzał na nią z ostrą reprimendą, ale dziewczyna wydawała się zbyt zdenerwowana, by to zauważyć.

- Stajenny George usłyszał, jak garderobiany pana Jasona mówiło tym stangretowi, i powiedział Robertsowi, młodszemu lokajowi, a on z kolei przekazał...

- Zwykle kuchenne plotki - przerwał Perkins. - Pouczyłem Rose, by nie zawracała pani głowy takimi bzdurami. Przepraszam, że panią obudziliśmy, milady.

Meredith prawie nie słyszała przeprosin lokaja. Czy to mogło być prawdą? Jej bracia nie słynęli z rozsądku, ale chyba nawet oni nie byliby na tyle głupi, by angażować się w zakazane przez prawo i grożące śmiercią działania. Meredith ostro spojrzała na pokojówkę. Rose, zwykle zrównoważona, czasami popadała w przesadę. I oczywiście uwielbiała plotkować.

Jednak z drugiej strony, teraz była naprawdę poruszona i przerażona.

Meredith poczuła nagły skurcz żołądka.

- Perkins, czy to prawda, że moi bracia wyszli z domu?

Lokaj przytaknął z powagą.

- Dokąd się udali?

- Nie wiem.

Na obojętnej twarzy lokaja pojawił się cień niepokoju. Obawy Meredith wzrosły.

- Ktoś w tym domu musi wiedzieć! Proszę natychmiast przepytac całą służbę. - Odwróciła się do pokojówki. - Rose, pomóż mi sięubrac. I niech wszyscy zbiorą się w salonie. Gdy zejde, chce usłyszeć całą historię.

Walcząc z ogarniającą ją paniką, Meredith szybko ubierała się przy pomocy Rose. Jednak pośpiech w niczym nie pomógł. Jedyne, co udało się ustalić po przepytaniu całej służby, to fakt, że pojedynek miał się odbyć o świcie. Nikt ze służących nie miał pojęcia gdzie.

- Tak mi przykro, lady Meredith - powiedział z żalem Perkins. - Może lokaj lorda Fairhursta albo pana Jasona mógłby tu coś pomóc, ale ich nie ma. Sam sprawdziłem ich pokoje.

Meredith ogarnęła fala bezradności. Serce się jej ścisnęło. Spróbowała jednak zapanować nad emocjami. Musiała myśleć! Działać szybko i rozważnie, bo od tego zależało życie.

- Zrobię wszystko, co w mojej mocy, by nie dopuścić do tego szaleństwa. Gdzie, twoim zdaniem, ten... ten pojedynek mógłby się odbyć?

Perkins zrobił żalostną minę.

- Ponieważ pojedynki są zakazane, często mają miejsce w prywatnych majątkach. Biorąc pod uwagę godzinę, o której panowie wyszli z domu, nie mogli odjechać zbyt daleko. Może jest jeszcze czas, by ich dogonić, ale musimy wiedzieć, gdzie szukać.

- Trzeba więc się dowiedzieć - powiedziała posępnie Meredith. - *I to szybko.*

Kazała przygotować powóz. Czekwała zniecierpliwiona, cały czas zastanawiając się, kogo poprosić o pomoc. Skrzywiła się ironicznie, bo pierwszą osobą, o której pomyślała, był markiz Dardington.

Wzdrygnęła się z zimna, gdy wyszła na pustą ulicę. Pospiesznie rozejrzała się po cichych, uśpionych domach stojących przy placu. Zatrzyma

ła wzrok na wspaniałej kamiennej fasadzie trzy budynki dalej.

Dom należał do księcia Shrewsbury, ale Julian Wingate wspominał, że podczas pobytu w mieście mieszka u dziadka ze strony matki. Czy ośmieli się złożyć mu wizytę o takiej barbarzyńskiej godzinie?

Stangret Meredith zapukał do drzwi księcia. Otworzył mu odźwierny, który najwyraźniej ubierał się w pośpiechu i wydawał się bardzo zirytowany najściem. Zerkając zza zaciągniętych zasłon powozu, Meredith wstrzymała oddech podczas rozmowy obu służących.

- Pana Wingate'a nie ma w domu, ale jego lokaj zgodził się porozmawiać z nami - oznajmił stangret po powrocie do powozu.

Meredith odetchnęła z ulgą.

Czas dłużył się w nieskończoność. Wreszcie pojawił się lokaj. Miał

zaciętą minę i zachowywał się nieco pogardliwie. Meredith nie robiła sobie większych nadziei, ale nie chciała się jeszcze pogodzić z przegraną. Szeroko otworzyła drzwi powozu i zaprosiła lokaja do środka.

89

- To miłe z pana strony, że zechciał się ze mną zobaczyć - powiedzia

ła cicho. - Obawiam się, że muszę prosić o pomoc w bardzo delikatnej sprawie, panie...

- Hawkins, proszę pani - padła sztywna odpowiedź.

Meredith złożyła ręce na kolanach i spojrzała mu prosto w oczy.

- Czy ma pan rodzeństwo, panie Hawkins?

- Siostrę-odparł zdziwiony lokaj.

Meredith uśmiechnęła się z lekką ulgą.

- Ach, więc na pewno wie pan, co znaczą więzi rodzinne. Bardzo kocham moich braci bliźniaków i obawiam się, że narazili swoje życie na ogromne niebezpieczeństwo. Dotarły do mnie wieści o pojedynku z ich udziałem, który jest wyznaczony na dzisiejszy ranek. Miałam nadzieję, że pan Wingate zdoła mi podpowiedzieć, gdzie mogłoby się odbyć to dramatyczne spotkanie.

Hawkins zmrużył oczy.

- Mój chlebodawca nie angażuje się w żadne zakazane prawem dzia

łania.

- Przepraszam, źle mnie pan zrozumiał- dodała pospiesznie Meredith. - Nie sugerowałam, że pan Wingate bierze w tym udział. Spodziewałam się jednak, że dżentelmen miary pana Wingate'a na pewno wiele wie o podobnych zwyczajach. A pan jako jego lokaj naturalnie jest równie dobrze poinformowany.

- Może. - Służący nadął się lekko.

Meredith omal nie krzyknęła ze zdenerwowania. Zdawała sobie sprawę, że służący nie miał obowiązku mówić jej czegokolwiek. Zaciśnęła palce na skórzanej sakiewce z pieniędzmi, jednak wzdragała się przed zaproponowaniem Hawkinsowi zapłaty.

Z doświadczenia wiedziała, że wielu jej własnych służących łatwo uległoby pieniężnej perswazji, ale podejrzewała, że w przypadku lokaja Wingate'a może być inaczej. Wyglądał na człowieka wyniosłego i nieprzejednanego. Obawiała się, że jeśli czymś urazi mężczyznę, on odejdzie i niczego nie ujawni. Zrobiła głęboki wdech, by się uspokoić, i zmusiła się, by działać bez pośpiechu.

- Wiem, że w tak delikatnej sprawie mogę polegać tylko na człowieku pańskiej miary i pozycji. - Zdobyła się na drżący uśmiech, choć żołądek skręcał się jej z emocji. - Pomoże mi pan, sir?

Mina lokaja pozostała obojętna. Zdesperowana Meredith zaczęła wyciągać z kieszeni woreczek z pieniędzmi, ale zanim zdążyła je zaoferować, służący przemówił: **90**

- Przypuszczam, że jeśli pojedzie pani na dużą polaną we wschodniej części Hyde Parku, milady, znajdzie tam pani to, co ją tak bardzo interesuje.

Meredith pochyliła się lekko.

- Na zawsze pozostanę pana dłużniczką - wyszeptała z przejęciem.

Lokaj skinął głową i wysiadł. Gdy tylko opuścił powóz, Meredith wydała polecenia woźnicy i natychmiast ruszyli.

Na odległym horyzoncie pojawiały się pierwsze przebłyski świtu. Meredith przyklejona do szyby, z rosnącym niepokojem obserwowała, jak głęboka szarość nocy staje się coraz jaśniejsza. Potem pojawiły się smugi bladej czerwieni, żółci i błękitu.

Każdego innego dnia cieszyłaby się widokiem pięknych kolorów poranka rozpalających niebo. Ale dzisiaj wstający świt oznaczał upływ cennego czasu.

Może już byli śmiertelnie ranni? Z łatwością wyobraziła sobie jednego z nich, jak leży cichy i znieruchomiały na trawie z wielką czarną dziurą w piersi, w kałuży szkarłatnej krwi.

To mógł być każdy z nich. Jasper. Albo Jason. Albo Trevor. Meredith zamknęła oczy i zadrżała. Z wysiłkiem zdusiła ból.

W końcu dotarli do parku. Gdy mijali zakręt, desperacko wystawiła głowę przez okno, by lepiej widzieć. Rozglądała się gorączkowo, usiłując coś dojrzeć we mgle przesłaniającej horyzont.

- Tam! - krzyknęła. - Na skraju tego oddalonego trawnika. Widzisz ich?

- Tak, milady - mruknął woźnica. - Niech się pani mocno trzyma.

Meredith uchwyciła się brzegu siedzenia, gdy powóz niebezpiecznie przechylił się na bok. Podciągnęła się i wyprostowała. Znów wyjrzała przez okno. Poczowała przyływ nadziei. Na szczycie wzgórza kręciła się grupa mężczyzn. Na razie wszyscy jeszcze stali na nogach.

- Wsiądę już tutaj! - zawołała w obawie, że zanim ciężki powóz wtoczy się na pagórek, upłynie zbyt wiele czasu.

Pojazd zaczął zwalniać. Nie zważając na własne bezpieczeństwo, Meredith wyskoczyła w biegu, z hałasem lądując na mokrej trawie. Gdy tylko jej stopy dotknęły ziemi, uniosła spódnicę powyżej kostek i zaczęła biec.

I revor Morely, markiz Dardington, stał w Hyde Parku na mokrej trawie. Dopisywał mu świetny humor. Dopiero wstawał świt, poranek był

chłodny i trochę wilgotny, a piękne kolory rodzącego się dnia przypomniały mu jego ulubiony obraz, sielski pejzaż namalowany ponad sto lat temu przez nieznanego artystę.

Oprócz markiza na trawiastym pagórku stało jeszcze z dziesięciu dżentelmenów. Większość z nich cicho i spokojnie rozmawiała. Tylko dwaj najmłodszy mężczyźni byli zajęci żywiołową i momentami niezwykle głośną dyskusją, któremu z nich przypadnie zaszczyt bronienia honoru siostry.

- Ja jestem starszy. To na mnie spoczywa obowiązek bronienia pozycji i reputacji rodziny.

- Tak, Jasper. Ale jesteś dziedzicem. Dlatego to ja powinienem ryzykować życie. Moja śmierć nie zaważy tak bardzo na sytuacji w rodzinie.

- Nie bądź idiotą. Meredith nigdy by mi nie wybaczyła, gdyby coś ci się stało. Poza tym nie mam wcale zamiaru dać się zabić czy zranić. To kolejny powód, dla którego właśnie ja powinienem walczyć. Ty będziesz moim sekundantem, Jason.

- Ale ja wyzwałem Dardingtona - odpowiedział szyderczym tonem Jason.

- Wcale nie!

- A właśnie, że tak!

Jasper przerwał na chwilę i rozprostował palce.

- Nawet jeśli, to bez znaczenia. Postanowiłem, że ja będę się pojedykował.

- Ty postanowiłeś! Nie miałeś prawa o tym decydować.

Bracia sprzecjali się dalej coraz bardziej podniesionymi głosami. W szarym świetle poranka i snującej się mgły Trevor z trudem odróżniał jednego brata od drugiego. Było jednak jasne, że obaj są przekonani o słuszności swoich racji.

ści swoich racji.

- Może najlepiej pozwolić im najpierw pojedykować się między sobą - zauważył Julian Wingate. - Potem mógłbyś wyzwać zwycięzcę.

Obawiam się, że jeśli będziemy czekać, aż te dwa szczeniaki podejmą decyzję, ominie nas nie tylko śniadanie, ale także obiad.

- Mnie się nie spieszy. - Trevor cofnął się o krok i nachmurzony spojrzał na Wingate'a, Nie wiedział,

jak to się stało, że książę dołączył do ich 92

grona, bo on sam go nie zapraszał. Gdy Trevor jednak uważniej przyjrzał

się grupie zaciekawionych obserwatorów, uświadomił sobie, że poza wicehrabią Aaronsem, swoim sekundantem, znał tylko jednego dżentelmena.

- Ja na twoim miejscu, wolałbym zmierzyć się z młodszym bratem, Jasonem - dodał Wingate. - Podobno jest dobrym strzelcem, ale łatwo ulega emocjom. Przy celnym oku i pewnej ręce można by go trafić natychmiast po sygnale do strzału.

Trevor skrzywił się z niesmakiem.

- Zbyt długo byłeś na wojnie, Wingate. Powszechnie wiadomo, że w pojedynku można uzyskać satysfakcję bez zabijania.

Wingate wzruszył ramionami.

- Satysfakcja to tylko część tego zwyczaju. Równie ważna jest potrzeba udowodnienia swojej wyższości i męskości.

Bracia najwyraźniej usłyszeli tę ostatnią uwagę, bo przerwali sprzeczkę. Odwrócili się i spojrzeli na Wingate'a równie chłodno i wyniośle.

Trevor musiał zagryźć wargi, żeby się nie roześmiać. Obaj w żywiółowym, śmiałym nastawieniu do życia byli podobni do siostry.

- Teraz, kiedy na chwilę przestali się kłócić, pozwólcie, że sprawdzę, czy zdołam jakoś przyspieszyć rozstrzygnięcie sprawy - powiedział wicehrabia Aaron s.

Wicehrabia poważnie traktował swoje obowiązki sekundanta. Odszedł

zdecydowanym krokiem, by porozmawiać z bliźniakami. Trevor patrzył, jak na kamiennej twarzy Aaronsa pojawia się zniecierpliwienie i wreszcie irytacja. Gdy wicehrabia westchnął ciężko i wyciągnął z kieszeni monetę, Trevor nie mógł powstrzymać uśmiechu.

- Już postanowione? - spytał markiz, gdy sekundant wrócił.

- Nareszcie - odparł wicehrabia Aarons z lekkim zniecierpliwieniem w głosie. - Zmusiłem ich, by rzucali monetą. To jedyne rozwiązanie, które zdołałem przeforsować. Lord Fairhurst będzie się pojedykował, a pan Jason Barrington sekundował. Uznałem, że nie zechcesz przeproszać, więc z góry odrzuciłem tę propozycję Barringtona. Teraz trzeba już tylko załadować i sprawdzić pistolety. Możemy w końcu zaczynać.

- Świetnie. - Trevor uśmiechnął się i wręczył wicehrabiemu grawerowany pistolet do pojedynków, który właśnie skończył czyścić.

Choć wielu zebranych mężczyzn okazywało wyraźne poirytowanie sporym opóźnieniem, Trevor był całą sytuacją szczerze rozbawiony. Zagorzała dyskusja między bliźniakami zrobiła na nim duże wrażenie. Zastanawiał się, na ile była prawdziwa, a ile z niej zostało odegrane na użytek zebranego tłumu.

Nikt z obserwatorów nie wiedział bowiem, że wynik pojedynku został już wcześniej ustalony.

Braci poważnie martwiła hańba, która spadła na siostrę nie bez ich udziału. Ostatniego wieczoru spotkali się z markizem. Mieli nadzieję, że wspólnie znajdą zadowalające wszystkich rozwiązanie.

Trevor uważał bliźniaków za raczej lekkomyślną i nieodpowiedzialną parę. Jednak wrzucił się ich oddaniem siostrze i determinacją, by naprawić szkodę. Po kilku kieliszkach wyśmienitego koniaku markiz mimochodem wyjawiał, że właśnie tego popołudnia poprosił lady Meredith o rękę. Niestety, propozycja została stanowczo odrzucona.

- Wcale mnie to nie dziwi - odparł Jason. Język trochę mu się plątał, ale markiz zrozumiał każde słowo. - Merry nigdy nie wybrałaby najprostszego i najbardziej oczywistego rozwiązania.

- To wbrew jej naturze - dodał Jasper,

Wszyscy trzej współczująco pokiwali głowami. Nalali sobie kolejną porcję trunku i zaczęli rozmawiać o innym możliwym wyjściu. Z powodu późnej godziny i mocnego alkoholu markiz nie potrafił powiedzieć, który z braci zasugerował pojedynek.

Pomysł natychmiast został podchwycony z ogromnym entuzjazmem.

Przynajmniej ciężar skandalu przesunąłby się na markiza i jednego z braci. Pojedynek mógłby też przysporzyć Meredith trochę sympatii damskiej części towarzystwa. I na pewno skutecznie uciąłby dokuczliwe dla siostry, niepożądane awanse innych mężczyzn.

Niecierpliwe uwagi obserwatorów szybko ucichły, gdy pojedynek wreszcie się zaczął. Markiz niedbale wziął od swojego sekundanta naładowany pistolet i zajął pozycję tyłem do przeciwnika. Powstrzymał się od patrzenia na Jasona. Wiedział, że musi się skupić na czekającym go zadaniu.

Szybko zerknął na lekarza, stojącego nieopodal z torbą w ręce. Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, nie będą korzystali z pomocy medyka. Po dłuższej naradzie markiz i bliźniacy ustalili bowiem, że nie trzeba rozlewu krwi, aby Meredith odzyskała reputację.

Nawet celnie wymierzony strzał w rękę czy nogę mógł się skończyć bolesną raną i pociągnąć za sobą fatalne konsekwencje. Nie, zdecydowali, że oponenti dobrze wycelują i strzelą obok, na tyle daleko od przeciwnika, by nie trafić.

Trevor wyprostował się i spokojnie przeszedł wymaganą liczbą kroków, odliczoną przez Juliana Wingate'a. Odwrócił się, stanął bokiem, podniósł ramię i uważnie wycelował. Świadomość, że przeciwnik nie ma

zamiaru go zranić, pomogła młodzieńcowi pewniej spojrzeć na wylot lufy pistoletu.

Jason z ulgą zauważył, że Jasper wydaje się równie spokojny. Trevor odwiódł kurek i czekał na sygnał do strzału. Wśród pełnych skupienia obserwatorów cisza stała się prawie namacalna.

Markiz był tak skoncentrowany, że z początku nie usłyszał hałasu w pobliżu. Odwrócił głowę i zobaczył, jak Julian Wingate wstrzymuje pojedynek stanowczym ruchem ręki. Potem Trevor usłyszał wysoki, zdyszany kobiecy głos.

- Przestańcie! Na miłość boską, natychmiast skończcie z tym wariactwem!

Trevor zaklął siarczyście pod nosem. Wiedział, że ten głos może nale

żeć tylko do jednej kobiety. Tej upartej, przeklętej damy, która miała piekielny talent do pojawiania się w najbardziej nieodpowiednim momencie.

Markiz zobaczył, jak jego przeciwnik na chwilę się zawahał, a na młodej twarzy pojawił się wyraz zdziwienia. Trevor rozluźnił się, ale nie opuścił ramienia. Z jakiejś przewrotnej przyczyny nie chciał oszczędzić lady Meredith wrażenia prawdziwego pojedynku.

- Niech to diabli porwą! Co pani tu robi?! - zawołał z boku Julian Wingate. - Niepotrzebnie rozprasza pani ich uwagę, lady Meredith. Proszę wrócić do powozu i natychmiast się stąd oddalić.

Do Wingate'a dołączyły głosy kilku gapiów, niezadowolonych z przedwczesnego przerwania porannego przedstawienia.

Lady Meredith uciszyła zgromadzonych jednym miążdżącym spojrzeniem. Trevor spostrzegł, że jej zarumienione z emocji policzki wyraźnie pobladyły, gdy dotarła na szczyt pagórka i zobaczyła Jaspера i jego z wycelowanymi pistoletami.

Wyraz niepohamowanego lęku po chwili jednak znikł. Na jego miejsce pojawił się spokój i rozwaga, co świadczyło, że lady Meredith już odzyskała panowanie nad sobą.

- Czy wy wszyscy całkiem postradaliście zmysły?! - krzyknęła z groźnym błyskiem w oku. - To niczego nie rozwiąże.

- Wingate ma rację, Merry - oświadczył Jasper. - To nie miejsce dla damy. Tu się rozstrzygają męskie sprawy. Musisz natychmiast wrócić do domu.

- Oczywiście, pod warunkiem, że ty i Jason będziecie mi towarzyszyć - odparła lady Meredith, przyjmując wojowniczą postawę.

- Meredith, proszę. - Jason podszedł do siostry.

Uniosła brodą. Trevor spojrział ze współczuciem. Wiedział, że Jason ma niewielkie szanse skłonić siostrą do zmiany decyzji.

Markiz powoli opuścił dłoń. Czuł, że prawe ramię drętwieje mu z napięcia. Wysiłek utrzymania ręki w powietrzu stał się zbyt duży. Jasper zrobił to samo, uznając, że tego ranka pojedynek już się nie odbędzie.

Włożywszy kamizelkę i surdut, Jasper dołączył do brata i Meredith.

Obaj przysunęli się do siebie, aby zasłonić siostrę przed ciekawskim wzrokiem zebranych. Niestety, nie mogli zrobić nic, by stłumić jej głos. Mówiła donośnie i tak wyraźnie, że wszyscy słyszeli każde słowo.

- Powtarzałam wam wiele razy, że mnie markiz nie znieważył, ale nie słuchaliście. Jeśli uznaliście za stosowne bronić mojego honoru, czy nie mogliście zdecydować się na mniej niebezpieczne rozwiązanie? - spyta

ła lady Meredith. - Ciągłe się przechwalacie swoimi umiejętnościami w walce na pięści, wyćwiczonymi do perfekcji w salonie boksterskim Jacksona. Czy uderzenie markiza w nos albo w szczękę nie usatysfakcjonowałyby waszego wygórowanego poczucia honoru?

- Co? Sugerujesz, że powinienem walnąć go pięścią w twarz w klubie u White'a?

- To na pewno lepsze niż kula w sercu - parsknęła Meredith, - Oczywiście, gdyby strzał trafił cię w głowę, szkoda byłaby niewielka, bo między uszami masz tylko wielką pustkę, Jasper.

Trevor uśmiechnął się pod nosem. Podejrzewał, że wtrącając się, jeszcze pogorszy drażliwą sytuację, ale nie mógł utrzymać języka za zębami.

- Może lepiej kontynuować tę dyskusję na osobności - zasugerował.

Podszedł bliżej, aż stanął prawie twarzą w twarz z lady Meredith.

Dziewczyna gwałtownie odwróciła głowę i rzuciła mu spojrzenie, które zmroziłoby sopel lodu.

- Swoją opinię proszę zachować dla siebie, milordzie. To sprawa rodzinna. Pańskie uwagi są nie na miejscu.

- Dziwne, że właśnie pani mówi o właściwym zachowaniu - powiedział Trevor. - Pani pewnie w to nie uwierzy, ale istnieją jeszcze kobiety, które znają swoje miejsce i wiedzą, co to posłuszeństwo i poddanie.

- W następną niedzielę będę się modlić w kościele za te nieszczęsne istoty - odparła i odwróciła się do niego plecami na znak odprawy. - Zechce nam wybaczyć, zabiorę braci do domu, zanim pojawią się inne idiotyczne pomysły obrony rodzinnego honoru.

- To niezupełnie nasza wina - odparł nadąsany Jasper, z ociąganiem idąc za siostrą. - Dardington dał ci okazję załatwienia tej sprawy bez rozlewu krwi, ale ty odmówiłaś.



Meredith zatrzymała się i spojrzała na brata czujnie.

- Nie wiem, o czym mówisz.

- Czyżby zapomniała już pani naszą rozmowę wczoraj po południu?. -

Trevor położył Meredith rękę na ramieniu. - Jestem zdruzgotany.

Odwróciła głowę.

- Powiedział wam? - spytała bliźniaków. - O tym, co się wczoraj zdarzyło?

- Tak - odparł Jasper.

Odwróciła się do markiza. Przez chwilę wyglądała na bezbronną i zmieszaną, w oczach czały się wątpliwości.

- Dlaczego?

- Chcieli się dowiedzieć, co o pani myślę, więc ich oświeciłem - odparł Trevor. - Nie widziałem w tym nic złego.

- Mówi pan zagadkami, Dardington - wtrącił się Julian Wingate, który niepostrzeżenie stanął obok z wyraźnym zamiarem podsłuchania rozmowy.

Trevor zignorował Wingate'a i nie spuszczał oczu z Meredith. Stała wyprostowana i nieruchoma, przyciskając ręce do piersi. Żałował, że nie wie, o czym młoda dama myśli, bo z miny nie mógł wywnioskować, co czuje. Przezornie zachował milczenie i czekał.

- Jeśli musi pan wiedzieć, wczoraj po południu markiz złożył mi propozycję małżeństwa. - Lady Meredith machnęła niedbale ręką. - Nie powinno pana zresztą obchodzić, za kogo wychodzę za mąż, panie Wingate.

- Niech to diabli porwą. - Wingate podrapał się po głowie. - Jeśli ma pani zamiar wyjść za Dardingtona, to dlaczego pani bracia strzelają się z nim w pojedynku?

- No właśnie, dlaczego? - parsknęła z irytacją Meredith i zadarła nos. -

Przyznaję, że to niezwykle dziwny sposób witania kogoś w rodzinie. Ale na pewno słyszał pan, że my, Barringtonowie, jesteśmy bardzo ekscentryczni i niekonwencjonalni.

Bliźniacy odwrócili się i spojrzeli na markiza z ogłupiałym wyrazem twarzy, wstrząśnięci i zadziwieni. Trevor przypuszczał, że miał dokładnie taką samą minę.

Wyglądało na to, że lady Meredith w bardzo bezpośredni sposób właśnie oznajmiła, że wyjdzie za niego za mąż. A to dopiero!

7 - Zakład o miłość

Biorąc pod uwagę status i pozycję towarzyską zarówno panny młodej, jak i jej oblubieńca, był to przedziwny ślub. Naprędce zorganizowana ceremonia w domu narzeczonej, w obecności tylko jej braci i garstki wiernej służby w roli świadków. Ze strony pana młodego nie było nikogo.

Jasper i Jason zdobyli dla Meredith specjalne pozwolenie na zamąż-

pójście. Jak na przeciętnych dżentelmenów, mieli dosyć niezwykły dzień: niedokończony pojedynek wczesnym rankiem, pospieszne dyskretne przygotowania do wesela aż do południa, potem kameralny ślub ich jedynej siostry.

Meredith obserwowała braci, jak z jej świeżo poślubionym mężem wznoszą toast wyśmienitym szampanem. Powtarzała sobie, że podjęła jedyną możliwą decyzję. Małżeństwo z markizem uchroni bliźniaków przed niebezpieczeństwem pojedynków w obronie jej honoru. Osiągnięcie już tylko tego warte było poświęcenia.

Nigdy nie zaznała strachu większego niż dzisiejszego ranka, gdy zobaczyła Jaspera i markiza z wycelowanymi w siebie pistoletami. Omal nie zemdląca.

Myśl, że jej lekkomyślne zachowanie pchnęło bliźniaków do tak desperackiego kroku, była przygnębiająca i jednocześnie otrzeźwiająca.

W jednej chwili pojęła, że musi ustąpić i wyjść za markiza, by oszczędzić wszystkim dalszych kłopotów.

Meredith spojrzała na trzymany w ręce bukiet fiołków. Kwiaty wręczył jej markiz z niewymuszoną serdecznością tuż przed ceremonią ślubną. Ten romantyczny gest bardzo ją ucieszył. Poczula ciepło rumieńca na szyi, gdy przyjmowała bukiet. Cicho wyjąkała podziękowanie.

- Meny, chodź, napij się z nami szampana! - zawołał wesoło Jasper. -

Dardington przysłał całą skrzynkę, a my wypiliśmy dopiero jedną butelkę.

- Tak, wypij z nami - nalegał Jason. - Jeśli nie opróżnimy tej skrzynki, będziemy zmuszeni kąpać się w trunku, tak jak Brummel.

~ Coś się wam pomyliło - wtrącił Trevor. - Brummel nie kąpie się w szampanie, ale powiadają, że nakazuje używać go do polerowania swoich butów.

- Naprawdę? - Meredith podeszła do nich z uśmiechem. - To wygląda na idiotyczne marnotrawstwo wspaniałego wina.

- Istotnie.

Trevor napełnił kieliszek i podał go Meredith. Cała czwórka trąciła się szkłem i roześmiała

serdecznie. Meredith pociągnęła duży łyk i poczuła przyływ optymizmu. Mimo że przed i po ceremonii zapadało dłuższe milczenie, w sumie dobrze się czuli we własnym towarzystwie.

Nadal wyczuwało się pewne napięcie, zupełnie naturalne, jeśli wziąć pod uwagę okoliczności zawarcia małżeństwa. Ale nie było ukrytych animozji. Nieoczekiwane i bardzo miłe poczucie harmonii dawało Meredith nadzieję na przyszłość.

Tak, zdecydowała się na małżeństwo częściowo ze względu na braci.

Chciała uchronić bliźniaków przed ich własną głupotą. Częściowo robi

ła to też ze względu na markiza. Choć nadal wątpiła, czy jako żona spełni jego oczekiwania, była przekonana, że przynajmniej ze swojej strony jest w stanie zapewnić mocne podstawy udanego związku.

Towarzystwo, ciekawą rozmowę, ciepły, gościnny dom, może kiedyś dziecko lub dwoje, jeśli ich zapragnie. Przypomniała sobie moc pocałunków i żar pieśzcot Dardingtona. Serce jej na chwilę stanęło na myśl, że stworzą nowe życie.

I tak wyglądała cała prawda. Meredith była w markizie zakochana.

Niespodziewanie, niewytłumaczalnie i głupio zadurzyła się w przystojnym Dardingtonie. Bardzo się bała do tego przed sobą przyznać. Przera

żały ją konsekwencje.

A jednak, gdy markizowi zagrażało śmiertelne niebezpieczeństwo, nie mogła powstrzymać emocji. Wiedziała, że nie miałyby sił przeżyć reszty życia, gdyby stało się najgorsze.

Teraz, jeśli tylko zdoła, sprawi, że będą ze sobą bardzo, bardzo szczę

śliwi. Przełknęła kolejny łyk szampana i omal głośno nie wyśmiała własnego zarozumiałstwa. To komiczne wierzyć, iż można zmieniać świat, gdy trudno kontrolować nawet własne niesforne serce. Zdecydowała jednak, że spróbuje.

Nie przypominała innych narzeczonych, pełnych złudzeń, że czeka je życie we dwoje przepelnione tylko miłością, szczęściem i pomyślnością.

Była gotowa stawić czoło wyzwaniom, trudnościom i niepewnej przyszłości.

Meredith spojrzała na męża. Ubrany był w elegancki czarny surdut, pantalony, jedwabne pończochy i czarne buty. Miał na sobie kamizelkę haftowaną złotą i srebrną nitką w przepiękny wzór polnych kwiatów.

Wyglądał oszałamiająco.

Gdy zjawił się w ich domu, aż otworzyła usta z zachwytem. Na szczę

ście nie zdążył tego zauważyć.

- Jeszcze szampana?

Zaskoczona Meredith przerwała rozmyślenia i wyciągnęła pusty kieliszek w stronę męża. Baczenie popatrzyła na Trevora.

- Dziękuję-wyszeptała.

99

Markiz odwzajemnił się jej równie uważnym spojrzeniem. Twarz miał

pełną napięcia, nieruchomą i prawie ponurą. Widziała, że trudno mu odgadnąć jej uczucia. Ba, sama miała z tym kłopot.

Uniósł nieco kieliszek, uśmiechnął się i zwilżył wargi. Zniknął pod

świadomy lęk, że wychodząc za niego, Meredith popełniła kolosalny błąd.

Powtórzyła gest markiza i opróżniła kieliszek.

Bez względu na to, co stało się w przeszłości, teraz dołoży wszelkich starań, by wszystko skończyło się pomyślnie.

Pierwszą próbę w ich związku musiała przejść zaledwie parę kwadransów od wypowiedzenia słów przysięgi, gdy Jason niewinnie zapytał, gdzie zamieszka młoda para.

- Nie mam domu w Londynie - powoli odparł markiz. - Ale posiadam trzy majątki, dwa z nich są nawet spore. Najbliższy jest w Devon.

Chciałabyś się tam przeprowadzić?

- Dzisiaj?

- Moglibyśmy wyjechać w ciągu godziny. - Markiz w zamyśleniu potarł podbródek. - Rzadko odwiedzam Hawthorne Manor, ale utrzymuję tam komplet służby, która szczeni się tym, że jest zawsze gotowa na moje przyjęcie, nawet bez najmniejszego uprzedzenia.

- Jak długo byśmy tam zostali? - zapytała Meredith.

Markiz wzruszył ramionami.

- W nieskończoność. Jednak jeśli Hawthorne Manor ci się nie spodoba, możesz pojechać do Chester House albo Billingsworth Castle.

- Czy te posiadłości są położone blisko siebie?

- Niezupełnie. Billingsworth Castle jest bardzo malowniczy, jeśli się lubi prowincję. - Na twarzy markiza pojawiło się zadziwienie. - Podoba

łoby ci się na wsi? Chyba wolałabyś zostać w mieście, przynajmniej przez najbliższe kilka tygodni. Sezon towarzyski jeszcze się na dobre nie zaczął.

- Atrakcje sezonu niezbyt mnie pociągają- odparła szczerze Meredith, zastanawiając się, czy wyjazd z Londynu byłby rzeczą rozsądną, czy nie. - Nie chciałabym jednak, by wszyscy odnieśli wrażenie, że przed czymś uciekamy, jeśli tak nagle zaszylibyśmy się na prowincji.

Markiz zmarszczył brwi.

- Teraz jesteś pod moją opieką. Jako markiza Dardington znalazłaś się ponad niską obmową, którą zabawia się towarzystwo.

Meredith z trudem powstrzymała się od cynicznej odpowiedzi. Podejrzewała, że jest wręcz przeciwnie, że właśnie teraz naprawdę stała się obiektem plotek i spekulacji. Nie chciała jednak wszczynać kłótni i to w obecności braci.

100

- Nie widzę ważnego powodu, byśmy pozostali w mieście. Będę gotowa do wyjazdu do Hawthorne Manor, kiedy tylko sobie zażyczysz.

- Świetnie. Z przyjemnością cię tam zawiozą i poinstruuje służbę) że mają ci przygotować podróż do innych majątków, gdy tylko tego zażądasz.

- A ty nie będziesz mi towarzyszył w drodze do innych posiadłości milordzie?

Markiz spojrzał pytająco, ale nie odezwał się. Meredith zawahała się.

Jego milczenie wyraźnie coś znaczyło, ale nie chciała przyjąć do wiadomości najbardziej oczywistego wyjaśnienia.

Atmosfera w pokoju zrobiła się nagle lodowata.

- Zamierzasz wrócić do Londynu beze mnie? - spytała w końcu.

- Oczywiście.

- Kiedy?

- Nie wiem-ciągnął, nie zważając na jej szybkie westchnienie. -Zapewne po tygodniu. Najpóźniej po dwóch.

- A ja mam zostać na wsi? W Hawthorne Manor?- Poczwała ucisk w żołądku i gorycz w ustach.

- Nie obawiaj się, milady. Zapewniam, że to wspaniała posiadłość -

powiedział Trevor spokojnym tonem. - Pozwoliłem ci też przenieść się do innych majątków, jeśli poczujesz taką potrzebę.

- A jeśli zapragnę wrócić do Londynu?

Trevor zmarszczył brwi.

- Przecież właśnie powiedziałaś, że nie ma ważnego powodu, by pozostać w mieście.

- A jeśli chcę być z moim mężem? - zapytała ostro. - Jeśli odmówię pozostania na prowincji, podczas gdy ty będziesz beze mnie spędzał dni i noce w mieście?

- Dopiero co mówiłaś, że rozrywki sezonu towarzyskiego niezbyt cię interesują.

- Tak jest, muszę jednak przyznać, że bardzo mnie interesują twoje rozrywki.

Był wyraźnie zaskoczony jej szczerą odpowiedzią.

- W takim razie podróż na wieś nie ma sensu, jeśli żadne z nas nie zamierza pozostać tam na dłużej. Równie dobrze możemy zostać w mieście.

- Świetnie. - Z trudem utrzymała zrównoważony ton głosu. - Ponieważ nie dysponujesz odpowiednim lokum, polecę, by przygotowano pokoje tutaj. Jestem pewna, że zapewnimy ci wszelkie wygody.

101

Meredith szybko odwróciła głowę i spojrzała na bliźniaków. Zobaczy

ła w ich oczach współczucie. Zdławiła w sobie gniew i irytację. Najbardziej ze wszystkiego nienawidziła, gdy się nad nią użalano.

- Nie będę nadużywał gościnności moich szwagrów i teściów. Nie jestem nędznym łowcą posagów - warknął markiz. - Zwłaszcza że twoich rodziców tu nie ma, by mogli udzielić pozwolenia.

- Och, na litość boską, przecież tworzymy rodzinę! - zawołała Meredith. -

Jeśli potrzebujesz pozwolenia, mój panie i władco, to ja ci go udzielenę.

Z chwilą gdy padły te słowa, pożałowała, że je w ogóle wypowiedzia

ła. Ze wścieklej miny markiza wywnioskowała, że to rozwiązanie jest dla niego nie do przyjęcia.

- Zostaniemy, tylko dopóki twój plenipotent nie znajdzie dla nas w mie

ście domu do wynajęcia - dodała pośpiesznie.

Zmrożona nieruchomym, zdeterminowanym wyrazem twarzy markiza, Meredith rozsądnie powstrzymała się od dalszych sugestii.

- Poleć pokojówce, by spakowała twoje rzeczy.

Stanowcze słowa zostały wypowiedziane cicho, ale w uszach Meredith zabrzmiały z tym większą mocą.

Dygnęła i wyszła z pokoju. Postarała się wrócić możliwie szybko, ubrana już w nową pelerynę podróżną z odpowiednio dobranym kapturkiem.

- Poprosiłam Rose, by zapakowała niewielki kuferek z rzeczami niezbędnymi na kilka dni. Resztę ubrań i osobistych drobiazgów każe przysłać później.

Markiz wydawał się zaskoczony. Meredith omal się nie uśmiechnęła.

Czy spodziewał się, że żona odmówi? Że będzie się ociągać, aż zapadnie noc? Albo że się zbuntuje i zamknie w pokoju?

Nagle zrobiło się późno. Bracia uściskali i ucałowali siostrę na pożegnanie. Meredith mocno przytuliła się do nich, zdziwiona własnymi emocjami. Nigdy nie przypuszczała, że rozstanie z nimi będzie takie ciężkie.

- Życzymy ci szczęścia - powiedział jej na ucho Jasper. - Jeśli będziesz nas kiedykolwiek potrzebować, daj znać. Jesteś naszą siostrą i bardzo cię kochamy.

- Wiem.

Uścisnęła Jaspiera po raz ostatni i odwróciła się. Markiz przyglądał się jej wyczekująco.

- Jestem gotowa, milordzie. - Meredith wyprostowała się i uniosła podbródek.

- Chodźmy więc, milady. Mamy jeszcze do przekazania mojemu szanownemu ojcu wspaniałą, niespodziewaną wiadomość. , 102

Jeśli markiz czuł jakieś obawy w związku ze swoim pospiesznym ślubem z Meredith, to wzrosły, one znacznie, gdy powóz zajechał przed rezydencję ojca.

- Czy księżę się nas spodziewa? - spytała z ciekawością Meredith na widok armii ubranych w liberie lokajów, którzy wybiegli, by asystować przy wysiadaniu z powozu.

- Nie sądzę - odparł Trevor. - Nie było okazji, aby zawiadomić go o naszym przybyciu. Ani o małżeństwie.

Ostatnie zdanie Trevor wypowiedział przytłumionym szeptem, gdy przekraczali próg rezydencji. Usłyszał, jak Meredith nabiera tchu. Odwróciła się do męża. Oczy miała rozszerzone ze zdziwienia.

Spokojnie, niemal leniwie wytrzymał jej spojrzenie, prawie prowokując, by zrobiła scenę wobec tyłu ciekawskich służących. Spojrzała na niego twardo, a potem miała czelność się uśmiechnąć.

- Tchórz - wyszeptała.

Markiz przełknął uśmiech, idąc posłusznie za żoną. Poprowadzono ich prosto do ojca, do zielonego salonu, który nazwę zawdzięczał zieleni tkanin, dywanów i draperii. Gdy Trevor był dzieckiem, ta mieszanina różnych odcieni przyprawiała go o zawrót głowy.

Uprzejmie uklonił się ojcu na powitanie. Uświadomił sobie, że także jako dorosły podobnie reaguje na falujące mu przed oczami morze zieleni.

- Jesteś za wcześnie - powiedział zniecierpliwiony księżę. - Choć to chyba lepsze niż przepisowe spóźnienie. Albo niepojawienie się w ogóle. - Księżę ruszył do przodu i nagle się zatrzymał. Wyraz zdziwienia na twarzy ojca powiedział Trevorowi, że księżę dopiero teraz zauważył, że syn nie jest sam. - Nie zostałem poinformowany, że przyprowadzisz na kolację gościa.

Przeklęta proszona kolacja! Jak mógł zapomnieć, że ta wspaniała uroczystość miała się odbyć właśnie dzisiaj wieczorem? Trevor zaklął

w duchu na ten niefortunny obrót sytuacji. To był najgorszy moment na poinformowanie ojca o nagłym ożenku. Przecież właśnie dziś księżę zamierzał przedstawić go kobiecie, którą uważał za odpowiednią żonę dla dziedzica.

Trevor nigdy nie czuł paniki, ale właśnie teraz go ogarnęła. Jednak zdecydowanie stłumił ją w sobie.

- Nie przybyliśmy na pańską kolację, sir - powiedział.

- A niby dlaczego nie?! - zawołał księżę rozdrażnionym tonem. - Już trzy dni temu uprzedzałem cię, jakie to ważne.

Markiz wzruszył ramionami, dając księciu do zrozumienia, że nie przejmuje się zbyt jego nakazami.

- Proszę wybaczyć, wasza wysokość. - Lokaj uprzejmym ukłonem przerwał rosnące napięcie. - Pani Pritcher chciałaby wiedzieć, dokąd mają być zanesione bagaże.

- Bagaże? - Księżę uniósł brew i uśmiechnął się lekko. - Przybyłeś z bagażami? Zamierzasz z powrotem sprowadzić się do domu? - Rzucił

synowi radosne spojrzenie. - Już się obawiałem, że nigdy nie odzyskasz rozumu i nie wrócisz tu, gdzie twoje miejsce. No, Trevorze, tylko mi się nie krzyw. To wspaniała wiadomość, mój chłopcze. Wspaniała.

Trevor starał się opanować panikę, która zaczęła go ponownie ogarniać. Sytuacja wymykała się spod kontioli.

- O bagażu zdecydujemy później. - Markiz odprawił lokaja gestem.

Gdy tylko służący wyszedł, Trevor wziął żonę za rękę. Mimo że w pokoju było przyjemnie ciepło, palce miała zimne.

- Przyszliśmy przekazać ci dosyć ważne wieści, sir. Lady Meredith i ja podaliśmy się kilka godzin temu.

- Co? - Oczy księcia zrobiły się okrągłe z przerażenia. - Ożeniłeś się z tą kobietą po tym, jak wyraźnie nakazałem ci trzymać się od niej z daleka? Czy nie jesteś w stanie posłuchać jakiegokolwiek mojej rady? Czy też postanowiłeś mnie unieszczęśliwić i przedwcześnie wpędzić do grobu?

- Sir, nie jestem już chłopcem, tylko trzydziestoletnim mężczyzną. Nie potrzebne mi pańskie rady czy aprobaty tego, co robię. Pomyślałem tylko, że wypada, byś poznał te wieści ode mnie, nie z „Timesa”. Pewnie się pomyliłem.

- Może nie tylko w tej sprawie się pomyliłeś. - Księżę spojrzał znacząco na brzuch Meredith. - Jaki jest prawdziwy powód tak pospiesznego ślubu? I skąd ta tajemnica?

Trevor poczuł, jak żołądek ścisną mu się nagle ze zdenerwowania. Przez chwilę obawiał się, że Meredith się zmiesza wobec tak wyraźnej dezaprobaty księcia. W jej błyszczących oczach zobaczył jednak tylko dumę i stano wczosć.

- Byłoby mądrze z waszej strony pamiętać, że nie jestem ani głucha ani głupia, a stojąc o metr od was, słyszę każde nieprzyjemne słowo pod swoim adresem - oświadczyła spokojnym tonem. - Jako osoba rozsądna, niespodziewałam się wylewnego przyjęcia ze strony nowej rodziny.

Byłabym wam jednak wdzięczna, gdybyście przestali rozmawiać, jakby mnie tu nie było, jakby nie mogły mnie obrazić niemiłe uwagi i bezpodstawne zarzuty.

- Moje uwagi wcale nie są bezpodstawne - odparł książę. - Podczas balu lady Dermond byliście w ogrodzie sam na sam i wróciliście w strojach wymiętych i niedbałych.

- To plotki i insynuacje, wasza wysokość. Nikt nas nie widział w ogrodzie.

Książę zacisnął usta.

- Jesteś pewna?

- Tak, najzupełniej - odparła Meredith i odważnie spojrzała mu w oczy. - Być może nie cieszy pana, że jestem jego synową, jednak swojemu synowi i mnie jest pan winien przynajmniej pomoc i obronę przed tymi, którzy oczerniają nasze nazwisko. Pańskie nazwisko.

Wypowiedź Meredith była dla księcia takim zaskoczeniem, że zszokowany zamilkł. Trevor patrzył ze zdumieniem, jak ojciec zaczyna coś mamrotać, potem mocno się czerwieni. Markiz uświadomił sobie z pewnym rozbawieniem, że po raz pierwszy w życiu widzi pąsy na twarzy księcia.

Trevor spojrzał na żonę i poczuł przypływ dumy. Ojciec musiał mu przyznać przynajmniej jedno: miał świetny gust do kobiet. Meredith była piękna, pełna wdzięku i opanowana. Stanowiła rzadkie połączenie elegancji i kobiecej doskonałości.

- To sprawa rodzinna, dziewczyno. Niech cię o nią nie boli twoja piękna główka.

- Dziękuję za komplement, książę. - Zdawało się, że Meredith trzyma gniew na wodzy. Skrzyżowała ręce na piersiach i stanęła w prowokującej pozycji. - Jeśli zechciałby pan przez chwilę posłuchać, markiz wszystko wyjaśni.

- O, doprawdy wszystko? - spytał książę z sarkazmem.

- Właściwie nie ma czego wyjaśniać. - Trevor czuł narastającą irytację. Nie będzie tu stał i pozwalał się traktować jak niesforne dziecko, nie zamierzał też narażać swojej żony na takie przykrości. - Poprosiłem lady Meredith, by niezwłocznie za mnie wyszła. Zgodziła się i zdecydowali

śmy, że najlepiej będzie zrobić to dzisiaj. Przykro mi, jeśli czuje się pan urażony, sir, ale nic na to nie można już poradzić.

Książę zeszywniał. Markiz przełknął gorycz w ustach i odwrócił się, by wyjść. Prawdopodobieństwo, że ojciec zaakceptuje mariaż, wydawa

ło się znikome. Choć Trevor miał pewną nadzieję. Zdecydował jednak, że lepiej wyjść teraz i zachować resztkę godności.

105

- Książę, czy możemy zostać na kolacji? - zabrzmiał cichy, melodyjny głos Meredith.

Trevor otworzył usta, by zaprotestować, ale Meredith mocno uszczypnęła go w ramię. Patrzył, jak

książę buntowniczo zacisnął usta i przygotował się na nieuchronną odmowę.

- Mój lokaj wspomniał, że przybyliście z bagażami. Zdaje się, że zamierzaliście zostać dłużej niż tylko na posiłek.

Meredith zmarszczyła nos.

- Byłoby niegrzeczne z naszej strony wpraszać się tam, gdzie nie jesteśmy mile widziani. Dlatego poprosiłam o zgodę na kolację.

- To wasz dom - burknął książę. - To oburzające, sugerować, że potrzebne wam oficjalne zaproszenie.

- Milordzie? - odwróciła się do markiza, jak na żonę przystało, okazując mu posłuszeństwo, które wydawało się szczere, choć sprzeczne z jej charakterem.

Trevor był nim dziwnie oczarowany.

Zmieszany, przegarnął ręką włosy. Biorąc pod uwagę reakcję ojca na wiadomość o ich małżeństwie, spodziewał się, że Meredith ucieknie przy pierwszej nadarzającej się okazji. Z jakiegoś powodu zdecydowała się jednak zostać.

- Z przyjemnością dołączymy do pana i jego gości na kolacji - odparł

markiz.

- A bagaże?

- I zamieszkamy w pańskim domu. Oczywiście tymczasowo - dodał

Trevor.

Przez twarz księcia przemknęła ulga i satysfakcja. W tej krótkiej chwili markiz uświadomił sobie wstrząsającą prawdę. Ojciec może i nie był

zadowolony z tego małżeństwa, ale rzeczywiście chciał, żeby zostali.

Nie umiał jednak prosić, potrafił tylko rozkazywać, a takie podejście nigdy nie skutkowało wobec niezależnego syna.

- Kolacja zacznie się o siódmej - oznajmił gospodarz domu. - Jestem już stary i wczesnie kładę się spać.

- Będziemy gotowi, sir. - Trevor odwrócił się i spojrzał w zamyśleniu na żonę. - Wczesna kolacja bardzo nam odpowiada. To jest przecież nasza noc poślubna.

Meredith szybko odwróciła głowę. Przez chwilę stała zupełnie nieruchomo, z twarzą pozbawioną

wyrazu. Potem uniosła podbródek i lekko podeszła do drzwi, jakby słowa Trevora dotyczyły rzeczy tak zwyczajnej jak ta, że na kolację będzie pieczony drób.

106

jjij iii

Po raz pierwszy od wielu lat Trevor uśmiechnął się z prawdziwą przyjemnością.

Dogonił Meredith w głównym holu.

- Mogłeś mnie uprzedzić - wyszeptała cicho, gdy chwycił ją za łokieć.

- O czym?

- O twoim ojcu. - Nie wyglądała na zdenerwowaną czy złą z powodu tego zaniedbania, była tylko trochę zmieszana. - On mnie nie lubi.

- On cię nie zna - odparł beztróska Trevor.

- Właśnie. - Błysnęła uśmiechem, potem szybko zmarszczyła brwi. -

Nie jestem tak naiwna, by spodziewać się, że księżę przywita mnie z otwartymi ramionami, zwłaszcza jeśli się weźmie pod uwagę niecodzienne okoliczności zawarcia naszego małżeństwa. Odniosłam jednak wrażenie, że lada moment powie mi, bym używała wejścia dla służby, aby nikt mnie nie zobaczył w waszym towarzystwie.

Trevor zmieszany zmarszczył brwi.

- Jeśli zachował się wobec ciebie tak nieprzyjemnie, dlaczego chcia

łaś zostać na kolacji?

- Bo jemu bardzo zależało, żebyś ty był obecny.

- Dlaczego miałyby to coś znaczyć dla ciebie?

Spojrzała na niego jak na niemądre dziecko.

- To twój ojciec. A teraz także i mój, więc jesteśmy zobowiązani dokładać wszelkich starań, aby mu dogadzać. Zwłaszcza że nie wymaga to zbyt wiele wysiłku.

Trevor zerknął na nią zakłopotany.

- Ojciec na kolacji dzisiejszego wieczoru, chciał mi przedstawić kobietę, która jego zdaniem byłaby dla mnie odpowiednią żoną.

Meredith wydawała się zszokowana. Trevora to rozbawiło.

- Co za średniowieczne. - Cmoknęła. - Wybierać żonę dla syna.

Słyszając uszczypliwy ton żony, rozluźnił się, Trochę się obawiał, że gdy Meredith pozna prawdę, zażąda, by natychmiast odjechali.

Jednak nie odezwała się ani słowem, gdy szli długim korytarzem we wschodnim skrzydle rezydencji, które zostało zbudowane z przeznaczeniem dla dziedzica. Dla niego.

Wiele lat temu książę nakazał przebudowę i wyposażenie tej części domu, by mógł się do niej sprowadzić syn z żoną. Jednak Lavinia zmarła na kilka miesięcy przed zakończeniem prac. Od tego czasu Trevor opierał się wszelkim namowom księcia, by tu zamieszkać.

Aż do teraz. Mimo że nie chodził tymi korytarzami od wielu lat, zauważył elegancki wystrój. Jak sobie mgliście przypominał, wnętrza 107

wyposażyła Lavinia. Wszędzie pozostał ślad jej wyjątkowego stylu i rzadko spotykanego gustu.

Zesztywniał na moment, gdy gospodyni, pani Pritcher, otworzyła drzwi do apartamentów. Spodziewał się, że ogarną go bolesne wspomnienia.

Jednak eleganckie pokoje, urządzone w błękitnych, złotych i kremowych odcieniach były mu zupełnie obce.

- Pewnie pan pamięta, milordzie, są tu osobne sypialnie. Poza tym gotownia i salonik dla pani, a dla pana garderoba i mały gabinet.

Pani Pritcher nerwowo chodziła po pokojach, otwierając i zamykając drzwi. Meredith posłusznie zajrzała do każdego pomieszczenia, ale odezwała się dopiero, gdy gospodyni skończyła wszystko pokazywać.

- Pokoje są w świetnym stanie, pani Pritcher - powiedziała do krygującej się gospodyni. - Gratuluję pani i reszcie służby utrzymania ich w takiej świeżości.

- Dziękuję, milady. - Pulchna kobieta dygnęła szybko, po czym zagryzła wargę., spoglądając na markiza. - Za pozwoleniem, z okazji ślubu chciałabym państwu złożyć gratulacje i najlepsze życzenia.

Trevor odwrócił się do niej niechętnie i spojrzał chłodno. Pani Pritcher przez chwilę rozpaczliwie rozglądała się dookoła, w końcu spuściła wzrok na piękny dywan. Poczul się, jak skończony łotr, że wprowadził tę kobietę w zakłopotanie, ale gratulacje z okazji nowo zawartego małżeństwa wytrąciły go z równowagi. Zbyt silnie otaczały go wspomnienia pierwszego, wariacko szczęśliwego związku.

- To bardzo miłe, pani Pritcher - burknął wreszcie Trevor. - Lady Meredith i ja jesteśmy wdzięczni za życzenia.

Twarz gospodyni rozjaśnił ciepły, choć drżący uśmiech.

- Pani pokojówka pije herbatę w pomieszczeniach dla służby. Przyślę ją do pani wraz z dwiema

służącymi, żeby rozpakowały rzeczy. Czy ma pani jeszcze jakieś życzenia?

~ Na razie żadnych, ale nie wątpię, że w razie potrzeby zapewni mi pani wszystko, co niezbędne ~
powiedziała Meredith.

Słowa i ton załagodziły napiętą sytuację. Pani Pritcher dygnęła jeszcze dwa razy i wyszła ze
szczerym uśmiechem.

- Czy pokoje ci odpowiadają? - spytał Trevor.

- Są wspaniałe. - Meredith przespacerowała się dookoła i już miała sięgnąć po porcelanową figurkę,
stojącą na gzymsie marmurowego kominka, gdy nagle *zesztywniała*. - *Czy to* te same pomieszczenia,
w których mieszkałeś z Lavinia? - spytała zaniepokojona.

108

- Taki był pierwotny plan - powiedział ostrożnie Trevor. - Podczas pobytu w Londynie
zatrzymaliśmy się w domu na Berkeley Square, który kupiłem krótko przed ślubem. Gdy Lavinia
zmarła, te pokoje były właśnie dla nas przygotowywane,

- Pamiętam wasz dom na Berkeley. Lavinia nazywała go swoją przystanią w zgiełku miasta. Co się z
nim stało?

Trevor nerwowo wzruszył ramionami. Nie myślał o tamtym cudownym domu już od lat.

- Sprzedałem go tydzień po śmierci Lavinii. Bez niej nie byłem w stanie przekroczyć jego progu.

Meredith zacisnęła usta.

- Jeśli to dla ciebie przykre, możemy zamieszkać w innej części domu twojego ojca. Chętnie omówią
i zorganizuję to z panią Pritcher, jeśli wolałbyś się tym nie kłopotać.

Próbowała mu ułatwić sprawę, a jednak z jakiegoś dziwnego powodu markiz się rozżłościł. To nie
powinno przyjść tak łatwo.

- Lavinia była moją żoną. Nie możemy wymazać pamięci o niej teraz, kiedy ty zajęłaś jej miejsce.

Meredith westchnęła głośno.

- Była moją najdroższą przyjaciółką, milordzie. Ja też ją kochałam.

Nie chciałabym, żeby któreś z nas o niej zapomniało.

Po tych łagodnie wypowiedzianych słowach zapadła ciężka, przytłaczająca cisza. Trevor zobaczył,
że twarz Meredith pobleadła, a jej piękne oczy pociemniały z emocji. Nagle ogarnęła *go* chęć, by
mocno ją objąć, by przyjąć od niej i odwzajemnić pociechę, której oboje tak rozpaczliwie
potrzebowali.

Nie powinien jednak tego robić. Dławiąc ból w sercu, zmusił się, by pozostać w bezruchu. Poślubił Meredith, aby uniknąć skandalu i zdjąć z młodej damy piętno hańby. Gdyby uległ tym instynktownym emocjom, źle by się to skończyło dla nich obojga.

Ruszył do drzwi swojej sypialni, ale przez chwilę czuł silne skrępowanie. Prześladował go wyraz pięknej twarzy Meredith.

- Przyjdę po ciebie za dwie godziny i zejdziemy razem.

- Będę gotowa.

Odwrócony do niej plecami dodał:

- Nie wątpię, że dzisiaj wieczorem wszystkich olśnisz i oczarujesz.

Usłyszał, jak cicho wzdycha.

- Księcia również?

- Przede wszystkim.

109



Słyszając szelest jedwabiu, uświadomił sobie, że podeszła bliżej, jednak nie chciał się odwrócić i spojrzeć Meredith w twarz. Z lękiem i nadzieją czekał, aż poczuje jej rękę na swoim ramieniu. Ona jednak oparła się pokusie.

- A co z posępnym, szalonym, nieposkromionym synem księcia?

Psiakrew! Była nieustępliwa. Trevor zacisnął zęby.

- Markiz nigdy nie ożeniłby się z kobietą niewartą jego uwagi.

Tym razem nie zawahał się, nacisnął klamkę i uciekł w zacisze swojego apartamentu.

Kolacja wcale nie była małym, kameralnym spotkaniem, którego spodziewała się Meredith. Choć prawie całe życie spędziła wśród arystokracji, zapomniała, że książęta robią wszystko na większą skalę niż reszta wyższych sfer. Przybyło czterdziestu dziewięciu gości. Wraz z markizem i jego świeżo poślubioną żoną wokół stołu zasiadły pięćdziesiąt dwie osoby.

Na początku posiłku książę wstał i wygłosił stosowny, choć niezbyt entuzjastyczny toast za zdrowie i szczęście młodej pary. Biorąc pod uwagę nastawienie księcia do nowej synowej i reakcję na wiadomość o mał

żeństwie, Meredith uznała, że to więcej, niż można się było spodziewać, Jego oświadczenie wywołało liczne szepty i badawcze spojrzenia, jednak nikt nie pozwolił sobie na żadną obraźliwą uwagę w obecności gospodarza.

Jako jedyna kobieta w rodzinie, Meredith siedziała po lewej ręce księcia. Przez chwilę poczuła się niezręcznie, gdy została przedstawiona lady Annę Smithe, dość atrakcyjnej kobiecie, która siedziała z prawej strony księcia. Meredith łatwo się domyśliła, że dzisiejsza kolacja została wydana właśnie na cześć Annę i że to z nią książe zamierzał ożenić Trevora.

Lady Annę była niewysoką panną przed trzydziestką. Miała miłą twarz, śliczne ciemne włosy i zaokrągloną, pełną figurę. Meredith z niechęcią przyznała, że intryguje ją kobieta, którą wybrał książe. Podczas gdy lokaje w pudrowanych perukach i srebrnych liberiach podawali kolejne wspaniałe, starannie przygotowane dania, Meredith ukradkiem obserwowała rywalkę.

Lady Annę miała cięty dowcip, bystry umysł i swobodę zachowania w towarzystwie godną pozazdroszczenia. Z wdziękiem zachęcała wszystkich wokół do rozmowy i podtrzymywała ciekawą, ożywioną dyskusję.

110

Jednak prawdziwą próbę przeszła, gdy w trakcie nalewania wina lokaj potrącił jej kieliszek.

- Durniu! - krzyknął książe, jeszcze bardziej przerażając służącego. -

Jak taki niezgrabny półgłówek śmie usługiwać przy moim stole? Oblałeś winem lady Annę!

Młodzieniec spojrział błagalnie, usiłując złapać kieliszek. Wybuch gniewu księcia zwrócił uwagę wielu gości. Odwrócili się i patrzyli z zafascynowanym przerażeniem, jak czerwony płyn wylewa się z pucharka, plami śnieżnobiałe płótno obrusa i moczy palce lady Annę,

- Błagam o wybaczenie, milady - wymamrotał chłopak, pospiesznie wycierając ślady swojej niezręczności.

- Nie ma powodu do nerwów - powiedziała spokojnie lady Annę. -

Uroniło się ledwie kilka kropli. Młody człowieku, gratuluję, że tak szybko złapałeś kieliszek. Gdyby nie to, miałabym całe kolana zalane winem.

Wtedy dopiero byłby niezły widok, prawda, książe?

Wydawało się, że wszyscy obecni w jadalni wstrzymali oddech, czekając na reakcję księcia. Starszy pan wymamrotał pod nosem coś na temat wynajęcia bardziej doświadczonej służby.

- On nie nadaje się na lokaja w moim domu, jeśli bez zamieszania nie potrafi nalać jednego kieliszka wina - warknął.

- Nonsens, książe- zaprotestowała lady Annę. - Powiedziałam już, że nic złego się nie stało. Czy

mogę prosić o jeszcze trochę trunku?

Lady Annę uśmiechnęła się zachęcająco do lokaja i wyciągnęła w jego kierunku kieliszek. Młodzieniec wyprostował się i z nienaganną wprawą napełnił puchar.

To skutecznie odwróciło uwagę księcia i wkrótce zajął się rozmową na inne tematy. Gdy lokaj stanął za krzesłem lady Anne, Meredith zdawało się, że usłyszała jego szept:

- Dziękuję, milady,

Dalsza część kolacji odbyła się bez przeszkód. Nadeszła pora, by panowie zostali sami, zapalili cygara i napili się porto. Meredith musiała przyznać, że jej teść ma świetny gust do kobiet. Lady Annę byłaby doskonałą żoną dla krnąbrnego markiza.

Panie przeniosły się do salonu i podzieliły na grupy, Wniesiono herbatę. Bliskie przyjaciółki skupiły się w niewielkich kręgach, by poplotkować, reszta zebrała się wokół fortepianu. Między matkami wywiązała się dyskusja nad tym, która z młodych, niezamężnych córek zagra i zaśpiewa jako pierwsza. Wymiana zdań szybko stała się nadzwyczaj gorąca i groziło, że przerodzi się w prostą awanturę.

U

Meredith zajęta nadzorowaniem podawania herbaty w drugim końcu sali, chciała zainterweniować, ubiegła ją jednak lady Anne. Z wielkim wyczuciem zdołała ugłaskać wszystkie osoby i ustalić porządek występów, z którego wszyscy byli zadowoleni.

- Lady Anne to prawdziwy skarb - wyszeptał jej do ucha niski męski głos.

Meredith zadrżała. Nie musiała się odwracać, by rozpoznać głos Trevora.

- Lady Anne to wzór do naśladowania - powiedziała, usilnie walcząc z zazdrością, bo naprawdę polubiła tę kobietę. - Powinieneś posłuchać rady ojca i zastanowić się nad doborem partnerki życiowej.

- Nie potrzebuję, żeby ojciec wybierał mi kobiety - oznajmił Trevor.

Zacisnął rękę na jej łokciu. Odwróciła się i przechyliła głowę, by spojrzeć na męża. Markiz uśmiechnął się figlarnie. Z niewyjaśnionego powodu siła jego spojrzenia sprawiła, że ze strachu i podniecenia ugięły się pod nią nogi.

W głowie zabrzmiały jej słowa, które wcześniej wypowiedział mimochodem: „To nasza noc poślubna”.

- Jest tu kilka młodych dam, które z ochotą zaprezentują swoje talenty muzyczne - powiedziała Meredith. Zwilżyła językiem zeschnięte wargi. - Przypuszczam, że zabawa przeciągnie się długo w noc.

- Na pewno nikt nie oczekuje, że zostaniemy - burknął Trevor.

Popchnął żonę w stronę ściany i przysunął się blisko. W Meredith zrodził się rozkoszny ból. Rozpaczliwie pragnęła przytulić się do muskularnego ciała Trevora.

- Jeśli teraz wyjdziemy, wywołamy spore zamieszanie.

Piersi uniosły się jej w głębokim oddechu.

- Więc musimy to sprytnie rozegrać i wymknąć się niepostrzeżenie -

wyszeptał, pieścąc jej twarz oddechem.

- Jak?

Oczy mu pociemniały. Zrobiły się prawie granatowe.

- Znajdziesz drogę do głównych schodów?

Choć trudno *JGJ* było się skupić, gdy pulsowało między nimi takie napięcie, Meredith wysiliła umysł, by przypomnieć sobie rozkład domu.

- Tak, chyba dam radę.

- To dobrze. Chcę, żebyś wyszła stąd za pięć minut. Ja ruszę za tobą po następnych pięciu minutach. Na drugim piętrze, w zachodnim skrzydle jest galeria portretów. Poczekaaj tam na mnie.

Przez moment patrzyła mu w oczy. Potem niespokojnie przytaknęła.

Markiz odwrócił się i oddalił. Jego nagłe odejście wytrąciło Meredith i

z równowagi, jednak nie dała niczego po sobie poznać, na wypadek gdyby byli obserwowani.

Meredith nie śmiała ruszyć się spod ściany w obawie, że zostanie wciągnięta w rozmowę, która opóźni jej wyjście. Zmusiła się, by poczekać pięć minut, potem jeszcze chwilkę, zanim dyskretnie wymknęła się z pokoju.

Uśmiechając się jak lekkomyślna uczennica, pospieszyła przez hol, skręciła za róg i podążyła na górę głównymi schodami. Po drodze mija

ła wielu służących, jednak nikt się nie odezwał. Serce tłukło się jej w piersi, gdy spieszyła na drugie piętro, na spotkanie ze swoim przeznaczeniem.

W eleganckiej złoto-błękitno-kremowej sypialni Rose pomogła swojej pani przygotować się do snu. Meredith cieszyła się, że pokojówka przybyła razem z nią; znajoma twarz i pogodna paplanina dziewczyny łagodziły zdenerwowanie.

Służąca stanowiła niezwykle ważny łącznik z przeszłością. Dawało to Meredith oparcie w chwili, gdy szykowała się na spotkanie z przyszło

ścią. Dzisiejszej nocy zaczynała nowe życie w roli, w której nigdy siebie nie widziała. W roli żony.

W drodze do sypialni Trevor zachowywał ponure milczenie, Meredith nie mogła zrozumieć dlaczego. Miała nadzieję, że gdy się spotkają w galerii na drugim piętrze, przynajmniej się pocałują jak konspiratorzy, którym szczęśliwie udało się uciec. Jednak markiz tylko skinął głową na powitanie i ruszył przed siebie.

Na szczęście Meredith miała długie nogi. To pozwoliło jej dotrzymać mężowi kroku. Podążanie za nim biegiem byłoby upokarzające. Meredith wyraźnie czuła, że Trevor nie tyle spieszy się do sypialni, ile ucieka.

Z twarzy znikła mu silna zmysłowość, którą wcześniej z takim upodobaniem otaczał żonę. Na jej miejsce pojawiła się obojętność. Oddalał się i z każdym kolejnym krokiem był coraz bardziej napięty.

Coś się z nim działo. Meredith niepokoiła się, bo czuła, że nie jest w stanie pokonać nagłego chłodu. Gdy znaleźli się w sypialni, jak każdy troskliwy małżonek zostawił ją samą, by przygotowała się do snu. Odczuwała to jednak jako porzucenie.

8 Zakład o miłość

II3

Z niedowierzaniem potrząsnęła głową. Ze zdenerwowania zaczynała chyba popadać w melancholię i przesadny dramatyzm. Jeszcze za wcześnie, by martwić się, czy Trevor kiedykolwiek odwzajemni jej uczucia.

Stwierdziła, że jeśli nadal będzie trwać w ponurych rozmyślaniach, nie przeżyje nadchodzącej nocy. Czy mogło być coś bardziej przygnębiającego niż smutna przyszłość bez miłości?

Zmusiła się, by myśleć o czymś innym. To była jej noc poślubna! Trevor nie musiał tracić dla niej głowy. Jego pocałunki i pieszczoty aż nadto świadczyły o pożądaniu, jakie do niej czuł. Na razie miała w sobie dość miłości, by starczyło dla dwojga.

- Pięknie pani wygląda, milady - powiedziała Rose prawie z bojaźnią.

Meredith uśmiechnęła się w podzięcie i spojrzała w lustro nad toaletką.

Bładoniebieska koszula nocna była prosta, głęboko wycięta i bez rękawów. Każdy mężczyzna z temperamentem czułby pokusę, aby rozpiąć guziczki z przodu. Meredith w przyływie odwagi zrezygnowała z pe-niuaru, czym najwyraźniej zszokowała pokojówkę.

- Do zobaczenia rano, Rose.

- Późnym rankiem, mam nadzieję. - Rose krótko zachichotała nad własną śmiałością i pospiesznie opuściła pokój.

Z chwilą gdy została sama, Meredith znów zaczęła się denerwować.

Spojrzała na drzwi w drugim końcu pokoju, prowadzące do saloniku Trevora. Pozostały jednak zamknięte. Z westchnieniem uniosła oprawną w srebro szczotkę do włosów, usiadła przy toalecie i zaczęła starannie rozczesywać jasne loki.

Zjawił się nagle. Mimo że się go spodziewała, gdy zauważyła w lustrze ruch za sobą, omal nie podskoczyła.

- Powiniennem zapukać?

- Oczywiście, że nie. - Podniosła się z miękkiego stołka i odwróciła do męża.

Ubrany był w szafirowy szlafrok z brokatu, luźno zawiązany w pasie, podkreślający szerokie ramiona i pierś. Stopy miał bosc. Przypuszczała, że pod szlafrokiem nie ma na sobie nic więcej. Migotliwe światło świec złociło jego jasną karnację i uwydatniało rysy twarzy.

Meredith omal nie westchnęła. Był niesamowicie przystojny. Pod jego przenikliwym spojrzeniem zaczęło jej łomotać serce. Jednak twarz Trevora, pozbawiona wszelkich emocji, wyglądała jak wykuta z kamienia.

- Gdzie twoja pokojówka?

- Już położyła się spać.

- To dobrze.

114

Czuła, jak wzrokiem przesuwają się po całym jej ciele, dostrzegając każdy szczegół wyglądu. Zdołała opanować drżenie.

- Przypuszczam, że jesteś dziewicą?

Zapadła długa cisza. Meredith powtarzała sobie, że nie powinna czuć urazy czy gniewu z powodu tego pytania.

- Tak. Rozczarowany?

Skrzywił się. Nie odpowiedział, tylko ciągnął dalej:

- Nie ma tu twojej matki, by udzieliła ci rad, czy zaspokoila twoją ciekawość. Chciałabyś mnie o coś zapytać?

Zapytać? O co?

Meredith przysięgła sobie, że się nie zarumieni. A jednak, gdy w końcu zrozumiała, o co mu chodzi, poczuła ciepło na policzkach.

- Mama już mi wyjaśniła... to znaczy, ja już wiem... jestem uświadomiona... -Urwała nagle. Nie mogła uwierzyć, że tarozmowa tak ją wzburzyła. Nabrała dużo powietrza i zaczęła od początku. - Zostałam zaznajomiona z najdrobniejszymi aspektami życia małżeńskiego, także odnośnie stosunków cielesnych. Moja matka zawsze uważała za niezwykle istotne, by kobieta była uświadomiona w tych sprawach, więc gdy skończyłam osiemnaście lat, podjęła się obowiązku, by mnie oświecić i wszystko wyjaśnić.

- Wszystko? - Zdawał się rozbawiony. - Hm, teraz to ja zaczynam się denerwować.

Meredith rozluźniła się. Będzie dobrze. Trevora nadal ogarniały jakieś dziwne emocje, ale teraz już jej to nie martwiło ani nie przerażało.

Meredith brakowało odwagi, by zasugerować położenie się do łóżka, więc po prostu to zrobiła. Rose albo ktoś inny ze służących odwinął kapę.

Meredith usiadła na środku łóżka. Przez cienką koszulą poczuła chłód satynowych prześcieradeł.

Czekała, by poszedł w jej ślady. Przyznała w duchu, że cieszy się na rychłe dopełnienie ich związku. Gorącymi, przejmującymi do głębi pocałunkami i niespiesznymi pieszczotami Trevor okazał już, jak namiętnie jej pragnie.

Zawsze ciekawił ją fizyczny kontakt między kobietą i mężczyzną, jednak nigdy aż tak bardzo, jak ostatnio, od chwili gdy markiz ją pocałował

i pieścił. Już tamtego pierwszego wieczoru w ogrodzie wiedziała, że w Dardingtonie jest coś wspaniałego, a w ich związku - wyjątkowego.

Wspólnie dzielona intymność połączy ich więzią, która z upływem dni i tygodni będzie się wzmacniać.

115

Meredith nie była głupią panną zaślepioną miłością. Nie wierzyła, że stojące przed nimi problemy błyskawicznie się rozwiążą. Ale to mógł

być początek. Niezwykle ważny i rozkoszny.

Ciągle czekała. Markiz nie ruszył się z miejsca. Zdawało się, że niezdecydowany zmagają się z jakimś wewnętrznym dylematem. Odwrócił

się. Meredith omal nie krzyknęła z rozpaczy na myśl, że mąż zamierza odejść.

Uspokoiła się, widząc, jak Trevor rozwiązuje pasek. Gdy zdjął szlafrok, powoli odetchnęła. Tak jak się spodziewała, pod spodem był nagi i piękny aż do bólu. Miał twarde, masywne mięśnie, szeroką pierś i ramiona, wąskie biodra i długie, kształtne nogi.

Usiadł koło Meredith. Jego bliskość gdzieś głęboko w niej wzbudziła pragnienie i głód. Nigdy dotąd nie była tak przejmująco świadoma własnego ciała.

- Nadal jesteś zdenerwowany? - spytała, uśmiechając się lekko.

- Śmiertelnie przerażony.

Minę miał tak poważną, że serce się jej ścisnęło. Coś go naprawdę niepokoiło. Powoli położyła mu rękę na piersi.

- Przrzekam, że cię nie ugryzę, milordzie.

- Niestety, ja nie mogę złożyć podobnej obietnicy, milady.

Dotknęła palcami miękkich włosów, pieszczotliwie obrysowała ucho, potem przesunęła dłoń na jego kark.

- Nie mam nic przeciwko temu - powiedziała zmysłowym szeptem i przyciągnęła Trevora za szyję do siebie.

Przytuliła się do niego i gorąco, głęboko pocałowała. Przez chwilę był

zupełnie nieruchomy. Potem przesunął językiem po jej wargach. Gdy Meredith ochoczo rozchyliła usta, wsunął się do ich wnętrza i zaczął się drażnić i splatać z nią językiem.

Wrażenie było cudowne, ciepłe, zmysłowe i oszłamiające. Ich usta pulsowały wspólnym rytmem. Trevor zaczął coraz śmieiej wsuwać język. Meredith zatraciła się w zachwyceniu.

Ujął dłońmi jej twarz i powoli przerwał pocałunek. Mąciło mu się w głowie. Pochyliła się do przodu i przyłgnęła do niego całym skąpo osłoniętym ciałem. Otoczył ją ramionami. Przytuliła się, wsuwając mu głowę pod brodę. Przycisnęła usta do gwałtownie bijącego pulsu na jego szyi.

Ten gest zaufania i oddania wstrząsnął markizem. Serce w nim wezbrało głębokim, bolesnym pragnieniem, które dotąd odczuwał jedynie wobec Lavinii.

^ Narastała w nim tęsknota, by kochać i opiekować się Meredith. Omal się głośno nie roześmiał nad absurdalnością sytuacji. Jediną osobą, przed którą musiał uchronić tę delikatną istotę, był on sam.

Przez ostatnie osiem lat miał wiele kobiet, więcej niż zdołałby policzyć czy spamiętać. Z początku myślał, że płomienne uczucia do Meredith wynikały tylko z naturalnej reakcji na kolejną piękną, inteligentną, pełną wdzięku kobietę.

Teraz wiedział, że było inaczej. Zdawał sobie sprawę, że nie jest jeszcze gotowy być takim mężem, jakiego ona oczekuje. Sama mu to powiedziała już wcześniej, gdy odrzucała oświadczyzny. Jednak zlekceważył jej ostrzeżenie.

Meredith nie pozwoli się ignorować, choć koniec końców tak byłoby lepiej dla nich obojga. Czy to słuszne albo uczciwe czuć do niej jedynie pożądanie? Czy z tego powodu sytuacja, i tak już trudna, nie stanie się nie do zniesienia?

Trevor oparł brodę na głowie Meredith i westchnął. Czuł się winny.

Sumienie walczyło w nim z pożądaniem. Zanim wszedł do sypialni, był

zdecydowany nie ulegać wdziękom żony. To postanowienie zostało mocno nadwerężone, gdy spojrzała na niego z takim otwartym pragnieniem.

Jednak aż do tej chwili udało mu się opanować instynkt, który nakazywał zaspokoić dręczącą namiętność.

- Czy coś jest nie tak, milordzie?

Wobec troski Meredith poczuł się bezbronny. Nienawidził tego uczucia.

- Połóż się, milady.

Wyczuł jej wahanie, niechęć, by opuścić ciepło jego ramion, ale posłuchała bez słowa. Piersi unosiły się jej w urywanym oddechu. Nie wiedział, czy z podniecenia, czy ze strachu.

Na chwilę zamknął oczy i walczył, by odzyskać panowanie nad sobą.

Przegnał wszystkie dzikie, lubieżne myśli. Prawie żałował, że nie leżała sztywno z zaciśniętymi pięściami i oczami wlepionymi w sufit, że nie oczekiwała swego losu z urazą i gotowością na męczeństwo niczym lodowa księżniczka.

Mógłby wtedy unieść dół jej koszuli, rozsunąć uda i spółkować krótko, gwałtownie.

Jego piękna żona nie była obojętna i nieśmiała. Zdawało się, że nie potrafi pozostać w bezruchu.

Przesuwała palcami wśród włosów na jego piersi, aż odnalazła sutki. Opuszkami powoli obrysowała otoczkę, potem pociągnęła za stwardniałe czubki.

117

- Nasze ciała wcale się tak od siebie nie różnią, prawda? - powiedzia

ła z zachwytem.

- Wstrzymaj się trochę z taką pochopną opinią - odparł Trevor.

Pochylił głowę i przesunął ustami po jej szyi i podbródku. Nie mógł znieść radości, którą zobaczył w oczach Meredith. Gdy przesunęła ręce niżej, na biodra, potem wzdłuż ud, jego członek drgnął i zaczął twardnieć.

Wiedział, że nie powinien jej zachęcać do pieszczot, ale było mu tak dobrze, gdy dotykała jego rozpalonego ciała. Z coraz większą śmiałością zawędrowała palcami dalej, objęła sztywny członek i ścisnęła lekko, jakby na próbę.

Przez ciało Trevora przepłynęła fala gorącej żądzy.

- Nie zapominaj, że jestem lekko zdenerwowany - powiedział ochryple i sięgnął w dół, by odsunąć delikatne ręce. - I trochę się wstydzę.

- Wstydzisz się? - Meredith odrzuciła głowę do tyłu i roześmiała się, odsłaniając długą linię szyi. - Nie wydajesz się zawstydzony, milordzie.

Uśmiechnął się, mimo wcześniejszej decyzji, aby nie czerpać ze zbli

żenia żadnej radości. Jej niewinność i entuzjazm były czarujące. Zaczął

całować sterczące sutki przez przejrzysty jedwab koszuli. Meredith gwałtownie nabrała powietrza i wygięła się w łuk.

Trevor przesunął ręką w dół, poniżej talii, odnalazł wejście do ciała kochanki i obrysował je delikatnie palcem. Meredith cicho, gardłowo westchnęła z rozkoszy i uniosła biodra. Gorąca wilgoć u zbiegu ud wskazywała, że kobieta przyjmie go w siebie całego bez większego bólu.

Przyciągnął ją bliżej, odsuwając od siebie wszystkie inne uczucia poza nienasyconym pożądaniem. Jedwabna koszula skłębiła się wokół talii.

Gdy Trevor rozsunął kolanem smukłe nogi i znalazł się między nimi, nie było już żadnych przeszkód.

Wsunął się w nią tylko trochę i powoli zanurzał coraz głębiej. Meredith szarpnęła się, niespokojnie obejmując go nogami. Zatrzymał się na chwilę.

- Boli?

- Pali i piecze, - Zagryzła dolną wargę i zaczęła gwałtownie przekreślać głowę na poduszce, to w lewą, to w prawą stronę. - Ale nie przerywaj. Czuję się taka otwarta i napełniona.

Zakołysał biodrami do przodu. Jęknęła.

- Lepiej? - zapytał.

Westchnęła. Twarz i szyję okrywał jej rumieniec, w oczach paliła się dzika zmysłowość. Dopasował ich ciała do siebie, próbując poruszać się lekko i powoli. Wkrótce jednak poczuł opór dziewictwa.

118

- Nie napinaj mięśni - wyszeptał.

Przytrzymał rękami biodra i wszedł w nią do końca jednym głębokim pchnięciem, przerywając błonę dziewiczą.

Znów krzyknęła, ni to ze wstrząsu, ni to z zachwytu. Spodziewał się, że Meredith zeszywnieje i będzie leżała nieruchomo albo spróbuje się odsunąć. Ona jednak uniosła się i obsypała czułymi pocałunkami jego policzek, podbródek i szyję.

Zmysły w nim eksplodowały. Nie był już w stanie poruszać się w kontrolowanym, powolnym tempie. Chwycił mocno jej biodra, wpijając kciuki w delikatne, miękkie ciało, i wbijał się w nią z gorączkową, prawie szaloną gwałtownością.

Napięcie rosło w nim, aż stało się nieznośne. Nagle Trevor poczuł, jak zaczyna drzeć w cudownym spełnieniu. Prężył się i dygotał w ogarniającym go orgazmie. Gwałtownie wytrysnął nasieniem, prawie u wejścia do jej łona.

Próbował utrzymać się na rękach, by nie przygnieść kochanki swoim ciężarem, ale przytuliła się do niego z takim zapalem, że opadł bezwładnie. Leżał tak przez długą chwilę, a jego urywany oddech odbijał się echem w sypialni.

Trevor stopniowo odzyskał zmysły i podniósł głowę. Odczekał jeszcze kilka uderzeń serca, zanim odważył się spojrzeć w oczy leżącej pod nim kobiecie. Swojej żonie, teraz już nie tylko z nazwiska.

Miała rumieńce na białych policzkach, oczy półprzymknięte. Odgarnął jej włosy z twarzy, zastanawiając się, czy jeszcze ją boli. Miał nadzieję, że nie była zbyt zażenowana albo zmieszana.

Zatrzepotała powiekami i otworzyła oczy.

- To koniec? Już po wszystkim?

~ Tak.

Zsunął się na bok. Jej proste pytanie potwierdziło to, czego się w pełni spodziewał. Nie osiągnęła szczytu rozkoszy.

Oczywiście była zbyt niedoświadczona, żeby to wiedzieć. Dała tego dowód, gdy odwróciła się do niego, przytuliła i westchnęła z zadowoleniem. Dał jej trochę przyjemności, jednak nie najwyższe spełnienie i całkowite zespolenie.

Wiedział bowiem, że zaspokajając jedną potrzebę, obudzi w niej inną.

- Już późno - powiedział łagodnie. - Powinienem pozwolić ci odpocząć.

- Nie! - Zacisnęła mu ręce na szyi. Potem zakłopotana spuściła głowę. - Proszę, zostań jeszcze chwilę.

119

Przesunął palcami po jej nagim ramieniu. Skórę miała gładką i delikatną, nieskazitelnie białą i miękką. Trevor wplótł obie ręce w długie, złociste włosy spływające po gładkich jak jedwab plecach. Nozdrzami uchwycił

wiszącą w powietrzu woń namiętności i poczuł, jak jego ciało zaczyna ożywać. Powinien odejść, zanim znów się podnieci. Jednak nawet nie drgnął. Pozwolił, by Meredith oplotła go nogą.

Zaczynał już odpływać w sen, gdy poczuł delikatne muśnięcie palców Meredith na swojej piersi. Bezwiednie zacisnął wokół niej ramiona.

W końcu poddał się zmęczeniu i emocjom. Zamknął oczy.

Meredith przyglądała się, jak zasypiał. Gdy pierś zaczęła mu się unosić i opadać w spokojnym rytmie, podniosła głowę i podparła się na łokciu.

Patrzyła na Trevora długo, niczym otumaniona miłością nastolatka.

Ostrzegała się raz po raz, by nie pragnąć gwiazdki z nieba i spodziewać niemożliwego. Wiedziała, że trudno będzie kochać mężczyznę takiego jak markiz i podążać wybraną przez siebie krętą, wyboistą ścieżką. Jednak uparcie nie chciała porzucać nadziei.

Nawet we śnie jego twarz wydawała się napięta i zmęczona. Powrót do domu ojca najwyraźniej wyczerpał Trevora emocjonalnie.

Meredith pochyliła głowę, pocałowała go szybko w ramię i ostrożnie wysunęła się z łóżka. Ciało bolało ją w różnych miejscach, czuła na udach lepkość nasienia. Podeszła do umywalni i nałala trochę wody do porcelanowej miski.

Zmoczyła płócienną ściereczkę i dokładnie się obmyła. Drżała jeszcze.

A jednak, gdy przesuwała płótno po wrażliwym ciele, nie mogła się pozbyć uporczywej myśli, że powinno być coś jeszcze.

W ich kochaniu była radość i cudowność, ale także pewna gwałtowność i oszalałe poszukiwanie

czegoś... czego zabrakło. Miłości? Meredith nie była pewna. Miłość chyba nie jest potrzebna, by osiągnąć całkowite zaspokojenie seksualne, pomyślała.

Jej urzekający mąż wydawał się doskonałym potwierdzeniem tej teorii. Na pewno nie był w niej zakochany, a przecież przeżył coś o wiele bardziej wstrząsającego niż ona. Może tylko mężczyźni mogli osiągnąć stan błęgiego spełnienia?

A jednak z tamtej krępującej i dosyć obrazowej rozmowy na temat stosunków małżeńskich, którą zainicjowała matka, Meredith wyraźnie pamiętała wzmiankę o wzajemnej rozkoszy, radości i namiętności tak silnej, że ogarniała całe ciało szaleństwem. O oddaniu tak zupełnym, że odrzucało się wszelkie bariery, by tylko dawać i dawać, aż do pełnej wolności i nasycenia.

120



Meredith miała nadzieję, że kiedyś osiągnie taką fizyczną intymność ze swoim mężem. Jeśli wziąć pod uwagę hulaszczą reputację i doświadczenie Trevora z kobietami, mogła się domyślać, że on doskonale wie, jak doprowadzić kochankę do ekstazy. Musiała tylko znaleźć sposób, by przekazać swoje pragnienie.

Zamyślona wróciła do łóżka. Trevor poruszył się, ale spał nadal. Przez chwilę czuła rozczarowanie. Gdyby się obudził, mogliby się dalej kochać i może tym razem osiągnęliby szczyt tej wszechogarniającej rozkoszy.

Rumieniąc się pod wpływem swawolnych myśli, Meredith opadła na poduszkę. Odwróciła się na bok i ułożyła z głową wygodnie opartą na umięśnionej piersi Trevora. Objął ją mocno ramionami. Uśmiechnęła się.

Jakaś jego część już teraz naprawdę jej pragnęła, nawet jeżeli on sam sobie tego jeszcze nie uświadamiał.

Wokół panowała cisza. Pod policzkiem Meredith czuła mocne bicie serca. Napętniający spokojem dźwięk ukołysał ją do snu.

Gdy Meredith się obudziła, była sama. Nie zdziwiła się zbyt, ale poczuła wielkie rozczarowanie. Zaciśnęła usta w wąską linię, gdy leżąc w zalanej słońcem sypialni, zastanawiała się, czy zjeść śniadanie tutaj, czy też odważyć się zejść do jadalni.

Posiłek w jadalni zwiększał szansę zobaczenia się z mężem. Ale też mógł oznaczać spotkanie z teściem.

Meredith zdecydowała, że wybierając jedno, nie da się uniknąć konsekwencji drugiego. Zadzwoiła po pokojówkę. Nie przeciągała porannej toalety, Po namyśle wybrała jedną ze swych najładniejszych sukni, prostą szafirową kreację z muślinu, która podkreślała kolor jej oczu.

Zeszła po schodach i ruszyła na śniadanie. W duchu przygotowywała się na spotkanie obu mężczyzn.

Tak jak się spodziewała, książę siedział u szczytu stołu, z filiżanką kawy w ręce. Przed nim leżała rozłożona gazeta. Po markizie nie było nawet śladu.

- Nie przypuszczałem, że cię zobaczę dzisiaj rano! - zawołał

książę. - Ani nawet do końca dnia.

Meredith nabrała tchu.

- Byłam głodna i musiałam się przewietrzyć. Mam nadzieję, że panu nie przeszkadzam?

121

Stała z wysoko uniesioną głową i czekała, aż lokaj odsunie krzesło stojące obok księcia. Jej teść, zaskoczony wyborem właśnie tego miejsca, pospiesznie zebrał gazetę, aby drugi służący mógł postawić przed Meredith

dith talerz.

- Higgins, zabierz to - rozkazał, podając lokajowi pogniecione papiery.

- Och, proszę sobie nie przerywać lektury z mojego powodu.

Książę przez chwilę patrzył na nią podejrzliwie, jakby badając szczerłość wypowiedzi. Musiał w końcu dojść do wniosku, że powiedziała to, co myśli, bo z powrotem położył na mahoniowym stole pomietaną gazetę.

- Na stronach towarzyskich piszą o waszym ślubie - powiedział z przekąsem.

Meredith kiwnęła głową. Rozstnarowała na toście cienką, równą warstewkę dżemu malinowego i podniosła twarz.

- Zapewne Trevor polecił wczoraj swojemu sekretarzowi, żeby się tym zajął. W niektórych sprawach markiz potrafi działać bardzo skutecznie.

- Kiedy oczywiście ma na to ochotę - zauważył książę, marszcząc czoło.

Meredith uniosła brew. Czowała na sobie badawczy wzrok gospodarza.

Domyślała się, że chce ją wypróbować, ale nie dała się sprowokować.

Bardzo potrzebowała w tym domu sprzymierzeńca, nie chciała jednak stawać po którejkolwiek ze stron w rozgrywce między ojcem i synem.

- Dzień dobry.

Meredith podniosła głowę. Do jadalni wszedł markiz. Miał na sobie strój do konnej jazdy. Był trochę spocony, co wskazywało, że właśnie wrócił z przejażdżki. Meredith powstrzymała się od jakiegokolwiek reakcji. To, że wolał konny wypad od swojej świeżo poślubionej żony, uznała za poniżające, Dużo gorzej jednak byłoby w obecności innych okazać, że czuje się tym zraniona.

Trevor zachowywał się obojętnie, ale wyczuwała w nim silne zniecierpliwienie. Gestem odprawił usłużnego lokaja i podszedł do bufetu, by samemu nałożyć sobie śniadanie.

- O, dzień dobry, Trevorze! - zawołał książę. - Mówiłem właśnie Meredith, że nie spodziewałem się dzisiaj was zobaczyć. Ani jutro. To przecież wasz miesiąc miodowy!

Meredith nie miała pojęcia, jakie wrażenie wywarły te słowa na jej mężu, bo doskonale ukrył swoją reakcję. I zupełnie zignorował uwagę ojca.

Obszedł stół i usiadł obok niej. Gdy mimowolnie dotknął jej pleców, poczuła mrowienie skóry. Wolała nie patrzeć mu w oczy, więc skupiła wzrok na talerzu.

122

- Lokaj przekazał mi, że dziś rano nadeszły dla nas liczne zaproszenia - powiedział markiz. - Miałaś okazję je przejrzeć, Meredith?

Zaskoczona uniosła wzrok.

- Nie. Nawet ich nie zauważyłam.

Markiz niecierpliwie bębnił palcami po stole.

- Na dzisiejszy wieczór mam już pewne plany, które poczyniłem na wiele tygodni przed naszym nagłym ślubem. Jeśli zapragnęłabyś dzisiaj rozrywki, mógłbym poprosić wicehrabiego Aaronsa albo pana Doddso-na, żeby ci towarzyszył.

Meredith zarumieniła się, co było tym bardziej nieprzyjemne, że stało się to na oczach zarówno jej męża, jak i teścia. Z niezwykłą dla niej goryczą pomyślała, że lady Annę Smithe zapewne nigdy nie traciła głowy ani nie czerwieniła się w obecności krewnych.

- Milordzie, nie musisz oddawać mnie pod opiekę swoich przyjaciół.

Zapewniam cię, że potrafię o siebie zadbać.

Trevor spojrział na nią piorunującym wzrokiem. Najwyraźniej nie spodobała mu się okazana przez żonę niezależność. Meredith jednak się tym nie przejęła. Patrzył na nią nachmurzony przez, wydawałoby się, wieczność.

- Jak sobie życzysz - powiedział w końcu.

Meredith życzyła sobie czegoś wręcz przeciwnego, ale prędzej ugryzłaby się w język, niż się do tego

przyznała. Książę wyglądał, jakby najwyższym wysiłkiem powstrzymywał się od wygłoszenia na ten temat stosownej uwagi. Zrozumiał jednak skierowaną ku niemu niemą prośbę synowej, bo zachował milczenie.

Meredith zabolalo, że Trevor ją odtrącił. Jeśli jednak markiz nie chciał

dzielić z nią życia, nie zamierzała żądać jego uwagi czy nawet o nią błagać. Wiele lat obserwacji natury mężczyzn nauczyło Meredith ważnej rzeczy. Większość z nich bardzo źle znosiła zrzęczenie czy naleganie.

Podjęli dalszą konwersację, jak przystało na przedstawicieli kulturalnego towarzystwa. Rozmawiali spokojnie o nieistotnych sprawach, choć napięcie rosło, a atmosfera gęstniała.

Gdy Trevor pochłonał już górę jedzenia, wstał.

- Życzę wam obojgu miłego dnia. I wieczoru również. - Ukłonił się i odszedł od stołu.

Nie ufając swojemu głosowi, Meredith tylko kiwnęła głową. Choć najbardziej ze wszystkiego pragnęła uciec w zacisze sypialni, siedziała na miejscu i piła herbatę.

- Zdaje się, że twój świeżo poślubiony mąż nie ma wcale ochoty spędzać czasu w twoim towarzystwie. - Książę lekko otarł usta lnianą serwetką. - Co zamierzasz zrobić?

123

Nie wiem! Te rozpaczliwe słowa zadźwięczały Meredith w głowie, ale powstrzymała się przed ich wypowiedzeniem. Przyznanie się do tak szybkiej porażki odebrałoby jej siły.

- Teraz jest w modzie, żeby każdy z małżonków prowadził osobne, niezależne życie.

- Już następnego dnia po ślubie? - parsknął książę. - Więc to właśnie zrobisz? Zamkniesz oczy, zaciśniesz zęby i będziesz wszystko mężnie znosić?

Meredith zagryzła wargę aż do krwi.

- Ci, którzy chcą przetrwać, muszą wiedzieć, jak się przystosować, książę.

- Cóż to za bzdura - odezwał się szyderczo książę. - Myślałem, że masz w sobie więcej charakteru, młoda damo.

Nozdrza Meredith rozszerzyły się w oburzeniu.

- Jeśli mnie pamięć nie myli, dzisiejszego wieczoru w Haymarket odbędzie się przedstawienie opery *Don Giovanni*. Przypuszczam, że jest pan właścicielem łoża w teatrze?

- Oczywiście. - Książę nachmurzył się. - Choć nie korzystam z niej już od lat.

- To bez znaczenia. Lubi pan operę, książkę?

- Nigdy mi się nie podobała. Nie mogłem zrozumieć, dlaczego miotanie się po scenie bandy skrzeczących mężczyzn i kobiet i robienie okropnego hałasu jest uważane za rozrywkę,

- Opera to najdoskonalsza forma wyrażania muzyki i uczuć - upomnia

ła starszego pana Meredith, choć w duchu przyznała, że komentarz księcia nie jest pozbawiony racji.

- Co ważniejsze, obecna będzie połowa eleganckiego towarzystwa, która głównie zajmie się wzajemną obserwacją, zamiast patrzeniem na scenę i słuchaniem śpiewaków. Skoro dzisiejszego wieczoru mogę robić to, na co mam ochotę, chciałabym, by towarzyszył mi pan w operze.

Książę rzucił okiem na lokaja sprzątającego ze stołu, potem na Meredith.

- Mówiłem już, że nie znoszę całego tego zgiełku.

- Zabiorę więc ze sobą dużo waty, żeby mógł pan napchać sobie uszy i stłumić dźwięki.

Gdy Meredith wychodziła z jadalni, nieprzerwane, pełne oburzenia mamrotanie księcia sprawiło jej nieco satysfakcji.

W ciągu dwóch tygodni od ślubu Meredith niezmiennie wzbudzała dużą sensację w towarzystwie. Na balach, przyjęciach, kolacjach, wieczorkach muzycznych, w teatrze, czasem nawet w parku, wszędzie widziano ją tylko z jednym mężczyzną u boku.

Języki nie próżnowały, mnożąc spekulacje. Wkrótce jednak plotkarze doszli do wniosku, że nowej markizie trudno coś zarzucić. W towarzystwie zachowywała się z wdziękiem i humorem. Opiekun młodej damy nie zawsze jej w tym dorównywał, ale wiele mu wybaczano, ponieważ był przystojnym, dystyngowanym arystokratą o wysokiej pozycji. I najwyraźniej darzył Meredith pewnym afektem. Poza tym był jej teściem.

Szybko zauważono, że lady Meredith uwielbia towarzystwo księcia, choć na rozmaitych fetach większość czasu spędzała wśród gości. Za każdym jednak razem przybywała i wychodziła z wysoko uniesioną głową i ręką pewnie opartą na ramieniu księcia.

Nie umknęło uwagi także to, że na balach zgadzała się tańczyć tylko z jednym partnerem, właśnie z księciem.

Wbrew powszechnej opinii, zachowanie Meredith nie było wynikiem dobrze przemyślanego, wyrachowanego planu, który miał odwrócić uwagę od faktu, że czarujący mąż nigdzie publicznie się z nią nie pokazywał.

Meredithomal się głośno nie roześmiała, gdy pewien pretensjonalny dandys pogratulował jej przebiegłości w obmyśleniu tak błyskotliwej metody działania. Strategia, za którą spotykało ją uznanie, nie zrodziła się z planu, tylko z desperacji.

Zarysowała się już następnego ranka po pospiesznym ślubie, a skryzalizowała późną nocą tego samego dnia, gdy Meredith na próżno czekała, aż mąż zjawi się w sypialni. Tuż nad ranem, zanim zupełnie wyczerpana zasnęła, Meredith rozważała stojące przed nią możliwości.

! Mogła zniknąć z towarzystwa. Zastanawiała się, czy nie wyjechać na 1 wieś, do jednego z majątków, do których mąż tak ochoczo chciał ją wysyłać. Myślała nawet, czy nie udawać choroby, by uniknąć publicznych wystąpień.

Każdy z tych pomysłów mocno jednak trącił tchórzostwem. Choć upokorzona, Meredith nie chciała jeszcze zwiększać własnego poniżenia i uciekać. Zaczęła więc odpowiadać na niektóre zaproszenia. A ponieważ potrzebowała wsparcia, zmusiła księcia, żeby jej towarzyszył.

To, że tańczyła tylko z nim, również było dziełem przypadku. Rozpaczliwie unikając bliższego kontaktu z mężczyznami, pewnego razu na balu u lady Chester odrzuciła wszystkie zaproszenia do tańca. Kiedy jednak książę poprosił ją do kadryła, poczuła, że ma wręcz obowiązek przyjąć propozycję.

Sytuacja powtórzyła się następnego wieczoru i szybko została zauwa

żona. Wkrótce wszyscy plotkowali tylko o tym. Meredith zorientowała się, że jest to znakomity sposób, by trzymać na dystans hulaków i uwodzicieli, którzy z ogromną ochotą zajęliby się pocieszaniem wyraźnie zaniechanej żony. Postanowiła więc postępować tak dalej i pozwolić plotkarskim językom gadać do woli.

Ku swemu zdziwieniu Meredith odkryła, że dobrze się jej tańczy z te

ściem. Był wysoki, miał ponad metr osiemdziesiąt wzrostu, więc nie musiała się garbić, żeby mógł ją dobrze objąć i poprowadzić.

Tego szczególnego wieczoru zatańczyła z nim trzy razy i zdecydowa

ła, że ma już dość zabawy. Wezwano powóz księcia i ruszyli w stronę rezydencji.

Na ogół odległość nie była duża, ale często jazda trwała dosyć długo z powodu tłoku na ulicach. To jednak dawało Meredith okazję do omówienia z księciem wydarzeń wieczoru. Miała też czas, by opanować emocje, zebrać siły i przybrać maskę uprzejmej obojętności na wypadek, gdyby po powrocie zastała swojego rzadko widywanego męża.

- Ależ był ścisk - powiedział książę, ostrożnie poprawiając się na aksamitnym siedzeniu, by zmniejszyć ból w kolanie. - Typowe dla hrabiny Tewskbury. Zaprasza pięćset osób, gdy jej sala balowa może pomieścić ledwie połowę tej liczby. Ta kobieta jest głuptasem.

- Powszechnie wiadomo, że hrabina panicznie boi się, iż zostanie uznana za złą panią domu - zauważyła Meredith. - Dlatego zaprosiła za dużo gości, żeby wieczór okazał się sukcesem nawet, gdyby wiele osób nie zdecydowało się przybyć.

- Ośmielę się zauważyć, że jej zaproszenie przyjęli chyba wszyscy, którzy choć trochę się liczą.

Meredith westchnęła. Wszyscy z jednym godnym uwagi wyjątkiem, powiedziała do siebie w duchu. Markiz Dardington był zauważalnie nieobecny.

- Tak, hrabina wydawała się zadowolona - skomentowała Meredith, -

Powiedziałabym, że bal należał do udanych. Chyba jutro rano napiszę do niej, by podziękować za miły wieczór.

- Tak wyraźna aprobata z twojej strony z pewnością poprawi jej opinię jako znakomitej pani domu.

126

Książę wyjął cygaro z kieszeni kamizelki.

- To idiotyczne. - Meredith roześmiała się. - Zawsze uważano mnie za towarzyskiego wyrzutka, a teraz kiedy jestem pańską synową, moje opinie nagle zaczęły się liczyć.

- Takie są zwyczaje towarzystwa - oświadczył książę. Zapalił cygaro i wydmuchał dym. - Wiesz, że dziadek hrabiny był kupcem? Niektórzy mówią, że ciągle jeszcze czuć od niej sklepem.

- To niewybaczalny grzech.

- W tym przypadku tak. - Książę odsunął szybę w powozie, by wypu

ścić dym. - Hrabina może i jest głuptasem, ale nie ma w niej ani krzty złośliwości czy okrucieństwa. Twoje poparcie i uznanie byłyby dla niej wielką łaską.

- Będzie je więc miała.

Powóz zatrzymał się. Meredith wyjrzała na oświetloną księżycem ulicę, ale nie rozpoznała okolicy. Nie dojechali jeszcze do rezydencji księcia, utknęli w ruchu ulicznym. Oparła się na wygodnej pluszowej kanapie i przymknęła oczy. Nie przejmowała się opóźnieniem. W domu poza pokojówką nikt przecież na nią nie czekał.

- Szkoda, że nie słyszałaś dzisiaj starego Monforda - powiedział książę.

- Gdy zaczęliśmy nasz trzeci taniec, omal nie dostał ataku apopleksji.

Powiedział potem Billingsly'emu, że to ja sam zaaranżowałem wasze małżeństwo, by mieć cię w domu tylko dla siebie. Wyobrażasz sobie podobną bzdurę?

Meredith uśmiechnęła się w ciemnościach,

- Hrabia Monford nigdy nie słynął z taktu czy inteligencji. Zdaje się, że ta uwaga mocno panu pochlebiła, więc pewnie trudno to uznać za głupi pomysł.

- Nie jestem jeszcze taki zgrzybiały - parsknął książę. - Czyspekulacje, że mężczyzna w moim wieku potrafi dotrzymać kroku młodej kobiecie, są pozbawione sensu? Ta plotka mogłaby być prawdą.

- Stanowczo tak. Jak dotąd świetnie pan za mną nadąża. - Błysnęła figlarnie oczami. - Musi pan jednak oszczędzać siły. Przed nami jeszcze wiele tygodni nieustannego bywania w towarzystwie, które będziemy musieli jakoś przetrzymać.

- Przetrzymać? Meredith, czy naprawdę aż tak bardzo tego nie lubisz?

- Czasami wręcz nie znoszę - przyznała cicho, nakłoniona do szczerości łagodnym tonem księcia.

- Więc dlaczego to robisz?

- Bo tak wypada.

- Co za bzdura! Moje drogie dziecko, nigdy wbrew sobie nie robiłaś tego, co wypada. Jaki jest prawdziwy powód?

Meredith poprawiła fałdy sukni i z opuszczoną głową wyszeptała:

- Dzięki temu szybciej mija czas, a samotność mniej doskwiera. Boję się, że oszaleję, jeśli pozostanę w domu sama przez wszystkie dni i noce.

- Tak podejrzewałem. - Książę przerwał na chwilę, by zaciągnąć się po raz ostatni i wyrzucić niedopałek przez uchylone okno powozu. - Kiedy ostatni raz widziałaś mojego syna?

Meredith poderwała głowę. Odchrząknęła i przełknęła z wysiłkiem.

- Nie jestem pewna. Ze trzy lub cztery dni temu.

- To było cztery dni temu - powiedział spokojnie książę.

- Pan mnie szpieguje? - spytała zaskoczona Meredith.

- To właściwie niepotrzebne, gdy mieszkasz pod moim dachem.

Meredith skrzyżowała ręce na piersiach. Nie doceniła swego wysoko urodzonego teścia. Okazał jej uprzejmość i współczucie, jednak nie przestawał być księciem, który lubił manipulować ludźmi i chciał kontrolować wszystko, co tylko mógł.

W powozie było ciemno, ale musiał wyczuć jej zdenerwowanie.

- Martwię się o ciebie - dodał książę.

- Więc niech pan poraówi z synem - odparła z goryczą.

- Rozmawiałem.

Meredith jęknęła. Poczowała na policzkach ciepło rumieńca.

- I co powiedział?

To pytanie raniło jej dumę, zbyt była jednak spragniona wiadomości, by się tym przejmować.

Książę poruszył się niespokojnie.

- Nic szczególnego. Wspomniał, że jego sekretarz wynalazł dom do wynajęcia. Nie jest położony w najlepszej części miasta i wymaga remontu, ale odniosłem wrażenie, że jest nim zainteresowany. Rozmawiał

z tobą o tym?

- Nie. - Meredith odwróciła głowę, nagle zaciekawiona frędzlami przy zasłonie okna. - Ale to nie ma

znaczenia. Nie przeprowadzę się, nawet jeśli markiz wynajmie dom. - Przyszła jej do głowy nagła myśl: - Chyba że pan sobie tego życzy?

- Zostań tak długo, jak zechcesz. - Księżę odchrząknął. - Przyznam, że przyzwyczałem się do twojej obecności.

- Trochę jak do pieska? - wtrąciła z przekąsem.

Księżę roześmiał się serdecznie.

128

- Polubiłem cię, Meredith, i dobrze o tym wiesz. Choć przyznam, że nie było tak od początku.

Napięcie zelzało. Meredith uśmiechnęła się.

- Dlaczego tak mnie pan nie lubił? Nie wydaje mi się, byśmy się wcześniej poznali. Trevor przedstawił nas sobie w dniu ślubu.

- A jednak spotkaliśmy się. Trzy lata wcześniej, na balu. Zauważyłem cię na jednej z uroczystych kolacji. Byłaś otoczona kilkoma mężczyznami, którzy słuchali cię jak wyroczni. Pomyślałem, że jesteś piękną, młodą kobietą, flirtującą i uwodzącą swoich wielbicieli. Gdy jednak przechodziłem obok was, usłyszałem, jak udzielasz rad na temat inwestycji w firmę żeglugową Lowry.

- Co ja takiego mówiłam?

- Same bzdury.

Meredith nachmurzyła się, usiłując sobie cokolwiek przypomnieć.

- O ile dobrze pamiętam, nigdy nie zainwestowałam pieniędzy w firmę o tej nazwie.

- Cóż, znam takich, którzy to zrobili. - Księżę skrzywił się szyderczo pod swoim adresem. - Stracili sporo pieniędzy. Do licha, skąd taka nie-opierzona dziewczuszka jak ty mogła wiedzieć, że ta inwestycja jest chybiona?

Meredith zmarszczyła brwi, próbując przypomnieć sobie szczegóły.

- Zawsze drobiazgowo sprawdzam każdą firmę, zanim przeznaczę na nią fundusze. W tej musiało być coś... Chwileczkę! Już wiem. Kapitan największego szkunera dużo pił. Było jasne, że nie można mieć do niego zaufania. Doszłam do wniosku, że jego dotychczasowe udane rejsy to skutek szczęścia, które kiedyś się skończy.

- I tak się stało - wymamrotał księżę. - A wraz ze sprzyjającą fortuną znikła też spora ilość moich pieniędzy.

- Trzeba było słuchać mojej rady - odparła Meredith, starając się, by w jej głosie nie zabrzmiała

złośliwa satysfakcja.

- Rada w kwestii inwestycji od kobiety? W dodatku młodej? - Książę pokręcił głową. - Co za niedorzeczność!

- Wiem, że to właściwie zbrodnia, jeśli kobieta ma sprawny umysł

i często się nim posługuje...

- To poważny mankament - przerwał jej książę. - Biorąc jednak pod uwagę wyzwanie, które stoi przed tobą i moim synem, mam nadzieję, że w twoim przypadku okaże się on bardzo przydatny.

Zszokowana Meredith na chwilę umilkła. Ogromna nadzieja księcia lekko ją przerażała. Meredith nie wiedziała, czy podoła zadaniu.

9 - Zakład o miłość 1 2 9

Powóz zatrzymał się przed rezydencją. Książę odprowadził synową na górę.

- Dobranoc, sir. Miłych snów. - Meredith stanęła na palcach i pocałowała księcia w policzek, To stało się ich wieczornym zwyczajem.

- Dobranoc. - Książę odszedł do swojej sypialni.

Meredith uśmiechnęła się krzywo i samotnie ruszyła korytarzem. Wieczorny pocałunek był obecnie jedynym, którym obdarzała mężczyznę, chyba że odwiedzali ją bracia.

Minęła ostatni zakręt i natychmiast zauważyła, że coś nie jest w porządku. Drzwi do pokoiów Trevora stały otworem. Dziwne. Przez ostatnie tygodnie pozostawały zawsze zamknięte. Dlaczego teraz były otwarte?

Gdy je mijiała, poczuła nerwowe podniecenie. Korytarz oświetlały ściennie kinkiety i stojące na różnych meblach kandelabry. W porównaniu z tym blaskiem pokoje markiza zdawały się pogrążone w ciemnościach. W najdalszych rogach dużego pokoju stały tylko trzy pojedyncze świece.

Mimo słabego oświetlenia Meredith nie mogła się oprzeć pokusie, by nie zajrzeć do środka. Ku swemu zdziwieniu zobaczyła męską sylwetkę w fotelu przy oknie. Trevor?

Musiała chyba wyszeptać jego imię, bo mężczyzna podniósł głowę i spojrzał na nią. Meredith westchnęła.

- O, jesteś nareszcie! - zawołał markiz. - Wejdz.

Gdy nie ruszyła się z miejsca, wstał i podszedł do niej. Meredith zapatrzyła się w jego niebieskie oczy. Nigdy nie знаła mężczyzny z tak nadzwyczajnie pięknymi oczami. Okolone ciemnymi rzęsami, były doskonałe

le w kształcie i miały kolor rozświetlonego słońcem nieba.

- Wejdz - powtórzył cicho.

Meredith oderwała od niego wzrok i zwilżyła nagle zeschnięte wargi.

Zrobiła krok do przodu i przystanąła. Markiz zaprosił ją do środka, a jednak blokował przejście.

Wydawał się rozbawiony wahaniem Meredith. Obróciła się bokiem i spróbowała jeszcze raz. Musnęła plecami jego tors. Stłumiła w sobie dreszcz, zła, że jej zdradliwe ciało poczuło przyływ niezwyklej przyjemności.

- Czy jest coś szczególnego, o czym chciałbyś ze mną porozmawiać?-

spytała sztywno.

- Czy mąż musi mieć specjalny powód, by zamienić słowo ze swoją żoną?

- W naszym przypadku tak.

- Może chciałbym zmienić tę sytuację?

Na tę odpowiedź Meredith zamrugnęła ze zdziwienia.

130

- A chcesz?

Zacisnął zęby.

- Z jakiego innego powodu czekałbym tu na ciebie?

Meredith wymownie wzruszyła ramionami. Czy rzeczywiście czekał

na nią? To wydawało się niewiarygodne. A może jednak? Meredith potrząsnęła głową. Już dawno porzuciła wszelką nadzieję, że zrozumie tego skomplikowanego, zmiennego mężczyznę, za którego wyszła.

Rozejrzała się po sypialni. Zerknęła na stolik przy fotelu. Stała na nim otwarta karafka z alkoholem i prawie pusty kryształowy kieliszek.

Trevor nie wydawał się nietrzeźwy, ale najwyraźniej pił. Meredith uzna

ła, że to chyba nie najlepszy moment na poważną dyskusję.

Uciekaj, krzyczał jej rozsądek. Wyjdz, zanim zrobi z ciebie kompletną idiotkę. To było bezpieczne, rozropne wyjście. Jednak krnąbrne serce nie chciało słuchać. Od dnia ślubu Meredith codziennie pragnęła choć jednej chwili z Trevorem, szansy na jakąkolwiek rozmowę.

Jeśli mówił szczerze, że chce coś zmienić w ich związku, była więcej niż chętna, by posłuchać. Jednak w swej trudnej sytuacji nie bardzo mogła sobie pozwolić na nadzieję. Jej serce zostało zranione, a wiara w siebie mocno zachwiana.

- Nie usiądziesz? - Wskazał krzesło stojące naprzeciw niego.

- Nie, dziękuję. Wolę stać.

- Myślałem, że po dzisiejszych tańcach bolą cię nogi.

Zapadła długa cisza. Markiz rozparł się w fotelu i patrzył na Meredith wyczekująco. Miał na sobie białą wykrochmaloną koszulę, doskonale zawiązany jedwabny krawat, czarne spodnie do kolan, białe jedwabne pończochy i nieskazitelnie wypolerowane czarne buty. Był jednak bez kamizelki i fraka. Nie wiedziała, czy właśnie wrócił po wieczorze spędzonym w mieście, czy szykował się do wyjścia.

Meredith podeszła bliżej. Poczła charakterystyczną woń mydła i subtelnej wody kolońskiej. Zamknęła oczy i odetchnęła głęboko. Zapach był zmysłowy i lekko niepokojący. Gwałtownie zaczęła tracić panowanie nad sobą.

- Dziś wieczorem zatańczyłam tylko trzy razy - wyszeptała.

- I tylko z księciem?

Usta drgnęły jej w rozbawieniu.

- A więc słyszałeś o tym?

- *Ad nauseam**. - Wziął kieliszek ze stolika obok, dopił go i wyciągnął w jej kierunku. - Czy byłabyś tak uprzejma i naląła mi następny?

* *Ad nauseam* (łac.) - aż do znużenia (przyp. red.).

131

Skrzywiła się. Po to tu była? Żeby mu usłużyć? Albo słuchać, jak komentuje jej towarzyskie rozrywki z ojcem? Meredith miała ochotę wylać mu na kolana całą zawartość karafki, ale w ostatniej chwili opanowała odruch.

Dziwnie się czuła, pochylając nad nim i nalewając cienkim równym strumieniem alkohol. Patrzył na nią przenikliwie, gdy wykonywała tę prostą czynność. Ona z kolei nie mogła oderwać wzroku od jego oczu.

- Dziękuję.

Dreszcz przeszedł jej po plecach. Atmosfera między nimi wyraźnie się zmieniła. Stała się napięta i dwuznaczna. Meredith ze wszystkich sił pragnęła przysunąć się jeszcze bliżej i przytulić do ciepłego, muskularnego ciała. Nie miała jednak odwagi.

Cały czas patrząc jej w oczy, markiz odstawił kieliszek na stół. Nie wypił ani kropli. Wyjął żonie karafkę z ręki i postawił obok kieliszka.

Pod jego spojrzeniem żar ogarnął całe ciało Meredith.

Nagle chwycił ją za nadgarstek. Ciągle była nad nim pochylona, więc spróbowała się wyprostować. Pociągnął mocniej. Straciła równowagę i padła mu na kolana. Chciała go odepchnąć, ale trzymał zbyt mocno.

Ich usta dzieliły tylko centymetry. Zalała ją fala zmysłowych wrażeń.

Twarda męskość nieustępliwie uciskała jej miękkie podbrzusze.

Uśmiechnął się. Swawolnie, zmysłowo, pociągająco. Ten uśmiech ją oszołomił. Serce boleśnie załomotało w jej piersi. Meredith zaczęły drżeć nogi.

Na twarzy poczuła ciepły oddech. Ogarnęło ją podniecenie i uniesienie, potem przerażenie. Chyba umarłaby ze zgryzoty, gdyby on jej teraz nie pocałował.

Jakby odczytując rozpaczliwe myśli Meredith, przysunął do niej twarz.

Musnął wargami jej usta. Jęknęła cicho, ogarnięta falą zmysłowych wrażeń.

Puścił jej rękę, ale już się nie odsunęła. Przesunęła językiem po jego dolnej wardze.

Markiz dotknął jej twarzy, przechylił głowę tak, by lepiej ułożyła się do pocałunku, który powoli stawał się głębszy, bardziej intymny. Językiem rozchylił jej wargi. Smakował jak wino zmieszane z grzechem. Palce jednej ręki wsunął w ciasno splecione włosy, drugą rękę oparł na krągłym pośladku.

Zaczął ją pieścić. Właściwie głaskać, niczym mruczącego kotka. Po ramionach, wzdłuż pleców, mocno zaciskając dłoń na pośladku. I z powrotem. Poczwała, jak jej ciało zaczyna się rozpalać i przygotowywać dla niego.

132

Przesunął rękę na przód ciała. Meredith wygięła się w łuk. Westchnęła z rozkoszy, gdy objął dłonią jej pełną pierś. Drażnił ją i podniecał palcami, ale na przeszkodzie stanął mu jedwab sukni. Zniecierpliwiona Meredith szarpnęła głęboko wycięty stanik, ściągając go razem z koszulką i odsłaniając się aż do talii.

Przesuwał wzrokiem po nagim ciele. Widziała w niebieskich oczach żywe pragnienie. Ukrył twarz na smukłej szyi i całował ją, przesuując się coraz niżej. Pochyliła się, gdy objął ustami jej sutek.

Wrażenie było prawie nie do zniesienia. Chwyciła go za głowę i mocno przycisnęła do siebie. Czubkiem języka leniwie okrężał, smakował

i drażnił. Potem wsunął jej sutek do ust i zaczął ssać. Mocno, powoli, potem szybciej.

Meredith walczyła o oddech. Było jej tak dobrze. Parzący dotyk jego ust i języka wywołał dreszcz pragnienia. Gwałtownie przytuliła się do Trevora, dotkliwie świadoma rozpaczliwej potrzeby, by wypełnić rosnącą w niej pustkę.

Umiejętnie podsycił tę namiętność. Oderwał usta i zaczął ją lekko kąsać w szyję i ucho.

- Przesuń nogi. Chcę ci podciągnąć spódnicę - zmysłowo wyszeptał

Meredith do ucha.

Meredith posłusznie zrobiła, jak kazał. Prawie się nie zarumieniła, gdy odsunął jej bieliznę i położył rękę na nagim ciele między udami.

Z drażniącą powolnością obrysował najwrażliwsze, najbardziej intymne miejsce, pociągając i wplatając palce we włoski na pulsującej kobiecości. Meredith przeszło dzikie, namiętne pożądanie. Tętno jej oszalało.

Spróbowała odepchnąć się od jego piersi. Czowała jednak, jak mu ulega, poddaje się cudownym pieszczotom. Jakaś część umysłu buntowała się przeciw tak chętnemu przyzwoleniu, ale zmysły szybko zagłuszyły rozsądek.

Od czasu nocy poślubnej Meredith wiedziała, że w kochaniu się można osiągnąć wielką rozkosz. To Trevor miał do niej klucz i w tej chwili skupiony był na tym, by podzielić się ekstazą z Meredith. Postąpiłaby głupio, gdyby teraz się odwróciła.

Niecierpliwymi, zręcznymi palcami szerzej rozsunął jej uda. Rozchylając fałdki skóry, musnął nabrzmiałą kobiecość, potem powoli głęboko wsunął w nią palec. Żar ogarnął całe ciało kochanki.

Meredith wyrwał się zdławiony jęk. Odwróciła do Trevora twarz, by mógł ją mocno i głęboko pocałować. Pieścił językiem jej usta. Wrażenie 133

było cudowne. Mimowolnie poruszała biodrami, gdy wsuwał i wysuwał palec, i dotykał jej wnętrza, aż oszalała.

Poczuła nagle, że rosnące napięcie zaczyna dochodzić do szczytu i wybuchać. Wyprężyła się ku górze z wysokim jękiem. Trevor pocałował ją mocno w usta, tłumiąc krzyk rozkoszy żony.

Więc o to chodziło! Cudownie i rozkosznie ujawniła się tajemnica nocy poślubnej. Trevor głąskał Meredith, dopóki nie ucichło jej drzenie, jakby uspokajał i gasił namiętność. Uśmiechnęła się leniwie.

Leżała bezwładnie w ramionach męża, płynąc na powoli ustępującej fali przyjemności. Po dłuższej chwili odsunął ręce i zaczął wyprostować spódnicę sukni.

Meredith zebrała się na odwagę i otworzyła oczy. Twarz Trevora była obojętna, ale w oczach zobaczyła błysk dumy i zadowolenia, że sprawił

rozkosz swojej kobiecie.

Przeżyła naprawdę cudowne, nadzwyczajne wrażenie, wspanialsze niż wszystko, czego do tej pory zaznała. A jednak czegoś brakowało do pełni szczęścia. W czasie nocy poślubnej takiego uniesienia doznał Trevor. Teraz dane było jej. Pulsująca erekcja, wciskająca się w jej biodro, uświadomi

ła Meredith, że mąż jeszcze nie zaspokoił swojego pożądania.

Na jakie szczyty rozkoszy mogliby się wznieść, gdyby przeżyli ostateczne spełnienie razem? Meredith prawie nie potrafiła sobie tego wyobrazić, ale bardzo chciała spróbować.

Ze zmysłowym uśmiechem delikatnie położyła rękę na muskularnym udzie. Naśladując ruchy Trevora, zaczęła go prowokacyjnie pieścić opuszkami palców, rysując małe kółeczka i przesuwając się do lędźwi.

- Proszę, teraz ja...

Trevor jęknął, jakby poczuł ból. Chwycił ją za nadgarstek i odciągnął

rękę, próbując jednocześnie wstać. Cały czas siedziała mu na kolanach, więc było to prawie niemożliwe.

- Nie martw się o mnie, Meredith. Nie ma potrzeby.

Prawie zepchnął ją z kolan.

Wyprostowała się powoli. Ciało jej jeszcze pulsowało od rozkoszy, którą ją obdarzył, ale zaczęła odzyskiwać przytomność umysłu.

- Dlaczego? - zapytała wprost.

- Już późno. - Odwrócił głowę:, ale dosłyszała tłumione westchnienie. - Może lepiej porozmawiamy rano.

- Nie zamierzam dzisiaj za wiele rozmawiać. - Znów sięgnęła do niego. - Ani słuchać.

Zesztywniał i spuścił głowę.

134

- Jestem zmęczony.

Gwałtownie nabrała powietrza. Odtrącał ją, wyraźnie cofał się przed namiętym gestem. Poczzerwieniała. Nie odwróci wzroku, nie spuści głowy. Trevorowi uda się ją upokorzyć tylko wtedy, gdy na to pozwoli. Nie miała się czego wstydić. Nie widziała powodu, by odczuwać zażenowanie czy zdenerwowanie.

Na litość boską, przecież byli małżeństwem!

Patrzył na nią teraz z niechętną miną. Na policzkach Trevora zauważył

ła resztki rumieńca. Korciło ją, by ująć jego twarz w dłonie, przesunąć palcami po zmysłowych ustach, drażnić się z nim i kusić, aż oszalałby z namiętności.

Na ramionach i szyi poczuła gęsią skórkę. Uświadomiła sobie nagle, że ciągle jeszcze jest naga aż do talii. Taka swobodna nagość powinna ją wprowadzić w zakłopotanie. Dziwne, ale odebrała to jako zjawisko zupełnie na miejscu.

Meredith spokojnie wsunęła ręce w rękawy sukni, jakby zakładała kapelusz, a nie zakrywała piersi. Markiz nie odrywał oczu od jej twarzy.

Gdy była pewna, że odzyskała panowanie nad głosem, zapytała:

- Po co naprawdę zaprosiłeś mnie tu dzisiejszej nocy?

- Chciałem ci przypomnieć, że wciąż jesteś moją żoną.

- Co za arogancja, milordzie. - Przełknęła resztę gniewnej odpowiedzi. - To nie ja zapomniałam, Odwróciła się na pięcie i ruszyła do sypialni. Zatrzymała się tylko na chwilę, by mocno trzasnąć za sobą drzwiami.

Głośny dźwięk odbił się echem w pokoju. Trevor zdławił emocje, zdecydowany, by im nie ulec. Czuł dotkliwy ból w lędźwiach. Sztywna, nabrzmiała erekcja napierała na zapięcie spodni. Prawie nie mógł się poruszyć na fotelu, żeby nie odczuć dotkliwej niewygody.

Nie rozegrał tego zbyt dobrze. Z pewnością nie tak, jak zamierzał. Nie rozumiała, dlaczego ją odtrącił. Nie chciał wprowadzać Meredith w błąd, nie był jednak gotowy do wyjaśnień. Radosne doznanie seksualne, które właśnie przeżyli, odebrało mu resztki energii, osłabiło pewność siebie i pozostawiło go w bólu i lekkim zmieszaniu.

Było zupełnie jasne, że uważała, iż ją odtrącił, i w zasadzie częściowo zgadzało się to z prawdą. Chociaż bardzo pragnął Meredith, bardziej niż jakiegokolwiek ostatnio spotkanej kobiety, nie chciał wykorzystywać jej ciała, nawet jeśli była jego żoną.

Darzył ją większym szacunkiem, większymi względami. Wiedział, czego ona oczekuje, Miłości, oddania i wierności. Uśmiechnął się i sięgnął po

odstawiony wcześniej kieliszek brandy. Może alkohol złagodzi odczuwany dyskomfort. Pociągnął duży łyk i znów się uśmiechnął.

Jak na ironię, z tych trzech rzeczy: miłości, oddania i wierności, mógł

żonie ofiarować tylko jedną - wierność, co kiepsko świadczyło o nim jako zadeklarowanym rozpustniku.

Jego tryb życia niewiele się zmienił po ślubie. Ci sami przyjaciele, ten sam klub, nocne hulanki, pijatyki, hazard, szaleńcza zabawa.

Jedynym zauważalnym wyjątkiem był brak kobiet w jego łóżku. Choć przekonywał samego siebie, że nie kieruje nim żadne szlachetne poczucie obowiązku, to myśl o złamaniu przysięgi wierności była dla Trevora odrażająca.

Jeśli nie mógł dać Meredith tego, czego naprawdę pragnęła, to przynajmniej powinien być jej wierny. Chciał z nią dzisiaj porozmawiać o przeprowadzce do nowej rezydencji w Londynie. Liczył, że może zdoła odnaleźć się w nowym małżeństwie, gdy zamieszka z dala od wszystkiego, co przypominało mu o Lavinii.

Jednak gdy tylko zobaczył namiętność zasnuwającą oczy Meredith, wiedział, że problem tkwił nie w wyborze lokum. Wspomnienia Lavinii, wspólnego życia i łączącej ich miłości, nieustępliwy ból i rozpacz, które cierpiał po jej śmierci, pójdą za nim, gdziekolwiek będzie.

W tym tkwiło sedno jego udręki.

Markiz podejrzewał, że następnego ranka przy śniadaniu przywita go rozpacz, może nawet histeria. Nie przypuszczał jednak, że ogarnie ona zwykle spokojną gospodynię, pani Pritcher.

Gdy Trevor wszedł do jadalni, służąca siedziała przy stole. Zgarbiona szlochała w pogniecioną chusteczkę. Przy niej stała Meredith, pocieszająco opierając rękę na jej ramieniu.

- Co się stało? - spytał.

Zaskoczone odwróciły się do niego.

- Milordzie! - Starsza kobieta chciała się zerwać z krzesła, ale Meredith przytrzymała ją na miejscu.

- Pani Pritcher otrzymała dziś rano okropne wieści - wyjaśniła Meredith. - Siostrzenica, najstarsza córka jej siostry, zmarła nagłą śmiercią.

136

- Taka śliczna istota. - Pani Pritcher głośno wydmuchała nos w chusteczkę. - Miała tylko siedemnaście lat i była piękna jak obrazek. Nie wiem, jak moja siostra bez niej przeżyje. Na samą myśl pęka mi serce.

Gospodyni przycisnęła chusteczkę do drżących ust i znów zaczęła szlochać.

- Głęboko pani współczujemy, pani Pritcher- powiedział bezradnie Trevor.

Nie wiedział, jak postępować z roztrzęsionymi kobietami, zwłaszcza już niemłodymi.

- To bardzo miłe z pana strony, milordzie. - Służąca pociągnęła nosem. - I pani, milady.

- Droga pani Pritcher. - Meredith poklepała gospodynię po ramieniu. -

Żałuję, że nie możemy zrobić więcej, by ulżyć pani w cierpieniu. - Odwróciła się do Trevora. - Mówiłam właśnie pani Pritcher, że powinna wziąć wolny dzień i natychmiast udać się do siostry. W tak trudnych chwilach rodzina powinna być razem.

- Oczywiście - przytaknął energicznie Trevor. - Gdzie mieszka pani siostra?

- Tutaj, niedaleko Hampstead.

- Więc nie ma powodu odkładać wizyty, choć dobrze by było, gdyby ktoś z panią pojechał.

Markiz spojrział na przerażone twarze dwóch pokojówek, które wśliznęły się do pokoju, i zdecydował, że wystraszone panny nie na wiele się zdadzą.

Wśród starszej służby nie było innych kobiet. Może pokojówka Meredith mogłaby pomóc, ale prawie nie znała pani Pritcher.

- Nalegam, żeby pani nie jechała sama. Lady Meredith i ja odwieziemy panią do siostry.

Meredith uniosła brwi ze zdziwienia. Trevor skrzywił się. Było jasne, że biedna pani Pritcher potrzebuje ich wsparcia. Czy aż tak nedorzeczne wydawało się, że markiz zaofiaruje pomoc? Czy uważała go za ostatniego potwora, pozbawionego wszelkich ludzkich odruchów?

- Nie mogę nadużywać pańskiej uprzejmości, milordzie. - Pani Pritcher spojrzała na niego, mrugając oczami pełnymi łez,

- Nie ma mowy o żadnym nadużywaniu - powiedział Trevor. - Jak wspomniała lady Meredith, siostra potrzebuje pani. Choć przez następne kilka w domu będzie brakowało pani fachowego nadzoru, jestem pewien, że służba sprosta zadaniom.

- Kilka dni? - gospodyni otworzyła szeroko oczy. - Co powie księżę na tak długą moją nieobecność?

137

- Tę sprawę proszę zostawić mnie - oświadczył stanowczo Trevor. -

Niech pani spakuje torbę. Każę sprowadzić powóz do drzwi frontowych.

Meredith pomogła gospodyni wstać. Pani Pritcher dygnęła z szacunkiem i powoli wyszła, a za nią obie zaaferowane służące. Trevor opadł na krzesło i skinął, by lokaj podał mu śniadanie i gorącą kawę. Gdy zaczął

jeść, Meredith usiadła po jego lewej ręce.

- Byłeś bardzo miły dla pani Pritcher - powiedziała. - Dziękuję.

Uniósł głowę.

- Z początku wydawałaś się bardzo zdziwiona moim zachowaniem.
- Cóż, to trochę nietypowe dla mężczyzny z wysokiej sfery przejmować się problemami służącej.
- Pani Pritcher dba o naszą rodzinę od dwudziestu pięciu lat. W tym trudnym czasie jesteśmy jej winni pomoc.
- Całkowicie się z tobą zgadzam.

Trevor spojrział Meredith prosto w oczy i przez moment rozumieli się bez słów. Niemal czuł jej podziw, szacunek i dumę z jej decyzji. Szuranie lokaja krzątającego się wokół stołu ucichło. Przez mgnienie byli tylko we dwoje. Połączeni tą jedną chwilą.

Przypomniawszy sobie, co czuł, gdy wczorajszej nocy trzymał Meredith w ramionach. Była taka rozkoszna i chętna, niewiarygodnie rozpalona i namiętna. Pamiętał smak jej ust i języka, twardość sutków, śliską wilgoć podniecenia, która zrosiła mu palce, gdy dotykał miękkiej kobiecości.

Poczuł napięcie w lędźwiach, ale oparł się ogarniającemu go gwałtownie podnieceniu. Wiedział, że Meredith by tego nie zrozumiała, bo sam ledwo pojmował, że szacunek, którym ją darzył, pomagał mu utrzymać pożądanie na wodzy.

Ponieważ nie mógł jej ofiarować wielkiej miłości i oddania, jakiego pragnęła i na jakie stanowczo zasługiwała, nie zamierzał wykorzystywać naturalnej zmysłowości żony.

Ale na wszystkich świętych pańskich, stanowiła niewyobrażalną pokusę.

- Jeszcze kawy, milordzie?

Nagle powróciła rzeczywistość. Trevor dotknął brzegu filiżanki i lokaj posłusznie dolał ciepłego napoju.

Siostra pani Pritcher mieszkała w północnej części Londynu, w przyzwoitym sąsiedztwie urzędników i kupców o stałych, choć umiarkowanych dochodach. Podczas krótkiej jazdy gospodyni dzielnie starała się zachować spokój, jednak w miarę jak się zbliżali do celu, ogarniało ją coraz większe poruszenie.

138

- Odprowadzę tę nieszczęsną kobietę do drzwi - powiedziała Meredith, gdy pani Pritcher wysiadła z powozu. - Lepiej się upewnić, czy wszystko z nią w porządku.

- Ja też pójdę - zdecydował Trevor. - Złożę rodzinie kondolencje.

Meredith przytaknęła. Podeszli do drzwi, idąc po obu stronach gospodyni. Kobieta, która im otworzyła, nie była zbyt podobna do pani Pritcher, ale jej histeryczna reakcja i kurczowy uścisk

rozwiąły wątpliwości, z kim mają do czynienia. Wśród szlochów i spasmów Meredith została zagarnięta przez obie siostry i poprowadzona do pokoju na tyłach domku.

Trevor został sam pośrodku ciasnego holu. Już zamierzał wrócić do powozu, by tam poczekać na żonę, gdy usłyszał dziecięcy głos.

- Kim jesteś?

Markiz spojrział w dół i zobaczył parę wpatrzonych w niego z ciekawością, błyszczących oczu. Dziesięcio- czy jedenastoletni chłopiec zapewne zjawił się tu podczas całego zamieszania na progu. Trevor zdecydował, że najlepiej dawać proste odpowiedzi.

- Przyjechałem razem z twoją ciotką - oznajmił.

Chłopiec podszedł bliżej. Miał na sobie chyba najlepsze niedzielne ubranie, czarne spodnie, białe pończochy, niewygodne buty i białą koszulę. Czarna opaska zsuwała mu się z ramienia, na lewym mankencie widniała brudna plama.

- Guziki na twoim surducie są bardzo ładne. Jesteś księciem?

Trevor uśmiechnął się.

- Nie.

Dziecko wydawało się rozczarowane. Zwiesiło głowę i zaczęło noskiem buta wiercić między deskami podłogi.

- Moja siostra umarła.

Spokojna, rzucona mimochodem uwaga zaskoczyła Trevora, ale pomyślał, że dzieci zapewne tak reagują. Rzeczy, których do końca nie rozumieją, traktują jak coś zwykłego i normalnego.

- Przykro mi z powodu waszej straty.

Chłopiec wzruszył ramionami.

- Mama płacze i płacze. Całymi wiadrami. - Zamyślił się i westchnął. -

Nie wiedziałem, że w człowieku jest tyle łez. Chce ją pan zobaczyć?

- Twoją matkę? Nie, poczekam tutaj. A właściwie w powozie. Bądź

uprzejmy i powiedz lady Mer..., hm, tej młodej damie, z którą tutaj przyjechałem, gdzie mnie znajdzie.

- Nie mówiłem o mamie - powiedziało dziecko zniecierpliwionym tonem. - Pytałem, czy chce pan zobaczyć Betsy. Położyli ją w salonie i ubrali 139

w najlepszą sukienkę. Haftowaną w różowe kwiatki. Uszyły ją z mamą zeszłego lata.

Markiz z trudem ukrył wstrząs. Ciało. Chłopiec pytał, czy gość chciałby zobaczyć zmarłą. To, co z początku miało być krótką wizytą, zapowiadało się na dłuższy pobyt.

- To chyba niestosowne. Może powinniśmy poczekać na twoją matkę.

- I znowu zaczniesz płakać. No, chodźmy.

Chłopiec schwycił Trevora za rękę i pociągnął. Markiz z oporami wszedł

po schodach do saloniku. Okna izby wychodziły na ulicę i nawet ciężkie zasłony nie tłumiliły całkowicie hałasu, który dochodził z tętniącego życiem miasta.

Kanapa została odsunięta na bok, aby zrobić miejsce na podpórki. Na nich ustawiono prostą sosnową trumnę. Z obu stron stały niezapalone świece.

- Wygląda, jakby spała - szepnął chłopiec, który wdrapał się na krzesło i pochylił nad otwartą trumną. - Ale mama mówi, że Betsy już się nigdy nie obudzi.

Zaciekawiony markiz podszedł bliżej. Rzucił pobieżnie okiem, tylko tyle, by zauważyć bladą, jasną cerę i złociste włosy. Trevora uderzył młodzieńczy i kruchy wygląd dziewczyny. Wydawała się niewiele starsza od chłopca, który wpatrywał się w nią jak urzeczony.

- Była bardzo ładna - powiedział Trevor.

Dziecko przytaknęło.

- Mama obwiązała jej szyję chusteczką, żeby to brzydko nie wyglądało.

Zaintrygowany Trevor ponownie zajrzał do trumny i zauważył białą chusteczkę owiniętą wokół szyi dziewczyny. Dla przyzwoitości? Ale przecież okrągły dekolt sukienki nie sięgał niżej szyi. Chłopiec delikatnie odsunął materiał.

- Widzisz? - wyszeptał z powagą. - To jest takie brzydkie.

Trevor gwałtownie nabrał tchu. Ujrzał sine i purpurowe ślady, wyraźnie odcinające się od bladości delikatnej skóry.

Markizowi nagle zabrakło powietrza. Widział już kiedyś niemal identyczne sińce. Na szyi Lavinii w dniu jej pogrzebu. Czy tej dziewczynie też przydarzył się nieszczęśliwy wypadek?

- Co się stało? - zapytał.

- Właściwie niczego mi nie wyjaśnili - odparł chłopiec. - Ale słysza

łem, jak tato mówił dziś rano. Wczoraj Betsy nie wróciła po pracy do domu. Czekaliśmy i

czekaliśmy, aż ostygł nam wieczorny posiłek. Tato się wściekł i powiedział, że w ogóle nie powinien jej pozwolić pracować 140

w sklepie z rękawiczkami i każe jej to rzucić. A potem powiedział, żeby

śmy jedli kolację. Ale nawet jak już zjedliśmy i posprzątaaliśmy, jej ciągle nie było. Zapadła już noc i mama powiedziała, że się boi o Betsy, więc tato poszedł jej szukać. I wrócił zapłakany, a z nim ludzie, którzy nieśli ciało mojej siostry. Nie mieli ze sobą wózka, a tato nie chciał zostawić Betsy nawet na chwilę. Znaleźli ją w uliczce, zaraz obok sklepu, gdzie pracowała. Ktoś powiedział, że została uduszona. A ktoś inny, że w zeszłym miesiącu znaleźli dwie dziewczyny, też uduszone jak Betsy, ale gdzie indziej. Uduszony to chyba znaczy, że się bardzo skaleczyła w szyję, co?

Trevor zaczął drzeć na całym ciele. Uduszona? Jeszcze raz obejrzał

ślady na szyi dziewczyny, potem zmusił się, by przypomnieć sobie Lavinie. Czas, szok i smutek prawie zaćmiły pamięć, a jednak wspomnienie ukochanej zmarłej stanęło przed oczami niezwykle wyraźnie.

Ciemne purpurowe linie przecinały biel smukłej szyi Lavinii. Głowa leżała pod nienaturalnym kątem wskutek skręcenia karku. Czy ktoś to zrobił z rozmysłem? Ale kto?

- Harold? Haroldzie? Gdzie jesteś? Przyjdź tu na dół i przywitaj się z ciocią.

Harold ze strachem podniósł głowę.

- Mama mnie woła.

- A więc chodźmy - powiedział spokojnie Trevor.

Markiz zszedł po schodach. Myśli o leżącym w salonie ciele powoli go opuszczały. Złożył szczere kondolencje zasmuconej rodzinie, w tym tak

że ojcu Betsy, potem wyprowadził Meredith do powozu.

Z początku jechali w napiętej ciszy, którą przerywało tylko skrzypienie kół powozu.

- Czy pani Pritcher albo jej siostra mówiły coś o tym, jak Betsy zmar

ła? - spytał Trevor.

- Nie. Biorąc pod uwagę młody wiek dziewczyny, przypuszczam, że na skutek jakiejś choroby. Najprawdopodobniej gruźlicy. Dlaczego pytasz?

- Bez specjalnego powodu.

Trevor nie mógł przestać myśleć o sińcach na szyi Betsy. Szokująca gwałtowność śmierci, która ją spotkała, brutalnie przypominała mu, jak kruche jest ludzkie życie. Czy naprawdę została

zamordowana? Uduszona, jak sugerował mały Harold?

Myśl, że taki straszny koniec spotkał młodą niewinną istotę była przerażająca. W tej sytuacji smutek, który spadł na rodzinę, był jak najbardziej zrozumiały.

141

A co z zadziwiającym podobieństwem jej sińców do tych na szyi Lavinii? Czy wśród udręki i bólu po śmierci żony nie zwrócił uwagi na jakiś istotny szczegół? Czy to w ogóle możliwe, że nagła, wstrząsająca śmierć Lavinii nie była wypadkiem, ale morderstwem?

A może z tego wszystkiego najbardziej przejmująca była wzmianka Harolda o dwóch innych dziewczynach, które ostatnio spotkał ten sam los. Jeżeli rzeczywiście istniał związek między śmiercią młodych ekspedientek, czy dojdzie do następnych ataków?

- Milordzie, nasz woźnica pyta, czy chcesz wrócić do domu, czy też wolisz, żeby podwieźć cię do klubu. - Spokojny głos Meredith przerwał

rozważania markiza.

- Nie mam na dzisiaj żadnych konkretnych planów. - Trevor zmarszczył brwi. - A ty chciałabyś gdzieś pojechać? Może na Bond Street na zakupy?

Meredith westchnęła.

- Po wrażeniach dzisiejszego poranka raczej nie jestem w nastroju do rozrywek.

Trevor zastukał w dach, żeby powóz zwolnił. Opuścił okno i zawołał

do woźnicy:

- Zabierz nas do parku. Milady i ja udamy się na przejażdżkę. - Trevor spojrzał na Meredith. - Chyba że masz coś przeciwko temu?

- Milordzie, to niemodne wybierać się do parku o tak wczesnej porze.

- Powinnaś już wiedzieć, że nigdy nie przejmuję się nakazami mody. -

Trevor przez chwilę przyglądał się żonie. -1 byłbym ci bardzo wdzięczny, gdybyś zwracała się do mnie po imieniu. Czasami jesteś tak oficjalna, że niemal spodziewam się, iż zaczniesz dygać, ilekroć wchodzę do pokoju.

Meredith spojrzała na niego gniewnie. Trevor poczuł przyływ satysfakcji. Świetnie. Przynajmniej udało mu się zrobić jakiś wyłom w tym piekielnym opanowaniu Meredith, które zaczynało już działać mu na nerwy.

- Odniosłam wrażenie, że bardziej ci odpowiada, jeśli kontakty między nami są oficjalne. Twoje

zachowanie, Trevorze, od chwili naszego ślubu dało mi jasno do zrozumienia, że chcesz mieć ze mną możliwie jak najmniej do czynienia. Postępowałam tylko zgodnie z oczekiwaniami.

- Rzadko, jeśli w ogóle, zachowujesz się zgodnie z czyimiś nakazami - odparł markiz. - Chyba robisz to, żeby mnie zirytować. A może chcesz zwrócić moją uwagę?

Omal nie rzuciła się na niego w proteście.

- Bzdura! Przyznaję, że czasami jestem uparta i nieroztropna, nigdy jednak nie zniżyłabym się do tak niesmacznych metod, by narzucać się

mężczyźnie, który mnie nie chce. Okazałeś mi to aż nadto wyraźnie w swojej sypialni ostatniej nocy.

- Chciałbym wytłumaczyć, co stało się wczoraj w nocy, Meredith.

- To zupełnie niepotrzebne. - Spojrzała na niego oczami zmrużonymi z gniewu. - Nie chcesz mnie w swoim łóżku. Jasno to zrozumiałam.

- Mylisz się.

Potrząsnęła głową i spojrzała mu prosto w oczy.

- Od naszego ślubu traktowałeś mnie chłodno i obojętnie. Chyba już większą uwagę zwracasz na służbę. Może zaprzeczysz?

- Mam swoje powody - powiedział.

Wydawało się, że jego słowa wytrąciły Meredith z równowagi.

- Na pewno są niezwykle fascynujące.

Trevor uśmiechnął się krzywo. Nawet gdy próbował utrzymać między nimi dystans, coraz bardziej podziwiał charakter i siłę ducha żony. Większość kobiet uczono od kołyski, aby podporządkowywały się woli mężczyzny. Najwyraźniej Meredith nigdy nie spodobała się ta nauka, bo wcale nie obawiała się sprzeciwiać małżonkowi.

To jeszcze bardziej utwierdzało go w przekonaniu, że ta młoda dama zasługuje na więcej, niż mógł jej dać. Nadszedł czas, by mówić bez ogródek.

- Intymne zbliżenie między mężczyzną i kobietą często jest fizycznym zaspokojeniem dla jednego lub obojga. I niczym więcej. Nie splata się, jak sugerują poeci, w nierozzerwalny węzeł z miłością, Meredith przestała się kręcić na siedzeniu i patrzyła teraz na męża z pewnym zdumieniem- Zachęcony tym Trevor ciągnął dalej:

- Jednak z seksualnym pożądaniem i zaspokojeniem łączy się swego rodzaju szaleństwo, które sprawia, że człowiek może zapomnieć o wszystkim, co dla niego ważne, o szacunku do samego siebie. Może znaleźć się w sytuacji, gdy powie, zrobi i zaryzykuje wszystko, by zadowolić partnera i

sprawić mu rozkosz.

- Czy to nie jest miłość?

- Nie - odparł zapalczywie. - Wielu ludzi myli to z miłością, co stanowi dla nich przyczynę tragedii. Seksualna obsesja trwa krótko. Płonie gwałtownym, jasnym i niebezpiecznie gorącym ogniem, a potem błednie i gaśnie równie szybko, zostawiając po sobie zranione uczucia, udrękę, a nawet złamane serce.

- Moje?-wyszeptała.

- Obawiam się, że tak - odparł, choć wewnętrzny głos krzyczał w nim, nakazując ucziwość: Kłamco, nie tylko jej, także twoje serce może zostać 143

złamane. - Jeśli przez ostatnie tygodnie byłem ostrożny i traktowałem cię z rezerwą, to tylko z obawy, że znajdziemy się w beznadziejnej sytuacji, jeśli damy się porwać namiętności.

- Jeśli wiedziałeś, co nam grozi, dlaczego się ze mną ożeniłeś? - zapytała.

- Byłem głupcem, zaślepionym prymitywnym pragnieniem nagięcia cię do swojej woli - odparł bez wahania. - Myślałem tylko o sobie, a gdy zorientowałem się, jak trudna może być sytuacja między nami, było już za późno.

Opadła na oparcie i nachmurzyła się. Patrzyła na niego z przejęciem, ale myślami błędziła gdzie indziej.

- Czy nie ma dla nas nadziei, Trevorze?

Słyszając w jej głosie smutek i zmieszanie, poczuł ukłucie wstydu.

- Teraz, gdy znasz ewentualne konsekwencje, może z czasem uda nam się podjąć stosunki małżeńskie. Ale musisz być w pełni świadoma, że mogę ci ofiarować tylko fizyczną rozkosz, nic więcej.

- Czy potrzebne jest coś więcej?

- Żonie powinno być potrzebne.

Wzdrygnęła się.

- Nie wiedziałam, że jesteś takim niepoprawnym romantykiem. Sądziłam, że większość mężczyzn myśli o małżeństwie zupełnie inaczej.

Oczekują tylko dobrze urodzonej żony, uprzejmej konwersacji i dzieci.

Uroda może być plusem, ale raczej nie jest wymagana. A namiętność?

Czy w ogóle bierze się ją pod uwagę między mężem i żoną?

- To twoja namiętność postawiła nas w tej sytuacji - przypomniał Trevor. - Wypływa z ciebie najzupełniej naturalnie, a ja z trudem próbuję się oprzeć twoim wdziękcom.

- Jestem twoją żoną. Dlaczego musisz mi się opierać?

- Myślałem, że pragniesz, by między nami było coś więcej niż ostry, brutalny, nic nieznaczący seks.

Pomyślał, że chyba wreszcie udało mu się ją zaszokować. Wyglądała, jakby miała za chwilę wrzasnąć z wściekłości.

- Właśnie to mi ofiarowujesz? - spytała z lodowatym uśmiechem.

- Tego ode mnie chcesz?

- Ty zarozumiała draniu. Nie jestem kompletną idiotką. Nie spodziewałam się, że w naszym związku nie będzie przeszkód. Przyznaję, bardzo się zmartwiłam twoją obojętnością. Wbrew temu, co myślisz, już dawno pogodziłam się z faktem, że nigdy nie zdołasz mnie pokochać.

144

Ale czy nie stać cię na szczerłość wobec samego siebie? Najwyraźniej ty mnie nawet nie lubisz.

- Wręcz przeciwnie. Bardzo cię lubię. Aż za bardzo.

Zobaczył na jej ślicznej twarzy irytację.

- Okazujesz to w dość niezwykły sposób.

- Czy zamiast prawdziwego uczucia wolałabyś, żebym cię uwiódł

i przywiązał do siebie namiętnością? - Mówił spokojnym tonem w nadziei, że zabrzmie szczerze. - Wybacz, ale wiem, że to za mało. Zaslługujesz na więcej, niż ja ci mogę dać.

- Och, ale przecież rzadko dostajemy od życia to, na co zasługujemy, prawda? - Poczł na twarzy ciepłą pieszczotą jej oddechu, gdy wypuści

ła powietrze. Meredith zaczęła niecierpliwie stukać stopą. Spojrzała na niego zamyślona. - Zapominasz o czymś oczywistym. Są pewne praktyczne powody, by utrzymywać stosunki małżeńskie.

- Chodzi o dzieci? Nigdy przedtem o tym nie wspominałaś. - W zadumie pogłaskał brodę. Próbował sobie wyobrazić zaokrągloną sylwetkę Meredith. Zrobiło mu się ciepło na sercu. - Czy czujesz nieodpartą potrzebę, by zostać matką?

- Książę byłby bardzo zadowolony z dziedzica - odparła.

Markiz zacisnął ręce w pięści.

- To znakomity powód, by pozostać bezdzietnym.
- Akurat tu się z tobą zgadzam. Jedno dziecko zupełnie nam wystarczy.
- Przypuszczam, że mówisz pani o mnie, madame?

Uniosła brew.

- Jesteś taki domyślny, Trevorze.

Nie mógł znaleźć żadnej dowcipnej odpowiedzi. Miała rację. Zachowywał się dziecinnie, ale rozdźwięk między nim i ojcem trwał już od dawna. Meredith nie rozumiała, jak skomplikowane były sprawy ani jak i głęboko czuł się zraniony.

- Muszę ci pogratulować mistrzostwa w obłaskawieniu księcia. Zbliżyście się do siebie w bardzo krótkim czasie.

Meredith westchnęła.

- Wbrew temu, co sugeruje twój ton, zapewniam, że nie zrobiłam tego, by cię rozzłościć. Albo by zwrócić na siebie twoją uwagę. - Przez usta przemknął jej lekki ironiczny uśmiech. - Księżę był wobec mnie niezwykle życzliwy i opiekuńczy. Bardzo sobie cenię jego towarzystwo.
- Potrafi być niewymownie czarujący, gdy okazja lub okoliczności tego wymagają. Ale ostrzegam, możesz szybko popaść w niełaskę, a jego gniew jest jak niszczycielska furia.

10-Zakład o miłość 145

- Chyba niewiele się pod tym względem różnicie - zauważyła ze słodką niewinnością.
- W porównaniu z księciem jestem zwykłym amatorem.

Meredith zacisnęła usta.

- Pamiętam czasy, gdy ty i ojciec byliście przyjaciółmi. Co jest przyczyną obecnej niezgody, tych nieustannych tarć między wami?
- Lavinia.

Meredith zmarszczyła brwi.

- Ale przecież księżę ją uwielbiał. W towarzystwie wszyscy o tym wiedzieli. Nie wyobrażam sobie, by mogła zrobić coś, co wywołałoby jego niezadowolenie.

Trevor poczuł znajomą falę bólu, gdy odżyły w nim dawno pogrzebane wspomnienia.

- Rankiem w dniu pogrzebu straszliwie się pokłóciliśmy. Zażądał, bym zdjął z jej ręki obrączkę,

klejnot rodowy, który od sześciu pokoleń nosiły żony książąt Warwick. Była zbyt rzadka i cenna, by miała zgnieć w krypcie.

Meredith gwałtownie odetchnęła. Zerknęła na swoją lewą rękę okrytą rękawiczką, po czym nerwowo schowała ją pod torebkę.

- Jestem pewna, że nie chciał, by zabrzmiało to tak brutalnie. Jego zachowanie dowodzi jednak, że potrafi być twardym, pozbawionym sentymentów człowiekiem. Nie miał prawa odmawiać ci czegokolwiek, gdy byłeś pogrążony w smutku.

Chłód w duszy Trevora wywołany gorzkim wspomnieniami zaczął powoli ustępować. Wtedy szalał ze smutku, prawie odchodził od zmysłów, a słowa ojca odebrały mu resztki rozsądku. Powiedział okropne rzeczy, przysiągł, że nigdy nie zapomni i nie wybaczy.

Ale może nadszedł już czas, by pozwolić odejść przeszłości, spojrzeć w przyszłość, zamiast oglądać się wstecz.

Trevor popatrzył spod wpół przymkniętych powiek i zauważył, że Meredith przez rękawiczkę niespokojnie obraca swoją obrączkę wysadzaną brylantami.

- Nie bój się. Twoja obrączka została kupiona w dniu naszego ślubu u jubilera na Bond Street.

- A tamta? Klejnot rodowy?

- Spoczywa na wieczność, gdzie jej miejsce, na ręce Lavinii.

- To dobrze.

Poczuł się rozgrzeszony jej odpowiedzią. Warto było stoczyć i wygrać tę walkę z księciem. Znikł kolejny okrucieństwo bolesnej przeszłości.

146

Nastrój Trevora zmienił się. W słabym świetle sączącym się przez okno powozu twarz młodej damy nabrała nieziemskiego blasku. Meredith nie odwróciła wzroku ani nie próbowała uciekać przed wspomnieniami, którymi się z nią dzielił. Patrzyła mu prosto w oczy szczerym i mądrym spojrzeniem.

Przy tym była niesamowicie pociągająca. Miała na sobie skromną suknię, z niewielkim okrągłym dekoltem, odpowiednią do celu porannej wizyty. Odczuł pokusę, och, jakże silną, by przyciągnąć Meredith do siebie i posadzić na kolanach.

Pochyliłby głowę i dotknął czubkiem języka nagiej skóry tam, gdzie zaczyna się rowek między piersiami. Powoli pieszczoty wędrowałyby niżej, a jej piersi nabrzmiałyby i stwardniały, aż w końcu odchyliłaby głowę i ofiarowała mu się niczym pogańska bogini.

Różne myśli przebiegały Trevorowi przez głowę, a pożądanie oplatało go coraz ciasniejszą spiralą. Walczył z żądzą, zdecydowany, by utrzymać emocje na wodzy i udowodnić, że panuje nad

namiętnością.

Zarumieniła się i uśmiechnęła lekko, jakby przeniknęła lubieżne myśli męża. Odwrócił wzrok, nagle ogarnięty wobec niej przyływem opiekuńczości. Skrzywił się z niesmakiem, gdy uświadomił sobie, że to on ciągle był tą osobą, przed którą należało ją bronić.

Coś się zmieniło od czasu ich rozmowy w powozie. Przez następne dni markiz nadal rzadko widywał się z żoną. Nadal nie dzieliła z nim łoża. Jeszcze nie. Gdy Meredith zastanawiała się nad stanem swojego małżeństwa, właściwie nie zauważyła widocznej poprawy.

A jednak czuła się pewniej w roli żony i markizy, a jej energia i śmia

łość zaczęły odżywać. Wyjaśnienia Trevora były dosyć zawile i poplątane, ale pod jednym względem udało mu się ją przekonać. Nie odbierała jego odtrącenia tak osobiście. Powody, które podał, wydawały się dziwaczne, ale rozważone w kontekście niecodziennych okoliczności zawarcia przez nich małżeństwa nabierały sensu.

- Czy na dzisiejszym balu postąpisz zgodnie ze swoim zwyczajem i będziesz tańczyć tylko z księciem Warwick?

Rozbawiony męski głos, który szepnął jej to do ucha, brzmiał przyjaźnie i znajomo.

147

- Jasper! - Meredith odwróciła się z entuzjazmem i serdecznie objęła brata. - Jak miło cię widzieć! Co za niespodzianka! Myślałam, że bale urządzone przez podstarzałych, nudnych członków towarzystwa to ostatnie miejsce, w którym mogłabym cię spotkać.

- Mieszkamy tylko trzy domy stąd. Gdybyśmy nie przyszli przynajmniej na część wieczoru, zostałoby to uznane za bardzo nie grzeczne. -

Jasper odrzucił głowę i zrobił wyniosłą minę. - Poza tym, prawdziwy dżentelmen musi umieć swobodnie zachowywać się w towarzystwie i pozyskiwać aprobatę w każdym gronie, nie tylko wśród swoich kompanów.

Meredith omal nie upuściła wachlarza. Już miała pogratulować bratu zabawnej pantomimy, gdy zauważyła, że on się wcale nie śmieje. Zaskoczona, zorientowała się, że Jasper nie żartuje.

Błyskawicznie uniosła wachlarz do ust, by ukryć uśmiezek. Będzie potrzebowała trochę czasu, by przyzwycząić się do poważnej, dojrzałej postawy brata. Chociaż trochę przesadzał, pod wieloma względami było to lepsze od lekkomyślnego, nieodpowiedzialnego zachowania, które cechowało go w przeszłości.

- Czy Jason też tu jest? - Meredith zerknęła ponad ramieniem Jaspera w poszukiwaniu drugiego bliźniaka. - Chciałabym się z nim przywitać,

- Przyszliśmy razem, ale teraz gdzieś się schował nadąsany. - Młodzieniec westchnął. - Umówiliśmy się, że będziemy grać w karty tylko trzy godziny. Jason obraził się na mnie, bo akurat kiedy umówiony czas minął, szła mu karta. Kilka minut zajęło mi odciągnięcie go od stolika tak, aby nie zrobił sceny.

Meredith odchrząknęła, potem odkaszlęła. Jednak zdziwienie tak łatwo nie mijało. Jej bracia z własnej woli ograniczali czas poświęcany na hazard? Czy to naprawdę możliwe?

- Cieszę się, że obaj próbujecie praktykować wewnętrzną dyscyplinę - powiedziała wolno.

- Właściwie to była sugestia Dardingtona. - Jasper uśmiechnął się uprzejmie i nisko uklonił przechodzącej obok starszej parze. Potem znów odwrócił się do Meredith i ciągnął dalej: - Markiz stwierdził, że już czas, byśmy poszerzyli nasze towarzyskie horyzonty. A gdy upewnił się, że nie zamierzamy żenić się w najbliższym czasie, poradził, byśmy uczestniczyli w tylu spotkaniach towarzyskich, ile zdołamy wytrzymać i oglądali najnowsze debiutantki.

- Doprawdy? A po co?

- Naturalnie, aby zdobyć doświadczenie - parsknął Jasper. - To dobra rada. Jeśli teraz nauczymy się umiejętnie poruszać po rynku matrymo-148

niałym i unikać pułapek sprytnie zastawianych przez intrygujące mamy i zdesperowane przyzwoitki, ta wiedza bardzo nam się przyda w przyszłości. Nie ma sensu dać się złapać w pułapkę, zanim nie nadejdzie odpowiednia pora na małżeństwo.

- Mądra rada - odparła Meredith.

Szkoda, że markiz sam się do niej nie zastosował. Do licha! Meredith westchnęła w duchu. Czy każda rozmowa musi prowadzić do markiza i stanu jej małżeństwa?

Zmusiła się, by skierować myśli na inny tor.

- Czy ty i Jason spędzacie dużo czasu z Dardingtonem?

- Całkiem sporo. - Jasperowi zaiskrzyły się oczy. - Choć poruszamy się w nieco innych kręgach, mamy częściowo identyczne zainteresowania i uczęszczamy do tych samych klubów.

Meredith nachmurzyła się.

- Doskonale sobie wyobrażam, co oznaczają te wyrafinowane męskie zainteresowania. Wyścigi konne, boks, dobrą starą brandy, rozwiązałe kobiety i gry hazardowe o wysokie stawki. Och, nie zapominajmy też o pojedynku raz na jakiś czas. Wy trzej stanowicie groźne trio, spadające jak burza na spokojne miasto.

- Wcale nie jest tak źle, Merry. Markiz się zmienił. Wszyscy to zauważyli. Jest mniej porywczy, bardziej rozważny w działaniu, zawsze się zastanowi, zanim coś zrobi. Wielu ubolewa, że się ustatkował, jest spokojniejszy, a czasem wręcz poważny.

Zaskoczona Meredith rozważała słowa brata. Jasper przedstawił jej rneża niemal jako mędrca, człowieka odpowiedzialnego, zrównoważonego, a nawet statecznego.

- Odnoszę wrażenie, że go lubisz.

- Bo tak jest. Dardington to kapitalny kompan - odparł natychmiast Jasper. - Nie plotkuje, żyje własnym życiem i nie zwraca uwagi na pozory. Cieszy się podziwem i szacunkiem wielu moich przyjaciół i znajomych. Przyznam, że ja też bardzo go cenię.

Meredith prawie nie wierzyła własnym uszom. Najwyraźniej Jasper cierpiał na rzadką odmianę kultu jednostki.

- Jak szybko zmieniła się sytuacja. Zaledwie kilka tygodni *temu* stali

ście naprzeciw siebie z wymierzonymi pistoletami, a teraz jesteście najlepszymi przyjaciółmi. - Meredith uniosła oczy ku niebu. - A mówią, że to kobiety są zmienne.

- Jak doskonale wiesz, pojedynek się nie odbył. - Jasper wzruszył ramionami. - Poza tym nie wypada publicznie kłócić się z członkiem rodziny.

149

- Stanowczo muszę przypomnieć ci te słowa, gdy obaj z Jasonem znowu zaczniecie się sprzeczać.

Na widok drugiego brata oczy Meredith rozjaśniły się radością. Dobrze było znów się znaleźć w towarzystwie bliźniaków. Z ogromnym zdumieniem uświadomiła sobie, że bardzo jej brak codziennych spotkań z nimi. Chociaż przez lata przysporzyli jej wielu trosk i kłopotów, obu bardzo kochała.

- Wreszcie cię znalazłem! - Jason pospiesznie się uklonił, potem chwycił siostrę w ramiona. - Wszędzie cię szukałem, Merry.

- Naprawdę? - Owiała ją miła, dobrze znana woń mydła toaletowego i gatunkowej brandy. Rozkoszując się tym zapachem, Meredith na chwilę zamknęła oczy. - Przyznam, że cudownie znów cię zobaczyć, ale fakt, iż mnie szukałeś, sprawił, że przeszedł mi po plecach nerwowy dreszcz. -

Roześmiała się wesoło i odsunęła, by popatrzeć na brata.

Jason miał na sobie czarny wieczorowy strój, ze śnieżnobiałą batystową koszulą i srebrną wzorzystą kamizelką. Tak poważny ubiór, w zestawieniu z ciemnoniebieskim ubraniem stojącego obok bliźniaka, powinien wyglądać ponuro, a jednak to Jason lepiej się prezentował.

Meredith najpierw wydawało się, że przyczyną tego wrażenia jest świetny krój ubrania, potem jednak uznała, że to jasny, zawadiacki błysk w oczach dodawał Jasonowi uroku.

- Ranisz mnie swoimi słowami, Merry.

- Nie sędzę. - Meredith zignorowała udawane spojrzenie urażonej niewinności i pocałowała Jasona w policzek. - Dobrze się bawisz?

Jej przystojny brat na chwilę się nachmurzył.

- Miałem niesamowite szczęście w kartach, w jeden wieczór wygrałem więcej niż przez ostatnie dwa tygodnie. Niestety, moja radość została nagle przerwana. Rodzony brat bezceremonialnie odciągnął mnie od stołu. -

Oskarżycielsko wyciągnął palec w stronę wyraźnie znudzonego Jaspera.

- Oszczędź sobie oddechu - odparł z wyższością Jasper. - Meredith już wie o naszym postanowieniu, by ograniczać hazard podczas przyjęć i balów. Nie trzeba chyba mówić, że pochwała to z całego serca.

- Nic dziwnego. - Jason dąsał się jeszcze tylko przez chwilę, potem odwrócił się do siostry z czarującym uśmiechem. - Niewątpliwie z rado

ścią zauważysz, że doskonale udało mi się opanować rozczarowanie tak niefortunnym obrotem wydarzeń. Na następnym balu będę po prostu grał

szybciej, żeby więcej wygrać.

- Podziwiam twój hart ducha - powiedziała Meredith z lekkim, zagadkowym uśmiechem.

150

- Jestem cudowny, prawda?

- Chyba zaraz się pochoruję. - Jasper skrzyżował ręce na piersi i spojrzał na brata z niesmakiem.

- Nie daję ci spokoju, że z nas dwóch to ja cieszę się większą popularnością, - Pełna uroku twarz Jasona rozjaśniła się w uśmiechu. Gdy brat odwrócił się do niego plecami, mrugnął do Meredith.

- Może się czegoś napijemy? ~ zasugerowała w obawie, że deklaracja Jaspera, dotycząca powstrzymania się od publicznych kłótni z członkami rodziny, jest zagrożona.

- Nie mamy czasu na sączenie trunków - stwierdził Jason. - Po drodze z pokoju do gry w karty ujrzałem niezwykłą anielską istotę. Płeć miała jasną i smukłą sylwetkę. Zapewne dopiero co przybyła do stolicy. Z jej oczu promieniuje czarująca, prowincjonalna niewinność.

- Zdaje się zbyt porządna dla takiego łobuza jak ty - wtrącił Jasper.

- Jest wspaniała i na pewno zostanie okrzyknięta sensacją sezonu -

powiedział stanowczo Jason, wyraźnie ignorując docinki brata. - Wystarczyło jedno spojrzenie, by trafiła mnie strzała Kupidyna. Musisz się dowiedzieć, kim ona jest, i natychmiast nas sobie przedstawić, Merry, zanim moja rozkoszna ślicznotka zostanie otoczona przez zgraję pochleb-ców i uwodzicieli, którzy zawrócają w głowie.

Jasper roześmiał się.

- Złe z tobą, bracie. Ilekroć jakaś panna wpada ci w oko, nie tracisz czasu i sam siebie przedstawiasz.

- To prawda. Dotąd ten sposób był bardzo skuteczny. Kobietom podobają się mężczyźni śmiali i stanowczy. Jednak ta jest inna. - Jason uśmiechnął się smętnie. - Niestety ma za przyzwoitkę wiedźmowatą siostrę. Słyszałem, że omal nie wytargała za uszy hrabiego Aubrey. Ośmielił się poprosić o walca, nie spytawszy przedtem, czy dziewczynie w ogóle pozwolono tańczyć.

- Pokonany przez zwykłą kobietę? - To była prowokacja, nie pytanie. - Rozczarowujesz mnie, mój drogi - wtrącił Jasper.

- Wierz mi, ta przyzwoitka nie jest taka zwykła. Zdaje się, że do perfekcji opanowała sztukę odstraszenia każdego adoratora, który znalazł

się w promieniu stu kilometrów. Moim zdaniem, jedno spojrzenie tego bazyliuszka wystarczy, by zmrozić facetowi jaja.

- Jason! - Jasper rzucił bratu piorunujące spojrzenie.

- Co?

- Uważaj na słowa. Jest z nami dama.

151

- Przecież to tylko Merry - obruszył się Jason. - Przez lata słyszała z naszych ust jeszcze gorsze rzeczy i nigdy się nie obraziła. Zapominasz, że wyszła za męża i tym trudniej ją zszokować.

- Meredith jest damą, którą na pewno razi niewybredny język. Ale jej reakcja to tylko część problemu. - Jasper wymownie rozejrzał się dookoła.

ła. - A jeśli ktoś cię usłyszy? Możesz tak mówić w salonie boksterskim Jacksona, nie na balu.

- To szlachetne z twojej strony, że próbujesz naprawić mój charakter, ale stajesz się przy tym pierwszorzędnym nudziarzem - warknął Jason.

Bracia stanęli twarzą w twarz. Meredith z początku bawiła ich sprzeczka, ale teraz uznała, że powinna się wtrącić.

- O, spójrzcie, tam przechodzi lokaj z tacą pełną kieliszków z szampanem. Jasperze, mógłbyś mi jeden przynieść?

Żaden z braci nie drgnął, nawet nie mrugnął okiem.

- Jasper, proszę - powtórzyła Meredith.

Z wyraźną niechęcią spojrzął na siostrę, ale nie ruszył się nawet o krok.

Kamienny wzrok Jaspera mówił, że młodzieniec najchętniej zignorowałby prośbę siostry. Jednak obcując przez lata ze swoimi krnąbrnymi braćmi, Meredith nauczyła się skutecznie sobie z nimi radzić. Patrzyła na niego niewinnie, ale zdecydowanie. Dwadzieścia sekund później Jasper odszedł po szampana. *

- Przepraszam. - Jason zrobił skruszoną minę. - Nie chciałem cię obrazić wulgarnym językiem.

- Wcale się nie obraziłam, ale, proszę, nie mów Jasperowi, bo zacznie prawić morały nam obojgu. - Meredith pochyliła głowę i wyszeptała bratu do ucha: - Jak tak dalej pójdzie, zanim skończy się sezon, Jasper stanie się nie do zniesienia.

Jason roześmiał się serdecznie.

- Meredith, jesteś niesamowita. Większość kobiet chyba by zemdląła na nasze dzisiejsze zachowanie. Dardington jest cholernym szczęściarzem, że ma taką wspaniałą żonę - powiedział szczerze.

Meredith z trudem przywołała uśmiech na usta i przełknęła gorycz żalu.

Nie chciała się zagłębiać w rozważania, czyjej mąż uważał się za szczęściarza, czy nie.

- Za godzinę będzie kolacja. Musisz mi powiedzieć wszystko, co wiesz o tej niezwykłej pannie, którą postanowiłeś poznać. Jeżeli zadziałamy szybko, może będziesz miał szansę towarzyszyć jej przy kolacji.

Uwaga podziałała dokładnie tak, jak Meredith zamierzała. Jason natychmiast porzucił dyskusję o markizie i rozgadał się na podsunięty temat.

!52

- Co za pech, że moja piękność ma taką srogą opiekunkę - powiedział

Jason zde gustowanym tonem. - Dlaczego wszystkim bardziej powabnym pannom nigdy nie towarzyszą starsze, przygłuche matrony, które wolą plotkować między sobą, przejadać się ciężko strawnymi daniami, a po dwóch kieliszkach szampana zapadają w drzemkę w kącie?

Meredith wzruszyła niefrasobliwie ramionami.

- Przrzekam zrobić wszystko, co w mojej mocy, by obłaskawić przyzwoitkę i dać ci pole do popisu przed tą młodą damą. Oto i Jasper z szampanem. Wypijmy po kieliszku dla odwagi i ruszajmy na poszukiwanie wiedzy.

Cała trójka stuknęła się szkłem i wzniosła toast.

- Udanych łowów, bracie - powiedział Jasper.

Jason uśmiechnął się kącikami ust i wypił wino jednym haustem. Meredith powoli sęczyła swój trunek, gdy nagle Jason schwycił ją za ramię.

- Tam jest, Merry. To jasnowłose zjawisko w jedwabnej sukni koloru morza. Stoi przy marmurowej kolumnie. Czyż nie doskonała?

Meredith odwróciła głowę i z wielkim zainteresowaniem spojrzała na drobną blondynkę, obiekt zachwyty brata.

- Dobry Boże, ja ją znam!-zawołała.

- Jak to? Przecież dopiero co przyjechała do Londynu.

- Tak jak podejrzewałeś, jest z prowincji - powiedziała Meredith. -

Twoja śliczna *panna*, to *Elizabeth Sainthill*, najmłodsza siostra wicehrabiego Dewhursta.

- Dewhurst? - Jason w zamyśleniu podrapał się w brodę. - Czy to nie ten gość, który w zeszłym roku ożenił się z twoją przyjaciółką Faith?

- Tak. - Meredith dopiła szampana i oddała pusty kieliszek Jasonowi, który niezwłocznie przekazał go służącemu. - Poznałam Elizabeth zeszłej jesieni, gdy pojechałam do Faith z wizytą. Elizabeth odniosła wielki sukces na balu dożynkowym, ale ożywiona uwaga całego towarzystwa tylko ją speszyła. To czarująca, bezpretensjonalna osobka, którą cieszą najprostsze rzeczy. Jej tak łatwo nie zawrócisz w głowie miejską ogładą, Jason.

- Do licha, Merry. To zabrzmiało, jakbyś miała wątpliwości, czy w ogóle chcesz mnie przedstawić tej pannie - powiedział brat urażonym tonem.

- I tak jest. - Meredith przerwała i wymownie spojrzała Jasonowi w oczy. - Musisz mi obiecać, że nie zrobisz nic niestosownego. Okropnie mnie rozczarujesz, jeśli sprawisz czymś przykrość Elizabeth.

- Merry, ja chcę tylko poznać, nie uwieść - powiedział Jason. - Jestem pewien, że wiedźmowata opiekunka zażąda mojej głowy na tacy, 153

jeśli zrobię jeden fałszywy krok. Przyznaję bez bicia, że jestem zbyt du

żym tchórzem, że bym zaryzykował ściągnięcie na siebie gniewu kobiety-

-bazyliuszka.

Meredith zerknęła na stojącą obok Elizabeth damę. Tylko jedna osoba mogła strzec ślicznej blondynki z taką zawziętą gorliwością. Harriet Sainthill, starsza siostra Elizabeth.

- Muszę ci przyznać, że właściwie oceniłeś sytuację, drogi bracie. -

Meredith wzięła głęboki oddech. - Każdy rozsądny mężczyzna omijałby tę przyzwoitkę szerokim

łukiem. Ale nie zbliżysz się do róży, jeśli nie zaryzykujesz pokłucia się o kolce.

- Niby mi współczujesz, jednak twój ton sugeruje rozbawienie moim położeniem. Ponieważ znasz moją śliczną Elizabeth, czy słusznie mniemam, że wiesz również, kim jest bazyli szek, który jej strzeże?

Meredithomal nie wybuchnęła śmiechem. To było okrutne, ale trafne porównanie. Harriet Sainthill nie słynęła z łagodnego charakteru i p.otulności. Razem z Meredith debiutowała w towarzystwie.

Między nimi natychmiast wywiązała się rywalizacja, choć Meredith nigdy naprawdę nie zrozumiała, dlaczego nie zyskała sympatii panny Sainthill. Dopiero kilka lat później dowiedziała się, że Harriet zakochała się w Julianie Wingacie, jednym z wielu mężczyzn, których oświadczyły Meredith odrzuciła tamtego roku.

Meredith nie miała pewności, czy Harriet jej wybaczyła i czy dalej była zazdrosna o względy Juliana, z którym kilka lat później w końcu się zaręczyła.

Dawne animozje objęły również Faith, drogą przyjaciółkę Meredith, sąsiadkę Harriet. Gdy Faith w zeszłym roku niespodziewanie wyszła za starszego brata Harriet, ta zrobiła wszystko, by uprzykrzyć życie młodej małżonce.

Na szczęście wyglądało na to, że stosunki między obu paniami znacznie się poprawiły. Faith była tak bardzo zakochana w swoim mężu i zachwycona tym, że jest matką jego synka, że właściwie nic nie mogło zakłócić jej szczęścia.

- Lojalnie cię ostrzegam, drogi bracie, że jeśli Elizabeth spotka jakieś nieszczęście, grożą ci poważniejsze kłopoty niż tylko przeprawa z Harriet - oznajmiła Meredith. - Najpierw odpowiesz przede mną, potem będziesz musiał stawić czoło jej bratu. Wicehrabia Dewhurst spędził wiele lat w koloniach jako kapitan własnego statku. To człowiek, z którym trzeba się Uczyć, Jest bardzo opiekuńczy wobec swoich kobiet.

- Czy on również przybył na dzisiejszy wieczór?

154

- Nie, Faith nie mogła w tym roku przyjechać. - Meredith schyliła głowę, by ukryć rumieniec. - Spodziewa się dziecka.

Meredith na nowo dziwiła się tą wiadomością. Faith będzie miała dziecko! Jeśli wziąć pod uwagę burzliwy początek jej małżeństwa, to wydawało się niemożliwe. A jednak, jak wskazywał obecny stan przyjaciółki, wszystko skończyło się szczęśliwie. Czy Meredith mogła wierzyć, że w jej własnym małżeństwie zapanuje przynajmniej harmonia? Prawie bała się mieć nadzieję.

- Przypuszczam, że Elizabeth dopiero zaczyna bywać na salonach -

powiedział Jason. - Choć moim zdaniem niezbyt szczęśliwie wybrała dzisiejszy wieczór na debiut. Nasz gospodarz, książę Shrewsbury, raczej nie jest wybitną postacią w towarzystwie. Pewnie to

Harriet, jej starsza siostra, dokonała wyboru - podsumował.

Meredith poderwała głowę.

- Ale ze mnie gapa. Zupełnie zapomniałam. Julian Wingate jest wnukiem naszego gospodarza, więc naturalnie Elizabeth i Harriet są dzisiaj obecne. Harriet jest przecież zaręczona z Wingate'em.

- Wingate ożeni się z tą zrzędą? - Jason cicho zagwizdał. - Wydaje się, że jej twarz na zawsze zastygła ze skwaszoną i nieszczęśliwą miną.

Trochę mi żal tego gościa. Ona pewnie ma mnóstwo pieniędzy albo spory majątek. Albo jedno i drugie.

- Z tego co wiem, Harriet posiada skromny posag, podobnie zresztą jak Elizabeth.

- Więc Wingate nie będzie się spieszył z ożenkiem - zauważył sucho Jason.

Meredith wzruszyła ramionami, w duchu przyznając bratu rację.

- Są zaręczeni od kilku lat. Jestem pewna, że teraz, gdy Wingate wrócił z półwyspu i wystąpił z wojska, zostanie wyznaczona data ślubu.

- Jakoś nie widzę tej dziwnej pary razem.

- Nie bądź taki bezlitosny - upomniała go Meredith. - Na pewno trudno ci w to uwierzyć, ale Harriet jest bardzo atrakcyjną kobietą. A właściwie mogłaby być, gdyby nie wiecznie skrzywiona mina. Ma cięty dowcip i bardzo ostry język, więc ostrzegam was obu, uważajcie.

Rzuciwszy tę ostatnią surową uwagę, Meredith poprowadziła braci przez salę. Gdy się zbliżyli, musiała przyznać, że Elizabeth przyćmiła siostrę zarówno urodą, jak i zachowaniem. Nietrudno było zgadnąć, dlaczego Jason tak bardzo się nią zachwycił. Wyglądała prześlicznie w jedwabnej szmaragdowej sukni, z włosami ufryzowanymi w misterne loki.

155

Harriet miała na sobie skromną granatową suknię. Jej ciemne włosy były ciasno ściągnięte w prosty kok. Ani suknia, ani uczesanie nie dodawały tej kobiecie urody.

Na widok trójki rodzeństwa Harriet pociemniały oczy. Meredith zawahała się, niepewna, jak zostaną powitam.

- Lady Meredith! - zawołała radośnie Elizabeth. Podbiegła i serdecznie uścisnęła Meredith. - Tak się cieszę, że panią widzę. Miałam nadzieję, że się spotkamy dzisiejszego wieczoru, choć Harriet ostrzegła, bym raczej na to nie liczyła.

- Dla mnie to także wielka radość znów cię widzieć, Elizabeth. Pięknie wyglądasz. - Przywołując cały swój urok osobisty, Meredith odwróciła się i grzecznie ukloniła Harriet, która czujnie się

przyglądała dawnej rywalce. - Witaj, Harriet. Cieszę się, że przyjechałyście obie z Elizabeth.

Faith napisała mi, że wybieracie się do stolicy. Dobrze się bawicie?

- Londyn jest taki sam jak kilka lat temu, gdy stąd wyjeżdżałam. Pe

łen zarozumiałych ludzi, którzy całymi dniami bezsensownie mizdrzą się do siebie i nieustannie plotkują - odpowiedziała Harriet z typową brutalną szczerością. - Nie wiem, jak ty to znosisz co roku.

Meredith rzuciła Jasonowi ostrzegawcze spojrzenie.

- Przypuszczam, że trzeba trochę czasu, by się do tego przyzwyczaić -

powiedziała. - Pozwól, a przedstawię moich braci. Jasper, lord Fairhurst, i Jason Barrington. To panna Harriet Sainthill i jej siostra Elizabeth.

Bracia podeszli bliżej i z gracją uklonili się, Harriet krótko, znacznie dłużej Elizabeth. Dziewczyna zarumieniała się uroczo na to wyróżnienie.

Potem uniosła brodę i uśmiechnęła się, otwierając szeroko oczy.

- Ojej, jesteście...

- Bliźniakami - dokończył gładko Jasper. - Ale ja jestem o kilka minut starszy i o wiele bardziej czarujący.

- Bzdura! - Jason odsunął brata na bok. - Kiepski to gość, który dodaje sobie powagi, opowiadając wszystkim naokoło, jaki to z niego czarujący mężczyzna.

- To nie przechwałki, tylko prawda. Zgodzi się pani, panno Sainthill? -

Jasperowi oczy się zaiskrzyły, gdy patrzył na drobną blondynkę.

- Spójrz tylko na nich! - zawołała Harriet. - Żrą się jak psy o kość.

Bawimy w mieście niecały tydzień, a już jestem zmęczona czuwaniem nad Elizabeth, aby nie padła ofiarą całej zgrai czarujących łobuzów. Aż się od nich roi w towarzystwie.

- Elizabeth to rozsądna dziewczyna i nie da sobie tak łatwo zawrócić w głowie. - Meredith uniosła wachlarz na wysokość ust i pod jego osłoną wyszeptwała: - A wiem z wiarygodnego źródła, że doskonale ci się udaje trzymać tych najgorszych typów z daleka.

- I dzięki Bogu. - Harriet uśmiechnęła się i uniosła do nosa koronkową chusteczkę, przesyconą zapachem lawendy. - Faith powiedziała nam, że ostatnio dosyć nagle wyszłaś za mąż. Przyznaję, że byłam wstrząśnięta. Gdy złożyłaś nam wizytę zaledwie kilka miesięcy wcześniej, stanowczo zarzekałaś się, że pozostaniesz wolna i niezależna.

Meredith poczuła, że czerwieni się na czubkach uszu. Po cichu przeklęła Harriet za jej doskonałą pamięć.

- Czasami sytuacja ulega zmianie i nie mamy na nią wpływu. Kilka tygodni temu poślubiłam markiza Dardingtona.

- Dość zadziwiający zwrot wydarzeń. Chyba nie miałam okazji poznać markiza. Czy będziesz tak miła i nas sobie przedstawi?

Meredith zeszywniała. Harriet już wspominała o nieustannym plotkowaniu w towarzystwie. Zapewne świetnie już znała szczegóły szeroko omawianego małżeństwa Meredith.

- Mój mąż rzadko przychodzi na takie imprezy.

- Szkoda, - Na kilka chwil zapadła napięta, niezręczna cisza. - Nie zapytasz mnie o mojego narzeczonego?

- Nie, to byłoby okrutne.

Oczywiście Meredith miała ochotę zapytać właśnie o to, ale ponieważ już znała prawdę, nie chciała zadawać Harriet niewygodnych pytań. Każ-

dy zakochany albo tylko opiekuńczy narzeczoney powinien przynajmniej trzymać się w pobliżu swojej wybranki, jednak Juliana Wingate'a nie było nigdzie widać. Z pewnością przybył na bal do swojego krewnego...

i niewątpliwie unikał narzeczonej.

- Obawiam się, że ty i ja mamy ze sobą więcej wspólnego, niż nam się obu wydaje, Harriet.

- No nie, znów to zrobiłaś! - krzyknęła Harriet.

- Ale przecież nic nie powiedziałam...

Harriet uciszyła ją gestem ręki.

- No, właśnie. Nie dość, że wyjątkową urodą przyciągasz uwagę wszystkich mężczyzn, a ja mam twarz, którą się zapomina już w trakcie patrzenia na nią, to jeszcze okazujesz współczucie i sympatię swoim przeciwnikom.

Dla mnie właśnie to było twoją największą wadą, Meredith. Jesteś lepsza niż ja. - Harriet zaśmiała się z samej siebie. - To dosyć irytujące.

Znów zapadła dziwna, niezręczna cisza. Na szczęście przerwał ją Jasper, prosząc Harriet do tańca. Jason już prowadził na parkiet Elizabeth, więc starsza siostra chętnie skorzystała z okazji, by mieć młodszą na oku.



Meredith uspokoiła się i opanowała, gdy tylko została sama. Przez chwilę z podziwem rozglądała się po sali. Piękny blask woskowych świec sprawiał, że wszystko migotało i lśniło. To była tylko iluzja. Ulotne wrażenie lśniącej cudowności zniknie wraz z nadejściem świtu. Światło poranka ukaże niedoskonałości sali balowej i gości.

Meredith wzdrygnęła się nagle. Przeszedł ją dreszcz, który czuła czasami, gdy stała samotnie w zatłoczonym salonie. Poruszyła się niespokojnie i dyskretnie rozejrzała dookoła. Spodziewała się ujrzeć mierzącego ją wzrokiem beczelnego uwodziciela albo przenikliwie obserwującą krytyczną matronę.

W pobliżu nie było nikogo. Goście tańczyli, prowadzili konwersację.

Oddechnęła głęboko kilka razy. Czyżby nieprzyjemne wrażenie było spóźnioną reakcją na rozmowę z Harriet?

Meredith niemal natychmiast odrzuciła tę myśl. Jeśli wziąć pod uwagę historię starć między dawnymi rywalkami, to dzisiejsze spotkanie wypadło spokojnie, niemal przyjemnie.

Meredith przycisnęła do czoła dłoń w rękawiczce. Czuła, że się poci, choć w sali nie było zbyt gorąco. Przez jedną szaloną chwilę pomyślała, że Trevor jest na balu, bo przebywanie z nim w jednym pomieszczeniu często wzbudzało podobny dreszczyk emocji.

Gdy jednak Meredithówna się ukradkiem rozejrzała, wiedziała, że się myli. Nie czuła tego pulsującego podniecenia, rosnącego oczekiwania, które pojawiało wraz z Trevorem. W głębi duszy była przekonana, że męża nie ma na balu.

Ale niepokojące wrażenie, że ktoś ją uważnie obserwuje, nie ustępowało.

Jeszcze raz obrzuciła salę spojrzeniem, jednak wyglądało na to, że nikt nie zwraca na nią najmniejszej uwagi. Meredith nagle zabrakło tchu i tak mocno zacisnęła palce na wachlarzu, że jedna z cienkich listewek pękła.

Starła się skupić myśli i uspokoić emocje, stłumić nerwowe drżenie.

Zachowywała się jak idiotka! Stała pośrodku zatłoczonej sali balowej, otoczona więcej niż setką ludzi. Była bezpieczna. Nikt tutaj nie zrobi jej krzywdy.

Usłyszała dźwięki strojonych instrumentów i to odwróciło jej uwagę.

Za chwilę na środku sali zaczną się ustawiać kolejne pary. Pełna determinacji ruszyła na poszukiwanie księcia. Nadeszła pora, by zatańczyli.

Stał za marmurową kolumną i patrzył, jak młoda dama podryguje w miejscu i drży.

Ona wie, że jest obserwowana! I to ją niepokoi. Świetnie.

Jej strach i niepewność sprawiły mu niewielką przyjemność w tę ponurą noc. Ogarniało go rozdrażnienie. Budziła się w nim znana potrzeba, która domagała się zaspokojenia. Ale nie mógł wyjść na zewnątrz. Bal u księcia zapełnił dom aż po brzegi. Wokół kręciło się zbyt wielu ludzi, gości i służby, zbyt wiele oczu mogło zauważyć to, czego nie powinno.

Tańce potrwać aż do rana, a on będzie tkwił uwięziony w rezydencji.

Nie mógł jednak ryzykować. Rósł w nim gniew i popychał do działania.

Od tygodnia czuł niepokój, Ostatnia dziewczyna bardzo go rozczarowała. Poznał ją w sklepie z rękawiczkami, zaledwie tydzień przed zabójstwem. Była nieśmiała i jąkała się. Właśnie takie lubił najbardziej. Słodka i niewinna, zbyt ufna, by rozpoznać zło, nawet gdy już trzymało ją w ramionach.

I tak samo umarła, nie opierając się, bez walki. Prawie się nie wyrywa

ła, jej krzyki i błagania były niemal niesłyszalne. Sprawiała mu tak niewiele przyjemności, że przez chwilę zastanawiał się, czy w ogóle dokończyć dzieła, ale wiedział, że wycofanie się byłoby nierozsądne.

Widziała jego twarz i mogła opisać władzom. Szanse, by go zidentyfikowano były niewielkie. A jeśli nawet jakimś cudem to by się stało, twierdziłby z uporem, że dziewczyna się myli. Nie wątpił, że zwyciężyłby w tej rozgrywce. Zapewne udałoby mu się przekonać innych, że jest niewinny, a ona tylko się mści.

Czyż przez te wszystkie lata nie dowiódł swego sprytu, swobodnie paradując wśród towarzystwa dobrze urodzonych dam i dżentelmenów?

A oni niczego nie podejrzewali!

Jednak w tym przypadku nie mógł sobie pozwolić na ryzyko. W mie

ście znaleziono ciała kilku młodych kobiet, które zginęły w podobny sposób, z sinymi śladami jego rąk na szyi.

Więc dokończył dzieła, czerpiąc odrobinę rozkoszy ze śmiertelnej trwogi w oczach ofiary, zanim zamknęły się na zawsze. Westchnął głęboko. To właściwie była zbrodnia, odczuć po takim wysiłku tylko niewielkie zadowolenie.

Wirująca tuż przed nim plama kolorów przywołała go do rzeczywisto

ści. Zobaczył lady Meredith na środku parkietu. Tańczyła ze starszym, wytwornym mężczyzną.

Swoim teściem, księciem Warwick.

Mężczyzna prychnął pogardliwie. On nie dał sobie tak łatwo zamydlić oczu. Swoim zachowaniem lady Meredith zwróciła na siebie powszechną 159

uwagę, oklaskiwano jej cnotę i gładkie wybrnięcie ze skandalu. To jednak nie zmieniało faktu, że pośpiesznie wyszła za mąż za mężczyznę, który ją teraz zaniedbywał i ignorował.

Wiedział, że Meredith to rani. Widział ból w jej oczach już w dzień pojedynku. Wtedy prawie oszalała ze zdenerwowania. Chciała przerwać pojedynek, nie tylko żeby uratować ukochanych braci, ale by i markiza nie spotkała żadna krzywda. Nigdy nie podejrzewał, że darzy Dardingtona tak głębokim uczuciem. Zdziwiające było odkrycie tej prawdy i poznanie najskrytszej tajemnicy serca Meredith.

Dosięła ją sprawiedliwa i odpowiednia zemsta. Ona, która tak upokarza

ła innych, teraz sama była traktowana z pogardą i bez należytego szacunku.

Cudowne, że lodowa księżniczka, piękna, lecz zimna, teraz należała do kogoś, kto nie darzył jej uczuciem, nie zwracał na nią uwagi i ją lekceważył.

Mężczyzna uśmiechnął się złośliwie nad nieodgadnioną sprawiedliwo

ścią losu. Lady Meredith stała się najbardziej żalną istotą w towarzystwie - zaniedbywaną i odtrąconą zoną.

Wiedział, że tak haniebne traktowanie na pewno rani dumę i serce młodej damy. Wspaniale. Dopóki Dardington ją ignoruje, będzie cierpiała.

A dopóki będzie cierpiała, on pozostawi ją przy życiu.

Są kobiety, które bez mężczyzny przy boku czują się niespełnione.

Meredith zawsze była dumna z tego, że jej to nie dotyczy, że sama wie, co jest dla niej najlepsze, potrafi pokierować własnym życiem. Jednak gdy następnego ranka po balu siedziała w saloniku, patrząc na niedokończony list do Faith., ostatecznie przyznała, że właśnie mężczyzny potrzebowała, by porozmawiać o swoich niepokojących odczuciach poprzedniego wieczoru.

Oczywistym kandydatem byłby książę. Miły, rozsądny i bardzo troskliwy wobec niej mężczyzna. Gdyby nadarzyła się okazja, Meredith na pewno by z nim pomówiła. Niestety, tej nocy powrót do domu odbył się wyjątkowo szybko.

Mogła też odwiedzić braci i zasięgnąć ich opinii, jednak się wahała.

Ostatnie oznaki dojrzałości bliźniaków zrobiły na niej duże wrażenie, ale ciągle jeszcze pozostała im skłonność do przesady w różnych sytuacjach.

160

Gdyby wyznała, że ma wrażenie, iż jest obserwowana, zapewne podnie

śliby wielki rwetes.

Wziąwszy wszystko pod uwagę, rozsądek podpowiadał, że najlepiej zwrócić się do Trevora. Był inteligentny, obyty i opanowany w obliczu niebezpieczeństwa. Meredith musiała jednak pamiętać, że mąż wolał mieć z nią do czynienia jak najmniej. Ta myśl nie opuszczała jej przez całą noc. W końcu Meredith zdecydowała nic nie mówić markizowi.

Spojrzała i powrotem na niedokończony list. Gdyby tylko Faith była w Londynie, Meredith mogłaby porozmawiać z przyjaciółką o strachu, który przyprawił ją o bezsenność. Prawie nie spała. Dręczyły ją niepokojące mroczne wizje.

Gdyby miała okazję, podzieliłaby się swoimi lękami choćby z mężem Faith. Niestety, nie wiedziała, jak tego rodzaju problem opisać w liście.

„Wczorajszego wieczoru świetnie się bawiłam na balu. Bardzo ucieszy

ło mnie spotkanie z Elizabeth. Nawet Harriet zachowywała się przyzwoicie. Moi bracia są niezwykle oczarowani Elizabeth i absolutnie przerażeni Harriet w roli wszechobecnej przyzwoitki. O, a tak przy okazji, mam okropne wrażenie, że jestem śledzona i obserwowana przez tajemniczego nieznajomego, czego właściwie nie mogę ani udowodnić, ani wyjaśnić”.

Meredith i irytacją rzuciła pióro. Czyżby popadała w przesadę? Zapewne tak. Z westchnieniem podniosła pióro i zanurzyła je w kałamarzu.

Pochyliła głowę i skupiła się nad zakończeniem. Nie wspomniała jednak o swoich dziwnych odczuciach.

Starła się utrzymać list w lekkim, pogodnym tonie. Nagle poczuła, jak włosy jeżą się jej na karku. Usłyszała za sobą kroki. Nie mogła to być pokojówka. Rose miała akurat wolne. A służące już sprzątnęły i przewietrzyły sypialnię.

Meredith nie dzwoniła na służbę, zatem nikt nie powinien przebywać w jej pokojach. Poza tym każdy lokaj zapukałby przed wejściem do prywatnych apartamentów,

- Nie spodziewałem się, że zastanę cię w domu o tej porze.

Obróciła się gwałtownie. Tętno nierówno pulsowało jej w skroniach.

W drzwiach stał Trevor z wyraźnie zaciekawioną miną. Meredith prze

łknęła z wysiłkiem.

- Ojej, przestraszyłeś mnie.

- Właśnie widzę. - Skrzyżował ręce na piersi i oparł się o framugę.

- Ostatnio jestem trochę podenerwowana - przyznała Meredith. - A ty jesteś oczywiście ostatnią osobą, którą spodziewałam się zobaczyć w moich pokojach.

11 - Zakti id o miłość

161

Skrzywił się, a Meredith pożałowała wypowiedzianych słów. Szykując się na kąśliwą replikę ze strony męża, odłożyła obsadkę i odwróciła się, by spojrzeć mu prosto w oczy.

- Masz jakieś plany na popołudnie? - spytał.

Zagryzła usta, by nie otworzyć ich, zanim nie zdoła odpowiedzieć spokojnym, pozbawionym zdziwienia tonem. Nigdy nie pytał o jej plany.

- Nie przewiduję żadnego wyjścia. Chciałbyś, żebym coś dla ciebie zrobiła?

- Zastanawiałem się, czy nie wybrałabyś się ze mną na wyścigi konne.

Zapadła krótka cisza. Zdziwiona nagłą propozycją, Meredith z trudem zbierała myśli.

- Nigdy nie byłam na wyścigach - powiedziała w końcu, zastanawiając się, czy zabrzmiało to tak naiwnie, jak się jej wydawało.

- Wcale mnie to nie dziwi. - Uśmiechnął się krzywo. - Myślę, że ci się spodoba. Dzień jest piękny i

słoneczny. Świeże powietrze dobrze ci zrobi.

Cudownie, pomyślała Meredith i serce jej żywiej zabiło. Całe popołudnie spędzone w towarzystwie Trevora. Jak mogłaby się oprzeć tej propozycji?

- Jesteś pewien, że chcesz, abym ci towarzyszyła?

- Meredith, to tylko wyścigi konne. Nie ma powodu do zdziwienia.

Sądząc po twojej reakcji, można by pomyśleć, że poprosiłem cię, byś pluskała się nago w fontannie przy pałacu księcia regenta.

Uniosła podbródek i spojrzała na męża niewinnie, szeroko otwartymi oczami.

- Czy właśnie tak świętuje się wygraną wyścigu? Figlując bez ubrania w fontannie?

Trevor roześmiał się.

- Wywołałabyś zamieszki.

- Lepsze to niż skandal, sir.

- I dużo przyjemniejsze do oglądania. - Rzucił jej zmysłowe, rozbijające spojrzenie. - Chociaż wolałbym patrzeć na twoje wdzięki *au nature!* na osobności, moja droga.

Poruszona Meredith wróciła do listu. Trevor zaczynał na nią silnie oddziaływać swoją obecnością, a ciepłe zapraszające spojrzenie pięknych niebieskich oczu przyspieszało rytm jej serca.

- Żeby uniknąć zbiegowiska, musielibyśmy pływać w nocy - rzuciła.

- To odbiera urok całemu pomysłowi, prawda? Światło dnia jest o wiele bardziej zmysłowe.

162

Zarumieniła się mocno. Oddychała szybko i nierówno. Poczwała gorąco na skórze. Erotyczne myśli, które nagle pojawiły się w jej głowie, były tak wyraźne, aż prawie namacalne. Ale nie pozwoliła, by ostatnie słowo należało do Trevora.

Odwróciła się i spojrzała mu w twarz.

- Czy to musi być fontanna u regenta? W naszym ogrodzie jest kilka pięknych wodotrysków. Ten w pobliżu labiryntu z bukszpanu jest szczególnie uroczy i... odosobniony.

Oczy mu pociemniały w zmysłowym pożądaniu. Po plecach Meredith przeszedł dreszcz podniecenia.

- To chyba nie w porządku, że towarzystwo właśnie mnie nazwało roz-pasany - powiedział cicho. - W tobie drzemie dusza pełna namiętności.

Przez jedną szaloną chwilę Meredith myślała, że Trevor podejdzie do niej i chwyci w swe mocne objęcia. Instynkt podpowiadał jej, by zbliżyła się do niego, ale wiedziała, że nie powinna. Z trudem się powstrzymywała

ła, ale musiała czekać, aż on zrobi pierwszy krok.

Zawahał się i serce w niej zamarło. Jeśli będzie zbyt długo myślał nad własnym zachowaniem, przestanie podążać za pragnieniami. Tak jak się obawiała, wymamrotał tylko zduszonym głosem, że zobaczą się później, i wyszedł z pokoju.

Rozczarowana, ale nie pokonana, Meredith wróciła do listu. Chociaż pragnęła poczuć uścisk jego silnych ramion, dotyk ust, pogodziła się z tym, że nie stanie się to już teraz.

Czekało ją jednak całe popołudnie spędzone razem z Trevorem. Meredith zamierzała postarać się, by przytrafiła się im okazja do pocałunków.

A może nawet do kąpieli w fontannie!

Dzień doskonale nadawał się na wycieczkę za miasto. Siedząc obok markiza na ławeczce kariatydy, Meredith z trudem powstrzymywała uśmiech. Cieszyła się, że wybrał otwarty dwuosobowy powozik. Nie było w nim miejsca dla służby, co dawało im więcej prywatności.

Meredith z przyjemnością obserwowała, jak Trevor powozi. Robił to umiejętnie i bez wysiłku. Nie rozmawiali ze sobą, jednak Meredith czuła się rozluźniona i pełna nadziei. Była przekonana, że mile spędzą popołudnie. Nawet pogoda sprzyjała. Słońce raz po raz chowało się za przepływającymi chmurami, dzięki czemu panował przyjemny chłód.

Wyjechali na nieznane Meredith obrzeża miasta. Wiejska okolica była mniej zatłoczona. Droga wiodła wśród ceglanych domków, sklepików i stajni. Minęli zakręt i znaleźli się na skrzyżowaniu. Po jednej stronie stała gospoda, po drugiej kościół.

163

Markiz zawahał się chwilę i skręcił obok kościoła. Meredith pochyliła się na siedzeniu. Dobiegły ją stłumione dźwięki hałaśliwego tłumu. Poczwała zapach smażonych placków.

- To miejsce nie przypomina tych, które zwykle odwiedzasz. - Nachmurzył się. - Tłum może być dosyć obcesowy. Jesteś pewna, że chcesz zobaczyć wyścigi?

Meredith szybko odwróciła głowę.

- Obiecałeś mi nowe doświadczenie i dopilnuję, byś dotrzymał słowa. Poza tym z tobą przy boku czuję się całkowicie bezpieczna.

- Zatrzymamy się tutaj - zdecydował Trevor. Zgrabnie ustawił kariatydę obok eleganckiego powozu. - Tor wyścigowy jest zaraz za trawnikiem.

Trevor uwiązał konie i pomógł żonie wysiąść. Wstążki jej kapelusza zatrzepotały na wietrze. Meredith rozłożyła parasolkę, by zasłonić się przed słońcem, które teraz świeciło w pełnej krasie.

Markiz wyciągnął z kufra niewielki koszyk. Zrobił krok w stronę Meredith i zatrzymał się.

- Lojalnie cię ostrzegam, madame, że jeśli to koronkowe cudeńko z falbankami porwie wiatr, nie będę za nim gonił.

- Rozumiem. - Zakręciła wdzięcznie parasolką i uśmiechnęła się.-

Jeśli ją stracę, kupisz mi nową.

Zmarszczył brwi, ale nie odezwał się. Meredith szła przodem, a serce biło jej z podniecenia. W oddali widziała obłok kurzu unoszący się nad torem wyścigowym, słyszała krzyki i śmiechy. Powietrze prawie iskrzyło się od nastroju swobodnej, radosnej zabawy.

Gdy zbliżyli się do zebranych widzów, markiz podał jej ramię.

Z wdzięcznością przyjęła oparcie, gdyż w pantofelkach trudno *jej* było stąpać po nierównym trawniku.

Spacerując w tłumie złożonym głównie z mężczyzn, przy boku męża czuła się bezpieczna. Ubrany był w wytworny brązowy surdut, obcisłe skórzane spodnie i wysokie buty. Szerokość pleców i mięśnie ramion świadczyły o jego dużej sprawności fizycznej.

Meredith zauważyła zaledwie kilka znajomych twarzy. Co dziwne, na wyścigi przybyło niewiele kobiet. Większość z nich miała na sobie jaskrawe suknie, modne w kroju, ale dosyć śmiałe. Niektóre damy były nawet umalowane.

Meredith starała się nie gapić ani nie okazywać otwartego zaciekawienia tymi kobietami. Choć ze strony tłumu nie spotkało jej równie grzeczne zachowanie. Gdy mijała grupkę dżentelmenów, usłyszała wyraźne szep-164

ty. Jakiś dandys w okropnym kanarkowym żakiecie tak szybko odwrócił

głowę w jej kierunku, że omal sobie karku nie skręcił. Inny pospiesznie sięgnął po monokl, wiszący mu na szyi na czarnej wstążce.

Podniósł do oka szkiełko i spojrzał na Meredith badawczo, otwierając usta ze zdziwienia. Niestety, nie miała dość odwagi, by zadrzeć nos i pokazać wścibskiemu młodzieńcowi język.

Meredith nie umiała określić, czy wywołała zdziwienie, ponieważ obecni dżentelmeni nie przywykli do widoku prawdziwej damy w takim miejscu, czy też byli zaskoczeni, że markiz Dardington pokazał się w towarzystwie żony.

- Większość osób widzę po raz pierwszy, zwłaszcza kobiety - zagadnęła. - Czy to są... -Zamilkła, szukając właściwego słowa.

- Kochanki, kobiety rozwiązłe i prostytutki? Oczywiście - szepnął

z rozbawieniem. - Śmiem twierdzić, że jesteś tu najbardziej godną szacunku kobietą, milady.

- Ojej, to chyba towarzystwo o dość swobodnych obyczajach. - Czu

ła na sobie jego spojrzenie. Czekał, aż ona wybuchnie oburzeniem? Nic z tego. Meredith doszła do wniosku, że nie ma prawa osądzać innych kobiet. Odetchnęła głęboko, żeby się uspokoić.

- Czy moglibyśmy przed wyścigiem zobaczyć konie?

- Stajnie są tam.

Podeszli do tętniącego życiem miejsca, gdzie ustawiono prowizoryczne boksy dla koni. Jeźdźcy, stajenni i trenerzy przygotowywali do wyścigu pierwszą stawkę. W wyścigu miało wziąć udział pięć koni. Meredith patrzyła pełna podziwu, gdy prowadzono je do linii startu. Zwierzęta parskały i niecierpliwie uderzały kopytami o ziemię. Meredith zafascynowana patrzyła na ich gładkie, lśniące w słońcu boki.

- Który koń według ciebie zwycięży? - spytała.

- Ten z piękną, długą szyją. To ogier z charakterem i walecznym sercem. Nazywa się Łobuz.

Meredith uśmiechnęła się.

- Dosyć niezwykle imię dla konia.

- Mnie się podoba. Chodź, usiądziemy. - Markiz poprowadził żonę na główną trybunę, do sektora osłoniętego przed słońcem. Wybrał rząd, w którym nie było innych widzów. - Jestem jego właścicielem, więc w kwestii imienia liczy się tylko moje zdanie.

- Nie wiedziałam, że trzymasz konie wyścigowe.

- Łobuz jest pierwszy. To zresztą jego debiut w wyścigu. - Trevor usiadł. - Mam tylko nadzieję, że pobiegnie nie najgorzej.

165

- Domyślam się, że rozumiesz przez to zwycięstwo?

- A cóż by innego? - Uśmiechnął się z entuzjazmem. - Nabyłem go dosyć niedawno, ale twój brat zapewnia, że to świetny wierzchowiec.

- Trzeba przyznać, że na koniach Jason zna się jak mało kto - powiedziała Meredith.

- To prawda. Miałem szczęście, że zechciał się rozstać z tym koniem.

Meredith nagle straciła humor. Wydawało się, że Jason i Jasper szczerze zapewniali o swoim zamiarze powściągnięcia skłonności do hazardu.

Prawie uwierzyła, że pod wpływem Trevora uda się bliźniakom wytrwać w postanowieniu. A jednak wyglądało na to, że cała trójka nadal brała udział w grach o wysokie stawki. Meredith ogarnęło przygnębienie.

- Więc teraz zakładasz się o konie wyścigowe, nie tylko zaprzęgowe -

skomentowała sucho, - Przypuszczam, że to już wyższe wtajemniczenie.

- Zakład? - Markiz pokręcił głową. - Nie wygrałem Łobuza, tylko go kupiłem.

- Od mojego brata?

- Tak.

- Naprawdę?

Markiz zmrużył oczy.

- Widzę na twojej twarzy grymas, madame. Wątpisz w moje słowa?

Mam ci pokazać kwit?*

- To niepotrzebne - powiedziała Meredith.

Wiedziała, że powinna przeprosić męża za swoją niemiłą uwagę, ale jego święte oburzenie trochę ją zirytowało. W końcu nie pierwszy raz wygrałby czy przegrał w karty parę pięknych rumaków. Wiedziała z pierwszej ręki, że zdarzyło mu się i jedno, i drugie.

- Konie są prawie na linii startu, ale mamy jeszcze chwilę czasu, by zrobić zakładzik. - Spojrzał na nią chmurnie. - Chyba że masz coś przeciwko temu?

- Nie jestem taką świętoszką, by robić aferę z zakładu o kilka szylingów - odparła Meredith.

- Miło mi to słyszeć. - Spojrzał uważnie na tor. - Którego konia obstawiasz?

Meredith skonsternowana zajrzała do torebki, ale znalazła w niej tylko drugą parę rękawiczek, sole trzeźwiące i płócienną chusteczkę.

- Nie mam przy sobie pieniędzy.

- Pożyczę ci na pierwszy zakład. Możesz mi zwrócić z wygranej.

Meredith nie mogła się powstrzymać od śmiechu.

- A jeśli przegram?

Spojrzał jej przenikliwie w oczy, potem wygiął wargi w szatańskim uśmiechu.

- Cóż, wymyślimy inną formę zapłaty.

Głowę miał nisko schyloną. Meredith czuła na policzku jego ciepły oddech. Pokusa była zbyt silna, by nie zaryzykować. Meredith uniosła brodę i dotknęła ustami jego warg.

Drgnął, zdziwiony tym, co zrobiła, ale nie opierał się. Rozchylił wargi i otworzył przed nią usta. Pocałunek się pogłębił. Ogarnęło ją ciepło i wzruszenie, od którego serce zabiło szybciej, a całe ciało zadrżało.

Meredith z ociąganiem przerwała pocałunek, przypomniawszy sobie, że są w miejscu publicznym.

- Premia dla tłumu - wyszeptała. - Dzisiaj oprócz kilku ekscytujących gonitw oglądają również markiza Dardingtona z małżonką.

Spojrzał na nią przenikliwie.

- Rumieniec na twarzy kobiety, która proponowała figlowanie nago w fontannie? Pani jest hipokrytką, madame.

Mrugnął uwodzicielsko i odszedł. Meredith, ponownie się rumieniąc, sięgnęła po parasolkę, ale co dziwne nie znalazła jej. Pochyliła się, by sprawdzić pod siedzeniem. Tam też parasolki nie było.

- Coś się stało?

Meredith zdławiła okrzyk strachu. Wyprostowała się i odwróciła do męża.

- Jak udało ci się zrobić zakłady i wrócić tak szybko?

Uśmiechnął się niewinnie.

- Nie mogłem zrobić zakładów, bo nie powiedziałaś, na którego konia chciałabyś postawić.

- Oczywiście na Łobuza.

- Optymistka. To mi się podoba w kobiecie.

Pochyliła się do markiza, przez jedną szaloną chwilę myśląc, że znów ją pocałuje. Patrzyli sobie w oczy, ale zwyciężył rozsądek. Meredith odsunęła się, zanim zachowałyby się jak głupty, i spuściła wzrok.

- Pospiesz się, bo stracisz wyścig.

Podniosła głowę dopiero, gdy Trevor odszedł. Nieco zamroczone, odtworzyła w myślach wszystko,

co się stało, próbując zrozumieć męża.

Jednego była pewna. Jego oczy, uśmiech, gorące ciało i prowokujące słowa wyrażały jawne zaproszenie.

Zaledwie kilka dni temu Trevor otwarcie mówił o namiętności i fizycznym pożądaniu i stanowczo nalegał, by zachowywali względem siebie dystans, dopóki nie nauczą się nad sobą panować. A jednak dzisiaj w każdej chwili wysyłał do niej wyraźne sygnały zachęty.

167

Zmysłowej, seksualnej.

Nie pozostała mu dłużna, prowokując go i flirtując. Ona jednak wiedziała, do czego zmierza, zachowywała się świadomie. Od nocy poślubnej pragnęła tylko jednego. Chciała zburzyć mur obojętności wzniesiony przez Trevora.

Miała wrażenie, że nareszcie udało się zrobić niewielki wyłom. A popołudnie jeszcze sienie skończyło!

Markiz wrócił akurat, gdy zaczynał się wyścig. Zabrzmiał strzał startera.

Meredith zerwała się z miejsca i w podnieceniu patrzyła, jak konie z rozwianymi grzywami, tętniąc kopytami na ubitej ziemi, rzuciły się naprzód.

- Nasz faworyt kiepsko zaczął - zauważył Trevor. - Jest na samym końcu.

- Zaledwie minęli pierwszy zakręt - zaprotestowała Meredith. - Daj mu szansę.

Konie popędziły oddalonym odcinkiem toru. Wyglądały, jakjedna skłębiona masa lśniącej sierści. Gdy zbliżały się do następnego zakrętu, Meredith pochyliła się, zadziwiona, że wytrzymują taki szybki bieg.

- Chyba zaczyna odrabiać straty - oświadczył Trevor.

- Więc ciągle jeszcze może wygrać.

- Wszystko zależy od tego, jak pobiegnie na prostej.

Na widok całej stawia koni, zbliżającej się do linii mety, Meredith zagryzła wargę. Prowadził zdecydowanie jeden koń, potężny karosz, ale Łobuz był drugi i pędził z imponującą szybkością.

Meredith schwyciła Trevora za ramię i ścisnęła, ekscytując się coraz bardziej. Tłum zaczął wiwatować.

- Zwycięstwo! - Odwróciła się do Trevora, śmiejąc się radośnie. - Cudownie! Wygraliśmy!

- Tak jest.

- Nie wiedziałam, że to takie podniecające! - przekrzykiwała zgłęb tłum. - Wspaniałe uczucie!

- Wygrana zawsze tak działa. - Markiz wyciągnął z koszyka butelkę owiniętą białą serwetką. Drugą ręką poszukał kieliszków.

- Mogę pomóc?

- Przytrzymaj.

Meredith posłusznie wzięła oba kieliszki. Z nieskrywaną uciechą przyglądała się, jak Trevor wprawnie wystrzelił korkiem z butelki szampana.

Roześmiała się, gdy piana poląła się po butelce.

- Uważaj - ostrzegł z uśmiechem Trevor, nalewając trunek. - Za Łobuza.

168

Stuknęli się szkłem i wypili. Bąbelki przyjemnie połaskotały jej nos,

- Pyszny.

Trevor wypił kolejny łyk.

- Dosty wytrawny, choć wolę, gdy szampan jest bardziej schłodzony.

Meredith posmakowała wino i przełknęła.

- Świętujemy sukces Łobuza. Smakuje jak ambrozja.

- Zwycięstwo zawsze jest słodkie, - Patrzył na nią w skupieniu, ale z dziwną czułością. - Jednak najbardziej wtedy, gdy można je z kimś dzielić.

Świadomie zignorowała lekki dreszczyk, który poczuła aż w brzuchu pod wpływem spojrzenia męża. Znow ją zadziwiło, jak bardzo zmienne nastroje Trevora mogą wpływać na jej emocje.

Zastanawiała się też, dlaczego zadawał sobie tyle trudu, skoro twierdził, że nic do niej nie czuje. Czy było to po prostu coś, nad czym nie panował? Mężczyzna z jego reputacją i doświadczeniem miał niewątpliwie już wiele kobiet. Sam przyznawał, że jest hulaką i kobieciarzem. Czy ogniste zaproszenie wypływało z niego naturalnie, zupełnie bez udziału woli? Niezależnie od adresatki? Czy też może było w tym coś więcej?

Tłum znow zaczął wiwatować, przerywając rozważania Meredith. Spojrzała na tor i zobaczyła Łobuza prowadzonego przed trybuną. Zdawało się, że wszyscy chcą świętować zwycięstwo ogiera,

- Dziękuj ę, że mnie tu zabrałeś - powiedziała Meredith. - Nie pamiętam, kiedy ostatni raz tak dobrze się bawiłam.

- Wspaniale jest pokrzyzczeć i poszaleć, prawda?

- Och, tak. - Serce w niej dziwnie zadrżało. - Którego konia obstawisz w następnej gonitwie?

Pod koniec popołudnia torebka Meredith zrobiła się ciężka od pieniędzy. Młoda dama robiła zakłady i wygrywała w każdym wyścigu. Postanowiła już nigdy tak surowo nie upominać braci za skłonności do hazardu. Teraz rozumiała, jak radosnym przeżyciem może być wygrana.

Tłum zaczął rzednąć. Uczestnicy wyścigów ruszyli z powrotem do domów. Trevor zatrzymał się na chwilę, by przyjąć gratulacje grupy rozbawionych młodzieńców. Meredith skierowała się do powozu. To było cudowne popołudnie. Trochę ją piekł czubek nosa. Bez parasolki tylko rondo kapelusza chroniło ją przed słońcem.

Przypuszczała, że nos się jej zaróżowił albo nawet poczerwieniał, ale nie miało to żadnego znaczenia. Nic nie mogło popsuć jej radości i zachwytu tym dniem.

Powóz markiza można było łatwo rozpoznać wśród innych stojących dookoła. Charakterystyczne żółte koła wyróżniały się na tle czarnych 169



pojazdów. Meredith stwierdziła, że ma dosyć słońca i przesunęła się w cień.

Na siedzeniu powozu zauważyła jakiś przedmiot.

Dziwne, była całkiem pewna, że niczego tam nie zostawili.

Zaintrygowana podeszła kilka kroków bliżej. Serce zaczęło jej walić w piersi, gdy zobaczyła, co to jest. A raczej, co było.

Jej parasolka. Ten drobiazg z jedwabiu i koronki, który tajemniczo zniknął tuż przed pierwszą gonitwą, teraz tkwił perwersyjnie zatknięty w siedzeniu powozu. Poszarpane brzegi materiału i koronki zwisały obdarte ze stelaża i trzepotały lekko na wietrze.

Meredith żołądek ścisnął się z okropnego lęku. Pociemniało jej w oczach. Ktoś z wściekłością i furią porwał parasolkę na strzępy i z rozmysłem zostawił tutaj.

- Harper wspomniał, że mnie szukałeś. Czy jest coś, o czym chciałbyś ze mną porozmawiać?

Trevor podniósł głowę, gdy ojciec wszedł do jego gabinetu. Przesunął

papiery spiętrzone na biurku, bardziej dla efektu niż porządku. Próbował

się nad nimi skupić od godziny, niestety bezskutecznie. Dochody z majątku ziemskiego w tej chwili najmniej go interesowały.

Po powrocie z wyścigów Meredith poszła odpocząć w swoim pokoju. Po początkowym silnym wzburzeniu nie odezwała się już słowem na temat zniszczonej parasolki i uznała całą sprawę za szczeniacki psikus.

Trevor nie był pewny, czy to dobry, czy zły znak. Jego samego jednak widok przedmiotu należącego do Meredith, który został tak okropnie, prawie nie do poznania zniszczony, mocno poruszył. Tak mocno, że markiz z radością powitał okazję porozmawiania o tym z ojcem. Strach jest źródłem najdziwniejszych sojuszków.

- Cieszę się, że cię widzę - powiedział Trevor. - Proszę, usiądź.

- Cieszysz się, że mnie widzisz? - Starszy pan zawahał się. - Nie sądziłem, że kiedykolwiek wypowiesz te słowa. No, chyba że ktoś przystawiłby ci pistolet do głowy. - Księżę przysunął krzesło i usiadł przy stole naprzeciwko syna. - Coś się stało?

- Chodzi o Meredith. Zabrałem ją dzisiaj na wyścigi i przeżyła tam coś strasznego.

170

- Spotkała którąś z twoich kochanek? - parsknął księżę. - **Dla żony** to poniżające przeżycie.

Dlaczego zawsze musi o mnie myśleć wszystko, co najgorsze? - pomyślał z irytacją Trevor.

Chociaż bardzo pragnął odeprzeć zarzuty ojca, ugryzł się w język. Do tej pory nie reprezentował sobą ideału męża. Szyderstwo księcia nie było całkiem bezpodstawne.

- Choć nie powinno to pana interesować, sir, ale odprawiłem wszystkie kochanki.

- Więc teraz korzystasz z burdeli? Dziwki są rzeczywiście na dłuższą metę mniej męczące, ale nawet w najlepszych przybytkach niektóre kobiety są zarażone. Mam nadzieję, że jesteś ostrożny.

- Od lat moja noga nie postąpiła w burdelu - rzekł Trevor. Wyglądało na to, że rozmowa będzie trudniejsza, niż się spodziewał. - Pozwolę się panu obrażać tylko ze względu na Meredith, ale ostrzegam, że nawet moja cierpliwość ma granice.

- Już dobrze, dobrze. Odłożymy omawianie twoich wad na inny czas. -

Księżę niecierpliwie bębnił palcami po stole. - Co się przydarzyło Meredith?

Starszy pan słuchał z uwagą, gdy Trevor opisywał incydent.

- Na wyścigi przychodzą różne typy - skomentował księżę. - To mogła być reakcja jakiegoś zazdrosnego właściciela pokonanego konia albo hazardzisty rozwścieczonego przegraną. Albo po prostu jakiś szczeniacki wybryk.

Trevor pokręcił głową. Sam już rozważył i odrzucił większość z tych możliwości.'

- W tym był jakiś celowy zamysł, niemal osobista zemsta. To wyglądało, jakby ktoś chciał ubliżyć Meredith, właśnie ją przestraszyć.

- I udało mu się?

- Choć temu zaprzecza, moim zdaniem była śmiertelnie przerażona.

Księżę cmoknął zdziwiony.

- To uparta kobieta z żelaznym charakterem. Niewiele rzeczy jest w stanie poruszyć lady Meredith.

Trevor nie zaprzeczył.

- Próbowałem podejść do tego wszystkiego racjonalnie, ale nie mogę się pozbyć wrażenia, że grozi jej niebezpieczeństwo.

- Jesteś pewien? - Księżę nie wydawał się przekonany. - A może chodzi o coś zupełnie innego. Gdy o niej mówisz, wyglądasz jak zazdrosny mąż... albo zadurzony chłopiec.

171

- Bzdura - zaprotestował stanowczo Trevor. Może zbyt stanowczo.

Złagodził ton i ciągnął dalej: - Martwię się, że mojej żonie może coś naprawdę zagrażać.

Spojrzenie księcia powiedziało Trevorowi, że nie przekonał ojca.

- Co więc zamierzasz?

Trevor wiele nad tym myślał. Energicznie pochylił się nad stołem.

- Moim zdaniem, dobrze byłoby wynająć ludzi, którzy mieliby Meredith na oku i pilnowali, by nie stało się jej nic złego.

- To się chyba da zrobić. - Księżę potarł podbródek. - Warto też powiedzieć Harperowi, żeby poinstruował służbę. Niech każdy będzie czujny i uważa na wszelkie możliwe zagrożenie.

Markiz odetchnął z ulgą. Życie wydawało się dużo łatwiejsze, gdy mię-

dzy nim i ojcem panowała zgoda.

- Dobry pomysł. Myślę też, że nie powinniśmy na razie nic o tym mó-

wić Meredith. Nie należy jej jeszcze bardziej denerwować, zwłaszcza jeśli podejrzenia okażą się nieuzasadnione.

Książę skrzywił się.

- Oczywiście zdajesz sobie sprawę, że są miejsca, gdzie ci ludzie nie mogą wejść, nie wzbudzając przy tym sensacji. Jutro wieczorem wybieramy się do teatru. Skoro tak się martwisz, może poszedłbyś z nami?

Trevor uważnie przemyślał sugestię.

- Zjawię się w loży, zanim zacznie się przedstawienie.

- Dla Meredith będzie to na pewno rozkoszna niespodzianka.

Trevor przytaknął. Tak, niewątpliwie będzie to niespodzianka, ale wolał się nie zastanawiać, czy jego żona uzna ją za rozkoszną.

Prywatne loże teatralne, z których szlachetnie urodzeni bogacze oglądali przedstawienia, były rozmieszczone na trzech piętrach. Teraz rozbrzmiewały gwarem i kłębił się w nich tłum. Siedzący w jednej z nich markiz Dardington niespokojnie poruszył się na krześle. Choć wyściełane aksamitem, było twarde i niewygodne.

Trevor spojrział w dół na widownię. Dziewczęta sprzedające pomarańcze przemykały się między rzędami, próbując uniknąć uścisków czy uszczypnięć co bardziej niesfornych i natarczywych dandysów. Skrzywił

się. Nie tylko krzesło wytrącało go z równowagi. Pstrokata gromada widzów, ludzi wywodzących się z różnych sfer, wydawała mu się prawie złowroga. Każdy z nich mógł zrobić krzywdę jego żonie.

Żołądek ścisnął mu się na samą myśl. Trevor poczuł przemożne pragnienie, by chronić i otoczyć opieką Meredith. Jak na ironię, teraz chętnie przyjmował na siebie rolę opiekuna i traktował żonę niezwykle poważnie.

Kątem oka zauważył ruch. Zobaczył, jak Meredith odsuwa zasłonę łoża i wchodzi oparta na ramieniu księcia Warwicka. Na widok tych dwojga, swobodnych i beztróskich, Trevora opuściło napięcie, z którego dotąd nie zdawał sobie sprawy.

Meredith wyglądała wyjątkowo pięknie w sukni ze złociście połyskującego jedwabiu, który kolorem pasował do jej włosów. Dostyc głęboki dekolt ukazywał rowek między piersiami. Szyję wdzięcznie otaczał błyszczący brylantowy naszyjnik, dziwnie znajomy Trevorowi.

Gdy weszli do łoża, markiz z szacunkiem wstał. Zauważyła go wcz-

ściej niż księżę i zdawało się, że cała zeszywniała.

- Mój Boże, co za niespodzianka. Twój ojciec nie wspominał, że będziesz nam towarzyszył dzisiejszego wieczoru.

Nerwowo dotknęła naszyjnika. Znów zwrócił uwagę na klejnoty. Nagle przypomniał sobie, że kiedyś należały do jego matki... potem do żony.

Jego pierwszej żony.

Markiz spodziewał się, że widok Meredith noszącej coś, co kiedyś zdobiło smukłą szyję Lavinii, sprawi mu przykrość. Ale nic takiego nie nastąpiło. Może nierozwiązane kwestie małżeńskie przestały mieć znaczenie teraz, gdy najważniejsze stało się bezpieczeństwo Meredith.

Nie miał czasu odpowiedzieć na powitalne słowa żony, gdyż weszły następne osoby, dwie damy w towarzystwie dżentelmena. Trevor przypuszczał, że zatrzymali się tylko na chwilę po drodze do własnych miejsc, ale wkrótce zrozumiał, że zostali zaproszeni do łoża księcia.

Zerknął na twarz mężczyzny. Julian Wingate! Co on tu, do diabła, robił? Trevor nachmurzył się. Wingate taksował go od stóp do głów, sprawiając jednocześnie wrażenie, że jest zdenerwowany. Ledwie skinął Trevorowi głową i odwrócił się.

Najwidoczniej Wingate, gdy odkrył niespodziewaną obecność Trevora w teatrze, poczuł podobne rozdrażnienie jak markiz w stosunku do niego. Trevor omal się nie uśmiechnął. Przynajmniej dorównywali sobie we wzajemnym braku szacunku.

- Wydaje mi się, że jeszcze nie miałeś okazji poznać obecnych tu dam, milordzie - powiedziała

Meredith. - Niedawno przybyły do Londynu, 173

żeby skorzystać z rozrywek sezonu. zaproponowałam, by dzisiaj przyłączyły się do nas. Pozwól, że ci przedstawię pannę Harriet Sainthill i jej siostrę Elizabeth. Panna Harriet jest zaręczona z panem Wingate'em.

- Miło mi. - Ukłonił się elegancko, choć odruchowo i automatycznie.

W myślach próbował rozstrzygnąć pewną kwestię.

Naręczona Wingate'a? Od kiedy to ona i Meredith są bliskimi przyjaciółkami? A może to Wingate był przyjacielem jego żony? Na samą myśl zawrzał gniewem.

Młodsza z dam, drobna blondynka o świeżej, niewinnej urodzie ukłoniła się z wdziękiem. Odezwała się do niego nieśmiało miłym i słodkim głosem, zachwycając się, że będzie miała okazję obejrzeć przedstawienie.

- To bardzo uprzejme ze strony lady Meredith, że zaprosiła nas na dzisiejszy wieczór- powiedziała Harriet, - Choć oczywiście tego bym się spodziewała po bliskiej przyjaciółce mojej bratowej. Często ciepło mówi o pańskiej żonie. Przyjaźnią się już wiele lat.

Trevor zdziwiony odwrócił głowę. Ach, więc stąd się znali. Zastanawiał się przelotnie, czy Meredith kiedykolwiek mu wspominała o tej przyjaciółce.

- Czyżbym odebrała panu mowę, lordzie Dardingtonie?

Trevor spojrzał na strąca przy nim damę. Uśmiechnął się. Oszałamiająca uroda młodszej siostry sprawiła, że Harriet pozostawała prawie niewidoczna, gdy weszły do łoży. Nie spojrzalby na nią drugi raz, gdyby nie fakt, że była naręczoną Wingate'a.

Jednak gdy teraz obserwował ją przez chwilę, zauważył wyraźny błysk inteligencji w ładnych brązowych oczach, okolonych długimi ciemnymi rzęsami. Miała gładką cerę, wydatne kości policzkowe i lekko zadarty nos. Nie była zjawiskowo piękna jak siostra, ale jednak na swój sposób atrakcyjna,

Jej przenikliwy wzrok sugerował szczerą, bezpośrednią i silny charakter. Trevor natychmiast uznał, że zasługiwała na mężczyznę lepszego niż Wingate.

- Proszę wybaczyć moją nieuwagę. Zamyśliłem się. - Pochylił się i podniósł do ust jej dłoń w rękawiczce. Zrobiła na nim dobre wrażenie, bo nie wrywała ręki i nie krygowała się. - To dla mnie przyjemność poznać panią, panno Sainthill. Wingate jest prawdziwym szczęściarzem, że ma tak piękną naręczoną.

Zabrała rękę. Powstrzymała się, ale odniósł silne wrażenie, że chciała wymownie, z niesmakiem podnieść oczy do góry. Najwyraźniej żeby zro-174

bić wrażenie na pannie Harriet, potrzeba było czegoś więcej niż czczych pochlebstw i pięknych

słówki.

Wszyscy zajęli miejsca. Trevor celowo usiadł w pewnej odległości od reszty towarzystwa, zdecydowany obserwować zarówno scenę, jak i wypełnioną po brzegi widownię poniżej. Przybył tu dzisiaj przede wszystkim po to, by zadbać o bezpieczeństwo Meredith. Uważał, że lepiej przewidzieć kłopoty, zanim się pojawią, i być na nie przygotowanym.

Jednakże podczas pierwszego aktu czujność Trevora nie przyniosła żadnych konkretnych rezultatów. Nabawił się tylko bolesnego skurczu szyi. Ucieszył się więc, gdy wreszcie zapalono świece na antrakcie.

Wszyscy wstali, przeciągnęli się i ruszyli schodami na dół, gdzie podawano napoje i można było odetchnąć świeżym powietrzem. Tylko markiz został na miejscu.

- Dołączy pan do nas, milordzie?

- Nie, dziękuję. Posiedzę tutaj.

Trevor spojrzał na pustą scenę. Gdy usłyszał, że wszyscy wyszli, zaczął poruszać obolałymi ramionami i powoli obracać głowę, próbując rozluźnić zeszywniałe mięśnie.

- Bardzo boli, milordzie?

Zaskoczony Trevor odwrócił się i zobaczył wąską kobietę dłoń opartą na jego ramieniu.

- Meredith, mówiłem ci już, żebyś zwracała się do mnie po imieniu.

- Jak sobie życzysz, Trevorze.

Schyliła się i wyszeptała mu tę odpowiedź do ucha. Oparła się biustem o jego plecy. Dotyk miękkich krągłości natychmiast sprawił, że markiz poczuł napięcie i podniecenie.

Zanim zdążył zwrócić żonie uwagę, zaczęła mu delikatnie masować ramiona. Zeszywniał. Naciskała coraz mocniej, aby dotrzeć do skurczonych mięśni.

Zdjęła rękawiczki. Poruszała palcami precyzyjnie i z zadziwiającą sprawnością. Trevor zamknął oczy, a ból zaczął znikać.

- Tak lepiej?

- Tak. - Z ust wyrwało mu się westchnienie. - Choć podobno w masażu najlepsze efekty uzyskuje się, gdy jest robiony na nagim ciele.

Zwinne dłonie na chwilę znieruchomiały, potem podjęły magiczne działania.

- Zapropionowałabym ci zdjęcie surduta i koszuli, ale obawiam się, że niezwłocznie byś to zrobił. A czynności tego rodzaju należy zachować na zacisze naszych apartamentów.

175

Markiz otworzył oczy. Nie zamierzał rzucać takiej sugestywnej uwagi o nagim ciele. Czy aby na pewno? Coraz częściej tracił swoje słynne już opanowanie, gdy chodziło o jego niezwykłą żonę, Rosło w nim ostre, palące pożądanie, na które nie mógł pozwolić.

Odwrócił się, a Meredith posłała mu uśmiech.

- Zdaje się, że odczuwasz już mniejszy ból - powiedziała. Usiadła na krześle z tyłu. - Tak się cieszę, że mogłam ci pomóc.

Minę miała niewinną, ale Trevor mgliscie podejrzewał, że jego piękna żona rozkoszowała się tym, że tak na niego działa. Mimo irytacji nie mógł

jej nie podziwiać. Była niezwykła, tak niekonwencjonalna w porównaniu z innymi kobietami, które znał. Nawet z Lavinia.

- Najpierw pocałunek na wyścigach, teraz masaż w teatrze. Zaczynam wierzyć, że lubi pani wystawiać się na widok publiczny, madame.

- Czy to ci się nie podoba?

- Wręcz przeciwnie.

Naprawdę tak myślał. Sam od lat nie przejmował się konwenansami i sztywnymi regułami towarzystwa. Teraz z niej żartował, ale przecież zdawał sobie sprawę, że Meredith przez całe swoje życie okazywała więcej zdrowego rozsądku i roztropności wobec tych zasad niż on.

- Muszę odetchnąć świeżym powietrzem. Chyba wyjdę na chwilę do foyer,

Meredith szerzej otworzyła oczy. Nic nie powiedziała, o nic nie poprosiła, ale czuł skupioną na sobie jej uwagę. Wolał być sam, ale został pokonany.

- Zechcesz mi towarzyszyć?

- Z przyjemnością.

Wstała z wdziękiem. Cofnął się o krok, żeby przepuścić żonę w przej

ściu. Gdy go mijała, celowo otarł się ramieniem o jej piersi. Prawie czuł

dreszcz, który przeszył ciało Meredith, jednak nie dała poznać po sobie żadnego podniecenia. Najprawdopodobniej był jedyną osobą w teatrze, która wiedziała, że jest poruszona. Markiz uśmiechnął się zadowolony, że ma ten przywilej".

Gdy schodzili na parter po zatłoczonych schodach, Trevor zaborczo trzymał rękę na talii żony. Na dole kręciło się już mniej ludzi, gdyż większość wróciła na miejsca. Chciał skinąć na lokaja, żeby podał im szampana, gdy jego uwagę zwrócił jakiś huk. Meredith też usłyszała donośne grzmienie, bo chwyciła go mocno za ramię.

- Coś się stało? - spytała, unosząc brwi.

Trevor zmarszczył się zaniepokojony. Rozległy się krzyki i gwizdy z sali, potem dał się słyszeć wyraźny trzask przewracanych krzeseł.

- Zdaje się, że na parterze zaczęli szaleć podpici widzowie. Jeden rzuca jakąś uwagę, drugi się nie zgadza i wkrótce między rzędami zaczyna się regularna bijatyka. Widziałem to już kilka razy. Niezbyt przyjemny widok. Musimy się stąd wydostać, zanim zacznie się większa awantura.

Najwyraźniej wielu widzów doszło do tego samego wniosku, bo zaczęli tłumnie opuszczać widownię, zbiegać po schodach i szybko kierować się do wyjść. W ich zachowaniu wyczuwało się strach.

- Nie możemy zostawić reszty towarzystwa! - zawołała Meredith.

Trevor podniósł głowę i szybko ogarnął wzrokiem tłum.

- Widzę księcia i pannę Harriet. Przypuszczam, że Wingate i Elizabeth są w pobliżu. Zaraz po lewej ręce mają wyjście.

- A co z nami?

- Chodź. Po drugiej stronie jest wyjście, o którym mało kto wie.

Markiz zdążył zrobić tylko kilka kroków, gdy uświadomił sobie, że Meredith przy nim nie ma. Odwrócił się zatrwożony. Stała ze dwa metry od niego, nieruchoma i pobladła. Potem zagarnął ją napierającą tłum, unosząc coraz dalej od markiza.

- Trevor!

Masa skłębionych, rozpychających się ciał zdusiła jej okrzyk przerażenia. Dardington zareagował błyskawicznie, ale czuł, jakby płynął pod prąd. W ciągu kilku chwil rozdzieliła ich ściana ludzi. Trevorowi z trudem udało się wcisnąć w tłum. Powoli, drobnymi krokami posuwał się w jej kierunku, nie odrywając zatrwożonego wzroku od złocistego jedwabiu, który wyróżniał żonę w tłumie.

Nagle ktoś mocno popchnął Meredith. Trevor zobaczył, jak się potyka, potem próbuje wyprostować. Krzyknął głośno, gdy zupełnie znikła mu z oczu. Nadludzkim wysiłkiem przepchnął się do przodu. Pochylił się i wypatrywał błysku złotej tkaniny.

Zdawało się, że minęły wieki, nim odnalazł to, czego szukał. Zakręciło mu się w głowie. Objął Meredith ramieniem i na poły ciągnąc, na poły wlokąc, postawił ją na nogi. Przyłgnęła do niego z całej siły.

Poczuł tak ogromną ulgę, że musiał się na chwilę zatrzymać i odetchnąć.

Obok upadł jakiś mężczyzna. Kobieta krzyknęła i runęła na niego. Tłum parł do przodu, tratując nieszczęśników. Paniczne krzyki z przeciwległego końca foyer wskazywały, że niektórzy już znaleźli się pod nogami rozszalałego tłumu.

Zwyciężył instynkt samozachowawczy.

12 Zakład o miłość 177

- Tędy, szybko! - krzyknął Trevor.

Chciał ją objąć ramieniem i trzymać przy boku, ale wiedział, że biegnąc koło siebie, nie zdołają przedrzeć się przez tłum.

Meredith najwyraźniej zrozumiała, że on musi pójść przodem.

- Idź. Będę tuż za tobą.

Czuł, jak wbija mu palce w ciało. Gdy przekonał się, że trzyma go wystarczająco mocno, pociągnął ją na skraj holu i dalej w kierunku kulis teatru. Krzyki i przekleństwa stały się głośniejsze, gdyż zbliżyli się do szalejącej burdy, ale co dziwne, tutaj było mniej uciekających widzów.

Markiz nie zwolnił kroku. Skręcił w lewo, do wyjścia ukrytego za rzędem aksamitnych kotar. Na szczęście drzwi nie były zamknięte. Z ulgą otworzył je i wypadli na małą uliczkę, wielkimi haustami chwytając w płuca świeże powietrze.

Trevor odetchnął głęboko. Zamknął oczy i oparł się o ceglaną ścianę.

Ramiona bolały go od wysiłku przepychania się przez tłum, w głowie huczało mu ze zdenerwowania i napięcia.

- Dobrze się czujesz?

Drżący głos Meredith wyrwał markiza z odrętwienia. Trevor odczekał

jeszcze chwilę, by odzyskać oddech, i odwrócił się do niej. Wyczerpana stała wsparta o ścianę. Twarz miała szarą, włosy potargane, ze stanika sukni zwisał oddarty kawałek materiału.

- Jestem obolały, ale cały - odparł. - A ty?

- Sama nie wiem.

Odnalazł jej dłoń i ścisnął pokrzepiająco. Z ulgą poczuł, że odwzajemniła uścisk.

- Boże, to był koszmar - wyszeptał. - Nie zdziwiłbym się, gdyby się okazało, że dzisiejszego wieczoru ktoś zginął.

Meredith wyrwał się cichy, gardłowy jęk. Pomyślał, że żona zaraz wybuchnie płaczem.

- Widziałam cię w tłumie, byłeś tak blisko, a jednak zdawałeś się odległy o wiele kilometrów, bo nie mogłam cię dosięgnąć. Potem ktoś mnie mocno popchnął, aż straciłam dech. W uszach mi dzwoniło, w oczach pociemniało. Upadłam. Bałam się, że nie zdołam wstać, że mnie zgniotą i zdeptają. Potem nagle, nie wiadomo skąd, zjawiłeś się ty. - W słabym świetle ulicznej latarni Trevor zobaczył, że Meredith zagryza drżące wargi. - Ocaliłeś mi życie.

Mówiła żarliwie, ale to zachwyt i podziw na jej twarzy wywołały w nim przyływ uczuć. Nigdy przedtem nie czuł się taki dzielny, odważny, piekielnie pożyteczny.

Uczucia, które napłynęły z tak nieznośną siłą, powinny go przerazić, a zamiast tego ogrzały i napełniły spokojem.

Trevor zauważył, że Meredith gwałtownie się trzęsie. Zachwiała się, więc chwycił ją w ramiona i mocno, niemal z pasją przytulił do piersi.

Jest moja, huczało mu w głowie z zaborczą determinacją. Muszę ją chronić i zapewnić jej bezpieczeństwo.

Chwycił Meredith na rękę.

- Obejmij mnie za szyję. Nasz powóz jest przed teatrem, a tam na pewno będzie duży tłum.

Meredith kiwnęła głową i przytuliła się do męża. Wydała się słaba i bezbronna jak nigdy dotąd.

Tak jak przypuszczał, przed wejściem do teatru zastali mrowie ludzi.

Ale teatralni goście zachowywali się już zupełnie inaczej. Teraz gdy minęło bezpośrednie zagrożenie, chodzili tam i z powrotem, dyskutując o wypadkach wieczoru. Niektórzy byli bladzi i oszołomieni, inni krzyczeli, próbując odnaleźć w tłumie resztę swojego towarzystwa. Kilka osób zajęło się pomocą rannym.

Trevorowi cudem udało się odnaleźć ojca. Księżę zdołał uciec, zanim zaczął się największy ścisk. Bezpiecznie odprowadził pannę Harriet i Elizabeth do powozu Wingate'a, potem wrócił szukać syna i Meredith.

- Mocno jest poturbowana? - zapytał księżę zatroskany.

- Tylko wstrząśnięta. Ale musimy ją zabrać do domu jak najszybciej.

Księżę przytaknął.

- Mój powóz już czeka. Wyślę stangreta, żeby odnalazł twojego woźnicę i zawiadomił go, że wróciliście do domu ze mną.

Kilka minut później wsiedli do czarnej karety. Trevor siedział koło żony.

Czuł, że Meredith ciągle drży, że nie opuszcza jej napięcie. Bez słowa przesunął się na siedzeniu i

objął ją ramieniem.

Dach powozu był odsunięty. Trevor pochylił się, by spojrzeć na Meredith w świetle księżyca. Skąpane w srebrnej poświacie oblicze pozostawało nieruchome. Pomyślał, że tylko wyobraził sobie jej lęk.

I właśnie wtedy z cichym okrzykiem przerażenia ukryła twarz na jego piersi i mocno objęła go za szyję. Coś ścisnęło Trevora za gardło. Jej całkowite zaufanie było obezwładniające. Najwyraźniej wierzyła, że poza nim na świecie nie ma osoby, która mogłaby ją lepiej chronić.

Księżę dał znak woźnicy i powóz z szarpnięciem ruszył do przodu.

Trevor mocniej przytulił Meredith i gdy jechali ciemnymi ulicami, robił

wszystko, co mógł, by czuła się pewnie i bezpiecznie.

179

Godzinę później Meredith siedziała w swojej sypialni na miękkim krze

śle z kieliszkiem brandy w ręce. Chociaż dzielnie starała się zachować spokój, czuła, jak powoli ogarnia ją panika.

- Już mi lepiej. - Uśmiechnęła się blado do męża, który chodził tam i z powrotem. - Naprawdę.

- Wypij. - Przechylił jej kieliszek i zmusił, by wzięła duży łyk. - Lepiej ci! Akurat! Jesteś blada jak zjawa i cała się trzęsiesz.

Meredith zwilżyła usta językiem. Chciała gwałtownie zaprzeczyć, ale za bardzo szczękała zębami. Śmieszne, ale teraz, kiedy było już po wszystkim, czuła jeszcze większe przerażenie i tym bardziej traciła kontrolę nad ciałem i emocjami.

- Obawiam się, że zgubiłam brylant z naszyjnika.

Drżącą ręką podała klejnoty Trevorowi.

- Daj spokój! - Wyrwał jej z dłoni naszyjnik i rzucił na stolik obok. -

To bez znaczenia.

Meredith zamrugnęła. Nie rozplacze się. Nie okaże słabości. Zachowa opanowanie i rozsądek. Musi swojemu mężowi powiedzieć coś ważnego o okropnych wypadkach dzisiejszego wieczoru. Biorąc pod uwagę jego obecne zdenerwowanie, na pewno nie będzie zadowolony.

- To nie jest moja prywatna własność, to klejnoty rodowe - powiedziała cicho Meredith. Spojrzała Trevorowi prosto w oczy. - Jeśli zosta

ły uszkodzone, muszę je naprawić. Taki mam obowiązek.

Markiz uklęknął przed Meredith. Odsunął ręką pasmo włosów z jej twarzy. Widziała, że usiłuje zachować spokój.

- W porządku, zaniosę naszyjnik do jubilera.

- I przyslesz mi rachunek?

- Meredith.

Ścisnął ją mocniej za nadgarstek. Wybuchnęła nerwowym śmiechem.

Zaczynały mu puszczać nerwy. Zdecydowała, że lepiej nie doprowadzać męża do ostateczności.

- Dziękuję ci, Trevorze.

- Musisz mi opowiedzieć, co pamiętasz z wypadków w teatrze - powiedział markiz.

Meredith oparła się na krześle i wypła mały łyk.

- Spróbuję, ale wszystko stało się tak szybko. Wszędzie był potworny ścisk, potem poniósł mnie tłum. Poczułam, jak ktoś na mnie wpadł i popchnął od tyłu. Tak się bałam, że stracę równowagę, upadnę i zostanę stratowana, że nawet nie zauważyłam, kto to był. Ale potem znów zosta-

łam mocno szturchnięta. I jeszcze raz. Ostatnie uderzenie rzuciło mnie na 180

kolana. Pamiętam, że próbowałam się czegoś uchwycić, ale wszędzie były tylko skłębione ciała. I wtedy poczułam ręce.

- Moje? Gdy ciągnąłem cię do góry?

- Nie. - Opuściła głowę, potem ją podniosła. - Ręce wokół szyi.

Markiz pochylił się nad Meredith i dopiero teraz zobaczył, że na szyi miała siniaki, czerwone ślady, które zaczynały już ciemnieć. Pobladł na twarzy i rozgniewany zacisnął dłonie w pięści.

- To były ręce mężczyzny?

- Tak mi się wydaje. Chciałam krzyknąć, ale zabrakło mi tchu. - Meredith wzdrygnęła się. - Wiem, że nie chcesz już o tym słuchać, ale jestem pewna, że ktoś zamierzał ukraść naszyjnik - powiedziała. - I prawie musie udało.

Markiz przysiadł na piętach.

- Pamiętasz coś jeszcze? Coś, co może wydarzyło się wcześniej?

Poruszyła się niespokojnie na krześle. W końcu wyszeptała:

- Ktoś mnie obserwował i śledził.

- Co?

Jak mogła mu wyjaśnić to, czego sama do końca nie rozumiała? Coś, co mogło być tylko wytworem wyobraźni? Jednak jakiś wewnętrzny głos nakazywał, by spróbowała.

- Nie pierwszy raz jestem obiektem zainteresowania ze strony towarzystwa. Przez ostatnie kilka tygodni przywykłam do tego, że się na mnie gapią i szepczą na mój temat. Dzisiejszego wieczoru to się znacznie nasiliło. Jestem przekonana, że w teatrze wzbudziliśmy takie zainteresowanie, ponieważ pojawiliśmy się razem. - Uśmiechnęła się blado. - Rzadko bierzemy wspólnie udział w imprezach towarzyskich. To zupełnie naturalne, iż wywołaliśmy zaciekawienie i komentarze.

- Sam też to odczułem- przyznał Trevor. - Czy zawsze jest to tak dokuczliwe?

Meredith wzruszyła ramionami.

- Od naszego ślubu zdarzały się chwile, gdy wydawało mi się, że jestem bacznie obserwowana przez setki par ciekawskich oczu. Ale nie tłum mnie przeraża. Ostatnio miałam wrażenie, że jedna konkretna osoba, jakiś typ nadmiernie mi się przygląda.

- Domyślasz się, kto by to mógł być?

- Nie. - Zaśmiała się cicho. - Dlatego przypuszczam, że tylko to sobie wyobraziłam. A jednak...

Meredith podniosła wzrok. Trevor skupił na niej przenikliwe spojrzenie. Wydawało się, że chce coś powiedzieć, ale potrząsnął głową, jakby zmienił zdanie.

181

- Jesteś osobą zrównoważoną, raczej nieskłoną do fantazjowania.

A dzisiejszego wieczoru bardzo się wystraszyłaś. Może wrócimy do tematu rano, gdy odpoczniesz.

Meredith przytaknęła. Rzeczywiście lepiej, jeśli dokończą tę rozmowę jutro. Zastanawiała się, czy zdoła zasnąć, mimo że była naprawdę wyczerpana fizycznym wysiłkiem i emocjonalnym napięciem. Strach i panika, które ogarnęły ją w teatrze, jeszcze jej całkiem nie opuściły i nadal czały się w zakamarkach umysłu.

- Gdzie Rose? - Meredith rozejrzała się w poszukiwaniu pokojówki. - Zwykle czeka na mnie w saloniku.

- Odesłałem ją. Pomyślałem, że się przestraszy, gdy zobaczy cię w takim stanie. Mam po nią zadzwonić?

- Nie, dziękuję. Jeśli tylko rozepniesz mi guziki z tyłu, dam sobie radę z całą resztą.

Wstała i odwróciła się plecami do męża. Dotyk jego ciepłych palców odpędził przynajmniej część chłodu, który czuła. Trevor skończył jednak zbyt szybko. Stała do niego przodem, mocno przytrzymując na piersiach rozpiętą suknię.

Nagle nie mogła przełknąć. Chciała ze wszystkich sił błagać Trevora, by z nią został, jednak prośba uwięzła jej w gardle.

- Wychodzisz gdzieś później?

Na chwilę Trevor cały zeszywniał, jakby próbował odzyskać opanowanie. Atmosfera nagle stała się napięta, nasycona czarowną pokusą seksualnego pożądania.

- Chyba lepiej, żebym został tutaj,

- W mojej sypialni?

Oczy mu pociemniały, stały się głębsze i bardziej chmurne. Ale nic nie powiedział. Meredith uniosła podbródek i skupiła wzrok na niewielkiej rysie w suficie. Musiał zobaczyć udrękę na jej twarzy, bo powiedział:

- Zostanę, dopóki nie zaśniesz.

Duma i niezależność niemal krzyczały w niej, by zaprotestowała, zaprzeczyła, że czeokolwiek od niego potrzebuje. Jednak pragnienie, by ją pocieszył, okazało się silniejsze.

Bez słowa przeszła za parawan, żeby się przebrać. Z rozmysłem wybrała koszulę z przejrzystego jedwabiu i zamiast jak zwykle spleść włosy w warkocz, zostawiła je rozpuszczone, by spływały po plecach bujnymi falami. Wzięła głęboki oddech, zacisnęła usta w wąską linię i odważnie weszła do sypialni.

182

Trevor siedział w fotelu przy łóżku. Jego pełna uroku twarz zastygła w nieprzeniknionej maską. Jednak gdy Meredith przechodziła obok męża, miała wrażenie, że przygwaźdza ją swoimi niezwykle niebieskimi oczami.

Odrętwiała kładła się do dużego, pustego łóżka. Jej mąż, mężczyzna, którego kochała z całego serca, nawet nie drgnął. W niezmaconej ciszy nocy wydawał się jeszcze bardziej odległy, bardziej nieosiągalny niż zwykle.

A jednak dzisiejszego wieczoru, gdy ryzykował życie, by ją ratować, dostarczył namacalnego dowodu, że nie jest mu obojętna. Silną, męską osobowością budził seksualne pożądanie, ale także dawał głębokie ukojenie.

Meredith odetchnęła, zdecydowana opanować kłębiące się w niej emocje. Podciągnęła kołdrę aż pod brodę i położyła się na boku, plecami do męża. Leżała nieruchomo, próbując się rozluźnić. Po wszystkim, co prze

żyła tej nocy, nie wierzyła, że zdoła zasnąć, a jednak w końcu odpłynęła w sen.

Silne, lodowate ręce chwyciły Meredith za włosy, mocno szarpiąc złote loki. Jej wygięta, obnażona szyja była łatwym celem. Najpierw Meredith poczuła złowrogi dotyk palców. Potem dłonie zaczęły się zaciskać coraz mocniej, dusząc ją, aż nie mogła nabrać powietrza.

Walczyła z dziką zaciętością, szarpiąc się i kopiąc. Ramiona miała ciężkie jak z ołowiu. W panice próbowała uciekać, odsunąć się od napastnika, ale żelazny uścisk trzymał ją w miejscu. Strach ścisnął Meredith serce. Nie mogła się uwolnić!

Dławiąc krzyk przerażenia, wydobyła się z sennego koszmaru. Obudziła się nagle, złana zimnym potem, oddychając krótko i niespokojnie.

Usiadła na łóżku. Spojrzała z nadzieją na stojący obok fotel. Był pusty.

Trevor niewątpliwie dotrzymał słowa i poczekał, aż zasnęła, i dopiero wtedy wyszedł. Niewielka pociecha, bo teraz w sypialni panowała niepokojąca, złowieszcza cisza.

To tylko sen, nie stanie mi się żadna krzywda. Meredith powtarzała sobie te słowa, opierając się o wezgi łóżka. Powoli osunęła się niżej na łokcie.

183

Z determinacją zamknęła oczy. Spróbowała uspokoić oddech i opanować lęk. Ale koszmarne obrazy nie chciały zniknąć. Wiedziała, że jeszcze chwila, a postrada zmysły. Zdenerwowana odrzuciła kołdrę.

Wstała z łóżka i przeszła na drugi koniec pokoju. Odnalazła klamkę i cicho otworzyła okno. Nagły podmuch powietrza zaskoczył ją, ale szok przywrócił do rzeczywistości i od razu poczuła się lepiej. Stała przez kilka długich minut i oddychała głęboko. Miała nadzieję, że świeże powietrze oczyści umysł z koszmarów. Tak się jednak nie stało.

Może to głęboka, złowroga ciemność tak szarpała jej nerwy. Meredith podeszła do niskiego stolika i po omacku zapaliła świecę. Nikły blask na moment przyniósł ukojenie. Spojrzała z powrotem na łóżko. Skłębione prześcieradła i porozrzucane poduszki nie wyglądały zachęcająco.

Meredith odwróciła się w drugą stronę i zerknęła na drzwi łączące jej pokój z sypialnią męża. Nie widziała światła pod drzwiami, które wskazywałoby, że Trevor nie śpi. Przechyliła głowę i uważnie nasłuchiwała.

Cisza, żadnego chrapania ani szelestu prześcieradeł.

Na moment ogarnęła ją myśl, że w ogóle nie ma go w sypialni. Ale nie, obiecał przecież, że zostanie w domu. Wierzyła, że Trevor dotrzyma słowa. Na pewno śpi.

Zagryzła dolną wargę. Może jeśli zachowa się cicho i ostrożnie, uda się jej wśliznąć do jego łóżka

tak, by sienie obudził.

- Chcę tam być - wyszeptwała, podejmując decyzję. - Właśnie tego potrzebuję.

Nie zatrzymała się, by włożyć szlafrok. Skupiona i zdeterminowana, bezszelestnie przeszła bosą po grubym dywanie. Powoli przekręciła gałkę, tak by nie zrobić żadnego hałasu, Uchyliła drzwi, zrobiła krok i zatrzymała się na progu.

Zdmuchnęła świecę i postawiła ją na komodzie. Na szczęście Trevor spał przy odsłoniętych zasłonach. Do pokoju wpadało dość światła księ

życa, by rozjaśnić wnętrze. Pomyślała, że jeśli będzie bardzo ostrożna, zdoła bez hałasu przejść przez pokój, nie potykając się o meble.

Zaczekała chwilę, by przyzwycząić oczy do słabego światła. Wszędzie kładły się ciemne cienie, ale dostrzegła szafy i komody pod ścianami, a także stół i krzesła na środku pokoju.

Trevor leżał na brzuchu w wielkim łożu z baldachimem. Jedną rękę zarzucił za głowę, drugą wyciągnął wzdłuż ciała. Prześcieradła kłębiły się wokół bioder, odsłaniając masywne mięśnie nagich ramion i pleców.

184

Meredith pomyślała, że mąż śpi, choć stała zbyt daleko, by usłyszeć jego równy, spokojny oddech. Musiała podejść bliżej. Objęła się rękami i po cichu ruszyła naprzód. Gdy zbliżyła się do łóżka, zawahała się.

Jeszcze kilka minut temu, gnana lękiem, wiedziała, czego chce. Teraz nagle nie była pewna, czy ma prawo naruszyć prywatność męża w jego sypialni. Co zrobi, jeśli on nie pozwoli jej tu zostać? To straszne pytanie sprawiło, że przez piekielnie długą chwilę stała w ciszy zupełnie nieruchomo.

Niepewnie rozejrzała się po pokoju. Jej oczy przyzwycząiły się do światła księżyca i umeblowanie pokoju było już lepiej widoczne. Zauwa

żyła kilka wyściełanych krzeseł i szezlong. Mogłaby zapewne przetrwać noc na którymś z nich, jeśli byłaby taka konieczność. Stanowczo bardziej jej to odpowiadało niż samotne spanie we własnej pustej sypialni.

Zegar wydzwaniający godziny przestraszył ją tak, że aż podskoczyła.

Lęki powróciły, ale towarzyszył im gniew. Nie znosiła uczucia, że nie jest bezpieczna. Nienawidziła smaku strachu. Ale nie mogła zaprzeczyć własnym obawom. Czy nigdy się ich nie pozbędzie?

Podeszła kilka kroków do łóżka, owładnięta silnym, uporczywym pragnieniem, by wtulić się w ramiona Trevora i przylgnąć mocno do jego piersi, aż zniknie cała niepewność.

Powstrzymując oddech, by nie zakłócić ciszy, Meredith przyglądała się Trevorowi w świetle

księżycyca. Przez chwilę rozważała, czy nie poło

żyć się obok niego, ale nie chciała przerywać mężowi snu, niepewna jego reakcji, gdyby się obudził i znalazł ją w łóżku.

Twarz markiza wyglądała majestatycznie nawet we śnie. Meredith powoli wypuściła powietrze, potem znów nabrała tchu i wstrzymała oddech.

Mijały kolejne sekundy. Nawet gdyby chciała, nie mogła tak po prostu stać aż do nadejścia świtu.

Zauważyła jakiś ruch na łóżku. Trevor podniósł głowę.

- Coś się stało? r spytał ochryple.

Meredith odchrząknęła.

- Obudziłam się i już nie mogłam zasnąć. Obawiam się, że wypadki wieczoru okropnie mnie rozstroiły.

Przyglądał się jej, choć wątpiła, czy w księżycowej poświacie Trevor jest w stanie zobaczyć więcej niż zarys jej piersi.

- Jesteś kobietą. Można się było tego spodziewać.

Zwykle ten ton i podobne słowa wywołałyby w niej oburzenie, ale tym razem nie mogła się złościć, bo powiedział prawdę.

- Nie gniewasz się, że cię obudziłam?

185

Uniósł się na łokciu i przesunął ręką po twarzy.

- Dopiero co zasnąłem - powiedział.

- Przepraszam, ale nie wiedziałam, co robić.

- Chcesz, żebym znów posiedział przy twoim łóżku?

- Nie, bo jeśli się obudzę, a ciebie nie będzie, wszystko zacznie się od początku. - Meredith zawahała się i spojrzała na Trevora niepewnie, ze zmarszczonymi brwiami. - Miałam nadzieję, że uda się znaleźć jakieś inne rozwiązanie.

W napięciu mijały kolejne sekundy. Meredith patrzyła mężowi w oczy.

Trevor odwzajemnił spojrzenie. Wpatrywał się uważnie w jej twarz i w końcu odwrócił wzrok.

- Chyba mogłabyś zostać w mojej sypialni.

Meredith zamrugła. Nie było to zbyt entuzjastyczne zaproszenie.

- Jesteś pewien? - Ze ściśniętym sercem czekała na odpowiedź.

- Nie. Ale tak czy inaczej zostań.

Rozejrzała się dookoła.

- Gdzie?

Westchnął głośno.

- Łóżko jest wygodne. I wystarczająco duże dla nas obojga.

- Proponujesz, żebym spała w twoim łóżku?

Trevor wymamrotał coś o anielskiej cierpliwości i odsunął koldrę.

Prosty, zachęcający gest nagle zmienił atmosferę w pokoju, zamiast niepewności pojawiło się oczekiwanie. Meredith uświadomiła sobie, że wprawdzie weszła tutaj kierowana strachem, szukając bezpieczeństwa, ale jeśli zostanie na noc w łóżku męża, może otrzymać o wiele więcej.

Przesunęła spojrzenie z jego pięknej twarzy na tors. Uśmiechnęła się uwodzicielsko, jakby wreszcie przyjmując do wiadomości, że on jest nagi.

Powoli, leniwie przesunęła się po łóżku. Koszula podsunęła się jej w górę ud aż do bioder.

Trevor powoli uniósł brwi, a jego oczy zapłonęły oczekiwaniem. Meredith z trudem oddychała. Przysunął się do niej i ujął jej ręce.

Jest taki ciepły i silny, pomyślała Meredith, uspokojona jego dotknięciem.

- Wolałbym spać po lewej stronie - powiedział poważnie. - Jeśli nie masz nic przeciwko temu.

Meredith uniosła podbródek.

- Nic a nic. Muszę cię jednak ostrzec, że śpię dosyć niespokojnie i często rozkładam się na całą szerokość łóżka. Pewnie będę cię trochę kopać.

186

Wzruszył ramionami i wskazał łóżko szerokim gestem. Położyła się obok Trevora. Włosy rozsypały się jej przez ramię złocistą kaskadą.

- Masz przepiękne włosy.

Meredith na chwilę przestała odgarniać niesforne loki za uszy.

- Dziękuję. Od dawna zastanawiam się, czy nie obciąć ich na krótko, wedle francuskiej mody, ale obawiam się, że wyglądałabym jak chłopiec.

- Nie z twoją figurą.

Meredith zmieszała się, ale w duchu ucieszyła, że docenił jej kobiece kształty. Odwróciła się na plecy sztywna i wyprostowana, kurczowo trzymając się swojej połowy łóżka. Zdusiła nerwowy chichot i czekała z radosną niecierpliwością, aż jej przystojny mąż zostanie ogarnięty pożądaniem.

Powoli upływały kolejne minuty i nic. Rozczarowana i zdenerwowana Meredith spojrzała na Trevora.

- Idziemy spać?-wyszeptała.

Poczuła, jak cały zeszywniał. Nic nie odpowiedział, ale poruszył się niespokojnie, co mogło sugerować, że bije się z myślami. W końcu jęknął! odwrócił się do niej. Przysunął się bliżej, ukąsił ją w ucho i wyszeptał:

- Najdroższa, spać będziemy później. Dużo później.

Jedną ręką uniósł jej podbródek, drugą ujął głowę, przyciągając bliżej.

Potem dotknął ustami warg Meredith z zaborczą stanowczością, niezwykle podniecającą. Pocałunek był powolny i zmysłowy. Trevor muskał jej wargi i nakłaniał, by się przed nim otworzyła.

Przesunęła dłońmi po jego twardej piersi, pogładziła ramiona i objęła go za szyję. Oderwał usta i spytał głosem ochrypłym z pożądania:

- Ciągłe jeszcze się boisz?

W odpowiedzi Meredith pocałowała go z całą miłością i desperacją, którą nosiła w sercu. Obrysowała językiem kształt jego ust, potem leciutko possała dolną wargę. Zareagował gwałtownie. Całował ją natarczywymi, zgłodniałymi ustami. Jak oszalały błędził rękami po jej plecach i piersiach.

Meredith zadrżała. Ciało zaczęło odpowiadać i dzięki niemu budzić się do życia. Rozpostarła dłoń na muskularnej piersi męża, przesuując palcami wśród krótkich, gęstych, złocistych włosów. Skórę miał gorącą, sutki twarde i napięte.

Jednak najbardziej podniecające były jego pocałunki. Smak Trevora doprowadzał Meredith do szaleństwa. Wygięła szyję i chętnie mu się poddała. Markiz z entuzjazmem spełnił pragnienie kochanki, wilgotnymi

rozkoszными pocałunkami pokrywając jej podbródek, szyję i skórę za uszami.

Meredith ręką przegarnęła mu włosy. Czowała na szyi i piersiach jego ciepły oddech, żar promieniujący od napiętego ciała. Przeszedł ją dreszcz.

Poddała się męskiej sile, zachwycając się ciepłem i rozkoszą, która ogarniała całą jej istotę.

Zmienił pozycję i przyciągnął Meredith bliżej do siebie. Zsunął rękę po jej szyi, ramieniu, wzdłuż boku, aż do piersi. Wygięła się ku niemu, zachęcając, by przyspieszył spokojne tempo pieszczot.

Na piersiach, przez materiał koszuli, czuła żar niecierpliwych rąk.

Z ogromną tęsknotą, prawie rozpaczliwie pragnęła jego dotyku. Wyprę

żyła piersi ku niemu, a jej niema prośba została wysłuchana. Trevor musnął kciukami sutki, drażniąc wrażliwe czubki, aż stwardniały w nabrzmiące pączki.

Meredith zamknęła oczy i jęknęła gardłowo. Wiła się na łóżku, a gdzieś głęboko w niej narastało oczekiwanie. W końcu Trevor wsunął ręce pod delikatną koszulę. Meredith uniosła się, by zachęcić go do dalszych wędrowek po jej ciele.

Chwycił nagi sutek między dwa palce i ścisnął mocno, dokładnie tak jak tego potrzebowała. Odchyliła głowę i głęboko westchnęła, przeżywając erotyczne pragnienie.

Wzmocniła uścisk wokół jego ramion i uniosła twarz do pocałunku.

Języki splotły się w burzliwym tańcu. Poruszali nimi w przód i w tył, wsuwając je i wysuwając w rytuale godowym starym jak świat, Nagle Trevor przerwał pocałunek, schylił głowę i objął ustami jej sutek. Meredith omal nie krzyknęła. Zadrżała z rozkoszy. Dygotała gwałtownie, a napięcie spływało spiralnie w dół jej ciała, by skupić się między udami. Czuła przyływ wilgoci, która zrosi ciało i sprawi, że będzie gotowe go przyjąć.

Przeniósł usta na drugą pierś. Chwyciła Trevora za głowę i wplotła palce w jego włosy. Natarczywie ssał wrażliwy czubek. To było dziwne, prawie przerażające wrażenie, bo podsycalo w niej głód czegoś jeszcze potężniejszego.

Trevor przesunął rękę w dół jej ciała i podciągnął koszulę do talii. Czule pogładził biodra i uda Meredith. Potem palcami leciutko przewędrował

po brzuchu, a jej mięśnie zacisnęły się w niecierpliwym oczekiwaniu.

Meredith westchnęła głośno, gdy objął dłonią wilgotną kobiecość i wplotł

palce w sprężyste włoski między udami.

188

Delikatnie głaskał intymne miejsce, aż nabrzmiało i zwilgotniało. Okrążał jeden szczególny punkt i sprawiał, że drżała od tej pieszczoty na całym ciele.

- Boże, jesteś taka piękna - wyszeptał. - I gotowa. Ale najpierw-muszę spróbować, jak smakujesz.

Całował jej brzuch coraz niżej, wsuwając język w pępek, łaskocząc wrażliwą skórę. Przy każdym wilgotnym pocałunku mięśnie jej podbrzusza zaciskały się, Meredith jednak była rozkosznie nieświadoma, dokąd on zmierza.

Musnął ustami włosy strzegące intymnej kobiecej tajemnicy. Czując jego oddech, Meredith zaczęła się bezwstydnie prężyć. Wtedy chwycił

dłońmi jej biodra i przywarł ustami do miękkiego ciała w najrozkoszniejszym z pocałunków.

Meredith krzyknęła głośno. Zszokowana zadrżała na całym ciele. Wyginała się i wrywała, próbując uciec przed nieustępliwym językiem, ale Trevor przytrzymał ją dłonią rozpostartą na brzuchu.

Dotykał jej wnętrza, lizał delikatne fałdki i coraz szybciej poruszał językiem, aż miała wrażenie, że za chwilę oszaleje z rozkoszy. Żar ogarniał

całe ciało, a intensywność odczuć wznosiła się i opadała.

Meredith walczyła o oddech. Próbowwała uwolnić się od przenikającego ją skrepowania. To, co robił, było zbyt intymne, naruszało jej prywatność. A jednak, choć umysł był zszokowany i wzdragał się, ciało z entuzjazmem witało możliwość doświadczenia nowo odkrytej zmysłowej rozkoszy.

W głębi serca pragnęła przeżyć każdą pieszczotę z mężczyzną, którego tak mocno i głęboko kochała. Miłość przywiodła ją do stanu, w którym ufała Trevorowi do tego stopnia, że zgadzała się, by zrobił wszystko, co zechce.

Nie było miejsca na dalsze rozważania. Cudowne wrażenia przesłoniły wszystkie logiczne myśli. Meredith zamknęła oczy i opadła głową na poduszkę, rozkoszując się każdym przejmującym dreszczem, wywołanym jego magicznym językiem.

Trevor ramionami szerzej rozsunął jej uda i przytrzymał dłońmi po

śladki. Meredith ogarniało coraz większe napięcie. Pragnienia ciała stały się niezwykle silne, wszechogarniające. Porwał ją gwałtowny przyływ rozszalałych zmysłów. Gnał ku spełnieniu. Nagle Meredith poczuła, że fala zaczyna się przełamywać. Krzyknęła w spazmie ekstazy i bezwiednie uniosła się ku namiętym ustom. Żar zalewał jej ciało, zmysły eksplodowały.

189

Meredith ciągle jeszcze dryfowała w obłoku niewysłowionej rozkoszy, czując w całym ciele rozleniwienie i nasycenie, gdy Trevor zaczął

drażnić jej pierś. Napięcie rosło od nowa, jakby nigdy nie osiągnęła spełnienia.

- Jak ty to robisz? - spytała w zadziwieniu.

Jego uśmiechomal nie złamał jej serca. Był chłopięcy, pełen dumy i nieziemsko pociągający.

- Najdroższa, z tobą to łatwe. Zostałaś do tego stworzona, dla mnie i tylko dla mnie.

Meredith drząc, wypuściła powietrze, gdy znów musnął dłońmi jej piersi. - Zaraz wezmę cię całą - powiedział ochryple. - Ale najpierw pozbadźmy się przeszkód.

Błyskawicznie zdjął jej koszulę przez głowę. Patrzyła na ukochane rysy.

Mięśnie twarzy i ramion miał napięte. Nie mogła się oprzeć jego męskiej urodzie. Położyła mu rękę na piersi, swawolnie ciągnąc gęste włoski.

Sunąc ręką ich szlakiem, dotarła do brzucha i niżej, do drgającego, dużego penisu. Z radością pogładziła nabrzmiąły członek, potem delikatnie ujęła w dłonie mosznę. Trevor mruknął z zadowolenia i zaczął poruszać biodrami w pierwotnym, zmysłowym rytmie.

Z twarzą pełną udręki spojrzał na nią gniewnie. Szorstko oderwał jej ręce od swego rozpalonego ciała. Kolanem szeroko rozsunął nogi Meredith. Chwycił krągłe pośladki i przyciągnął do siebie. Znów zaczęła drzeć na całym ciele.

Trevor przesunął się do przodu i wszedł w nią, wypełniając tak ciasno, do końca, że krzyknęła z czystej radości zespolenia.

- Boże, czuję, jak się wokół mnie zaciskasz - powiedział chrapliwie.

- To jest cudowne - wydyszała.

Dotknęła dłonią jego policzka i przesunęła palcami wzdłuż linii szczęki, po kłującej szorstkości zarostu.

- Obejmij mnie nogami - wyszeptał Trevor.

Posłuchała polecenia i oplotła go tak żarliwie, jakby chciała zatrzymać na zawsze. Ciągłe dotykała jego twarzy. Obrysowała jego wargi, a on rozchylił usta.

Meredith figlarnie wsunęła tam czubek palca. Roześmiała się, gdy zaczął go żarłocznie ssać. Podniosła głowę, by pocałować Trevora. Odwzajemnił się pocałunkiem pełnym żaru i pożądania. Potem oderwał usta, przechylił głowę i uśmiechnął się szatańsko. Podparł się na łokciach i powoli całkiem się z niej wysunął.

190

Meredith głośno zaprotestowała i uniosła biodra. Trevor jęknął i wsunął się w nią ponownie. Wszedł z taką siłą, że aż wygięła się w łuk. Westchnęła cicho i powitała go w sobie radośnie, mocno zaciskając wewnętrzne mięśnie, jakby z obawy, że wkrótce znów ją opuści.

Z czystą żądzą na twarzy zaczął poruszać biodrami, ocierając się o nabrzmiąły, wilgotny pączek

kobiecości. Jego ruchy znów wywołały w Meredith burzę zmysłów, ale nacisk był zbyt słaby, by doprowadzić ją do szczytu.

- Umyślnie mnie dręczysz - wysapała, unosząc biodra, by pokazać mu, czego pragnie.

- Tylko przedłużam rozkosz - odparł niskim, ochryplym głosem. - Dla nas obojga.

Drażnił się z nią jeszcze tylko chwilę, potem zaczął wchodzić gwałtownymi pchnięciami, mocno napierając udami, z ogniem przyciskając się do jej podbrzusza. Meredith pieściła jego plecy, aż dotarła do bioder.

Wbiła palce w twarde mięśnie. Zdawało się, że to podnieciło Trevora jeszcze bardziej. Zabrakło jej tchu, gdy wszedł bardzo głęboko, wysunął

się i wbił z powrotem jeszcze głębiej.

Wędrownka do szczytu wkrótce stała się nie do wytrzymania. Z każdym gwałtownym wtargnięciem napięcie rosło, aż mogła myśleć tylko o wyzwoleniu. Naśladowała jego ruchy, na kolejne pchnięcia odpowiadając tym samym, aż najczystsza radość tego przeżycia stała się większa, niż Meredith mogła znieść.

Błagała, żeby przyspieszył. Jęczała i wiła się pod nim, na wpół oszalała z pożądania, a ogień w niej rósł i zaczynał się wymykać spod kontroli. Aż w końcu wybuchnął. Mięśnie Meredith zacisnęły się wokół Trevora. Rozkosz spełnienia była nieoczekiwana i intensywna, tak wzruszająca, że łzy napłynęły Meredith do oczu i spłynęły po twarzy, zwiłżając skronie.

Powieki jej zatrzepotały i opadły. Umysł i ciało odplynęły, pogrążone w oceanie upojenia. Dopiero gdy Trevor znów poruszył biodrami, Meredith uświadomiła sobie, że on ciągle w niej jest, gorący, nabrzmiaty i pulsujący. Gwałtownie obudziła się z upojnego letargu i popatrzyła na pochyloną nad nią majestatyczną twarz. Spojrzała mężowi prosto w oczy i zobaczyła, jak jego mocno zaciśnięte usta rozluźniają się w szerokim, swawolnym uśmiechu.

Poruszona wciąż kłębiącymi się emocjami, Meredith instynktownie wygięła się ku niemu. Nie potrzebował większej zachęty. Opadł, przygważdżając jej biodra do materaca i wbił się w nią głęboko. Zacisnęła nogi wokół niego. Uderzał coraz mocniej, coraz bardziej gorączkowo.

Nagle napięcie pękło. Zaczął drżeć na całym ciele.

191

Oparł głowę tuż przy jej szyi. Ciepły, gwałtownie urywany oddech łaskotał jej ucho. Uśmiechnęła się. To było cudowne.

Meredith leżała bez sił pod ciężarem Trevora, próbując pojąć pełnię tej chwili i ogarnąć ocean zalewających ją uczuć. Nigdy nie doznała równie pięknego przeżycia. Miała wrażenie, że cała promieniuje wewnętrznym blaskiem. Może dzisiejszej nocy poczęli dziecko. To by wyjaśniało, dlaczego czuła się z nim tak głęboko związana nie tylko ciałem, ale i duszą.

Z jękiem przewrócił się na plecy, pociągając Meredith za sobą. Przytuliła się do męża. Położyła ręce na jego piersi i oparła na nich brodę. Patrzyli na siebie przez dłuższą chwilę. Oboje najwyraźniej nie byli w stanie zrozumieć tego szaleńczego, nieopanowanego zespolenia.

Pogłaskał ją po włosach, odgarniając je z czoła. Meredith zamknęła oczy i oparła głowę na szerokiej piersi. Słyszała równe bicie serca. Napełniło ją to dziwnym zadowoleniem i tak wielkim poczuciem bezpieczeństwa i spokoju, że w końcu odpłynęła w cudowny sen.

Trevor lekko objął Meredith i próbował sobie przypomnieć, czy kiedykolwiek tulił do siebie śpiącą kobietę. Chyba nigdy wcześniej. Wsluchiwał

się w jej spokojny, równy oddech. Poczul, że dobrze mu z tym doznaniem. Była ciepła, delikatna i pełna rozkosznej kobiecości.

Niespodziewanie Meredith drgnęła i przesunęła się. Jego penis ciągle zanurzony w jej wnętrzu** natychmiast zareagował, poruszając się z zapa

łem. Trevor uśmiechnął się. Zwykle po szczytowaniu czuł zaspokojenie i rozleniwienie. Ale nie tym razem.

Kochanie się z Meredith wręcz dodało mu sił. Nie mógł przestać jej dotykać i pieścić, nawet gdy zasnęła. Potrzeba przeżycia z tą cudowną kobietą kolejnej zmysłowej rozkoszy nie gasła i stawała się coraz silniejsza. Drgnął ze zdumienia, gdy uświadomił sobie, że znów jej pragnie, za jego sprawą wijącej się i rozszalałej, krzyczącej w ekstazie.

Pochylił głowę i lekko pocałował żonę w ramię, potem w kark i smukłą szyję. Przy każdym pocałunku unosił biodra. Wymamrotała coś, poruszyła się, ale nie obudziła.

Nie tracił nadziei. Przy szóstym ruchu Meredith podniosła głowę i spojrzała na niego z niedowierzaniem. Twarz miała zarumienioną, pełną zaskoczenia i aż do bólu piękną.

Trevor wplótł dłonie w złociste włosy i przetoczył Meredith na swój brzuch.

- Nie jesteś zbyt obolała?

- A co zamierzasz zrobić?

Oparł dłonie na jej biodrach, przytrzymał i poruszył się sugestywnie.

192

- To.

- Ojej. Ja na wierzchu?

- Odważysz się?

- Czy to bardzo nieprzystojne?

- Z pewnością wyuzdane. I tylko dla kobiet o nadzwyczajnych seksualnych umiejętnościach.

- Więc musisz mnie tego nauczyć.

Przesunął ręce na jej piersi, lekko muskając sutki, tak rozkosznie sterczące ku niemu. Westchnęła i pochyliła się nad Trevorem, zachęcając go do zbliżenia. Znow chwycił jej biodra i przesunął nogi, aż była do niego przytulona tak blisko i mocno, jak tylko to możliwe w tej pozycji.

Oparła się na mocnych ramionach i spojrzała mężowi w oczy. Twarz miała zastygłą w skupieniu, gdy próbowała odnaleźć rytm najlepszy dla nich obojga. Trevor zachęcał ją ustami i dłońmi, pomagając ocenić tempo, ucząc, jak dostosować ruchy bioder, aby mógł wejść bardzo głęboko i dać obojgu największą rozkosz.

Tym razem gdy zaczęła szczytować, wyszeptała jego imię. Słowo zawisło w powietrzu i przeszło mu serce. Zdawało się, że wyzwoliło w nim coś, co tkwiło gdzieś głęboko, ściśnięte, ciasno splątane i ukryte na samym dnie jego istoty. Chłód w sercu szybko jednak zaczął topnieć.

Trevor chwycił rękę Meredith, splótł się z nią palcami i wybuchnął

nasieniem. Wsunął się jeszcze dalej, do samego końca, wytryskując tuż przy samym wejściu do jej łona. Opadła na niego, opierając głowę na ramieniu. Słyszał jej oddech, cichy i urywany.

Trevor sam z trudem oddychał. Jednak to nie był skutek niedawnych cielesnych doznań. W głowie wirowała mu skłębiona masa odkryć i uczuć, które prawie śmiertelnie go przerażały.

Meredith rozkosznie westchnęła. Nie mogąc się oprzeć, Trevor czule przesunął dłońią po jej policzku i podbródku, potem dotknął ust.

Dobry Boże, jak on to przeżyje?

Słoneczność światła poranka padło na zamknięte powieki Meredith. Z cichym westchnieniem zadowolenia wtuliła policzek w miękką poduszkę i próbowała zignorować zew budzącego się dnia.

13-Zakładło miłość 1 9 3

Przez chwilę przypuszczała, że śni, gdy owionął ją podniecający zapach silnego mężczyzny i seksualnego nasycenia. Odrobinę uchyliła powieki i ujrzała niezwykle widok. Przy jej boku spokojnie spał Trevor.

Leżał nagi, przykryty jedynie na biodrach białym prześcieradłem.

Poczuła w sercu przypływ głębokich emocji. To, co zdarzyło się między nimi, było nie z tej ziemi i przekroczyło cielesną rozkosz. Chociaż tej nocy zwracali się ku sobie wciąż i wciąż od nowa, to szukali nie tylko seksualnego zaspokojenia. Połączyła ich prawie duchowa więź.

Wbrew temu, co mógłby twierdzić, Meredith żywiła głębokie przekonanie, że nie była mężowi obojętna. Jego zachowanie zarówno w teatrze, jak i przez resztę nocy dobitnie tego dowodziło, choć sam pewnie by zaprzeczył. Trevorowi na niej zależało, troszczył się o nią i gotów był zaangażować wszystkie siły, by zapewnić żonie prawdziwe bezpieczeństwo i spokój ducha.

Nie wiedziała jednak, czyjego uczucia były na tyle silne i głębokie, by dorównać miłości, którą czuła. Nie dawało jej to spokoju.

Meredith zastygła w bezruchu i tylko się przyglądała Trevorowi. Oddychał głęboko i miarowo, pierś mu się unosiła i opadała w kojącym rytmie. Meredith bardzo pragnęła przytulić policzek do silnego torsu, ale obawiała się, że ten ruch zbudzi męża.

We śnie wyraźne linia jego szczęki, prostego nosa i kształtnych ust wyglądały spokojnie i chłopięco. Zarumieniła się na wspomnienie swawolnych rzeczy, które wyczyniał ustami i językiem. Włosy miał potargane, złocisty kosmyk zwisał mu nad czołem, ale wcale nie odbierało to twarzy surowego uroku.

Poruszył się i otworzył oczy. Meredith wstrzymała oddech. Na chwilę zapadła między nimi napięta i niezręczna cisza. Meredith szaleńczo obawiała się, że Trevor się od niej odwróci, zasłoni przed nią i ukryje przeja miłości.

Choć wiedziała, że jest kobietą silną, że może zrobić właściwie wszystko, co zechce, ogarnęły ją obawy. W pewnym momencie, tuż nad ranem, przyrzekła sobie nie porzucić nadziei. Gorąco wierzyła, że któregoś dnia w ich związku zrodzi się taka miłość, jakiej rozpaczliwie pragnęła.

A jednak, gdy wpatrywała się w piękną twarz ukochanego, z rozpaczą zastanawiała się, czy starczy jej sił, by dalej żyć, jeśli znów wróci lekceważenie, dystans i chłodna uprzejmość. Jak jej serce i dusza zniosą taki cios?

Trevor uśmiechnął się sennie i serce w niej zadrżało. Dopiero teraz zauważyła czułość w jego

oczach, przeznaczoną dla niej.

194

- Miłosne igraszki rano są wyjątkowo rozkoszne - powiedział poważnym tonem. - Wiesz o tym, kochanie?

Meredith niespokojnie przesunęła nogą po jego udzie i odkryła oczywisty dowód jego rosnącego pożądania. To wystarczyło, by rozbudzić jej ciekawość.

- Bardzo bym chciała doświadczyć tej przyjemności - odparła i leniwie rozpostarła palce na jego piersi.

- Więc tak się stanie, moja pani.

Głos Trevora był ochrypliwy z namiętności. Odchylił jej głowę do tyłu.

Pocałował Meredith jakby umierał z głodu. Odwróciła się do niego, by ściślej złączyć się w pocałunku.

Dotykem, bliskością, ciepłem mocnego nagiego ciała budził jej zmysły. Gorączkowo przesuwiał po niej dłońmi, jakby stęsknił się za gładko

ścią skóry. Meredith czuła się opleciona siecią hipnotyzującej zmysłowości. Ochoczo poddała się nienasyconemu apetytowi męża.

Pieszczoty Trevora nie były delikatne czy łagodne. Unosił ją i przyciągał, wbijał się ostro, ocierał o wrażliwe ciało i dawał tyle, ile tylko mogła znieść. To było proste, szczere i prawdziwe. Właśnie tego Meredith potrzebowała.

Gdy zgasło w nich ostatnie drżenie, opadli ciasno spleceni, spoceni, zdyszani i całkowicie nasyceni. Leżeli w przyjemnym rozleniwieniu. Trevor czule całował ramię i szyję Meredith. Potem owinął się wokół niej, przytulając piersią do jej pleców. Meredith stłumiła ziewnięcie.

- Chyba bardzo cię zmęczyłem, kochanie. - Przygryzł jej ucho, aż zadrżała. - Zamknij oczy i odpocznij parę minut. Należy ci się trochę wytchnienia.

Uśmiechnęła się, słysząc swawolną radość w głosie Trevora. Sugestywnie powierciła pupą przy jego lędźwiach, aż jęknął żartobliwie.

- Śpij - rozkazał.

Ciaśniej wtuliła się w męża i mocniej przycisnęła do siebie rękę, którą objął ją w talii. Trevor podciągnął kołdrę i otulił ich oboje wspólnym, ciepłym kokonem. Meredith westchnęła z zadowolenia i powoli zamknę

ła powieki.

Gdy znów się obudziła, leżała sama we własnym łóżku. Pewnie Trevor ją tu przeniósł, ale spała tak głęboko, że niczego nie zauważyła. Meredith przeciągnęła się i usiadła. Opuściła nogi na podłogę i drgnęła, czując lekki ból. Zadzwoiła na pokojówkę i poprosiła o przygotowanie kąpieli.

Leniwie moczyła się w gorącej wodzie, czekając, aż rozluźnią się obolałe mięśnie. Rose kręciła się po pokoju, zaglądając do szaf i wybierając 195

ubranie dla Meredith. Minęło już południe, więc obie zdecydowały się na skromniejszą suknię.

Rose właśnie skończyła zapinać guziczki na plecach sukni, gdy do pokoju wszedł markiz. Miał na sobie strój do jazdy konnej, a w lewej ręce trzymał szpicrutę. Meredith doszła do wniosku, że chyba właśnie wrócił

z przejażdżki, chociaż jego krawat był nienagannie zawiązany, a surdut nieskazitelnie gładki.

Obrzucił ją szybkim spojrzeniem od stóp do głów. Rumieniąc się, usiadła przy lustrze, żeby Rose mogła ułożyć jej włosy. Wciąż nie mogła dojść do siebie po wstrząsie, jaki przeżyła na widok męża w swojej sypialni. Podeszedł bliżej, pochylił się i musnął jej policzek niewinnym pocałunkiem,

- Wykąpałaś się - wyszeptał cicho, łaskocząc oddechem jej ucho.

Uniosła brwi ze zdziwienia. Skąd wiedział? Wanna była niewidoczna, zasłonięta ozdobnym parawanem. Odetchnęła głęboko i uświadomiła sobie, że w pokoju ciągle unosi się kwiatowy zapach wody z kąpieli.

- Właśnie skończyłam. Woda powinna być jeszcze ciepła. Jeśli masz ochotę, mógłbyś z niej skorzystać. Albo zadzwonię, żeby zagrzano dla ciebie świeżą.

Ale tylko pod warunkiem, że pozwolisz, bym ja cię umyła.

Nie powiedziała głośno tych swawolnych słów, ale pojawiły się w jej myślach. Zmysłowe obrazy, które nagle zrodziły się w wyobraźni, prawie odebrały jej oddech. Niemal widziała nagiego Trevora, zanurzającego się w parującej kąpieli. Potem zobaczyła siebie, jak go masuje.

Nie użyje myjki, tylko dłoni. Najpierw je namydli, aż staną się śliskie i pełne piany. Potem powoli, prowokująco pogłaszcze jego tors, aż zacznie napinać mięśnie i prężyć się z pożądania.

Woda będzie się przelewać przez brzegi wanny. Obawiając się, że zamoczy swoją śliczną suknię, Meredith powoli ściągnie stanik i koszulkę, obnażając się do talii.

Potem oprze się o jego silne plecy i oplecie go ramionami, przyciskając nagie piersi do ciepłej, wilgotnej skóry. Sięgnie do torsu, namydli złociste włoski i splucze je wodą. Umyje go jeszcze raz, dużo uwagi po

święcąc wrażliwym czubkom sutków.

Jej zaciekawione palce powędrują niżej, do pasa. Dłonie znajdą się dokładnie nad penisem.

Powoli będzie zanurzać ręce w wodzie, kierując się do kuszącego celu.

Śmiało obejmie członek u nasady i przesunie go w zaciśniętej dłoni. W górę i w dół, w górę i w dół, będzie ścisnąć i głaskać, aż urosnie, stwardnie-196

je i stanie się gorący. Podrażni też wrażliwy czubek, tak jak ją Trevor nauczył ostatniej nocy. Będzie pieścić tę delikatną część pięknego męskiego ciała, aż Trevor zacznie z wysiłkiem poruszać biodrami, pokonując uścisk.

Fala rozkoszy, która nadciągnęła pod *wplywem* grzesznej fantazji, była tak silna, że Meredith zaczęła się wiercić na stołku. Trevor uniósł pytająco brew. Omal nie zemdląła z zakłopotania. Na pewno nie potrafił czytać w myślach, ale miała wrażenie, jakby poznał jej najskrytsze tajemnice.

- Masz jakieś szczególne plany na popołudnie? - spytał.

- Zamierzałam odwiedzić Harriet i Elizabeth, potem panią Danvers, ale napiszę liścik z przeprosinami, że nie przyjdę. - Meredith westchnęła cicho. - Jestem trochę zmęczona.

- Może powinnaś się zdrzemnąć.

- Zdrzemnąć? - parsknęła zadziwiona Rose. - Minęło południe, a milady dopiero co wstała.

Meredith zobaczyła w lustrze, jak pokojówka spuściła oczy, gdy markiz skarcił ją wzrokiem.

- Sama skończę się czesać. Dziękuję ci, Rose.

- Ale przecież ja to zawsze robię - odparła dziewczyna.

- Zostanę dziś w domu przez cały dzień, więc nie potrzebuję, byś układała mi wymyślną fryzurę. - Meredith lekko poklepała pokojówkę po ręce i odwróciła się plecami.

Rose z wyraźną niechęcią odłożyła szczotkę.

- Jak pani sobie życzy, milady.

Szybko ukloniła się i zaczęła zbierać mokre ręczniki rzucone na podłogę, suknię, którą Meredith miała na sobie poprzedniego wieczoru, i kilka innych, wymagających naprawy.

Widząc, że pokojówka sięga po następny stos rzeczy, Meredith odezwała się ponownie:

- Rose?

Dziewczyna głośno westchnęła, kiwnęła krótko głową na znak, że rozumie, i zniknęła. Meredith odwróciła się z powrotem do lustra i spróbowała dokończyć układanie włosów.

Trevor rozsiadł się wygodnie na krześle i obserwował każdy jej ruch.

Patrzył z tak żywym zainteresowaniem, że aż się zarumieniła. Ręce trochę jej się trzęsły, ale udało się jej w miarę porządnie spleść i upiąć jasne loki.

- Wolę, gdy twoje włosy są rozpuszczone i opadają ci na ramiona i plecy - powiedział lekko.

197

- Dopiero teraz mi to mówisz. - Meredith obróciła się twarzą do niego i uśmiechnęła.

Odwzajemnił uśmiech. W całym ciele poczuła pulsowanie znajomego już seksualnego pragnienia.

- Powiedziałaś, że resztę dnia zamierzasz spędzić w domu, ale co z wieczorem?

- Przyjęłam zaproszenie pani Morten- odparła Meredith. - Organizuje wieczorną kolację, potem wyprawę do ogrodów Vauxhall na tańce i pokazy sztucznych ogni, żeby zebrać fundusze na wspieraną przez siebie organizację dobroczynną.

Trevor skrzywił się.

- Ilu będzie gości?

- Nie jestem pewna. - Meredith zmarszczyła brwi. - Zdaje się, że około pięćdziesięciu, włączając w to obu moich braci. Obiecała przyjść Elizabeth Sainthill, więc oczywiście Jason będzie chciał wziąć udział.

- Ogrody to publiczne miejsce. Z licznymi odosobnionymi ścieżkami - powiedział Trevor. - W nocy mogą być szczególnie niebezpieczne, jeśli się na nich spotka jakiegoś podejrzanego typu. Szczerze mówiąc, nie podoba mi się, że tam idziesz.

- Z powodu wczorajszych wydarzeń? - spytała cicho.

Nocą nie rozmawiali o wypadkach w teatrze, ale po błysku lęku w oczach męża Meredith poznała, że on ciągle o tym myśli.

Trevor skrzywił się.

- Nie chcę cię niepotrzebnie niepokoić, ale wydaje mi się, że to nie był zwykły wypadek. - Oparł się na krzesło i przerwał na chwilę, jakby ostrożnie dobierał następne słowa. - Myślę, że ktoś z rozmysłem chciał

wykorzystać zamieszanie, by wyrządzić ci poważną krzywdę. Mieli

śmy ogromne szczęście, że byłem w pobliżu i udało mi się temu zapobiec. Teraz najbardziej obawiam się, że następnym razem nie zdążę na czas.

To była mroząca, otrzeźwiająca uwaga.

- Co twoim zdaniem powinnam zrobić?

- Nalegam, byś na jakiś czas ograniczyła liczbę przyjmowanych zaproszeń. Ale co ważniejsze, nie powinnaś wychodzić beze mnie z domu.

Zdziwił ją ten pomysł. Pod pewnymi względami był rozsądny, pod innymi raczej nie. Wpatrywała się w Trevora, z napięciem na twarzy czekał na odpowiedź. Był jej mężem. Mógł jej zakazać wielu rzeczy, jednak oboje wiedzieli, że ona nie należy do kobiet, które ślepo słuchają rozkazów mężczyzny.

198

Meredith uważnie przemyślała swoją decyzję, rozważając wszystkie za i przeciw. W końcu ślad trwogi w oczach męża przeważył szalę.

Meredith splotła ręce na kolanach i spojrzała na Trevora poważnie.

- Nie jestem pewna, czy do końca zgadzam się z twoją teorią. Nie widzę powodu, dla którego ktoś chciałby mnie skrzywdzić. Ostatnio jednak było kilka niewyjaśnionych wypadków, które mnie bardzo poruszy

ły, a nawet przstraszyły. Szanuję twoje zdanie, Trevorze, więc zastosuję się do rad, ale nie zgodzę się zostać więźniem we własnym domu.

- Oczywiście. - Markiz powoli wypuścił powietrze. Jej odpowiedź

najwyraźniej przyniosła mu ulgę. -Z przyjemnością będę ci towarzyszył

w każdym towarzyskim wydarzeniu, w którym uczestnictwo uznasz za absolutnie konieczne.

Uniosła głowę i spojrzała mu w oczy.

- Chciałabym pójść w przyszłym tygodniu na maskaradę u lorda Linny'ego. Zapowiada się, że będzie to największa atrakcja sezonu, a ja już nawet zamówiłam kostium.

Uśmiechnął się.

- Zapewne coś śmiałego i wyzywającego.

- Przebiorę się za Dianę.

- Rzymską boginię łowów? - Spojrzał z zaciekawieniem na jej figurę. - Bardzo dobry pomysł, przy twoim wzroście i karnacji. I niedoścignionej urodzie.

Meredith skromnie schyliła głowę.

- W zasadzie to była sugestia księcia. On uwielbia starożytność.

- Jestem pewien, że będziesz wyglądać czarująco.

Sprawił jej przyjemność tymi słowami. Niezwykle często obsypywano ją kwiecistymi, pełnymi zachwyty, czasami śmiałymi komplementami odnośnie urody. A jednak tylko podziw Trevora zdołał ją poruszyć.

- Mam nadzieję, że będę mogła założyć rzymską tunikę. Niebieski jedwab został tak ułożony, że na jednym ramieniu ma go przytrzymywać złota brosza. Drugie ramię pozostanie odkryte, a szyja zupełnie odsłonięta.

Trevorowi pociemniały oczy.

- Martwisz się, że sińce będą widoczne?

Meredith mimowolnie uniosła dłoń do gardła.

- Takie ślady zawsze wyglądają gorzej następnego dnia, bo nabierają rozmaitych paskudnych kolorów. Prawie mnie nie boli, więc wiem, że nie może to być nic poważnego.

- Natychmiast poślę po lekarza - postanowił Trevor, wstając z krzesła. - Zjawi się tu przed upływem godziny.

199



- Nie, proszę, nie ma potrzeby - zaprotestowała Meredith. - Rose przyniosła mi balsam, którym nasmarowałam się po kąpieli. Czuję się dużo lepiej.

- Martwię się o twoje zdrowie.

- Do pełnego wyzdrowienia potrzeba mi tylko trochę czasu i odpoczynku. Lekarz nie sprawi, że siniaki szybciej zbledną. Szczerze mówiąc, może przepisać kurację, która tylko pogorszy stan.

Trevor zawahał się i wtedy użyła ostatecznego argumentu.

- Jeśli sińce nie znikną w przyszłym tygodniu, zrezygnuję z balu i zgodzę się na wizytę lekarza. Czy to cię satysfakcjonuje?

Markiz zrozumiał, że nic więcej nie uzyska.

- Pewnie musi. Chociaż byłbym ogromnie zawiedziony, jeśli nie zobaczyłbym cię w tak ponętym kostiumie.

Meredith uśmiechnęła się sugestywnie.

- Z przyjemnością urządzę dla pana prywatny pokaz, milordzie. Nie pominę nawet wieńca laurowego i pary sandałów. Muszę przyznać, że to najwygodniejsze buty, jakie kiedykolwiek nosiłam. W szwie sukni jest nawet małe pęknięcie, żeby było je trochę widać.

Zrobił gniewną minę.

- Mam nadzieję, że tylko trochę?

- Tak, ale jeśli się odpowiednio poruszę, odsłonię także kostki.

- Hm, kostki też? Będę musiał mieć panią na oku, madame. - Oczy mu się figlarnie zaiskrzyły. - Szkoda, że nie ma czasu na uszycie dla mnie podobnej togi. To z pewnością wzbudziłoby sensację.

- Za odpowiednią opłatą na pewno znajdziemy przedsiębiorczego krawca, który podejmie się to zrobić.

Trevor wyraźnie pobladł.

- Meredith, proszę, żartowałem.

Uśmiechnęła się szelmowsko.

- Wiem. Ale obiecaj, że na tę okazję zrobisz jakieś ustępstwo w ubiorze.

- Założę strój wieczorowy i czarną pelerynę. Na sali balowej nie będę cię odstępował nawet na krok, niczym wierny niewolnik.

- Rozkoszny pomysł.

- Miałem przeczucie, że ci się spodoba - powiedział kwaśno.

Meredith cisnęła się na usta prowokacyjna replika o niewolnikach znajdujących swoje miejsce, ale na widok zaciśniętej szczęki męża rozsądnie zachowała tę uwagę dla siebie.

200

Miał do wypełnienia wiele obowiązków, zadań, powinności, wiążących się z jego pozycją. Musiał poświęcić im uwagę, a jednak powab skarbu był jak pieśń syreny, kuszący i nieodparty. Czujny na każdą okazję wymknął się, gdy tylko nadarzył się odpowiedni moment. Przemknął do swojego pokoju na porywającą tajemną chwilę.

Zaczął gwałtownie, płytko oddychać, gdy ostrożnie wyciągał zdobycz z nadzwyczaj zmyślnego schowka w podwójnym dnie szuflady. Wczoraj późną nocą zawinął skarb w czyste białe płótno, by zachować go w nienaruszonym stanie. Teraz, gdy rozwijał materiał, drżały mu palce.

Przez kilka minut trzymał mały przedmiot w zaciśniętej pięści. Potem powoli otworzył palce, niczym

kwiat rozchylający płatki, i odsłonił skarb.

Błyszczący, migotliwy, mrugający ku niemu brylant leżał na jego dłoni i zdawał się go hipnotyzować.

Zafascynowany patrzył na klejnot z otwartymi ustami, dygocząc z podniecenia. Kamień był duży, pięknie oszlifowany, doskonały w kształcie.

Poruszył dłonią i obserwował w zachwycie, jak światło, wkradające się przez małe okienko pokoju, odbija się cudownym płomieniem od licznych powierzchni szlifów.

Wiedział, że brylant ma znaczną wartość, jednak nie to czyniło go jedynym, wyjątkowym i niezwykle istotnym. Piękny klejnot wisiał niedawno na jej szyi, spoczywał blisko ciepłego, delikatnego ciała. Dotykał pulsu, czuł przepływ krwi niosącej życie całemu ciału.

A teraz należał do niego.

Wymknąć się z domu ostatniej nocy nie było łatwo, ale zawziął się i udało mu się. Pospieszył do teatru. Wiedział, że ona tam będzie, jak zawsze z teściem przy boku.

Z rozmysłem wybrał miejsce na parterze, dające mu doskonały widok na prywatną lożę księcia. Jego wspaniałemu planowi groziła jednak katastrofa, gdy pojawił się markiz. Jej mąż był ostatnią osobą, którą spodziewał się zobaczyć.

Przez chwilę myślał, że Meredith zmieni plany, ale jednak weszła do loży z wyrazem zdziwienia na ślicznej twarzy. Prawie jej wybaczył, bo wyglądało na to, że nie wiedziała, iż markiz przybędzie do teatru. Ale gdy zaczęło się przedstawienie, usiedli obok siebie, jego zdaniem stanowczo za blisko.

Nie spojrzał ani razu na scenę. Nie odrywał wzroku od Meredith, śledząc każdy jej ruch. Gdy zapalono świece na antrakcie, jego podniecenie zaczęło rosnąć. Wiedział, że nadeszła szansa otrzeć się o nią w tłumie.

201

Ona jednak, ku jego wielkiej konsternacji, wcale nie wyszła z loży! Co gorsza, prowokacyjnie stanęła za markizem i zaczęła sugestywnie masować jego ramiona, jakby byli sami. Rozwścieczyło go to rozpustne zachowanie.

Przypomniał sobie jej nieprzyzwoity pocałunek z markizem na wyścigach, który też ogromnie go rozżłościł. Tamtego popołudnia zniszczył jej parasolkę. Z pasją rozszarpał delikatną koronkę na strzępy jako ostrzeżenie. Meredith przekroczyła granice tego, na co pozwolił.

Najwyraźniej potrzebny był kolejny sygnał. Nagle rozszalała awantura dała mu życiową okazję. Wypatrzył lady Meredith, w momencie gdy już miał ją pochłonąć tłum. Rzucił się w sam środek i zaczął przeć do przodu. Najwyższym wysiłkiem i ogromną siłą woli udało mu się do niej dotrzeć.

Gdy już znalazł się za nią, objął dłońmi długą, białą szyję i pogłaskał, czekając na chwilę najwyższej radości i zaspokojenia, które nadejdą w momencie, gdy zaciśnie ręce i zakończy jej życie.

Niestety podniecenie pulsujące mu w żyłach rozproszyło jego uwagę.

Został popchnięty przez nieopanowaną cizbę i nie mógł odzyskać równowagi. Niechcący szturchnął Meredith tak, że upadła na kolana. Sięgnął

w dół, żeby znów schwycić swój skarb, ale palce mu się zaplątały w ogniwa naszyjnika. Ir zaczęła krzyczeć, usiłując wstać. Była wyjątkowo silna jak na kobietę i ogromnie zdeterminowana. Potem wystąpił mu na czoło, gdy przypomniał

sobie, jak dzielnie walczyła o życie. W mgnieniu oka zrozumiał, że nie może jej zabić teraz, bo nie zdaży rozkoszować się tym zdarzeniem i cieszyć każdą chwilą gwałtownej śmierci.

Lady Meredith była naprawdę idealną ofiarą. Postąpiłby jak głupiec, spiesząc się ze zniszczeniem tak rzadkiego skarbu. Więc odsunął się do tyłu, akurat gdy markiz przebił się przez tłum i wyratował żonę z niebezpieczeństwa. Ale zabrał sobie coś na pamiątkę tamtej cudownej chwili -

brylant z naszyjnika.

Głośne pukanie do drzwi sprawiło, że ze strachem skulił się w kącie.

- Potrzebują cię na dole. Lepiej się pospiesz.

- Już idę.

Zacisnął usta w wąską linię. Z niechęcią opuszczał zacisze swojej izby, marzenia i wizje. Ale wiedział, że musi.

Podniósł brylant do światła i przyjrzał mu się po raz ostatni. Potem ostrożnie, z czcią, znów zawinął go w lnianą chusteczkę i umieścił w kieszeni surduta. Wprawdzie wymyślił idealny schowek, ale zdecydował, że

brylant jest zbyt cenny, by zostawić go w pokoju. Gdyby znaleziono to cudeńko, wpadłby w poważne tarapaty, bo nie umiałby wyjaśnić, jak znalazło się w jego posiadaniu.

A co ważniejsze, musiał mieć klejnot przy sobie. Dotyk twardych brzegów kamienia sprawiał mu rozkosz. To mu stale przypominało, że lady Meredith należała teraz do niego.

Wkrótce ona również będzie o tym wiedziała.

a

B I maskowy lorda Linny'ego rzeczywiście okazał się największym wydarzeniem sezonu, a wszyscy obecni zgodzili się, że był to spektakularny sukces. Co dziwne, markiz Dardington należał do tych, którzy wydali pozytywną opinię o tym wieczorze.

W duchu uważał, że widok Meredith w tunice uszytej na wzór starorzymskiej wart był przetrwania każdej towarzyskiej nudy. Tego wieczoru jednak Trevor właściwie dobrze się bawił.

Dokonał też czegoś, co nie udało się żadnemu mężczyźnie z towarzystwa poza księciem. Zatańczył z piękną markizą Dardington.

Uśmiechnęła się z radością, gdy stanął przed nią, elegancko się uklonił

i poprosił, by łaskawie z nim zatańczyła. Podpierając policzek palcem, udawała niezdecydowanie. Twierdziła, że nie jest pewna, czy zna mężczyznę w czarnej pelerynie.

Pozwolił jej pożartować, a potem porwał w ramiona, zanim zdążyła zaprotestować. Sala balowa wyłożona lustrami, udekorowana bukietami białych, czerwonych i żółtych róż wyglądała magicznie.

Trevor ucieszył się, że będą tańczyć walca. Żeby się z nią podrażnić, utrzymywał między nimi przepisową dla tego tańca odległość. Zmarszczyła brwi w zdziwieniu i kilkakrotnie próbowała zmniejszyć dzielący ich dystans, ale markiz nie pozwalał.

Wiedział, że intymna bliskość może rozognić jego ciało kłopotliwym podnieceniem. W zatłoczonej sali balowej przepływali obok nich inni tancerze, Trevor miał jednak wrażenie, jakby nie było tu nikogo oprócz nich. O północy poprowadził Meredith na kolację. Usiedli przy wygodnym stoliku w rogu jadalni i swobodnie rozmawiali, śmiali się i nawzajem próbowali pysznego jedzenia ze swoich talerzy.

203

Przerwał im Jason. Spytał grzecznym, błagalnym tonem, czy on i jego towarzyska mogliby się dosiąść. Jason świetnie wczuł się w atmosferę wieczoru. Przebrał się za pirata i miał nawet na oku zawadiacką czarną przepaskę. Za szeroką czerwoną szarfę opasującą mu talię zatknął imponujących rozmiarów szablę.

Towarzyszająca mu panna Elizabeth Sainthill była przebrana za paste-reczką. Białe falbanki kapelusika ślicznie okalały dziewczęcą twarz, a satynowe wstążki zawiązane pod brodą kolorem pasowały do jej oczu. Gdy usiadła obok Meredith, Trevor zauważył, że wygląda słodko, niewinnie i nieprawdopodobnie młodo.

- Przepraszam, że przeszkadzam, ale w końcu udało mi się wymknąć Harriet - powiedział Jason do

Trevora. - Nie mógłbym jednak cieszyć się towarzystwem mojej ślicznej Elizabeth przy osobnym stoliku, jeśli nie zapewniłbym jej właściwej przyzwoitki. To byłoby wysoce niestosowne.

- Rozumiem - odparł Trevor, choć z trudem sobie wyobrażał siebie w roli odpowiedniej opiekunki.

Przecież zaledwie kilka tygodni temu, młodej, wrażliwej panience wręcz zakazano, by pokazywać się z rozpustnym markizem Dardingtonem bez asysty krewnych płci obojga.

• Najwyraźniej wszystko to się zmieniło. Jego grzeszną reputację, na którą rzetelnie zapracował przez ostatnie osiem lat, teraz zastąpiła aura powszechnego szacunku i była to wyłącznie zasługa Meredith. Przetrwaj

ła burzę skandalu wywołanego ich małżeństwem z godnością i wdziękiem, nie godząc się, by towarzystwo traktowało ją inaczej niż z pełnym poważaniem.

I chociaż Trevor sam przyznawał, że nie osiągnął jeszcze gotowości do roli statecznego, poważnego dżentelmena, to z drugiej strony dobrze było mieć dla odmiany jakiś wybór.

- Podoba się pani na balu, panno Sainthill? - spytał.

Dziewczyna zarumieniła się lekko.

- Bawię się doskonale. Dekoracje są takie eleganckie, a atmosfera radosna i odświeżająca. I tylu tu ludzi ubranych w niezwykle interesujące kostiumy. Część z nich wręcz uosabia konkretne postaci historyczne. Nigdy czegoś takiego nie widziałam.

Jason uśmiechnął się z entuzjazmem.

-- Dużo czasu zabrało nam rozpoznanie, kto jest kim pod maskami. -

Położył rękę na dłoni Elizabeth i uścisnął lekko.

204

/

- Pan Barrington miał nade mną wyraźną przewagę, ponieważ zna o wiele więcej osób z towarzystwa - odparła Elizabeth. Uśmiechając się nieśmiało, dyskretnie cofnęła dłoń.

Jason puścił mimochodem rezerwę pięknej pani. Zmienił temat rozmowy i wkrótce cała czwórka prowadziła ożywioną dyskusję, który kostium był najbardziej oryginalny, odważny albo dziwaczny. Toczyli spór wśród śmiechu aż do chwili, gdy na salę wrócili muzycy i zaczęli stroić instrumenty.

- Muszami państwo wybaczyć. - Elizabeth uniosła karnecik zwisający u jej nadgarstka i uważnie go przejrzała. - Powinnam wrócić do sali balowej. Następny taniec przyrzekłam gospodarzowi wieczoru. Byłoby niegrzeczne z mojej strony, gdyby musiał mnie szukać.

Jason natychmiast wstał,

- Osobiście odprowadzę cię do lorda Linny'ego, jeśli obiecasz mi jeszcze jeden taniec trochę później.

Elizabeth zawahała się chwilę, potem przytaknęła. Oboje pożegnali się i wtopili w tłum zmierzający ku sali balowej.

- Jason z całą pewnością się zadurzył - zauważyła Meredith, gdy tamta para odeszła.

Trevor łyknął wspaniałego wina.

- I to bardzo poważnie, ale uczucia Elizabeth nie są zanadto widoczne.

Meredith wzruszyła ramionami.

- Jest kobietą, z natury ostrożną i rozważną. On mężczyzną, upartym i zarozumiałym. To oczywiste, że będą mieć inne spojrzenie na to, co ich łączy.

Trevor z głośnym stukiem odstawił kryształowy kieliszek.

- Czy właśnie w takim świetle mnie pani widzi, madame? Jako upar-tego i zarozumiałego mężczyznę?

Uniosła prowokacyjnie brew.

" - Uparty, oczywiście. Zarozumiały? Chyba bardziej pasowałoby określenie niemożliwie arogancki. - Zalotnie przesunęła językiem po górnej

' . wardze. - Pospiesz się i dopij wino, sir, żebyśmy i my mogli wrócić do sali balowej.

, Trevor jęknął z przesadną rozpaczą.

- Niejesteś jeszcze zmęczona?

Pokręciła głową.

- Zapewniam cię, że dzięki tym wspaniałym sandałom mogę tańczyć aż do świtu. A teraz chodźmy.

Gdy znaleźli się w sali balowej, markiz potrzebował kilku minut, by się rozluźnić. Znow był czujny na najmniejsze możliwe niebezpieczeństwo 205

grożące jego żonie. Podejrzliwie obserwował każdego, kto podchodził

bliżej. Trevor bardzo poważnie traktował ten obowiązek, a potrzeba zapewnienia Meredith bezpieczeństwa stała się prawie jego obsesją.

Tłumaczył sobie, że po części jest to wynikiem uczuć, których nie wyraził jeszcze słowami. Ale czy

wywołanych jedynie cielesną blisko

ścią? Od wypadku w teatrze każdej nocy spali razem.

Zawsze witała go niemal rozpaczliwym uściskiem. Trevor przyznał, że było wielką głupotą wcześniej odmawiać im obojgu tej bliskości, zwłaszcza że Meredith tak bardzo jej potrzebowała i pragnęła. Na początku małżeństwa sądził, że jedynym uczciwym wyjściem było utrzymywanie między nimi dystansu, ponieważ nie potrafił się z Meredith związać emocjonalnie.

Ale mylił się. Emocjonalne więzy połączyły ich nawet przy ograniczonych kontaktach. Żadne z nich nie wyznało jeszcze swoich prawdziwych uczuć, markiz czuł jednak, że ten moment wkrótce nadejdzie. Przynajmniej dla niego.

Dopiero gdy omal nie stracił Meredith, uświadomił sobie, że właśnie kogoś takiego jak ona pragnął przez cały czas. Dawała mu poczucie spełnienia, którego od tak dawna brakowało w jego życiu. W cudowny sposób sprawiła, iż ośmielił się znów mieć nadzieję na szczęśliwą przyszłość.

Od tamtej feralnej nocy w teatrze nie zdarzył się już żaden wypadek, ale Trevor zachowywał czujność. To prawda, że Meredith na jego prośbę drastycznie ograniczyła swoje zobowiązania towarzyskie, więc mniej było okazji, by ktoś ją zaatakował. Jeśli rzeczywiście chciał.

Ostatnio Trevor coraz częściej zastanawiał się, czy przypadkiem nie zareagował przesadnie na sytuację. Ale też zdecydował, że w zasadzie nie miało to znaczenia. Lepiej być nadmiernie ostrożnym, niż uśpić czujność i pozwolić, by Meredith poniosła tego konsekwencje.

Po kolejnych trzech tańcach Trevor zdołał w końcu przekonać żonę, że nadeszła pora, by zakończyć zabawę. Księżę również był gotowy do powrotu, więc cała trójka wsiadła do księżęcej karety i pojechała do domu.

Trevor przyjął propozycję ojca, by wypić przed snem kieliszek brandy.

Obaj rozsiedli się w złotym salonie. Meredith nie chciała się do nich przy

łączyć. Czarująco i rozkosznie życzyła im dobrej nocy i pocałowała najpierw księcia, potem męża, Jednak błysk w jej oczach i sposób pożegnania przypieczętowanego delikatnym pocałunkiem w policzek powiedział

markizowi, że żona będzie go wyczekiwała.

Poczuł ciepło rozlewające mu się w łędźwiach. Sama świadomość, że Meredith czeka, by mu się z ochotą oddać, wywołała przyływ emocji 206

i pożądania. Rzymski kostium okazał się bardzo zmysłowym strój em. Otulał piersi i biodra, przywierając do każdej rozkosznej krągłości ciała.

Trevor bez trudu mógł sobie wyobrazić, jak powoli ściąga z niej suknię, odsłaniając gładkie, białe ciało. Pamiętał, jak jej skóra lśni w blasku świec, jak piersi prężą się, gdy je pieści, a oczy błagają,

by ją wziął i zrobił, co chce.

- Na Boga, synu, lada moment dym zacznie ci uchodzić uszami. - Książę

zę zaśmiał się rubasznie. - Może lepiej by było, gdybyś dał sobie spokój z brandy i od razu poszedł na górę z żoną.

Trevor prawie nie mógł w to uwierzyć, ale poczuł ciepło w czubkach uszu. Rumienić się w jego wieku? Z powodu własnej żony?

- Nic mi nie jest, sir - odparł markiz.

Żeby to podkreślić, upił duży łyk brandy i omal się nie zakrztusił.

- Tak, właśnie widzę - odparł książę, uśmiechając się szeroko.

Trevor pominął komentarz milczeniem. Wiedział, że ojciec próbuje go wyprowadzić z równowagi, więc uważał, by nie dać się sprowokować.

- Dobrze się bawiłeś dzisiejszego wieczoru? - spytał Trevor.

- Oczywiście - odparł książę. - Linny wie, jak urządzić pierwszorzędne przyjęcie, nawet jeśli pod każdym innym względem jest idiotą.

Trevor przytaknął. Poplotkowali jeszcze na temat kilku innych gości i dziwacznych kostiumów, zaśmiali się ze sprośnego dowcipu, potem przedyskutowali ustawę o reformie rolnej, którą Izba Lordów miała przedstawić w parlamencie.

Ojciec nalał jeszcze jedną porcję brandy. Trevor przyznał, że lubił ich spokojne, na ogół przyjazne rozmowy. To była jeszcze jedna rzecz, którą zawdzięczał Meredith. Swoją obecnością przerzuciła pomost między nim a ojcem, tak potrzebny do osiągnięcia zgody.

- Meredith chciałaby jutro pójść na wieczorek muzyczny u księcia Shrewsbury'ego - powiedział Trevor. - Wybierzesz się z nami?

Dostojne oblicze księcia wykrzywił grymas.

- Meredith jest wspaniałą kobietą, ale za nic nie mogę pojąć, dlaczego tak sobie upodobała te wieczorki muzyczne. Wyjące śpiewaczki i zawodzące skrzypce doprowadzają mnie do szaleństwa. Wiesz, że któregoś razu namówiła mnie, bym ją zabrał do opery?

Trevor uniósł kieliszek do ust, by ukryć uśmiech.

- Coś o tym słyszałem.

- Było okropnie. Zanim wyszliśmy, rozboleły mnie zęby. - Książę westchnął. - Będę ci zatem nieskończenie wdzięczny, jeśli pomożesz mi wymyślić rozsądną wymówkę, bym nie musiał brać



- Już wczoraj po południu wspomniała, że spodziewa się, iż wynaj-dziesz przynajmniej trzy powody, by z nami nie pójść.

Starszy pan odrzucił głowę i roześmiał się serdecznie.

- Mądra dziewczyna. Zna mnie aż za dobrze. - Książę nagle spowaźniał i zapytał: - Ciągłe podejrzewasz, że zagraża jej jakieś niebezpieczeństwo?

Markiz wzruszył ramionami.

- Nie jestem już tego pewien, ale myślę, że czujności nigdy za wiele.

Poza tym odkryłem, że bardzo lubię przebywać w towarzystwie żony.

Gospodarz parsknął.

- Najwyższy czas, byś to wreszcie zrozumiał. Ta kobieta to skarb, cenny klejnot, którego należy strzec i o niego dbać.

Trevor spojrzał poważnie na ojca.

- W tej sprawie zupełnie się z panem zgadzam, sir.

Książę przebiegle uśmiechnął się do syna.

- Skoro więc w waszym małżeństwie zaczęło się układać, czy wkrótce pojawią się wnuki? Maluchy, które będą się bały mojego grzmiącego głosu i moich surowych nakazów, by się porządnie zachowywały, a jednak będą uwielbiać mnie za to, że spełniam każde ich życzenie?

Trevor po raz kolejny zakrztusił się brandy.

- Robię wszystko, co w mojej mocy.

- No, to ruszaj natychmiast na górę i postaraj się jeszcze bardziej. Wiesz przecież, że nie jestem już młody. A chciałbym być jeszcze na tyle sprawny, by gonić tych małych łobuziaków po salonie.

Gdy dotarli do rezydencji księcia Shrewsbury'ego, liczba przybyłych gości przekroczyła już setkę.

Meredith wyciągnęła rękę do stojącego w pobliżu lokaja, który czekał, by jej asystować przy wysiadaniu z powozu, ale markiz odprawił służącego. Sam zaborczo ujął dłoń żony i pomógł

wysiąść.

Meredith wyprostowała się i spojrzała do góry. Cały dom jarzył się światłami. W każdym oknie wychodzącym na ulicę paliły się świece, a płonące przy schodach liczne pochodnie oświetlały drogę do drzwi wejściowych. Meredith zachwycona migotliwym widokiem odwróciła się do męża.

- Trevorze, dlaczego się tak krzywisz? Coś się stało?

208

- Nie - mruknął. - Jestem tylko zdziwiony, że jest tu tylu ludzi. Nie miałem pojęcia, że tego rodzaju wieczorki interesują kogokolwiek poza najbardziej zagorzałymi melomanami. Szczerze mówiąc, spodziewałem się zaledwie garstki gości.

Meredith stłumiła westchnienie. Cieszyła się na dzisiejsze występy już od wielu tygodni. To miała być niezwykła okazja, by posłuchać utalentowanych śpiewaków i muzyków, którzy przyjęli zaproszenie księcia, gdyż zwykle rzadko opuszczali swoje rodzinne kraje na kontynencie.

- Drogi mężu, nie usłyszałeś jeszcze nawet jednej zagranej nuty ani zaśpiewanej arii, więc poczekaj z osądami. - Zacisnęła usta i dodała: -

Gdybym chciała iść na koncert z gderliwym mężczyzną u boku, poprosi

łabym twojego ojca, by nam towarzyszył.

- Był na tyle sprytny, że znalazł wymówkę - wymamrotał Trevor pod nosem.

- Słyszałam, co powiedziałeś - odparowała Meredith.

Z ponurą miną markiz ujął żonę pod łokieć i poprowadził po schodach.

Gdy weszli do środka, Meredith oddała szal służącemu i pozwoliła, by mąż poprowadził ją z dala od tłumu. Zawsze tak robił, gdy wchodzili w nowe miejsce, więc dokładnie wiedziała, czego się spodziewać.

Powiedział, że to bardzo praktyczne rozwiązanie, gdyż potrzebował

przyjrzeć się gościom i ocenić, czy któryś z nich stanowił zagrożenie.

Mimo to przy niejednej okazji Meredith przyłapała męża, jak rzuca paskudne, odstrasżające spojrzenia w kierunku dżentelmenów, którzy niczym nie zawinili poza okazaniem jej zachwyty i zainteresowania.

Dzisiaj miała na sobie wieczorową suknię z czerwonego jedwabiu z dekoltem, kusząco odsłaniającym piersi. Toaleta Meredith wcale nie była jednak najbardziej wycięta. Właściwie w porównaniu ze strojami innych dam wyglądała prawie skromnie.

A jednak, gdy wolnym krokiem weszli do zwieńczonej kopułą oranżerii, gdzie miał się odbyć koncert, Meredith zauważyła, że Trevor intensywnie wpatruje się w tłum, jakby spodziewał się, że lada moment ktoś ją zaczepi.

- Wszystko w porządku? - wyszeptała, gdy markiz odnalazł ich miejsca.

- Nie jestem pewien. Alworthy nie odrywa oczu od twoich piersi od momentu, gdy zdjęłaś szal.

Meredith poczuła ciepło na policzkach.

- Znam lorda Alworthy'ego od wielu lat. Nie sądzę, by mógł mi zrobić krzywdę.

14 - Zakład o miłość

209

- Jest uwodzicielem napastującym każdą kobietę, którą zdoła dopaść.

Wydaje mi się bardzo bezczelny i patrzy na ciebie zbyt pożądliwie. Nie chcę, żeby się do ciebie zbliżał.

- Świetnie. Gdy podejdzie, dam mu ostrą odprawę - powiedziała.

Trevor skinął głową z aprobatą, a Meredith omal nie krzyknęła. Gdy sugerowała zrobienie afrontu Alworthy'emu, mówiła z ironią. Szczerze jednak wątpiła, czy lord będzie miał odwagę podejść bliżej niż na pięć metrów, gdy Trevor tak wyraźnie okazywał, że stoi na jej straży.

Na szczęście po drugiej stronie sali wypatrzyła Jasona i dała mu znak ręką, by się do nich przyłączył. Podszedł ochoczo, ale wkrótce stało się jasne dlaczego. Rozglądał się desperacko w poszukiwaniu panny Elizabeth Sainthill i chciał zapytać, czy któreś z nich nie miało przyjemności jej widzieć.

- Wydaje mi się, że panny Elizabeth i Harriet przebywają w gościnie u księcia - odparła cierpliwie Meredith. - Należy się zatem spodziewać, że obie tu będą.

- Dzięki Bogu - westchnął dramatycznie Jason i odwrócił głowę.

Meredith zorientowała się, że brat uporczywie wpatruje się w łukowato sklepione wejście i śledzi wzrokiem każdą kobietą, która się tam pojawia.

- Jason! - zawołała Meredith.

- Co proszę?

Młodzieniec nawet nie odwrócił głowy w jej kierunku. Najwyraźniej zbyt wiele oczekiwała, spodziewając się, że brat choć na chwilę przerwie czujną obserwację wejścia i odezwie się do niej inaczej niż półsłówkami.

Nachmurzyła się.

- Wprawdzie nie widziałam jej, gdy wchodziliśmy, ale możliwe, że Elizabeth razem z księciem wita gości.

Jason odwrócił się tak szybko, że Meredith omal nie zakreśliło się w głowie.

- Oczywiście! Czemu o tym nie pomyślałem? Dzięki, Merry.

Popędził, nie oglądając się za siebie. Trevor uśmiechnął się figlarnie i usiadł obok żony.

- Dobra Tobota.

- Och, bądźże cicho. Wystarczy mi j eden kłopotliwy mężczyzna u boku. Nie pozwolę, by te drobne incydenty zepsuły mi radość z cudownego wieczoru.

Trevor ujął jej dłoń i delikatnie ścisnął. Po chwili odwzajemniła uścisk.

Gdy zaczął się koncert, ich palce pozostały splecione.

210

Zaczął drżeć na całym ciele, gdy zobaczył, jak wchodziła do rezydencji. Była tutaj! Nie spał od wielu dni, żywiąc nadzieję, że ona przyjdzie, i jednocześnie obawiając się, że jednak nie. W ostatnim tygodniu nic bywała zbyt często w towarzystwie, niewątpliwie przestraszona jego ostrzeżeniem w teatrze.

Ale dzisiejszego wieczoru ośmieliła się wyjść. Cóż za niewiarygodne szczęście! Niemal wszystko było dla niej przygotowane. Potrzebował

dopracować tylko kilka drobnych szczegółów. Powinien się z tym uporać już wkrótce, bo wiedział, że będzie musiał zaatakować szybko, gdy tylko nadarzy się okazja.

Zmarszczył brwi. To, że markiz też się zjawił na wieczornym koncercie, było denerwujące, ale w niczym nie zmieni ostatecznego wyniku tej nocy. Musi być przebiegły i sprytny, żeby przechytrzyć czujnego arystokratę, ale w swojej arogancji uznał to za godne wyzwanie.

Lady Meredith była nagrodą wartą walki, a zwycięstwo będzie jeszcze słodsze, jeśli przy okazji uda się wyprowadzić w pole Dardingtona.

Przemykał się pod ścianami oranżerii i w końcu stanął w jakimś mało widocznym kącie. Gdy zaczął się koncert, przez kilka minut tylko na nią patrzył. Siedziała lekko pochylona, tak by nie tylko słyszeć, ale także widzieć występy.

Jej piękna twarz wyrażała oczarowanie i zachwyt muzyką. Siedzący obok mąż był mniej zadowolony. Wydawał się wręcz znudzony. Dobry znak. Markiz najprawdopodobniej skorzysta z przerwy, by się

wymknąć na kilka minut. A jeśli on wyjdzie, jest duża szansa, że żona zostanie na sali.

Z cichym westchnieniem zadowolenia wyszedł z oranżerii, by zająć się ostatnimi szczegółami planu.

Mimo że Meredith wpatrywała się w muzyków stojących na podwyższeniu, była świadoma obecności siedzącego obok niej mężczyzny. Trevor wiercił się, poprawiał na siedzeniu, krzyżował i rozkrzyżowywał nogi, aż w końcu wyciągnął je przed siebie.

Spojrzała na niego surowo, ostrzegając bezgłośnie. Wzruszył ramionami i zrobił niewinną minę. Ale nie dała się zwieść.

- Przerwa zacznie się za kilka minut - wyszeptała. - Dlaczego nie pójdziesz do holu napić się brandy?

- Nic mi nie jest - zaprzeczył Trevor. - Poza tym nie chcę cię zostawiać samej.

- Jesteś znudzony i niespokojny. Idź już.

211

Zawahał się i znów spojrzała na niego ostrzegawczo.

- No dobrze, skoro nalegasz. Ale pójdą tylko na kilka minut.

Odprawiła go niedbałym ruchem ręki i skupiła całą uwagę na wspania

łej muzyce. Gdy ucichło ostatnie crescendo, Meredith wstała wraz z wieloma innymi widzami i zaczęła entuzjastycznie klaskać.

- Proszę o wybaczenie, lady Dardington, ale jest pewna delikatna sprawa, którą powinna się pani zająć.

Meredith podniosła oczy na mężczyznę, który się do niej zwrócił. Przesunął się, by stanąć przy pustym krześle Trevora. Po stroju poznawała, że jest służącym w tym domu, ale wydawał się dziwnie znajomy.

- My się znamy, sir?

Mężczyzna się zarumienił.

- Czuję się zaszczycony, że pani mnie pamięta, milady. Widzieliśmy się przez chwilę kilka miesięcy temu, gdy szukała pani pomocy, aby zapobiec pojedynkowi.

Twarz Meredith rozjaśniła się w uśmiechu.

- Oczywiście, teraz sobie przypominam. Pan jest lokajem sir Juliana Wingate'a, prawda? Chwileczkę, proszę mi nie mówić nazwiska. - Niecierpliwie uderzała stopą o podłogę, usiłując je sobie przypomnieć. -

Hawkins, prawda?

- Tak, milady.

Zadowolona pokiwała głową.

- Tamtego ranka bez pana pomocy nie zdołałabym w porę znaleźć braci.

Nie zapominam wyświadczonych przysług, Hawkins. Jak mogłabym panu pomóc?

- Nie proszę we własnym imieniu. To dotyczy panny Elizabeth Sainthill.

- Elizabeth poprosiła, by pan przekazał mi od niej wiadomość? - spytała Meredith z niedowierzaniem. - Trudno mi w to uwierzyć.

Poczerwieniał na twarzy. Meredith aż się cofnęła, bo przez chwilę w jego twarzy było tyle złości i gniewu, że aż się przestraszyła. Ale potem pokornie pochylił głowę i Meredith uświadomiła sobie, że jest po prostu zakłopotany.

- Proszę mi wybaczyć, milady - powiedział cicho. - Nie chciałem się narzucać. Oczywiście panna Elizabeth nie prosiła mnie o nic. Kilka minut temu widziałem ją, jak rozmawia z jednym z pani braci. Wydawało się, że wszystko jest w porządku, a wtem panna Elizabeth nagle się odwróciła i uciekła. Gdy biegła na górę, słyszałem jej żalony szloch.

212

- Ojej, to chyba coś poważnego. - Meredith przygryzła wargę. - Zauważył pan, dokąd poszedł mój brat?

Hawkins odwrócił wzrok.

- Nie, nie widziałem go.

- Hawkins, słusznie pan zrobił, przychodząc do mnie. Wszystko, co robią moi bracia, bardzo mnie interesuje, zwłaszcza jeśli dotyczy to również młodej, niewinnej dziewczyny, takiej jak panna Elizabeth.

Służący odetchnął z ulgą.

- Sądząc po kierunku, w którym pobiegła, przypuszczam, że uciekła do swojego pokoju. Jeśli pani sobie życzy, mogę tam panią zaprowadzić.

Albo zawołam którąś ze służących.

Meredith uniosła głowę i niespokojnie przeszukała wzrokiem salę.

Wielu gości opuściło miejsca i przechadzało się. Nigdzie nie widziała Trevora.

- Coś nie tak, milady?

Potrząsnęła głową.

- Szukam męża.

- Wydaje mi się, że markiz wraz z kilkoma dżentelmenami jest w zielonym salonie. - Hawkins uklonił się grzecznie, - Mam po niego pójść?

Meredith zawahała się. Jeśli Elizabeth była rozstrojona z powodu czegoś, co powiedział lub zrobił Jason, pewnie zechce o tym porozmawiać.

W tej sytuacji obecność Trevora może tylko przeszkadzać.

- Najpierw pójde zobaczyć się z panną Elizabeth. Jeśli poprosi, bym dotrzymała jej towarzystwa, wtedy zawiadomi pan markiza, gdzie jestem.

Hawkins z dumą wydał pierś.

- Jak pani sobie życzy.

Meredith kiwnęła głową i miło się uśmiechnęła. Potem wyszła za Hawkinsem z sali, myśląc już tylko o zmartwieniu biednej Elizabeth.

Gdy dotarli na drugie piętro, zegar w holu wydzwonił dziesiątą. Meredith prawie nie zwróciła na to uwagi. Próbowwała wymyślić, jak sobie poradzić ze zbliżającym się spotkaniem, i zastanawiała się, co też mogło tak bardzo wzburzyć Elizabeth.

2L3

Nie bardzo potrafiła sobie wyobrazić, że jej brat mógłby celowo zrobić przykrość temu pięknemu dziewczęciu. Bywał niemądry, nieodpowiedzialny, czasami nawet bezmyślny, ale jego zauroczenie i uczucie do dziewczyny wydawało się szczere. Meredith miała nadzieję, że chodziło tylko o drobne nieporozumienie, które łatwo da się wyjaśnić.

Pochłonięta tymi myślami, rozejrzała się dookoła. Znajdowali się w bardzo starej i najwyraźniej mało używanej części domu. W powietrzu czuć było pleśnią i stęchlizną, na posadzce i chodnikach leżał kurz. Palilo się tylko kilka świec. Ciemne, groźne cienie kładły się wzdłuż korytarza, który robił się coraz węższy i bardziej kręty.

Nawet jeżeli Elizabeth była w domu księcia mniej ważnym gościem, wydawało się dziwne, że umieszczono ją w tak odległych pokojach. Meredith zmarszczyła brwi. Poczła ukłucie niepokoju, który rósł z każdym kolejnym krokiem. W końcu stał się zbyt silny, by mogła go zignorować.

Jednak zanim zdążyła cokolwiek powiedzieć, doszli na miej see. Ukłoniwszy się grzecznie, Hawkins mocno zastukał w ostatnie drzwi na końcu korytarza. Nie czekał na odpowiedź, tylko nacisnął klamkę.

Meredith weszła do mrocznego pokoju, oświetlonego jedynie trzema świecami w ściennym lichterzu. W pomieszczeniu było zadziwiająco mało mebli, jedynie duże łóże z baldachimem i ciemnymi zasłonami, komoda bez drzwi i niewielki stolik.

Meredith zobaczyła, że Elizabeth siedzi na jedynym krześle, odwrócona plecami do wejścia. Podeszła bliżej.

- Elizabeth?

Dziewczyna poderwała głowę, ale się nie podniosła i nie odezwała.

Zdziwiona Meredith odwróciła się do Hawkinsa, ale służącego już nie było. Podeszła jeszcze bliżej i zabrakło jej tchu.

Zrozumiała, dlaczego Elizabeth milczała. Dziewczyna miała usta zawiązane szarfą. Przerazona Meredith zauważyła, że ręce Elizabeth są skrępowane sznurem, owiniętym kilkakrotnie wokół nadgarstków i przywiązany do nogi krzesła, Meredith patrzyła na dziewczynę ze zdziwieniem, z niedowierzaniem przyjmując do wiadomości to, co widziały jej oczy.

- Mój Boże, kto ci to zrobił?

Jasnoniebieskie oczy Elizabeth rozszerzyły się z przerażenia. Potrząsnę

ła głową, a łzy spłynęły jej po policzkach, mocząc szarfę kneblującą usta.

- Och, przepraszam - powiedziała Meredith, gdy uświadomiła sobie, że biedaczka nie może odpowiedzieć.

214

Zaczęła szarpać szarfę, jednak nie mogła jej ściągnąć. Pociągnęła wę-

zeł zawiązany z boku. Palce jej się trzęsły i odmawiały posłuszeństwa.

W końcu udało się jej na tyle poluzować materiał, że zsunęła go z zszokowanej panienki.

Elizabeth złapała kilka głębokich oddechów i wybuchnęła płaczem, Meredith pochyliła się nisko i mocno ją przytuliła.

- No cicho, już po wszystkim.

- To szalenciec, potwór - zaszlochała Elizabeth. - Tak się bałam, tak się boję. - Pociągnęła głośno nosem i nabrała powietrza, - Musimy się pospieszyć i uciec, zanim wróci.

- Kto? - spytała Meredith. - Kto ci to zrobił?

- Ten służący, straszny lokaj Juliana. Nawet nie wiem, jak się nazywa.

Meredith zaniemówiła. Hawkins? Ale dlaczego? I po co ją tu przyprowadził? By znalazła Elizabeth? To nie miało sensu.

- Ale przecież on wskazał mi drogę do ciebie - wysapała Meredith. -

Po cóż by to robił, jeśli zamierzał cię skrzywdzić?

Łzy znów napłynęły Elizabeth do oczu.

- Lady Meredith, ja nic z tego nie rozumiem. Powiedział, że Harriet mnie wzywa. Przyszłam więc za nim aż tutaj. Gdy tylko weszłam, związał mnie i zniknął. Byłam przerażona. Nic nie mówił, aie ja wiem, że on chce mnie skrzywdzić. Być może panią również. Musimy uciekać.

- Ona ma rację, lady Meredith. Niech pani jej lepiej posłucha.

Meredith podniosła głowę i zobaczyła wpatrującego się w nią Hawkinsa. Nawet nie zauważyła, kiedy wszedł. A może w ogóle nie wychodził? Odwzajemniła mu się rozmyślnie obojętnym spojrzeniem. Miała nadzieję, że zdoła jakoś nadrobić miną i wyrwać się stąd.

- Panna Elizabeth i ja wychodzimy - oznajmiła wyniośle, daremnie szarpiąc sznur, który krępował

ręce dziewczyny.

Uśmiechnął się tak złowieszczo, że Meredith na chwilę zrobiło się słabo.

- Wiedziałem, że ma pani dość siły, by ze mną walczyć - powiedział. -

Ale tak wielka arogancja i śmiałość przekracza moje oczekiwania. Bardzo mnie to cieszy.

Meredith nie wiedziała, jak się zachować. Opór wyraźnie go ekscytował, ale potulność mogłaby je narazić na jeszcze większe niebezpieczeństwo.

- Panie Hawkins, jestem pewna, że możemy racjonalnie załagodzić przyczynę pańskiego zdenerwowania. Po cóż uciekać się do gróźb czy przemocy.

215

Oczy służącego rozbłysły gniewem.

- Ja nie grożę. Wszystko bardzo uważnie i dokładnie zaplanowałem.

Nie ma powodu do obaw. Jeszcze nie.

Meredith przełknęła z wysiłkiem. Drzwi do pokoju pozostawały otwarte.

Hawkins stał w pobliżu wejścia. Nie był wysoki. Właściwie przewyższata go wzrostem prawie o dziesięć centymetrów. Gdyby nagle rzuciła się na niego, może zdołałaby go przewrócić i uciec.

Zerknęła na Elizabeth. Dziewczyna nie miała już knebla, ale ciągle tkwiła przywiązana za ręce do krzesła. W półmroku śliczna twarz młodej panienki była tak blada, że prawie nie odróżniała się od bieli sukni. Wargi jej drżały, po twarzy spływały łzy. Meredith już wiedziała, że nie może jej zostawić.

Walczyła, by opanować paraliżujący strach.

- Jest pan bardzo sprytnym człowiekiem - powiedziała cicho.

Na twarzy Hawkinsa pojawił się wyraz czystego triumfu.

- Spędziłem wiele godzin, układając plan. Zauważyłem, że markiz często pani towarzyszy. Nie miałem też pewności, czy uda mi się panią tutaj zwabić. W końcu pani sama mi to ułatwiła.

Meredith cofnęła się o krok. Hawkins ruszył za nią. W oczach płonęła mu żądza zemsty.

- Co pan zamierza? - wydusiła z trudem.

- Oczywiście ją zabiję. - Hawkins przekrzywił głowę na bok. - A ty, miłady, będziesz patrzeć, jak walczy o każdy oddech, aż do końca.

Elizabeth skuliła się i jęknęła żałośnie. Meredith bez namysłu stanęła przed dziewczyną, żeby ją zasłonić. W głowie jej huczało od natłoku myśli, krew szybciej krążyła w żyłach.

- Dlaczego chce pan skrzywdzić pannę Elizabeth? Przecież nie zrobiła nic złego.

W oczach Hawkinsa pojawił się błysk.

- To prawda, ale najwyraźniej ona jest pani droga. Jej śmierć sprawi tobie ból, lady Meredith.

Dreszcz przerażenia przeszedł Meredith po plecach.

- To jest pana prawdziwy cel, prawda, Hawkins? Sprawić mi ból.

Znów się do niej uśmiechnął, jakby była bystrym dzieckiem, a on zachwyconym nauczycielem.

- Nie dziwię się, że tak szybko pojęła pani, o co chodzi. Moje gratulacje, lady Meredith.

216

Meredith próbowała coś powiedzieć, ale miała wrażenie, że język przyrósł jej do podniebienia. Elizabeth szaleńczo szarpała więzy. Gdy nie przyniosło to rezultatu, pokonana bezsilnie opadła na krzesło.

Meredith serce waliło jak szalone. Ich jedyną szansą na ocalenie była gra na zwłokę. Gdy Trevor wróci do oranżerii, na pewno zauważy nieobecność żony. Nie będzie zwlekał i zacznie poszukiwania. Jednak odnalezienie jej tutaj, w tak odległej części domu zabierze mu dużo czasu, jeśli w ogóle postanowi szukać wewnątrz budynku.

- Nie przypominam sobie, bym zrobiła coś, co mogłoby wywołać tak silną nienawiść, panie Hawkins. Mimo to chciałabym panu jakoś zadośćuczynić. Przyjmie pan moje najszczerze przeprosiny?

Zdawało się, że jej skrucha go zaintrygowała. Otworzył usta, potem je zamknął.

- Przyjmuję przeprosiny, lady Meredith, W końcu jest pani tylko kobietą, słabą na ciele i umyśle. Ale i tak zabiję pannę Elizabeth.

- Co się tu dzieje?

Na dźwięk kobiecego głosu Meredith i Hawkins odwrócili się zdziwieni i przestraszeni. W otwartych drzwiach stała Harriet SainthiU z rękami opartymi na biodrach. Zauważyła Hawkinsa w tym samym momencie, gdy on zobaczył ją. Lokaj rzucił się na kobietę. Wstrząśnięta otworzyła usta do krzyku.

- Uciekaj, Harriet! - zawołała przeraźliwie Meredith.

Harriet zastygła ze zdziwienia. Próbowała zrobić unik, ale napastnik był zbyt szybki. Jednym zwinnym ruchem zatrzęsął drzwiami i pochwycił

ofiara. Uderzył ją na odlew w twarz, potem objął silnym ramieniem i przycisnął do siebie. Sięgnął do kieszeni. Meredith zrobiło się słabo, gdy zobaczyła błysk światła odbitego od ostrza noża.

Gorączkowo rozglądała się w poszukiwaniu czegoś, czym mogłaby zaatakować Hawkinsa, ale pokój zionął pustką. Nie było nawet lichtarza.

Harriet wydawała się oszołomiona ciosem. Meredith podniosła rękę do ust. Nie mogła oderwać wzroku od groźnego noża.

- No, no, sprawy przybierają coraz ciekawszy obrót. W pewnym sensie wiedziałem, że mogę na panią liczyć, lady Meredith, że ożywi pani sytuację. - Hawkins spojrzał obojętnie na Elizabeth. - Gdy kładę palce na szyi kobiety, czuję o wiele większą przyjemność, ale by dokonać dzieła, potrzebuję obu rąk.

Hawkins powlókł Harriet przez pokój. Meredith powoli cofnęła się i przycisnęła do ściany tuż obok Elizabeth. Nie odezwał się słowem, tylko

mocniej chwycił szarpiącą się teraz Harriet. Gdy dotarł do związanej dziewczyny, podniósł nóż. Elizabeth wzdrygnęła się, Harriet zaczęła krzyczeć.

- Panie Hawkins, proszę! - zawołała zdesperowana Meredith. - Panna Elizabeth jest młodszą siostrą panny Harriet, która ma poślubić Juliana Wingate'a. Śmiem twierdzić, że pana chlebodawca będzie wstrząśnięty jeśli coś się przydarzy jego przyszłej szwagierce.

Hawkins spojrzał z pogardliwą wyższością.

- Jak niewiele pani wie o prawdziwych uczuciach pana Wingate'a.

Jemu zupełnie nie zależy na tej krowie, w przeciwnym razie już dawno by się z nią ożenił. Będzie bardzo zadowolony z takiego obrotu sprawy, Rory uwolni go od wszelkich dalszych zobowiązań. Widzisz, teraz jej też będę musiał poderznąć gardło, skoro mnie zobaczyła.

Mocniej przyciągnął Harriet do siebie. Kobieta jęknęła. Meredith nie wiedziała, co zraniło ją bardziej, czy brutalne zachowanie Hawkinsa, czy jego słowa. Chwyciła się parapetu i gorączkowo myślała. Musiała go ja-koś skłonić do dalszego mówienia.

- Dlaczego woli pan zabijać rękami, panie Hawkins? Tak jest szybciej? - Od tych słów Meredith niemal zrobiło się niedobrze, ale zdołała je wypowiedzieć.

Lokaj powoli opuścił nóż.

- Jakich sztuczek pani ze mną próbuje, lady Meredith? Żadna dama wyższych sfer nie chciałaby o tym słuchać.

Meredith mężnie zebrała się w sobie,

To tylko słowa, upomniała się w myślach, trudno ich słuchać, ale rozmowa może okazać się ostatnią szansą na ocalenie.

- Moje zainteresowanie nie powinno pana zbytnio dziwić. Sam pan przyznał, że nie jestem podobna do innych kobiet.

Twarz Hawkinsa zastygła ze zdziwienia. Najwyraźniej zastanawiał się, czy szczerość i zainteresowanie Meredith są prawdziwe.

- Lubię czuć, jak ostatnie tchnienie opuszcza ciało. Gdy ściskam gardło, wycieka życie, a na jego miejsce wpełza śmierć.

Meredith, słysząc dumę i podniecenie w jego głosie, aż się skuliła. Nie musiała mu już zadawać następnego pytania. Nagle stało się dla niego niezwykle ważne, by jej wszystko wytłumaczyć i pochwalić się tym, co zrobił.

- Bardzo uważnie wybieram ofiary. Angielskie ekspedientki są najlepsze. Rozkoszne, z niewinnymi buziami, a jednak bronią się i walczą jak najdzielniejsi wojownicy.

218

- My nie jesteśmy ekspedientkami! - zawołała Harriet bez tchu. -

Wszystkie trzy pochodzimy z wyższych sfer.

- Zabiłem już damę - oświadczył. - Choć lady Lavinia umarła szybko i bez walki. Jej śmierć sprawiła mi niewiele przyjemności.

Meredith zmartwiała ze wstrząsu. Co on mówi? Zabił Lavinie? Czy to możliwe?

Prawie nie słyszała następnych słów, bo zaczęło jej huczeć w głowie.

Zimny pot wystąpił na skórę, krew odpłynęła z twarzy. Gdyby nagle zaczęła wymiotować, zapewne odwróciłaby uwagę Hawkinsa, ale wołała tego nie sprawdzać.

- Zabiłeś poprzednią markizę Dardington? - wysapała Harriet. - Dlaczego?

- Nie chciałem jej zabić. To była pomyłka. - Roześmiał się nieweso

ło. - To lady Meredith miała zginąć tamtego popołudnia za upokorzenie pana Wingate'a. Okrutnie odrzuciła jego szlachetną propozycję małżeństwa. Nie mogłem pozwolić, by ta zniewaga pozostała bez kary.

Wstrząśnięta do głębi Meredith poczuła ucisk w żołądku. Pocierała spocone skronie i oddychała głęboko, próbując opanować mdłości.

- Więc przyszedł pan na podwieczorek u księżnej, by mnie zabić? -

wyszeptała. - Dlaczego więc zginęła Lavinia?

Oczy Hawkinsa zaświeciły się gorączkowym blaskiem.

- Miała na sobie pani szal. Śledziłem ją aż do świątyni, myśląc, że wreszcie mam panią na osobności. Zaatakowałem od tyłu, tylko przez chwilę napawając się ostatnim tchnieniem życia tej kobiety. Dopiero później, gdy zobaczyłem, jak łka pani przy martwym ciele, uświadomiłem sobie swoją pomyłkę.

- Lavinia umarła osiem lat temu. Dlaczego czekał pan tak długo, by mnie dopaść?

- Cierpiałas, milady. A to dawało mi rozkosz. A potem pan Wingate wyjechał z Londynu i wkrótce kupił patent oficerski. Przez wiele lat nie było nas w kraju. A jednak przez cały ten czas nie zapomniałem o pani, lady Meredith.

Hawkins mówił coraz szybciej i gwałtowniej. Trudno było nadążyć za potokiem słów i zrozumieć ich sens. W odpowiednich momentach Harriet zadawała mu kolejne pytanie. Meredith była jej wdzięczna za pomoc. Harriet chyba zrozumiała, że dopóki Hawkins nieprzerwanie gadał, mogły jeszcze żywić nadzieję na ocalenie. Miały jednak coraz mniej czasu.

219

Trevor był pewien, że Meredith nie ma na sali. Pocierając brwi, oparł

się o ścianę i przebiegł wzrokiem rzędy krzesełek, które zajęli słuchacze w oczekiwaniu na koncert.

Przepatrzył rzędy raz, drugi i wreszcie trzeci, ale wynik był za każdym razem ten sam. Meredith zniknęła. Z początku Trevor przypuszczał, że może tak jak on wyszła na kilka minut, ale z upływem czasu niepokoił się coraz bardziej.

Jeśli opuściła salę z własnej woli, już dawno powinna wrócić. Stało się coś złego.

- Zamierzasz znów się wymknąć, Dardington? - spytał Julian Wingate. - Jeśli tak, sugeruję, byś uciekł, zanim solistka zacznie śpiewać.

Mój dziadek uwielbia tę kobietę, ale jej głos podobno doprowadza mężczyzn do łez. Łez udręki.

- Wingate. - Trevor zaszczycił rozmówcę ledwie krótkim skinieniem głowy. - Szukam żony. Widziałeś ją?

- Nie. - Wingate uniósł brwi. - A co, naprawdę zginęła?

- Tak. - W innych okolicznościach Trevor by się może uśmiechnął.

Ogarniający go mroczny strach był tak głęboki, że oto szukał pomocy u człowieka pokroju Wingate'a.

- Muszę przeprosić gości, czy nie zauwa-

żyli gdzieś Meredith, ale wolałbym nie wywoływać zamieszania.

- Służę pomocą.

Rozeszli się w przeciwnych kierunkach.

- Widziałeś Meredith? - zapytał Trevor szwagra, gdy natrafił na Jasona w pokoju do gry w karty.

- Nie, ale to dziwne, że o nią pytasz. Już prawie od godziny szukam panny Elizabeth. W końcu, z wahaniem zapytałem o nią pannę Harriet, a ona poszła szukać siostry. Ale jeszcze nie wróciła. A teraz Meredith też gdzieś przepadła. Myślisz, że to tylko zbieg okoliczności?

Trevor zmarszczył brwi.

- Mogły wyjść na chwilę razem w jakiejś osobistej sprawie, ale moim zdaniem nie ma ich już tak długo, że powinniśmy zacząć się obawiać.

Jason chwycił markiza za ramię.

- Sugerujesz, że mogą być w niebezpieczeństwie?

Trevor poczuł chłód w żyłach. Nie ulegał łatwo panice, ale teraz wszystkie jego instynkty były na alarm.

220

- Musimy je odnaleźć jak najszybciej.

Podszedł do nich Wingate. Spojrzał na Trevora i pokręcił głową.

- Przeprosiłem służbę na tym piętrze. Nie widzieli lady Meredith. Ale też są przekonani, że nikt nie opuścił domu. Ona musi gdzieś tu być.

Trevor skrzywił się.

- Panna Elizabeth również zaginęła. Panna Harriet poszła jej szukać i jeszcze nie wróciła.

Wingate zmarszczył brwi w zakłopotaniu.

- Harriet również zniknęła? Nie wiedziałem.

Markiz westchnął. Jeśli służba twierdziła, że nikt nie opuścił domu, należało przypuszczać, że damy są gdzieś w pobliżu. Ale gdzie? To był

duży dom z licznymi pokojami. Porządne przeszukanie rezydencji wymagało kilku godzin.

Z rosnącym niepokojem Trevor przypomniał sobie zniszczoną parasolkę Meredith, siniaki na szyi po niefortunnym wieczorze w teatrze, jej niepokój, że jest obserwowana. Wiedział, że nie mają czasu do stracenia.

Jeśli Meredith groziło niebezpieczeństwo, trzeba ją było znaleźć. I to szybko, Strach o żonę odbierał mu rozsądek, ale Trevor zmusił się, by opanować myśli. W pośpiechu odwrócił się do Wingate'a.

- Dobrze zna pan ten dom?

- Mieszkam w nim od dwóch miesięcy. I często tu przyjeżdżałem jako chłopiec. - Wingate skrzywił usta. - Harriet i Elizabeth są gośćmi mojego dziadka. Wiem, gdzie są ich pokoje. Chce pan, bym go tam zaprowadził?

Trevor opanował szybkie bicie serca i starał się logicznie myśleć,

- Nie. Czy jakaś część tego domu jest rzadko używana?

- Wschodnie skrzydło pozostaje zamknięte od lat.

Trevor zawahał się na moment, wiedząc, że jeśli przeczucie go myli, stracą cenne minuty.

- Myślę, że poszukiwania należy zacząć właśnie tam.

Markiz był wdzięczny, że żaden z mężczyzn nie zakwestionował jego sugestii, bo chyba nie zdołałby racjonalnie uzasadnić swojej decyzji. Przeklinając się w duchu za to, że nie upilnował żony, pospieszył krętymi korytarzami, deptając Wingate'owi po piętach.

Gdy dotarli do wschodniego skrzydła, zwolnili i zaczęli uważnie przeszukiwać kolejne pokoje. Znaleźli grube pokłady kurzu, pajęczyny i nawet kilka myszy, ale ani śladu zaginionych. Trevor zaczął już wątpić

w swój instynkt, gdy w korytarzu odbił się echem krzyk przerażonej kobiety.

Mężczyźni wymienili zdenerwowane spojrzenia i biegiem rzucili się przed siebie, potykając się po drodze.

- Zdaje mi się, że krzyk dobiegł stąd - powiedział Jason i śmiało sięgnął po klamkę.

- Czekaj! - Trevor schwycił go za nadgarstek. - Nie wiemy, co się tam dzieje. Musimy postępować ostrożnie, przynajmniej dopóki się nie zorientujemy w sytuacji.

Jason przycisnął ucho do ciężkich drewnianych drzwi.

- Słyszysz coś? - spytał Wingate.

- Tak, ale tylko same dźwięki. Nie mogę rozróżnić słów.

- Daj, ja spróbuję.

Trevor przepchnął się do przodu i oparł o drzwi. Zamknął oczy i całkowicie skupił się na odgłosach dochodzących z drugiej strony. Usłyszał

mężczyznę, który coś szybko mówił, i głos kobiety. Odpowiadała albo zadawała pytania. Potem do jego uszu dotarło coś jeszcze. Skowyt? Jęk?

Powoli nacisnął klamkę.

- Zamknięte - wyszeptał.

- Chyba dam sobie z tym radę.

Wingate wyciągnął z kieszeni na piersi długi, cienki przyrząd i wsunął

go w dziurkę od klucza. Przez chwilę dłużył w zamku, potem z zażenowanym uśmiechem otworzył zatrask.

Nie było czasu, by pytać Wingate'a, gdzie nabył tę haniebną umiejętność. Z oburzonej miny Jasona markiz wnioskował, że szwagier jest równie zszokowany.

- Pamiętajcie-upomniał Trevor. - Zachowujcie się możliwie jak naj-ciszej. Element zaskoczenia może zadziałać na naszą korzyść.

Jednak ich wysiłki, aby bezszelestnie wejść do pokoju, spełzły na niczym. Gdy tylko uchylili drzwi, Harriet krzyknęła.

- Hawkins! - zawołał zdziwiony Wingate. - Co tu się, do diabła, dzieje?

Człowiek, którego Wingate nazwał Hawkinsem, chwycił Harriet za włosy i szarpnął jej głowę do tyłu.

- Jeden krok w moim kierunku, a poderżnę jej gardło.

- Kim jest ten człowiek?! - wrzasnął rozgniewany Trevor.

- To mój lokaj - odparł Wingate.

- Co? - Jason i markiz jednocześnie popatrzyli zdziwieni na Wingate'a.

Mężczyzna bezradnie wzruszył ramionami.

222

- Wierście mi, jestem równie zaskoczony jak wy. A może nawet bardziej. Nigdy przedtem nie zachowywał się tak brutalnie.

- Hawkins, natychmiast odsuń się od panny Harriet - rozkazał Wingate.

- Mój Boże, on przywiązał Elizabeth do krzesła - wyszeptał osłupiały Jason.

Trevor gorączkowo rozglądał się po pokoju w poszukiwaniu Meredith.

Stała za Hawkinsem, przysłaniając sobą Elizabeth. W nikłym świetle świec twarz Meredith była blada, w jej oczach płonął strach. Wyglądało na to, że nic jej się nie stało, ale na pięknym obliczu malowała się taka rozpacz, że aż markizowi ścisnęło się serce.

- Jest nas trzech przeciw tobie jednemu - powiedział gniewnie Trevor. - Wycofaj się, dopóki jeszcze możesz.

Hawkins skrzywił się pogardliwie.

- To ja mam nóż, milordzie. I kobiety.

- Do ciężkiej cholery, Wingate - warknął Jason. - Zrób coś.

Wingate z trudem nabrał powietrza.

- A co proponujesz? Przyciska nóż do szyi Harriet. Jeśli zrobimy krok, zrani ją, zanim do niego dobiegniemy.

Trevor zwalczył odruch, by rzucić się do przodu. Wiedział, że Wingate ma rację. A jeśli Harriet zostanie zraniona, następnym celem będzie najprawdopodobniej Meredith.

- Czego chcesz, Hawkins? - spytał Trevor. - Pieniądzy?

Hawkins uśmiechnął się. Powoli, okrutnie, obelżywie.

- Jaki pan głupi, milordzie. Pragnę tylko wypełnić swoją misję. Nikt i nic mnie nie powstrzyma.

- O czym ty mówisz? - wydusił z siebie Jason.

- Wymierzam karę tym, którzy na nią zasłużyli.

- Jesteś tchórzem. Kłamcą i pozorantem - powiedział z pogardą Trevor. - Żądam, żebyś natychmiast odłożył nóż i odsunął się od kobiet.

- Pozorantem?! - Hawkins wyżej podniósł głowę i wyprostował się.

Oczy mu płonęły, gdy przycisnął ostrze noża do gardła Harriet. - Jesteś półgłówkiem, milordzie, który nie pojmuje wagi mojego powołania.

Meredith rzuciła markizowi spojrzenie pełne rozpacz.

- Trevorze, uważaj. On może zabić. Już zabił. Kogoś, kogo kochali

śmy.

- Tak - oświadczył z dumą Hawkins. - Choć stało się to przez pomyłkę, sprawiło mi wielką radość, gdy skróciłem życie pana pierwszej 223

żonie, Dardington. Wiem jednak, że zabicie obecnej małżonki da mi o wiele więcej rozkoszy.

Słowa Hawkinsa rozbrzmiewały w głowie Trevora i rodziły mnóstwo pytań. Ten człowiek najwyraźniej oszalał. Czy to okropne twierdzenie było tylko wymysłem wariata?

- To prawda - powiedziała Meredith, łamiącym się szeptem. - Wtedy, wiele lat temu, chciał zabić mnie, ale przez przypadek zginęła biedna Lavinia. To zbyt straszne, by nawet o tym myśleć. Och, Trevorze, proszę wybaczyć mi. - Meredith zdławiła szloch i ten żałosny dźwięk sprawił markizowi ból.

Spojrzał na swojego szwagra. Twarz Jasona wyglądała jak wykuta z kamienia. Młodzieniec nie odrywał oczu od nieruchomej postaci Elizabeth.

Jeśli tylko zdołaliby odwrócić uwagę Hawkinsa, może udałoby się im rozbroić go, zanim zrobi komuś krzywdę.

- Wingate, musimy opanować sytuację - wyszeptał Trevor, - Gdy zrobię krok do przodu, popchnij mnie, ale nie za mocno.

Wingate przytaknął ze zrozumieniem. Trevor spiął się do skoku. Zdawało mu się, że wszystko dzieje się nieskończenie wolno, W końcu Wingate popchnął go. Hawkins zamrugnął ze zdziwienia i rozluźnił uścisk, w którym trzymał Harriet.

Dzielnie wykorzystała chwilową nieuwagę prześladowcy i natychmiast się uwolniła. Rozwścieczony Hawkins rzucił się do unieruchomionej na krześle Elizabeth. Złowieszczo uniósł rękę, by zadać cios. Światło świec odbiło się od noża. Trevor ruszył do przodu, ale Jason był dużo szybszy.

Z okrzykiem wściekłości rzucił się między narzędzie zbrodni i Elizabeth. Trevor przygotował się na nieunikniony rozlew krwi, ale Jason schwycił mordercę za nadgarstek.

Pokój wypełniły krzyki i szybkie oddechy walczących. Każdy usiłował chwycić nóż. Szczepieni ze sobą przewrócili się na ziemię i tarzali, usiłując uzyskać przewagę.

Trudno było ocenić, kto wygrywa. Potem nagle Jason oswobodził ramię i mocno uderzył Hawkinsa w szczękę. To na chwilę oszołomiło lokaja, dzięki czemu leżący na plecach Jason mógł pochwycić nóż.

Nim Trevor czy Wingate zdążył się rzucić na pomoc, Hawkins odzyskał siły. Ze zwierzęcą furią zaatakował. Jason, broniąc się, w ostatniej chwili podniósł nóż.

Hawkins krzyknął w agonii, gdy ostrze przebiło mu serce. Na twarzy służącego odmalował się ból i wstrząs. Z ostatnim przekleństwem chwy-224

cił się za pierś, na której pojawiła się szkarłatna plama, i opadł na ziemię obok Jasona.

W pokoju zaległa martwa cisza.

- Mój Boże, chyba go zabiłem - wychrypiał w końcu Jason.

- To dobrze - powiedziała zapalczywie Harriet, odsuwając się jak najdalej od nieruchomej postaci.

Na podłodze, wokół martwego ciała Hawkinsa, rozlewała się ciemna kałuża krwi.

Kierowany pierwotnym instynktem Trevor podbiegł do Meredith i chwycił ją w ramiona. W tej chwili najbardziej na świecie potrzebował poczuć przy sobie ciepło jej ciała, by upewnić się, że naprawdę jest cała i zdrowa.

Oddychała nerwowo i cała dygotała.

- Wiedziałam, że przyjdiesz - wyszeptała. - Wiedziałam, że nas jakoś odnajdziesz i uratujesz. Ani przez chwilę w to nie wątpiłam, nawet gdy tak śmiertelnie się bałam.

Dreszcz przeszył jej ciało. Trevor mocniej przytulił żonę do siebie.

Meredith przycisnęła dłonie do oczu, by powstrzymać łzy.

- Och, biedna Harriet - powiedziała, gdy odsłoniła twarz.

Markiz odwrócił się i zobaczył, że Harriet skuliła się na podłodze. Objęła się w pół rękami i kołysała w przód i w tył. Włosy jej się rozsypały, zakrywając twarz, jednak drżące ramiona wyraźnie świadczyły, że cicho szlocha.

- Trevorze, proszę, zajmij się nią- odezwała się błagalnie Meredith.

Zacisnął ramiona wokół żony, nie chcąc jej zostawiać ani na chwilę.

- Gdzie Wingate?

- Poszedł sprowadzić pomoc. Jason zajmuje się Elizabeth. Proszę, zostałeś tylko ty.

- A co z tobą?

Uśmiechnęła się dzielnie.

- Czuję się już dużo lepiej. A Harriet tak strasznie cierpi.

Potrzebował ogromnej siły, by wypuścić Meredith z objęć. Zanim odszedł, pochylił się i ucałował jej skroń.

- Zawołaj, jeśli będziesz mnie potrzebować.

Przytaknęła. Trevor przeszedł na drugą stronę pokoju, by uspokoić Harriet. Przestała się kołysać i uniosła zalaną łzami twarz.

- Julian? - spytała stłumionym głosem.

- Poszedł po pomoc - wyjaśnił łagodnie Trevor. - Proszę pozwolić, bym pani dotrzymał towarzystwa, aż do jego powrotu.

15 -Zakład o mitość 2 2 5

Widząc wahanie, z jakim wyciągnęła do niego rękę, Trevor zorientował się, że biedna Harriet była na granicy hysterii.

Na szczęście pomoc nadeszła wkrótce. Do pokoju z hałasem wpadła gromada mężczyzn. Wingate'owi towarzyszyło kilku krzepkich służących i dżentelmen w ciemnym ubraniu. Trevor rozpoznał sędziego.

Ciało Hawkinsa zostało wyniesione. Gdy tylko znikło, Elizabeth wsta

ła z kolan Jasona i prawie rzuciła się Harriet na szyję. Siostry mocno przytuliły się do siebie, płacząc jak dzieci. Jason nie opuszczał Elizabeth, niezgrabnie gładząc ją po ramieniu i osłaniając własnym ciałem.

Trevor odwrócił się do Meredith. Teraz z całego serca pragnął tylko chwycić żonę w ramiona i bezpiecznie zabrać ją do domu. Jednak gdy spojrział w przeciwległy koniec pokoju, przeżył straszny szok. Serce w nim zadygotało, a panika ścisnęła pierś tak, że z trudem oddychał.

Meredith nigdzie nie było. Zniknęła.

Gdy markiz wpadł jak bityz frontowymi drzwiami rezydencji, desperacko wykrzykując imię Meredith, szczęśliwym trafem lokaj księcia przechodził przez hol. Służący spokojnie poinformował markiza, że jego żona wróciła zaledwie przed chwilą i jest w swoich apartamentach. Trevor nie czekał na dalsze wyjaśnienia. Czując ogromną ulgę, z hałasem popędził

na górę.

Gdy wbiegł do sypialni, zauważył straszny bałagan. Płaszcz, suknie, koszulki, gorsety, halki, rękawiczki, kapelusze, pończochy piętrzyły się w nieładzie na łóżku. Spojrzał na to wszystko ze zdziwieniem, upominając się, by nie wyciągać pochopnych wniosków.

Meredith wyszła z saloniku z ciężkim naręczem ubrań. Na widok męża znieruchomiała i upuściła suknię i jakieś białe fatałaszki z falbankami.

- Tak mi przykro - wyszeptała. Schyliła się nisko, podniosła upuszczone rzeczy i przycisnęła je do piersi. - Miałam nadzieję, że skończę, zanim wrócisz.

- Co ty robisz?

- Pakuję się. - Rzuciła na łóżko stroje, które trzymała, i odwróciła się do szafy po następne. - Obiecuję, że do rana już mnie nie będzie.

226

Trevorowi zaschło w ustach. Strach, który czuł, gdy dowiedział się, że Meredith grozi niebezpieczeństwo, był niczym w porównaniu z ogarniającą go teraz falą przerażenia.

- Chcesz mnie opuścić?

Nie odpowiadała, unikała jego wzroku. Przynosiła tylko coraz więcej rzeczy i gwałtownie, desperacko rzucała na łóżko. Kilka kosmyków wysunęło się z jej uczesania i opadało na szyję. Suknię miała pogniecioną.

Stanął jej na drodze, blokując przejście do szafy. Przesunęła się w lewo, usiłując go ominąć. Trevor zrobił krok w prawo i skutecznie ją zatrzymał. Jęknęła i spróbowała raz jeszcze, ale znów zagroził przejście.

- Wiem, że mnie nienawidzisz. - Urwała i wreszcie uniosła twarz.

Miała nieruchome, smutne oczy, oddychała szybko i nierówno. - Nie mam o to do ciebie pretensji. Jednak nie mogę zostać, by przypominać sobie każdego dnia o nieszczęściu, które na ciebie sprowadziłam. Tego jest zbyt wiele, bym mogła to znieść.

- Meredith, proszę, co ty mówisz?

- Co mam ci powiedzieć? Byłeś tam. I słyszałeś każde okropne słowo prawdy. - Sięgnął po nią, ale wymknęła mu się z rąk. - Trevorze, to ja!

To mnie miał zabić Hawkins tamtego popołudnia na przyjęciu u księżnej.

Nie Lavinie. Tak naprawdę to ja powinnam być martwa, nie ona.

Na samą myśl, że Meredith mogłaby nie żyć, poczuł ostry, palący ból w sercu. Czy rzeczywiście w to wierzyła?

- Zabraniam ci mówić takie bzdury.

- Dlaczego? To prawda.

Tym razem zdołała go ominąć. Cisnęła na łóżko kolejne ubrania. Łzy bezgłośnie spływały jej po twarzy. Trevor pragnął chwycić ją mocno w ramiona i ukoić ból, ale nuta hysterii w głosie żony nakazywała mu ostrożność.

- Tamtego popołudnia u księżnej Lavinia miała na sobie mój szal -

ciągnęła Meredith cichym, drżącym głosem. - Hawkins zjawił się na przyjęciu tylko po to, by mnie ukarać za odrzucenie oświadczeń jego chlebodawcy. Gdy z daleka zobaczył kobietę w szalu, który bardzo lubiłam, o czym wiedział, zaatakował.

- Przecież to nie twoja wina - powiedział cicho Trevor.

- Nic nie rozumiesz. To ja nakłoniłam ją, by okryła się moim szalem!

Zaskoczony Trevor na chwilę zamilkł. Ponownie wyciągnął do Meredith rękę, ale potrząsnęła głową i cofnęła się.

- Tamtego popołudnia wcale nie było chłodno, ale Lavinia drżała.

Bałam się o zdrowie jej dziecka... - Twarz Meredith zmarszczyła się 227

lagle. -Nienarodzone dzieciątko! Zapomniałam o tej małej, drogiej istotce. Och, jak możesz choćby przebywać ze mną jednym pokojem?

Twarz miała pełną udręki. Prawie czuł wielki ciężar jej cierpienia i to

{potęgowało smutek w jego sercu. Żal stał się prawie nie do zniesienia.

- Jak możesz się obwiniać?

- Jak mogę się nie obwiniać? - Skrzywiła usta. - Byłam tak zapatrzo-ła w siebie. Uważałam, że mam prawo myśleć, iż jestem inna niż damy s towarzystwa. Nie zważałam na czyjekolwiek oczekiwania, przeciwsta- wiałam się konwenansom, odrzuciłam tyle uczciwych propozycji mał

żeństwa podczas swojego pierwszego sezonu. O tak, z radością złama-am wszystkie zasady, a zapłaciła za to Lavinia. Swoim życiem.

Markiz nie wierzył własnym uszom.

- Chyba nie sądzisz, że gdybyś wyszła za mąż za Juliana Wingate'a, można by było tego uniknąć?

Meredith odwróciła głowę i patrzyła martwym wzrokiem na drugi koniec pokoju.

- Nie wiem. Ale gdybym przyjęła czyjeś oświadczenia tego pierwszego sezonu, Hawkins może by o mnie zapomniał. Nie uraziłabym go tak głęboko, nie rozwścieczyłabym do tego stopnia, że posunąłby się do morderstwa, żeby mnie ukarać.

- Przestań, Meredith. Posłuchaj tego, co mówisz. - Trevor zacisnął

ciężką pięścią i opuszczył ją wzdłuż boków. Bał się, że znów sięgnie po Meredith i jeszcze bardziej ją zdenerwuje. - Emocje wzięły w tobie górę nad zdrowym rozsądkiem. Nie jesteś odpowiedzialna za śmierć Lavinii.

- Jestem - powiedziała złamanym szeptem. - Właśnie, że jestem.

Markiz położył palec na jej ustach. Zesztywniała.

- Posłuchaj mnie, bo mówię prawdę, Meredith. To nie była twoja wina.

Hawkins i tylko Hawkins odpowiada przed Bogiem i ludźmi za całe zło, włącznie ze śmiercią Lavinii.

Oczy Meredith zapłonęły w proteście. Patrzyła na męża dziko przez kilka długich chwil. Trevor przygotował się na kolejne argumenty. Nagle atrzepotała złotymi rzęsami, skuliła ramiona i niespodziewanie wybuch-

nęła płaczem.

Markiz przysunął się powoli. Krzyknęła, gdy ją objął, ale była zbyt zdenerwowana, by z nim walczyć. Wziął ją w ramiona i mocno przytulił, rzyjmując w siebie drżący szloch.

Zamknął oczy. Boże, tak dobrze było trzymać ją w objęciach. Żałował, że nie może ulżyć jej w cierpieniu, wziąć na siebie choć części okropnego bólu.

228

- To powinnam być ja - załkała.

- Kochanie, nie mów takich rzeczy. - Wzmocnił uścisk, gdy zaczęła drżeć. - To był straszny, okrutny splot okoliczności. Nie pozwolę ci niesłusznie się obwiniać. Meredith, proszę, że względu na mnie musisz o tym zapomnieć.

Uniosła twarz zalaną łzami.

- Jak możesz być dla mnie taki dobry?

Lekko przycisnął usta do jej warg.

- Najdroższa Meredith, w swoim życiu kochałem tylko dwie kobiety.

Hawkins zabrał mi pierwszą. Nie pozwolę, by odebrał mi również drugą.

Dwoje zapłakanych niebieskich oczu wpatrywało się w niego z oszołomieniem i niedowierzaniem.

- To niemożliwe, byś mnie kochał.

Trevor uśmiechnął się szeroko. Wyznanie tajemnicy własnego serca przyniosło mu cudowne poczucie ogromnego spokoju i radości. I zdołało osuszyć łzy żony. Miał rację ten, kto powiedział, że miłość potrafi zdzia

łać cuda.

Pocałował ją w czoło i wyszeptał:

- Ale ja naprawdę cię kocham, Meredith.

Smutek i ból widoczne na pięknej twarzy powoli zastąpił ciepły blask nadziei i zachwytu.

- Jesteś pewien?

- Najzupełniej. - Uścisnął ją mocno. - Moje zachowanie od początku naszego małżeństwa pewnie słabo o tym świadczy, ale ilekroć znajdowa

łem się blisko ciebie, zawsze ogarniały mnie silne emocje. Nie pojmowa

łem, czym były ani dlaczego doprowadzały mnie do szaleństwa, dopóki nie zrozumiałem, że mogę cię stracić.

- Kochasz mnie - powtórzyła powoli, a Trevor uśmiechnął się czule.

- Tak i ze względu na tę miłość nie możesz odejść. - Poglaskał ją po włosach. - Swoim wcześniejszym zachowaniem udowodniłem, że nie zasługuję na uczucie, ale przysięgam, że dopóki będę żył, zrobię wszystko, co w mojej mocy, by zyskać twoje serce.

Uniosła kąciuki ust w tajemniczym uśmiechu.

- Nie mogę ci dać czegoś, co już do ciebie należy, milordzie.

Dotknął jej policzka i uniósł podbródek, aż ich usta się spotkały. To był

rozkoszny pocałunek, pełen miłości.

- Meredith.

- Trevorze.

229

Uśmiechnęła się do niego tak, że aż serce w nim stopniało. Zabrakło jej tchu.

- Jesteś wszystkim, czego brakowało w moim życiu. Gdy straciłem Lavinie, uciekłem i ukryłem się przed światem. Odwróciłem się od wszystkiego, co miałem, próbując zapomnieć. I wtedy pewnego wieczoru wywabiłaś mnie w odosobniony zakątek ogrodu i pocałunkiem pozbawiłaś zmysłów.

Meredith pochyliła głowę i zarumieniła się.

- Proszę, nie przypominaj mi. Ciągle nie mogę zrozumieć, co mnie opętało, że pomogłam moim braciom wygrać ten idiotyczny zakład.

- To przeznaczenie. - Uniósł jej dłoń i pocałował delikatnie czubek żdęgo palca. - Otrzymałem od losu drugą szansę na szczęście i nie będę kwestionować mądrości jego wyroków.

- Och, Trevorze, po wszystkim, co się stało, jakie mamy prawo do części?

Znów objął Meredith mocnym uściskiem, by poczuć przy sobie ciepło jej ciała.

- Nigdy nie zapomnimy przeszłości, ale nie możemy pozwolić, by pozbawiła nas szczęśliwej przyszłości. Lavinia pokazała nam obojgu, co znaczy mieć kochające serce. Czyż jest lepszy sposób, by uwiecznić pamięć o niej, niż nawzajem obdarować się miłością?

Meredith znieruchomiała, potem zadrżała od przesywającego na skroś uczucia. W jej oczach płonęła miłość, ale przede wszystkim nadzieja na przyszłość.

Trevor pochylił głowę, by pocałować ją w policzek, ale Meredith z rozmysłem odwróciła głowę i podsunęła mu usta. Pocałunek był zmysłowy, kuszący i wyrażał nie tylko jej pragnienia, ale i potrzeby. Trevorowi zabrakło tchu.

- Rozrzuciłam prawie całą garderobę po pokoju i przy okazji zrobiłam straszny bałagan na łóżku - wyszeptała, gdy w końcu się od niej oderwał. -

Wątpię, czy udałoby się nam pod tą górą rzeczy odnaleźć materac.

Markiz uśmiechnął się swawolnie, słysząc w głosie żony nutę zaproszenia. Wszystko się ułoży, pomyślał. Podejrzewał, że przeszłość zawsze gdzie Meredith prześladować, a jednak wydawała się gotowa zostawić za sobą.

- Pamiętam, że świetnie nam poszło w moim łóżku - powiedział.

Pocałował ją raz jeszcze. W mocnym, ciepłym uścisku delikatnych ramion na nowo odkrył, dlaczego kocha i potrzebuje Meredith, dlaczego robi wszystko, by ją przy sobie zatrzymać.

230

To, co ich łączyło, było wyjątkowe i *cenne*. Trevor przysiągł, że nigdy o tym nie zapomni, nigdy nie uzna jej miłości za coś oczywistego, co mu się należy.

Meredith pisnęła ze zdziwienia, gdy porwał ją ręką. Trzymając żonę mocno w ramionach, Trevor pospieszył do swojej sypialni. Jego radosny śmiech mieszał się ze śmiechem Meredith i rozbrzmiewał echem w ca

łym skrzydle domu.

Epilog

Hawthorne Manor

Sześć miesięcy później

Przyniosłam pani gorącą czekoladę i tosty, milady - powiedziała Rose.

Meredith spojrzała sponad przenośnego stolika, na którym pisała, le

żąc wygodnie w łóżku, oparta na stosie poduszek. Zmarszczyła brwi.

Pokojówka kuliła się w progu i nerwowo rozglądała po pokoju, oczami szeroko otwartymi ze strachu.

- Markiz się goli, Rose. Jest w drugim pokoju.

- Dobrze, milady. - Dziewczyna głośno westchnęła z ulgą i w końcu weszła do sypialni. - Postawić tacę na stole koło okna, czy raczej na stoliku przy łóżku?

- Może być przy łóżku. Dzisiejszego ranka czuję się dosyć rozleniwiona.

Meredith obserwowała z troską pełną rozbawienia, jak Rose prawie przebiegła przez pokój. Upuściła tacę na stolik, ukloniła się energicznie i uciekła szybciej, niż się zjawiała.

Meredith westchnęła. Biedna Rose. Najwyraźniej jeszcze nie doszła do siebie po incydencie w zeszłym tygodniu, kiedy to późnym rankiem nagi, podniecony Trevor próbował namówić żonę na powrót do łóżka.

Gdy Rose mu przeszkodziła swoim nagłym wejściem, zareagował w sposób, który niezbyt przystoi dżentelmenowi.

- To była Rose? - Trevor wyszedł ze wspólnej, niewielkiej gotowalni.

- Chyba tak- odparła ze śmiechem Meredith, - Jednak zjawiała się znikła tak szybko, że nie mam pewności.

Markiz usiadł na brzegu łóżka. Meredith przesunęła się na środek, by robić mu miejsce. Był świeżo ogolony i cudownie pachniał mydłem.

- Mam nadzieję, że dzisiejszego popołudnia znajdę jeszcze okazję, by przeprosić Rose. Oczywiście, jeśli uda się jej ustać w jednym miejscu na tyle długo, bym mógł się do niej odezwać.

Meredith uniosła dłoń, by ukryć uśmiech. Od czasu tamtego zajścia Trevor próbował zjednać sobie pokojówkę, jednak bez powodzenia, dla takiego słynnego uwodziciela musiało być dosyć poniżające to, że teraz kobieta uciekała za każdym razem, gdy próbował do niej zagadnąć.

- Najlepiej, żebyś odzywał się do Rose możliwie jak najmniej. - Meredith odstawiła stolik na bok, by przysunąć się do swojego bardzo przystojnego męża. - W końcu się do ciebie przyzwyczai.

- Wątpię - parsknął Trevor.

Meredith uśmiechnęła się. Przypominał rozdrażnione dziecko, złościące się, że zostało niesprawiedliwie złajane. Jednak w jego mocno za-

owanej szczęce, szerokich ramionach czy muskularnej piersi niewiele było chłopięcości.

- Rose nie ma tu nic do powiedzenia. Widzi pan, sir, zdecydowałam, że pana zatrzymam.

Uniósł głowę i popatrzył jej w oczy. Od jego chmurnego, zmysłowego spojrzenia Meredith zabrakło tchu. Wyciągnęli do siebie ręce dokładnie tym samym momencie, jakby ich wzajemna miłość i wspólne pożądanie były zbyt silne, by mogli im się oprzeć.

W namiętności nie odmawiali sobie niczego, całując się i pieszcząc z najwyższym oddaniem, dotykając się z miłością i czułością. Lekкими, rozgorączkowanymi palcami nieustępliwie poszukiwali na swoich cia-

ch wszystkich tajemnych miejsc, które staną się dla nich nawzajem źród-

dłem obezwładniającej rozkoszy.

Zespolili się powoli, ale spokojny rytm wkrótce stał się szybszy. Gdy zbliżali się do szczytu, ich serca biły w jednym tempie. Każde z nich starało się, by drugie doznało najgłębszej rozkoszy, gdy w końcu przetoczyła się falą przez nich oboje.

W cudownej błogości Meredith mogła myśleć tylko o swoim najpeł-

niejszym zaspokojeniu i bezgranicznej miłości do męża. Łzy spłynęły jej 234

po twarzy i zwilżyły włosy na skroni. Przesunęła głowę, by ją obetrzeć.

Potem przy uchu poczuła ciepły oddech Trevora. Mąż szeptał jej imię i wyznawał miłość.

Kolejne łzy napłynęły do oczu, ale zamrugła, by je powstrzymać. Czasami trudno jej było uwierzyć, jak silna stała się łącząca ich więź. Z każdym kolejnym dniem Meredith widziała przed nimi coraz piękniejszą przyszłość. Mając miłość i oddanie Trevora, czuła, że wszystko jest możliwe.

Zacisnęła ramiona wokół szerokich pleców i z zapalem przytuliła go do siebie. Poruszył się leniwie.

- Pewnie cię przygniatam?

- Tak, ale dobrze mi z tym. - Meredith splótła palce ich rąk i podniosła je do ust. Delikatnie pocałowała każdy palec jego dłoni i przytuliła do policzka. - Nie możemy teraz zasypiać. Dzisiejszego ranka muszę się zająć mnóstwem rzeczy.

- No dobrze. Zatem wstajemy.

Żadne z nich się nie ruszyło. W końcu Meredith otworzyła oczy i zobaczyła Trevora wpatrującego się w nią z głębokim zadowoleniem, Uniosła głowę i musnęła jego usta pocałunkiem.

- Jestem okropnie głodna. Mam nadzieję, że nie wylałeś mojej czekolady - mruknęła. - Bo jeśli tak, będziesz musiał zadzwonić po Rose i poprosić, by przyniosła następną porcję.

Trevor roześmiał się głośno.

- Zanim znajdę tę dziewczynę, upłynie przynajmniej pół dnia. Umrzemy z głodu.

Meredith ostrożnie przekręciła się na bok, uważając na tacę ze śniadaniem postawioną na stoliku w pobliżu jej głowy. Poprawiła koszulę nocną i szlafroczek, usiadła wygodnie oparta o poduszki, splótła ręce i spojrzała wyczekująco.

Trevor leżał jak długi na skotłowanym łóżku i wyglądał na zupełnie odprężonego. Meredith lekko trąciła męża nogą. Stęknął. Stuknęła go ponownie, tym razem mocniej.

- Jeśli swoim przerażającym rykiem przepędzasz moją pokojówkę, musisz spełnić jej obowiązki. Czekałam na śniadanie, sir.

Markiz otworzył jedno oko i spojrzał piorunująco na żonę. Uśmiechnęła się słodko. Z westchnieniem rezygnacji przesunął się i usiadł. Chwytał

tacę, która na szczęście pozostała nienaruszona, i postawił ją na kolanach Meredith.

- Powiedz mi, co takiego bardzo ważnego mamy do zrobienia, że mu-ny wyjść z łóżka? - spytał, gdy Meredith powoli karmiła go kawałka-tosta.

Upiła łyk czekolady i uśmiechnęła się.

- Święta dopiero za kilka tygodni, ale chcę omówić przygotowania gospodynią, głównym lokajem i kucharzem. Nasze pierwsze wspólne iże Narodzenie powinno być wyjątkowe. Pragnę, żeby cały dom roz-

;;miewał zabawą i śmiechem. Przygotowałam już plan.

Sięgnęła po kartkę, na której wcześniej pisała, i zaczęła czytać.

- Pieczona gęś, legumina ze śliwek oblana płonąca brandy i przybra-gałązkami ostrokrzewu, rolada świąteczna, prezenty na Trzech Króli om udekorowany gałązkami jedliny oraz piernikami. Myślę też, że do

zę byłoby urządzić przyjęcie dla sąsiadów. Od chwili przyjazdu jesz-e się z nimi nie poznaliśmy.

- Okoliczni mieszkańcy na pewno nam wybaczą. W końcu jesteśmy

iezo po ślubie i mamy na głowie dużo ważniejsze sprawy. - Markiz zesunął dłońią po twarzy. - Czy twoi rodzice nadal zamierzają nas od-edzić?

- Tak. Jasper w ostatnim liście napisał, że przyjadą do Anglii w ciągu godnia. Już nie mogę się dofeekać.

- Cieszę się, że ich wreszcie poznam.

Twarz Meredith złagodniała.

- Wiem, że wkrótce pokochają cię tak mocno jak ja.

Trevor uśmiechnął się szeroko, potem spowaźniał i spojrział j ej w oczy.

- Mój ojciec też przyjedzie. I twoi bracia. Jesteś pewna, że dom jest ystarczająco duży dla tak licznej rodziny?

- Myślę, że zdołamy wszystkich pomieścić - powiedziała Meredith błyskiem w oku. - W końcu Hawthorne Manor ma dwadzieścia cztery pialnie.

- Ach tak, teraz sobie przypominam. I pamiętam też, że w każdej z nich

> kolei można dokonywać cudów.

- Trevorze! - Meredith próbowała go skarcić, ale rumieniła się tak ocno, że nie odniosło to większego skutku.

Markiz ubzdurał sobie, że powinni się kochać w każdej sypialni w ma-tku. Osiągnęli ten nieprzystojny cel po prawie dwóch miesiącach. Tre-

or poinformował ją o tym dokonaniu z wielką rozkoszą. A potem wy-

reptał, że w pozostałych dwóch majątkach jest jeszcze więcej sypialni.

o samą myśl o tym Meredith się czerwieniła.

236

- Powinnam cię ostrzec, że mój brat Jason już napomyka, że zostanie dłużej niż do Nowego Roku.

- Dlaczego chce spędzić z nami tyle czasu? - Markiz sięgnął po lok złocistych włosów żony i przyglądał się mu leniwie. - Nie mam oczywi

ście nic przeciwko temu. Jason wydaje mi się całkiem zabawny. Poza tym potrzebuję kogoś, z kim mógłbym poćwiczyć grę w pikietę. Nie gra

łem już od miesiący.

- Żadnego z was nie zamierzam zachęcać do kart.

- Zagramy o guziki czy inne takie bzdury. A jeśli będziesz bardzo grzeczna, nauczę cię grać. Pamiętaj, jak dobrze bawiłaś się na wyścigach?

- Nie pozwolę, by mnie pan zdeprawował, sir - zażartowała Meredith, wysuwając włosy z jego palców. - Przykro mi, że cię tak bardzo rozczarowuję, mój drogi, ale nie sądzę, by Jason chciał zostać z nami dłużej ze względu na ciebie. On doskonale wie, że dziecko Faith narodzi się wkrótce po Nowym Roku. Słusznie zakłada, że pojedę odwiedzić przyjaciółkę jak tylko, z Bożą pomocą, maluch szczęśliwie przyjdzie na świat.

- Nie miałem pojęcia, że Jason tak lubi Faith.

- Nie lubi. - Meredith potrząsnęła głową. - Och, oczywiście lubi, ale mój drogi brat jest o wiele bardziej zainteresowany młodszą szwagierką Faith i już nie może się doczekać, by zobaczyć się z Elizabeth.

- Gratuluję mu świetnego gustu. Elizabeth to czarująca, młoda dama.

- Jest cudowna. Obawiam się jednak, że mojemu kochanemu bratu nie pójdzie łatwo. Jak twierdzi Jasper, Elizabeth nie odpisała na żaden list Jasona.

- Dziwne - odparł Trevor, marszcząc brwi. - Myślałem, że z radością i wdzięcznością zobaczy się znów z Jasonem. Przecież ocalił jej życie.

Meredith wzruszyła ramionami.

- Ale też boleśnie przypomina jej o tym, o czym Elizabeth bardzo chcia

łaby zapomnieć. W zeszłym miesiącu Faith wspomniała w liście, że Elizabeth nadal od czasu do czasu nawiedzają senne koszmary.

Trevor wziął Meredith za rękę i uściśnął.

- Cieszę się, że ciebie już nie prześladują.

Meredith spojrzała w okno. Na szczęście złe sny minęły, w dużej mierze dzięki mężowi. Jego siła i pewność siebie dodały jej odwagi.

- Śpię przy boku mojego obrońcy. Choć są noce, gdy właściwie niewiele mogę pospać.

237

Sugestywnie uniósł brwi.

- Jakieś zażalenia?

- Żadnych - roześmiała się i potrząsnęła głową.

- A co z Harriet? - spytał Trevor. - Też prześladują ją koszmary?

- Faith nic o tym nie wspomniała. Ale przysłała zaskakujące wieści.

Otóż Harriet najwyraźniej postanowiła poszukać szczęścia gdzie indziej.

- Co masz na myśli?

Meredith wzruszyła ramionami.

- Powiedziała Faith i Griffinowi, swojemu bratu, że opuści ich zaraz po narodzinach dziecka.

- I dokąd pojedzie?

- Jeszcze nie wie. Odpowiedziała na kilka ogłoszeń proponujących zatrudnienie w dosyć odległych miejscach. Jedno z nich było chyba aż w Szkocji. Dwa pochodziły od rodzin oferujących posadę guwernantki, a jeszcze inne od starszej wdowy, która szukała kulturalnej damy do towarzystwa.

Trevor gwizdnął.

- Nie znam Harriet zbyt dobrze, ale trudno mi sobie ją wyobrazić w słu

żebnej roli. Za dużo w niej dumy i ma zbyt cięty język.

Meredith musiała przyznać, że mąż jest świetnym znawcą kobiecych charakterów.

- Wszyscy się zgadzają, że pozycja podwładnej nie jest najodpowiedniejsza dla Harriet. Ale po aferze z Wingate'em chyba uznała, że musi zacząć od nowa. Jak inaczej mogłaby dojść do siebie, po tym jak narzeczony porzucił ją. To największy skandal od dziesięciu lat.

Markiz parsknął.

- Naprawdę okazał się łotrem. Zasłużyła na kogoś lepszego. Nie jestem jednak pewien, czy ona sobie do końca uświadamia, co oznacza praca u obcych ludzi.

- Na pewno będzie jej trudno, chociaż pamiętam, że bardzo lubiła swojego bratanka, nieślubnego syna Griffina. Chyba lepiej się nadaje do roli guwernantki. Nie mogę sobie jej wyobrazić biegającej na każde skinienie starszej, rozkapryszonej wdowy. - Meredith potrząsnęła *głową*. -

Gdziekolwiek rzuci ją los, życzę jej wszystkiego najlepszego.

- To bardzo wspaniałomyślne z twojej strony, wzięwszy pod uwagę kłopoty, jakie miałaś z Harriet w przeszłości.

- Mogę sobie pozwolić na wielkoduszność. Mam wszystko, czego tylko może pragnąć kobieta.

238

- Naprawdę?

Meredith dotknęła dłonią policzka Trevora i uśmiechnęła się, patrząc w jego przystojną twarz.

- Oczywiście *mój* najdroższy. Mam ciebie.

i